

Nowa powieść
autora bestsellera
NATURALISTA

POWIĘKSZENIE
ANDREW
MAYNE

w
ydawnic
ab
two

Andrew Mayne
POWIĘKSZENIE

przełożył Jacek Żuławnik



Tytuł oryginału: *The Looking Glass*
Copyright © 2018 by Andrew Mayne

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX

Copyright © for the Polish translation by Jacek Żuławnik, MMXIX

Wydanie I

Warszawa MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

[Prolog. Kundel](#)

[1. Jeden do zera](#)

[2. Kowboje i Indianie](#)

[3. Predox](#)

[4. Fanklub](#)

[5. Księgowy](#)

[6. Teoria liczb](#)

[7. Straż sąsiedzka](#)

[8. Samodzielne dziecko](#)

[9. Ocena zagrożenia](#)

[10. Sprawa umorzona z braku dowodów](#)

[11. Obiekt zainteresowania](#)

[12. Wspólnicy](#)

[13. Podążaj za pieniędzmi](#)

[14. Wróg publiczny](#)

[15. Autorytet](#)

[16. U źródła](#)

[17. Sygnał](#)

[18. Kontakt w nagłych przypadkach](#)

[19. Z pierwszej ręki](#)

[20. Brakujący łącznik](#)

[21. Otagowany](#)

[22. Konfabulacja](#)

[23. Biały samochód](#)

- [24. Symulacja](#)
- [25. Akt własności](#)
- [26. Psi detektyw](#)
- [27. Zatroškany obywatel](#)
- [28. Anonim](#)
- [29. Perspektywa](#)
- [30. Czastki](#)
- [31. Komandosi](#)
- [32. Błąd systematyczny próbkowania](#)
- [33. Kubeł zimnej wody](#)
- [34. Przesłuchanie](#)
- [35. Sprawiedliwość](#)
- [36. Nowa możliwość](#)
- [37. Obserwacja](#)
- [38. Wyznawcy](#)
- [39. Botanica](#)
- [40. Błogosławieństwo](#)
- [41. Kamienie](#)
- [42. Jasnowidz](#)
- [43. Właściwy przebieg](#)
- [44. Światło jako przynęta](#)
- [45. Ocena zagrożenia](#)
- [46. Uprzedzenia](#)
- [47. Fourier](#)
- [48. Pudełko z aparatem](#)
- [49. Szybki obchód](#)
- [50. Bezpieczna przestrzeń](#)

[51. Niepewność](#)

[52. Lokalizator](#)

[53. Oaza](#)

[54. Przesyłka](#)

[55. Teren łowów](#)

[56. Wtajemniczony](#)

[57. Nora](#)

[58. Labirynt](#)

[59. Zastępca](#)

[60. Samotny obrońca](#)

[61. Paranoik](#)

[62. Spowiedź](#)

[63. Wizyta domowa](#)

[64. Ekonomia współdzielenia](#)

[65. Zamknięcie](#)

[66. Reakcja](#)

[67. Obsługa hotelowa](#)

Prolog. Kundel

Roześmiany Tiko biegł ulicą, kopiąc sflaczałą piłkę, a MauMau, jasnobrązowy szczeniak z nadgryzionym uchem, gonił za nią po kałużach, rozchlapując wodę i błoto swymi dużymi łapami. Tiko uwielbiał psiaka, mimo że ten tak naprawdę nie należał do niego, lecz był wioskowym kundlem, który wałęsał się, węsząc za resztkami, a jeśli żadnych nie znajdował, polował na szczury. Lepszego kumpla chłopiec nie miał.

Kiedy Tiko skończył trzy lata, jego matka zorientowała się, że biała skóra i czerwone oczy dziecka zawsze już takie pozostaną, i odsunęła malca od siebie, czyniąc z niego wyrzutka, takiego jak MauMau. Modliła się za niego, a nawet poprosiła kobietę z sąsiedniej wioski, ponoć obdarzoną zdolnością leczenia, o to, by wypędziła z chłopca zło. Bez skutku.

Gdy ludzie zaczęli szydzić z matki Tika, że urodziła dziecko o magicznych własnościach – czarownika – ta starała się go pozbywać z domu na coraz dłużej, karmiła tylko w ostateczności, w dodatku każąc mu jeść na dworze, i obarczała coraz trudniejszymi zadaniami, nie dbając o to, kiedy powróci. Miał cztery lata, gdy usłyszał, jak matka tłumaczy innej kobiecie, że Tiko wcale nie jest jej synem, tylko biednym dzieckiem przyjaciółki, którym się zaopiekowała. Tiko wiedział, że to nieprawda, ale nie miał żalu do matki. Zdawał sobie sprawę ze swej odmienności i z tego, że matce musi być ciężko.

Zorientowawszy się, że nosi w brzuchu kolejne dziecko, matka Tika wyszła przed chatę i demonstracyjnie, na oczach wszystkich sąsiadów, uwolniła się od chłopca, wyrzekła się go, oznajmiając, że nie jest jej synem.

Od tamtej pory nie miał wstępu do domu. Nocą, kiedy siadał pod drzwiami i płakał z głodu, czasem wynosiła mu resztki. Lecz gdy przyjmowała jakiegoś mężczyznę, krzyczała na Tika, kazała mu się wynosić, udawała, że go nie zna. Nauczył się, że aby przetrwać, musi schodzić wszystkim z drogi, i przekonał się, że ludzie, owszem, bywają skorzy do pomocy, ale tylko wtedy, kiedy nikt nie patrzy.

Starsza kobieta, która nie miała synów, oddawała mu połowę placka fasolowego albo nieco *jollof rice*, jeśli akurat jej znajomi ugotowali za dużo. Z kolei pan Inaru, właściciel warsztatu i podwórza zawalonego rdzewiejącymi częściami samochodowymi, pozwalał Tikowi sypiać na składowisku i nie przeganiał go, kiedy ścigany przez rówieśników chłopak przeciskał się między prętami ogrodzenia. Często bowiem musiał uciekać. A kiedy go dopadali, okładali pięściami, ciągnęli za włosy i przezywali Wiedźmisynem.

Chłopiec lubił MauMaua, bo pies nie darzył go nienawiścią i nie ograniczał się do zwykłego tolerowania odszczepieńca – lizał go po twarzy i tulił się do niego, kiedy padało albo było zimno.

Tiko ukląkł, poklepał MauMaua i podniósł piłkę, zastanawiając się, czy pan Inaru będzie potrafił ją naprawić, tak by nie uciekało z niej powietrze. Wiedział rzecz jasna, że jest kwestią czasu, kiedy inne dzieci mu ją odbiorą. Wpatrując się w piłkę, zauważył odbicie w kałużę. Stał nad nim mężczyzna – bardzo, bardzo wysoki mężczyzna – i uśmiechał się do niego. Tiko podniósł głowę i spojrział na wyglądającą życzliwie postać. Nieznajomy był ubrany w czarne spodnie i białą koszulę,

tak jak mężczyźni z wioski, kiedy szli do pracy albo chcieli zrobić dobre wrażenie.

– Ty jesteś Tiko? – zapytał przybysz głosem tak silnym i zarazem tak ciepłym, że Tiko odpowiedziałby twierdząco na każde pytanie.

Z nerwów zapomniał jednak języka w gębie i tylko pokiwał głową.

Mężczyzna szeroką dłońią chwycił chłopca pod brodę i obrócił jego twarz najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Zamiast z odrazą spojrział na niego tak, jak Tiko patrzył na MauMaua.

– Grzeczny chłopiec. Chcesz się przejechać pikapem?

Tiko nigdy nie jechał pikapem, ale wiele razy widział, jak auta pędzą przez jego wioskę, wioząc mężczyzn z karabinami, udających się w jakieś odległe miejsca. I czasem widział też, jak te same wozy powracają załadowane wrzeszczącymi z bólu, trzymającymi się za krwawiące brzuchy albo kończyny ludźmi o zaciśniętych powiekach.

Pokiwał głową. Przejazdźka pikapem – brzmi kusząco. Zwłaszcza z tym panem.

Mężczyzna wyciągnął rękę do Tika i poprowadził go uliczką w stronę zaparkowanego u jej wylotu zielonego samochodu. Kiedy Tiko obejrzał się na MauMaua, psiak siedział na skraju kałuży, przekrzywiając łeb, i patrzył, usiłując cokolwiek z tego zrozumieć. Był jednak zbyt młody, by pojąć, co się dzieje. Tiko pomachał mu na do widzenia. Przez chwilę miał wrażenie, że widzi twarz matki, która wychynęła zza węgła i przygląda mu się. Zniknęła, gdy obejrzał się po raz drugi.

Mężczyzna otworzył drzwi, chłopiec wgramolił się do środka i zajął miejsce na fotelu. Uśmiechnął się od ucha do ucha na myśl o zazdrości, jaką wzbudzi w innych dzieciach, kiedy zobaczą go podczas przejażdżki. Kierowca nie zafundował mu jednak rundki po wiosce, lecz wywiózł od razu poza jej granice. Skręcił w wąską dróżkę, przy której stało raptem kilka chat, a potem w kolejną, prowadzącą głębiej w busz, coraz dalej od osad.

Spoglądając w zakurzone lusterko wsteczne i widząc, jak jego wioska zostaje z tyłu, Tiko zauważył kątem oka coś jeszcze: z ust życzliwego nieznajomego zniknął uśmiech. To już nie był ten sam człowiek, którego odbicie Tiko ujrzał w kałuży. Z zaproszenia *tego* człowieka Tiko nigdy by nie skorzystał.

Bo mężczyzna był tym, którym straszyły inne dzieci – tym, który zabiera wiedźmisynów na wieczne nieoddanie.

1. Jeden do zera

Gram w grę wideo, w której naprawdę można zginąć. Owszem, twórcy Wirtualnego Obszaru Działań, bo o nim mowa, nie nazywają go grą wideo, ale WOD w gruncie rzeczy nią jest. To szereg połączonych ze sobą pomieszczeń, na których ścianach wyświetlane są obrazy, tworzące wirtualną przestrzeń, precyzyjnie odwzorowującą rzeczywiste miejsca.

W tej chwili obszarem działań jest Houilles na północno-zachodnich przedmieściach Paryża, a konkretnie mieszkanie, którego lokator, Josef Amir, pracownik działu informatycznego pewnego francuskiego banku, wybrał się na drugi koniec miasta na imprezę urodzinową swojej siostry. Pod nieobecność Josefa wysłaliśmy do niego dwóch ludzi. Jeden przesuwając okiem kamery wysokiej rozdzielczości po wnętrzu, zamieniając wielkie piksele na naszych ścianach w obrazy tak szczegółowe, że nie sposób odróżnić ich od rzeczywistości, a drugi – nazywamy go Cieniem, bo kamery rejestrują jedynie jego przemieszczający się rozmyty kształt – posługuje się niewielkim, przypominającym latarkę urządzeniem, za pomocą którego pobiera kosmyki włosów z odpływu prysznicza, włókna z kanap i foteli, brud z podeszew butów i z wycieraczki.

Raz na kilka minut Cień wysuwa kasetkę z urządzenia i przekazuje ją trzeciemu mężczyźnie, który kursuje pomiędzy mieszkaniem a zaparkowaną przed budynkiem furgonetką z logo FedEksu, wyposażoną w kosztujący dwadzieścia milionów dolarów sprzęt. Aparatura, której nie powstydziliby się najlepsze laboratoria uniwersyteckie, przetwarza dane w czasie rzeczywistym: dekoduje DNA, porównuje je z materiałami zapisanymi w bazie i tworzy sieć powiązań, ujawniając nam, z kim kontaktował się Josef. Zakres danych jest niewyobrażalny. Na szczęście dysponujemy oprogramowaniem służącym do przeglądania i porządkowania tego rodzaju informacji – dzięki niemu osiągnęliśmy założony cel, to znaczy ustalimy, czy w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin na stadionie wybuchnie bomba.

Nazwisko Josefa wypłynęło w przechwyconej rozmowie telefonicznej pomiędzy znanym służbom agentem Państwa Islamskiego w Jemenie i drugim we Francji. W normalnych okolicznościach władze po prostu wezwałyby Josefa na przesłuchanie i sprawdziły wszystkich z jego otoczenia, ale ostatnio stało się to problematyczne. Komunikując się między sobą, grupy terrorystyczne celowo używają nazwisk niewinnych cywilów, przez co angażują w składanie wyjaśnień znacznie większą liczbę osób, niż podają media, i wywracają ich życie do góry nogami, podczas gdy prawdziwi złoczyńcy pozostają w ukryciu.

– Doktorze Cray? Doktor Sanders? – odzywa się Emily Birkett, nasza współpracowniczka z ramienia DIA, Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony. Jest pod czterdziestkę, ma kasztanowe włosy związane w koński ogon. Była oficerem lotnictwa wojskowego, ale w którymś momencie postanowiła się związać z najupiórniejszą z upiornych agencji rządowych.

Kerry Sanders i ja jesteśmy cywilami. Sanders to antropolożka mniej więcej w moim wieku, czyli po trzydziestce, która przez kilka lat wspomagała Facebooka w pracach nad społecznymi grafami użytkowników serwisu – kogo znają i jak wyglądają ich relacje ze znajomymi – po czym zatrudniła się w OpenSkyAI.

Z pozoru nic nie odróżnia OpenSkyAI od innych przedsiębiorstw technologicznych w Austin w Teksasie, których siedziby mieszczą się w nijakich biurach pełnych firm produkujących gry komputerowe i spółek z branży ochrony zdrowia. W rzeczywistości OpenSkyAI jest prywatnym kontrahentem DIA. Firma zajmuje się przetwarzaniem tysięcy pakietów danych i na tej podstawie wskazuje kandydatów do umieszczenia w jednym z tajnych ośrodków agencji, gdzie zostaną przesłuchani. Śledczy oceniają ich zeznania i oszacują prawdopodobieństwo popełnienia przez nich przestępstwa mogącego stanowić istotne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

Sanders przygląda się mozaice utworzonej ze zdjęć znalezionych u Josefa.

– Brak wskazań ze strony modułu rozpoznawania twarzy.

– Theo? – Birkett ponawia pytanie, tym razem nieco bardziej niecierpliwym tonem. – Josef wyruszył w drogę powrotną. Wycofać ekipę?

Chodzę po mieszkaniu – to znaczy, po jego wirtualnej wersji – wpatruję się w otwarte szafki i szafy, usiłuję dostrzec, co niewidoczne, a z tyłu głowy wciąż mam pytanie o to, jak, u diabła, znalazłem się w tej sytuacji.

– Moim zdaniem jest czysty – stwierdza Sanders.

Chciałbym móc się z nią zgodzić. Robi mi się niedobrze na myśl o tym, że Josef miałby przejść mękę, która na zawsze odmieniłaby jego życie, tylko dlatego, że jakiś palant z Jemenu przypadkiem natrafił na jego nazwisko w wyszukiwarce. Z drugiej strony wiem, że to nie powód do przedwczesnego składania broni.

Wracam do kuchni. Na lodówce wiszą zdjęcia. Większość przedstawia Josefa z dziewczyną albo grupą przyjaciół. Uśmiechnięte twarze, dobra zabawa przy stole zastawionym napojami. Typowy dla paryskiego milenialsa sposób spędzania wolnego czasu.

Przyjrzeliliśmy się aktywności Josefa w sieci. Przeczytaliśmy wszystkie jego posty na Facebooku, przeanalizowaliśmy każdy lajk, poszliśmy tropem znajomych, którzy polubili jego posty. Przepuściliśmy dane przez system. Oprogramowanie nie zasygnalizowało niczego podejrzanego. Co nie oznacza, że nie wypłynęły żadne koneksje. Każdego z nas dzieli trzy albo cztery stopnie oddalenia od kogoś naprawdę złego. Josef ma wujka w Katarze, który chodził do tego samego meczetu co pewien aktywny członek Państwa Islamskiego, ale trzeba przyznać, że w świecie, w którym wszystko wiąże się ze wszystkim, to w najlepszym razie mocno naciągana relacja.

Problem ze śladami elektronicznymi polega na tym, że terroryści się złączyli. Nauczyli się oddzielać jedno życie od drugiego. Możemy śledzić Josefa, ile chcemy, ale jeśli prowadzi równoległe życie i jest na tyle rozsądny, by nigdy nie łączyć jednego z drugim, przyłapanie takiego człowieka jest prawie niemożliwe. Na szczęście większości terrorystów prędzej czy później powinie się noga. Gorzej, że ci, którym udaje się uniknąć wpadki, są z reguły sprytniejsi od naszych systemów. Zbudowaliśmy pułapkę, a ta wycwaniła nam szczury.

– Theo – mówi Birkett. – Każę ludziom się wycofać.

– Nie – protestuję, nieco zbyt stanowczo.

– Co masz?

– Chwileczkę...

– Co ci podpowiada intuicja?

– Jestem naukowcem. Nauczyłem się ignorować intuicję. Daj mi jeszcze kilka minut.

– Zebraliśmy wszystko, co było do zebrania – mówi Sanders. – Możemy zwolnić ekipę i przejrzeć materiały.

– Nie...

Setki razy próbowałem im to wytłumaczyć. Symulacja, nawet ta oparta na rzeczywistych danych, nadal jest tylko symulacją. Wiem, że na blacie w kuchni Josefa stoi słoik z masłem orzechowym, ale nie mam pojęcia, czy w środku naprawdę znajduje się masło orzechowe. Ktoś musiałby zajrzeć do środka. Bo równie dobrze pojemnik może zawierać C-4. Nie sądzę, by tak było, ale przecież nie jest to wykluczone.

Z pozoru – bo to tylko pozory, prześlizgiwanie się po powierzchni – tak zwana nieinwazyjna ekspertyza kryminalistyczna jest przydatna, ale w istocie nic nie zastąpi solidnej pracy laboratorium.

– Jeśli to coś o decydującym znaczeniu, mogę zatrzymać Josefa, kiedy będzie wysiadał z metra. Ale muszę wiedzieć już teraz – odzywa się Birkett.

Przyklękam, żeby się przyjrzeć zdjęciom na lodówce. Większość to wydruki. Sanders stoi za mną.

– Przepuściliśmy je wszystkie przez moduł rozpoznawania twarzy i nic.

Wyciągam rękę po jedną z fotografii; zapomniałem, że są tylko symulacją.

– Powiedz Cieniowi, żeby zrobił zbliżenie na tę tutaj.

Josef uśmiecha się do aparatu. Stoi przy nim młoda kobieta o bliskowschodnich rysach i zielonych oczach. Ma nie więcej niż dwadzieścia kilka lat, jest naprawdę piękna.

– Kto to? – pytam.

– Nie mamy jej w bazie. Możemy rozszerzyć poszukiwania i prędzej czy później zdobyć nazwisko. Ale nasz filtr jej nie uwzględnia.

Cień odwraca zdjęcie. Z tyłu znajduje się datownik z marca i slogan: „Na najbardziej wyjątkowe okazje”.

– Bierzcie go – rzucam do Birkett.

Widzę, jak mówi do mikrofonu.

– Przechwyтуujemy.

– Kim ona jest? – pyta Sanders.

– Diabli wiedzą. Chodzi o zdjęcie. Pochodzi z jednorazowego aparatu fotograficznego. Pstryka się z takich fotki na weselach, potem oddaje urządzenie, a oni obrabiają zdjęcia i przesyłają klientowi jako pliki.

– Na grafie Josefa nie ma żadnego wesela.

Wstaję, odwracam się do Sanders i Birkett.

– No więc właśnie. Firmy z reguły dostarczają tylko wersje cyfrowe zdjęć. Tymczasem Josef nie wydrukował fotki z pliku, wolał zrobić to analogowo, tak by nie zostawić śladu elektronicznego. – Łączę się z operatorem sterującym wizualizacjami. – Pokaż mieszkanie Mosina Kasira.

W sekundę przenosimy się do lokum w Jemenie, które nasz oddział terenowy przeczesał przed czterema dniami. Na ścianie nad biurkiem Mosina wiszą dziesiątki zdjęć.

– Nie ma jej na żadnym z nich – odzywa się Sanders. – Inaczej komputer by to zasygnalizował.

Wskazuję fotografię Mosina ze starszą kobietą o identycznych zielonych oczach jak towarzyszka Josefa.

– Kto to taki?

Sanders zagląda do tabletu.

– Jego ciotka, trzeci stopień pokrewieństwa. Mamy odwrotną stronę zdjęcia?

Kręcę głową.

– Nie. Ale wymiary i dystorsja są takie same jak w przypadku tamtego u Josefa. Kuzynka Mosina wychodziła w marcu za mąż. Z naszych danych wynika, że Josef był wtedy w Bahrajnie. Ale może w rzeczywistości pojechał do Jemenu.

– Zrozumiałam – odpowiada Birkett. – Dobra robota, doktorze. Mamy Josefa. Wkrótce wszystkiego się dowiemy. Postaramy się też zdobyć zdjęcia od producenta aparatu. Kto wie, co jeszcze odkryjemy.

Uśmiecha się promiennie. Jeżeli akcja z Josefem się powiedzie, przekona to przełożonych Birkett, że wydatki, które poniosła agencja, były uzasadnione.

– Koniecznie musimy sprawdzić rewersy wszystkich fotografii, które znaleźliśmy i znajdziemy – mówi Sanders, jednocześnie zapisując, by nie zapomnieć.

Nie o to chodzi, mam ochotę powiedzieć, ale wiem, że to bezcelowe. Gratulują sobie sukcesu, podczas gdy tak naprawdę trafiliśmy jedynie na korelację.

Wychodzę z biura, mrużąc oczy przed teksaskim słońcem, którego promienie odbijają się od lśniącego asfaltu na parkingu. Wmawiam sobie, że zrobiłem coś dobrego, ale boję się, że narzędzia, które wykorzystałem, i proces, którym się posłużyłem, mogą wyrządzić więcej szkód niż przynieść korzyści – o ile nie trafią do rąk lepszych, postępujących rozsądniej ludzi. W drodze do domu wspominam szlak martwych ciał, który doprowadził mnie do tego miejsca.

2. Kowboje i Indianie

Przed rokiem byłem wykładowcą bioinformatyki. Zajmowałem się budowaniem modeli otaczającego nas świata, przydatnych do prognozowania zjawisk. Moja praca była interesująca i miała dalekosiężne konsekwencje, rozwiązywałem zagadki wymierania neandertalczyków i badałem rozprzestrzenianie się chorób zakaźnych. Potem jednak spotkałem na swej drodze seryjnego zabójcę Joego Vika i wszystko się zmieniło.

Vik zamordował jedną z moich dawnych studentek. Przez pewien czas to mnie podejrzewano o zbrodnię, ponieważ tak się złożyło, że przebywałem w tej samej części Montany co ofiara – prowadziliśmy własne osobne badania – co dla miejscowych stróżów prawa wykraczało poza zwykły zbieg okoliczności.

Po oczyszczeniu mnie z zarzutów władze doszły do wniosku, że Juniper Parsons zabił niedźwiedź. Upozorowanie ataku zwierzęcia okazało się celowym wybiegiem Vika, zaś Juniper nie była bynajmniej pierwszą ofiarą, której pozbył się w ten sposób. Próbując dociec, jaki los spotkał Juniper, odkryłem kolejne ciała, a także spotkałem na swej drodze wielu przedstawicieli organów ochrony porządku publicznego, którzy nie potrafili dostrzec tego, co dla mnie było oczywiste. W końcu szlak martwych ciał doprowadził mnie do zabójcy.

W ostatnim morderczym zrywie Vik pozbawił życia swoją rodzinę i siedmiu policjantów. Sam zresztą o włos uniknąłem śmierci z jego ręki.

Niektórzy uważają mnie za bohatera, ponieważ odnalazłem Grizzly Killera, jak ochrzciła go prasa, i pomogłem go unieszkodliwić. Policja ma do mnie stosunek, że tak powiem, ambiwalentny. Wiem jedno: kiedy wieczorem kładę się spać, wyobrażam sobie tysiące sposobów, jak mogłem to rozegrać – i w wielu spośród tych scenariuszy ginie mniej dobrych ludzi, niż rzeczywiście zginęło.

Najbardziej niepokoi mnie to, że w ogóle nie czuję się winny – noszę w sobie pustkę, próżną przestrzeń tam, gdzie powinna się znajdować skrucha. Podejrzewam, że to niejedyna tego rodzaju niezapełniona emocjonalna strefa, jaką w sobie mam.

Tydzień temu odwiedziła mnie Jillian, kobieta, która ocaliła mi życie, zaś Vikowi je odebrała. Chcieliśmy się przekonać, czy jest między nami coś więcej. Problem polega na tym, że choć wyraźnie widzę w sobie strefę przeznaczoną dla Jillian, to jednak nie potrafię powiedzieć, czy rzeczywiście jest tam dla niej – dla kogokolwiek – miejsce.

Byłem taki popieprzony, jeszcze zanim spotkałem Vika, dlatego akurat o to nie mogę mieć do niego pretensji. On jedynie wydobyl ze mnie pewne rzeczy. Zresztą nawet nie wiem, czy w ogóle obwiniam go tak, jak się wini drugiego człowieka.

W poszukiwaniu odpowiedzi na własne pytania po tym, co przeszliśmy – kiedy w kółko musiałem się tłumaczyć i wyjaśniać wciąż sceptycznym policjantom i agentom, w jaki sposób znajdowałem zwłoki ukryte przez zabójcę – przeanalizowałem DNA Vika.

Jedną z odpowiedzi okazał się gen spowinowacony z proteiną ApoE-e4, tak zwany gen ryzyka. Materiał genetyczny Vika zawierał odmianę, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem. Z grubsza rzecz ujmując – czyli tak, jak nigdy bym sobie nie pozwolił w artykule naukowym albo w obecności kolegi

po fachu – Vik okazał się urodzonym ryzykantem, mającym przy tym skłonność do zachowań obsesyjno-kompulsywnych, całkiem przypominających te, które przydają wielkości zawodowym golfistom i wybitnym neurochirurgom. Vik czerpał przyjemność z ryzyka porównywalną z dreszczem emocji, jaki przechodzi arcymistrza szachowego po genialnym pierwszym ruchu. Kalkulacja, a po niej – euforia.

Człowiek taki jak ty albo ja po uniknięciu kary za występki czuje się (albo powinien się czuć) nieswojo, ma poczucie winy, natomiast Vikowi towarzyszyła radość, uniesienie, Vik pragnął więcej. Upajał się nie tylko dokonywaniem złych uczynków, ale też podejmowaniem kroków utrudniających działania policji.

Wzorzec jego zachowań wykazywał zbieżność ze schematem typowym dla rekina. Przeanalizowawszy jego DNA, uzmysłowiłem sobie, że owa współzależność nie była przypadkowa. Ten sam drapieżczy algorytm steruje również oprogramowaniem, które przejmuje kontrolę nad siecią – albo zabójcą szukającym odpowiedniej ofiary.

Werbując mnie, Birkett obiecywała, że będę mógł polować na podobnych Vikowi. Okazało się to połowicznie prawdą. Mimo że uważam sprawę wojny z terroryzmem za kwestię pierwszej wagi – i choć jestem przeświadczony, że ludzi, którzy wjeżdżają w tłum furgonetką wyładowaną materiałami wybuchowymi albo namawiają nastolatków z zespołem Downa do przeprowadzania samobójczych ataków bombowych, absolutnie trzeba powstrzymać – to jednak nie zawsze przekonują mnie nasze metody.

Wystarczyło jedno moje słowo, by Josefa Amira zgarnięto z ulicy, wrzucono do furgonetki i wywieziono do kryjówki, w której agenci francuskiego wywiadu, Amerykanie i być może przesłuchujący z jeszcze innych krajów zmuszą go do mówienia.

Nie dostaję informacji o tym, co i jak robią. Niemniej zauważyłem ostatnio czarną dziurę w badaniach nad lekami psychotropowymi i aparatem mowy. Na tej samej zasadzie, na podstawie której z analizy badań w dziedzinie informatyki kwantowej można wysnuć wniosek, że NSA, CIA, NRO i ich prywatni kontrahenci zatrudniają na potęgę i wyłuskują każdego specjalistę z kwalifikacjami do obsługi superzaawansowanych łamaczy kodów, brak publikacji w psychotropowej niszy sugeruje, że społeczność wywiadowcza czyni postępy w pracach nad tak zwanym serum prawdy i innymi substancjami, dzięki którym ludzie stają się bardziej skłonni do współpracy. Ludzi takich jak ja i firmy takie jak OpenSkyAI, z jej Wirtualnym Obszarem Działań, darzy się znacznie większym uznaniem, niż na to zasługują. Owszem, osiągam wyniki, ale nie jestem pewien, czy dzięki temu, że moje obecne metody są tak skuteczne, czy też dlatego, że wcześniejsze nie były dobre.

Buczy mój telefon. Odstawiam piwo na kuchenny blat, obok pustego pudełka po jedzeniu od chińczyka, i sprawdzam, czy Jillian się odezwała.

Nie, to Birkett: „Zwycięstwo 7 punktami”.

To szyfr. Oznacza, że Josef doprowadził ich do siedmiu kolejnych spiskowców. Oficjalnie nie powinienem o tym wiedzieć. Jestem przecież cywilnym współpracownikiem dysponującym certyfikatem bezpieczeństwa na średnim poziomie. Ale Birkett lubi sprawiać mi przyjemność – a raczej robić rzeczy, które jej zdaniem powinny sprawić mi przyjemność.

Dostaję od niej jeszcze jedną wiadomość: „Spotkanie z szefem o 9”.

Szef, Bruce Cavanaugh, nie prezes OpenSkyAI, tylko przełożony w DIA, który zatwierdza nasz budżet, przeraża mnie. To sympatyczny mężczyzna tuż po pięćdziesiątce, typ, który zgłasza się na ochotnika do kościelnej akcji wydawania posiłków dla bezdomnych z okazji Święta Dziękczynienia i pomagają obcym ludziom zmienić koło. Przeraża mnie władza, jaką dysponuje. Po kilku tygodniach pracy w OpenSkyAI, podczas mojej pierwszej wizyty u szefa, podzieliłem się z nim swoimi wątpliwościami co do stosowanych przez nas metod profilowania. Kiedy zapytał, co bym zmienił, pomyślałem o Joem Viku i wspomniałem o pomysle szukania określonych genów ryzyka w materiale genetycznym potencjalnych rekrutów terrorystów.

– Dziewięćset tysięcy dolarów wystarczy? – spytał.

– Do czego?

– Do opracowania odpowiedniej technologii. Jeśli potrzebujecie więcej, będę musiał wystąpić o autoryzację. Dziewięćset tysięcy na laboratorium mogę wam dać od ręki. Ale za pięć miesięcy chcemy mieć gotowy zestaw terenowy.

W oparciu o jedną rzuconą mimochodem uwagę Cavanaugh był gotów przekazać mi prawie milion dolarów na budowę gadżetu służącego oznaczaniu markerów DNA, które być może korelują ze skłonnością do zachowań mających związek z terroryzmem.

Być może. Przyczynowość i współzależność to pojęcia nierzadko blisko-, ale nie równoznaczne. Wystraszyłem się myśli, że miałbym włożyć jakiś wątpliwy, pseudonaukowy gadżet w ręce agenta CIA albo DIA, który pracując w terenie, szuka potwierdzenia i usprawiedliwienia swoich przeczuc. Wyobraziłem sobie, jak taki człowiek używa próbek DNA, pobranych od „przypadkowych poszkodowanych”, aby udowodnić, że może – „może” – załatwić tego, kogo trzeba. Stałoby się to kolejną wymówką rządu, sposobem bagatelizowania cywilnych ofiar wojny z terroryzmem.

Cavanaugh tego nie dostrzegał. On po prostu chciał łapać złoczyńców. Prawdziwym niebezpieczeństwem wcale nie jest to, w co każą nam wierzyć autorzy artykułów w „Atlanticu” i „New York Timesie” – że dobrzy stają się źli. Prawdziwe zagrożenie to fakt, że dobrzy czynią zło, nie widząc w swych uczynkach niczego złego. Ci sami ludzie, którzy oddaliby koszulę biednemu i nakarmili głodnego, protestują przeciwko żywności modyfikowanej genetycznie, mimo że ta ocaliłaby miliony dzieci, oszczędziłaby im cierpienia i głodu. Ci sami ludzie, którzy domagają się zaprowadzenia demokracji na Bliskim Wschodzie, budują bazy wojskowe zamiast szkół i szpitali.

Ludzie tacy jak Bruce Cavanaugh oferują ludziom takim jak ja ogromne pieniądze na gadżety i programy, które z powodu marnotrawienia czasu i niewłaściwie ułożonych środków mogą kosztować jeszcze więcej istnień ludzkich, a naprawdę potrzebne inicjatywy są dużo mniej atrakcyjne i nie budzą ekscytacji senatorów.

Nauczyłem się trzymać gębę na kłódkę w obecności Cavanaugha. Niestety, Birkett maluje przed nim mój portret w pozie analitycznego geniusza. Po sprawie z Joem Vikiem środowisko akademickie praktycznie odwróciło się do mnie plecami, za to w kręgach obronno-wywiadowczych zyskałem ponoć sławę kogoś w rodzaju Mrocznego Rycerza, naukowca mściciela.

Jillian twierdzi, że przesadzam, ale o pewnych rzeczach nie wie i nie może się dowiedzieć. Na przykład o tym, że do ataku drona w Jemenie, o którym głośno dziś wieczorem, doszło z powodu czegoś, co powiedziałem kilka godzin wcześniej. Albo że krążące w arabskich mediach zdjęcie jednej z ofiar przedstawia tę samą kobietę o zielonych oczach, którą zobaczyłem na fotografii na lodowce

w mieszkaniu Josefa.

Szkody uboczne.

3. Predox

Wchodzę do sali konferencyjnej, w której Bruce Cavanaugh urzęduje podczas swojej wizyty w OpenSkyAI – szef wita mnie szerokim uśmiechem. Birkett siedzi po drugiej stronie stołu, a miejsce obok niej zajmuje Trevor Park, prezes i założyciel firmy.

Zanim zaczął handlować z rządem technologią, Park zajmował się grami wideo i obrazowaniem. WOD powstał podobno po tym, jak urzędnicy agencji wywiadowczych zaczęli narzekać na wyjazdy w teren w celu gromadzenia informacji i poprosili o „coś à la dron” – co ułatwiłoby im pracę. W akcjach z użyciem drona dowódca nie przebywa w bliskim sąsiedztwie celu potencjalnego ataku, lecz stoi za plecami siedzącego w klimatyzowanym pomieszczeniu w bazie w Nevadzie operatora zdalnie sterowanego bezzałogowego statku powietrznego.

Nie jestem wprawdzie specjalistą od działalności wywiadowczej, ale z punktu widzenia nauki powinniśmy dążyć do jak największego zbliżenia do źródła danych, ponieważ czynnikiem mogącym zaważyć na powodzeniu przedsięwzięcia często są wątpliwości, z których zdajemy sobie sprawę dopiero przy bezpośrednim zetknięciu z sytuacją.

Odwrócenie zdjęcia z wesela na drugą stronę wszystko zmieniło – na lepsze albo gorsze. Jeszcze do niedawna DIA rezerwowała przywilej korzystania z WOD dla swoich wybranych agentów i nie dopuszczała do niego analityków niższego szczebla, takich jak ja.

Podejście DIA zmieniło się po pierwszej analizie z moim udziałem – wskazałem wtedy czterdzieści miejsc pominiętych przez agenta zbierającego próbki, a zawierających przydatne ślady, jak również zwróciłem uwagę na fakt, że osoba odpowiedzialna za obrazowanie zlekceważyła szczegóły, na przykład nie upewniła się, że książki na półkach to rzeczywiście te pozycje, na które wskazywały tytuły na grzbietach. WOD działa w oparciu o świetne oprogramowanie. Przeczesuje ono biblioteczkę potencjalnego terrorysty pod kątem radykalizujących lektur i sprawdza, czy te same pozycje znaleziono też u innych podejrzanych. Niestety, nie pozwala się dowiedzieć, czy ktoś nie wydrążył książki i nie ukrył w niej telefonu jednorazówki.

Siadam przy stole. Wszyscy obecni sprawiają wrażenie zadowolonych z siebie. Birkett patrzy na Cavanaugha i czeka, aż ten się odezwie.

Szef podsuwa mi kopertę opisaną: „Poufne”.

– Przysłali nam to Francuzi z DGSI. Pomyślałem, że zechcesz zobaczyć, co zrobiłeś.

Zdjęcia – podejrzewam, że z ataku w Jemenie. Ostrożnie wysuwam je z koperty – nie, to fotografie stadionu piłkarskiego i trybun pełnych kibiców. Ktoś odręcznie obwiodł okragiem mniej więcej stuosobową grupę.

– To strefa rażenia bomby, którą znaleźliśmy w Nicei. Wszyto ją w kurtkę należącą do znajomego Josefa Amira. Mężczyzna miał bilety na ten mecz, na miejsca w zaznaczonym sektorze. Zdjęcie zrobiono wczoraj wieczorem po nalocie policji na jego mieszkanie.

Wpatruję się w twarze pozostałych i nagle dociera do mnie, że w świecie równoległym wzięłbym do ręki gazetę i przeczytał o tragedii na stadionie, zatrzymałbym się na osiem sekund na tej informacji, zrobiłoby mi się szkoda ofiar, po czym przeniósłbym uwagę na coś, co poprawiłoby mi

humor. Istnienie tego schematu uświadomiła mi Kerry Sanders.

Odkładam zdjęcie.

– A co z Jemenem?

– Słucham? – odpowiada Cavanaugh.

Widzę, jak Park się spina. Nie lubi, kiedy jestem w nastroju konfrontacyjnym, ale też zdaje sobie sprawę, że wystarczyłoby jedno słowo, a dostałbym do dyspozycji własne laboratorium... i budżet.

– W wiadomościach pojawiła się informacja o ataku w Jemenie, w którym zginęło kilku dowódców Państwa Islamskiego, a razem z nimi rodzina i służba.

– Takie rzeczy stale się zdarzają. Przecież tam od ponad roku trwa wojna domowa. Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Nie zrobił tego rząd ani rebelianci, tylko francuscy albo amerykańscy agenci – mówię.

– Możecie nas zostawić? – zwraca się Cavanaugh do Parka i Birkett.

Oboje powoli i z zakłopotaniem opuszczają pomieszczenie. Park – zły, że przeze mnie wyrzucają go z jego własnej sali konferencyjnej – posyła mi wymowne spojrzenie przez ramię.

– Nawet nie próbuję zrozumieć, jak działa twój umysł – odzywa się Cavanaugh, kiedy za Parkiem i Birkett zamykają się drzwi. – Problem z widokiem z wysokiej wieży, w której siedzisz, polega na tym, że nie dostrzegasz tego, co się dzieje na samym dole.

Przyznałbym rację, ale nie chcę mu przerywać.

– Czy atak miał coś wspólnego z tym, co wczoraj odkryliśmy? Mówię ci szczerze, że nie mam pojęcia. Wiem za to, że zmieniły się reguły gry i dziś wyglądają zupełnie inaczej niż te, do których się przyzwyczaiłeś. Jeśli tamci spróbują przenieść konflikt na nasz teren, wtedy nie wystarczy, że zajmujemy się biednymi skurczysynami, których tu przyślą z brudną robotą. Musimy się postarać dorwać ich szefów i tych, którzy są mózgiem operacji. W dodatku nie wiele tygodni albo miesięcy po tym, jak uderzą, tylko natychmiast. I to z całą stanowczością.

– Trafiliśmy tych, w których celowaliśmy? A ta kobieta?

– Jaka kobieta?

– Ta, którą pokazują w arabskich telewizjach. Której zdjęcie znalazłem na lodówce w mieszkaniu Josefa.

Cavanaugh kiwa głową.

– Ach, ona. Cywil. Modlę się za nią. I modlę się za wszystkie dzieci, ofiary naszych bomb. Żałuję, że zginęły. – Stuka palcem w zdjęcie stadionu. – Setka ludzi przeżyła, pół tuzina umarło. Weź to pod uwagę.

Ależ wziąłem, Bóg mi świadkiem. Tylko jak porównać znane z nieznanym? To niemożliwe. Wszystko sprowadza się do tego, której statystyce wierzysz.

– Naprawdę wolałbym, żeby stało się inaczej... Ustaliliśmy twój budżet, sprawa genu terroryzmu ruszyła, pracuje nad nią laboratorium w Maryland.

– „Gen terroryzmu”? – wypalam. – Co to takiego, do ciężkiej cholery?!

– Wspominałeś o genetycznych czynnikach ryzyka prowadzących do radykalizacji poglądów. Nie byłeś zainteresowany pogłębieniem tematu, więc znaleźliśmy ekipę gotową zająć się profilowaniem i pracą nad zestawem terenowym.

Z trudem udaje mi się zapanować nad głosem.

– To jakaś bzdura. Nie wiemy nawet, czy mamy do czynienia ze współzależnością, a jeśli tak, to czy gen jest w ogóle aktywny. W grę wchodzi milion innych czynników. Nie możemy wyjąć spod prawa całej grupy albo społeczności na podstawie cech charakterystycznych jej genotypu.

– Większość ofiar zamachów terrorystycznych poniosła śmierć z rąk wyznawców religii, z którą identyfikuje się jedna piąta populacji. Przypadek?

– A zabójstwa w Chicago odpowiadają za ubiegłoroczny pięćdziesięcioprocentowy wzrost liczby morderstw w Stanach Zjednoczonych. Twoim zdaniem winna jest pizza z głębokiego naczynia czy też fakt, że Chicago skiepsciło się jako miejsce do życia?

Cavanaugh kwituje mój komentarz śmiechem.

– Ta twoja błyskotliwość... Założę się, że nie wzięłaś tych danych z sufitu. Prosimy o więcej. Przyjechałem, żeby pogratulować ci ocalenia życia ponad stu osób i powiedzieć, że jeśli wiesz, jak to robić sprawniej, chętnie cię wysłucham. Jakiś czas temu wspomniałaś o nowej wersji oprogramowania, które wykorzystałaś do wytropienia Grizzly Killera. Jak ono się nazywało? Predox? Chcielibyśmy wykorzystać je w praktyce. Pracujesz nad nim?

– Nie. Napotkałem pewne przeszkody natury technicznej, a kiedy zacząłem tu pracować, porzuciłem pracę nad programem.

– Szkoda – kwituje. – Gdybyś zrobił dla tropienia terrorystów to, co zrobiłeś dla polowania na seryjnych morderców, świat stałby się lepszym miejscem.

Też bym sobie tego życzył, ale narasta we mnie przeświadczenie, że zniosło mnie do świata tak mrocznego, że nawet nie jestem w stanie dostrzec swojego kompasu moralnego, już nie mówiąc o odczytaniu kierunku, jaki pokazuje. Czym innym jest schwytanie terrorysty, zanim zdąży wysadzić w powietrze grupę cywilów, a czym innym świadomość, że twój sukces zostanie przekuty w uzasadnienie odwetu wziętego na potencjalnie niewinnych osobach. Dlatego boję się tego, co pełni najlepszych intencji ludzie pokroju Cavanaugha mogliby uczynić, gdybym dał im do ręki narzędzie pozwalające wskazywać „tych złych”.

– Zastanów się nad tym – proponuje Cavanaugh. – Albo przynajmniej rozważ powrót do wykładów.

– Miałbym znów pracować na uczelni?

– Nie, chodzi o szkolenie agentów wojskowych i wywiadu. Podzieliłbyś się z nimi swoją wiedzą.

– Pomyślę.

Cavanaugh nie ma pojęcia, jaka to kusząca perspektywa: mieć własne laboratorium i znów móc uczyć.

Albo może właśnie doskonale wie. Co byłbym gotów zrobić, żeby to osiągnąć? Jak bardzo byłbym skłonny sam siebie okłamać?

4. Fanklub

Kiedy schwytasz jednego z najbardziej krwawych seryjnych morderców wszech czasów, twoje życie przybiera niespodziewany obrót, a właściwie wiele obrotów. Przedstawiciele organów ochrony porządku publicznego, którzy do tej pory nawet nie wierzyli, że grasuje zabójca, nagle zaczynają tworzyć zupełnie nową opowieść o tym, jak go tropili i deptali mu po piętach. Niech im będzie – niech sprzedają mediom wersję zdarzeń, w której ich ludzie naprawdę pracowali nad sprawą i rzeczywiście byli krok od ujęcia przestępcy.

Kolejna rzecz, to że z ignorowanego przez niemal wszystkich samotnika, którego głos nie docierał do policjantów, stajesz się kimś w rodzaju celebryty i naraz spływa do ciebie więcej próśb i pytań, niż jesteś w stanie przetworzyć. Moją skrzynkę zapychają wiadomości od rodzin zaginionych osób i liczne teorie spiskowe, a raz na kilka tygodni odzywa się świr, który twierdzi, że jest prawdziwym Grizzly Killerem i że mnie dorwie. Odsyłam ich wszystkich do FBI i pilnuję, aby moje pozwolenie na noszenie ukrytej broni obowiązywało w każdym stanie, który odwiedzam.

Przez zgłębienie oszołomów przebijają się liczne zrozpaczone głosy ludzi, którzy stracili bliską osobę i nie mają się do kogo zwrócić. Głosy matek zaginionych dzieci, mężów żon, które nie wróciły do domu, i osób doświadczających wszelkich innych strat. Na początku odpisywałem niemal wszystkim, kierowałem ich do któregoś z krajowych centrów poszukiwań ludzi zaginionych i do odpowiednich organów. Ale pewnego dnia przestałem. Poświęcałem długie godziny na odpowiadanie na wiadomości, aż w końcu wypaliłem się tak, że prawie nic ze mnie nie zostało.

Problem w tym, że każdy postrzega swoją sprawę jako wyjątkową. Tak jak łowcy autografów gwiazd, którym się wydaje, że są w szczególnej sytuacji; wyobrażają sobie spotkanie z idolem jako niezwykle moment – i liczą, że gwiazda czuje to samo.

W dowolnym momencie liczba zaginionych osób w Stanach Zjednoczonych wynosi dziewięćdziesiąt tysięcy, przy czym mowa tu jedynie o zgłoszonych przypadkach. Będąc na tropie Grizzly Killera, odkryłem istnienie do tej pory ignorowanej kategorii osób zaginionych, lecz niezgłoszonych. Dlatego podejrzewam, że prawdziwa liczba ofiar Joego Vika może iść co najmniej w setki.

Ten, kto pisze do mnie z przekonaniem, że jego sprawa jest wyjątkowa, nie rozumie, że w istocie jest ona tylko jedną z dziewięćdziesięciu tysięcy jej podobnych. To tylko statystyka, że zacytuję słowa błędnie przypisywane innemu seryjnemu mordercy, Józefowi Stalinowi.

Dzisiaj, wracając do domu, widzę mężczyznę siedzącego na werandzie i trzymającego w ręku kopertę – i to wystarczy, bym się domyślił jego historii. Gdyby chodził tam i z powrotem, nerwowo zaciągając się papierosem, powiedziałbym, że jest zwolennikiem którejś z teorii spiskowych; zaraz się dowiem, że Joe Vik był wymysłem CIA, a Ziemia jest płaska.

Mam gotową odpowiedź dla takich ludzi. Pytam ich mianowicie o to, jaka ilość materiału dowodowego byłaby w stanie przekonać ich, że się mylą. W przypadku osób przeświadczonych o prawdziwości alternatywnej wersji zdarzeń z 11 września 2001 roku albo mistyfikacji lądowania na Księżycu, i w ogóle w przypadku ludzi o skrajnych poglądach w jakiegokolwiek kwestii, odpowiedź

jest prosta: żadna. Jeżeli żadna ilość materiału dowodowego nie jest w stanie cię przekonać, że twoje spojrzenie na rzeczywistość różni się z jej prawdziwym obrazem, oznacza to, że opuszczamy domenę rozumu i wkraczamy na terytorium religii. Dlatego śmiesz mnie pomysł godzenia wiary i nauki. Nauka opiera się na założeniu, że za pośrednictwem logiki i rozsądku możemy poznać prawdziwą naturę rzeczywistości. U podstaw religii leży pogląd, że jeśli logika i rozsądek nie potwierdzają z góry ustalonego wyobrażenia tego, co realne, oznacza to, iż się mylą.

Kiedy następnym razem wdasz się w dyskusję o polityce, zadaj sobie pytanie o to, jaka ilość materiału dowodowego byłaby w stanie przekonać cię do zmiany zdania. Jeśli odpowiedź brzmi: żadna, wiedz, że tak naprawdę uczestniczysz w polemice religijnej i jesteś zelotą spierającym się z innymi zelotami.

Wspominałem już, że nie mam profilu na Facebooku?

Porzuciłem media społecznościowe dawno temu, kiedy zauważyłem, że moi koledzy ze świata nauki, broniąc wniosków, do których doszli drogą emocji, a nie rozumu, zrzekają się empiryzmu na rzecz nerwowych sprzeczek, polemik i wręcz żenujących luk w logicznym myśleniu.

O ile odcinanie się od mediów społecznościowych i wysyłanie czubków od teorii spiskowych na drzewo przychodzi mi z łatwością, o tyle dużo gorzej radzę sobie z osobami, które straciły bliskich. Ich ból i żal są bowiem prawdziwe. Ich rzeczywistość jest bardziej namacalna od mojej.

Wiem, co się stanie, kiedy wysiądę z auta. Ten ubrany w niebieski sweter i marynarkę czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku pokaże mi fotografię, którą wyjmie z teczki. Na zdjęciu będzie jego żona, córka albo syn – jakiś zaginiony bliski. Policja nie potrafi pomóc. Znalazł mnie w sieci. Jestem jego ostatnią deską ratunku.

Zapalam silnik, który zdążyłem zgasić, i wyjeżdżam z miejsca parkingowego. Jeśli nie zobaczę zdjęcia, nie ujrzę twarzy i nie poczuję się związany z tą sprawą. Zaczekam, aż mężczyzna sobie pójdzie, a jeżeli nie będzie chciał dać mi spokoju, wezwę policję.

Mam prawo to zrobić.

Toczę się w kierunku wyjazdu z osiedla i wmawiam sobie, że ignorując nieznanego na werandzie, z czystym sumieniem skoczę na piwo i stek.

I tak uczyniłem więcej, niż można było ode mnie wymagać. Możliwości Theo Craya też są ograniczone. Ale właściwie kim, do cholery, jest Theo? Co z niego zostało? Czy tylko obojętność?

Kiedy kuliłem się ze strachu w karetce, czekając, aż Joe Vik przyjdzie po mnie i Jillian, wtedy tym, który próbował ochronić nas przed mordercą, był detektyw Glenn. Owszem, w końcu znalazłem w sobie odwagę, tak samo jak Jillian – Boże, i to jak znalazła! – ale Glennowi nie brakowało jej od samego początku. On zginął, my przeżyliśmy.

Czy Glenn odwróciłby się na pięcie i zostawił tego mężczyznę? Tego pogrążonego w żalu człowieka?

Szlag.

Zawracam i ponownie parkuję na swoim miejscu. Biorę głęboki oddech i zastanawiam się, jak to zrobić – jak cierpliwie go wysłuchać, pocieszyć i być może pomóc mu odnaleźć spokój i akceptację tego, co przecież już wie: że osoba, której zdjęcie znajduje się w kopercie, nie żyje. Nie wróci. Jeśli ktoś ją porwał i jeśli od tamtego czasu minęło wiele tygodni albo miesięcy, odnalezienie mordercy jest praktycznie niewykonalne.

Skąd to wiem? Ponieważ gdyby nie chodziło o beznadziejną sprawę, poszedłby do kogoś innego. Nie trafiają mi się najprostsze, najbardziej oczywiste przypadki z gatunku: „Winny jest prosty robotnik z przeszłością kryminalną” – nie, ja dostaję te, w których brak jakichkolwiek dowodów. Zero wskazówek. Nie ma nawet zwłok. Jest jedynie wolna przestrzeń, którą niegdyś zajmował człowiek.

Nie potrafię jej wypełnić. Nie umiem nawet zaradzić pustce emocjonalnych stref w swojej własnej głowie, tych miejsc przeznaczonych dla ludzi, którzy powinni być mi bliscy.

– Doktor Cray? – odzywa się mężczyzna na mój widok.

– Mam najwyżej godzinę.

Zaczyna wysuwać zdjęcie z koperty.

Wiedziałem, że tak będzie. Chłopiec ma zielone oczy, takie jak dziewczyna z Jemenu. To tylko zbieg okoliczności. Obejrzałem tysiące fotografii zaginionych osób. Wiele z nich ma zielone oczy.

Ale ten musiał się trafić akurat dziś.

Przecucie podpowiada mi, że spędzę z nim znacznie więcej niż godzinę.

5. Księgowy

- Doktorze Cray, dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas. Kibicuję panu i pańskim dokonaniom. Nie jestem przekonany, że samozwańczy obrońcy porządku publicznego powinni mieć swoje fankluby, ale przyjmuję komplement.
- Napijmy się piwa i porozmawiajmy o...
 - ...Christopherze, moim synu. Ja się nazywam William Bostrom.
- Teraz, z twarzą i nazwiskiem, Christopher staje się coraz bardziej realny, przestaje być zwykłą kopertą, którą mogę zignorować. Wpuszczam Bostroma do domu i proponuję mu miejsce przy stole w kuchni. Kładzie kopertę na blacie i rozgląda się po mieszkaniu, niemal pustym, jeśli nie liczyć kanapy i telewizora.
- Niedawno się pan wprowadził? – pyta.
 - Jakieś pół roku temu.
 - Mieszka pan sam?
 - Nie sądzi pan, że to trochę dziwne pytanie ze strony obcego mężczyzny?
- Bostrom uśmiecha się pod nosem.
- Rzeczywiście, ma pan rację. Mógł pan mnie wziąć za wariata. Na pewno często pana nachodzą.
 - To prawda. – Wyjmuję dwa piwa z lodówki i je otwieram. – Proszę.
 - E... dziękuję. – Przykłada butelkę do ust i bierze mały, maleńki łyk. Od razu widać, że rzadko pije. Niewykluczone, że jest alkoholikiem po terapii.
- Kiedy odstawia piwo na stół, sięgam po nie i przysuwam do siebie.
- Woli pan colę light?
 - Tak, dziękuję. Naprawdę jestem panu wdzięczny, że zechciał mi pan pomóc.
- Zobaczymy, co zostanie z jego wdzięczności, kiedy mu powiem, że nic nie mogę zrobić. Podaję mu napój i siadam.
- Zanim zaczniemy, muszę zaznaczyć, że jedyną przyczyną, dla której w ogóle dowiedział się pan o moim istnieniu, jest to, że zwróciłem uwagę na wyjątkowy wzrost roślin w tych miejscach w Montanie, gdzie wcześniej zakopano zwłoki.
 - Wiem, wiem. Chodziło o ekotony, prawda? O obszary porośnięte różnymi, wypierającymi się nawzajem roślinami. Zauważył pan też, że Joe Vik zakopywał swoje ofiary blisko miejsc, w których je zabijał, na nisko położonych terenach, żeby erozja nie odsłoniła zwłok.
- Przygotował się do spotkania. Dla mnie to wciąż nierzeczywiste uczucie, kiedy ludzie wymieniają nazwisko Joego Vika swobodnym tonem, jakby mówili o Charlesie Mansonie albo Tedzie Bundym.
- Zasadniczo tak. Mój system trafił do rąk FBI i policji, które stopniowo wdrażają go w śledztwach kryminalnych.
 - Na pewno pomoże niejednej rodzinie odnaleźć spokój ducha.
- I przyniesie jej smutek. Wiele osób nadal liczy, że pewnego dnia ich bliscy powrócą do domu – to chyba najtrudniejsze w tego rodzaju sprawach: ludzie chcą usłyszeć ode mnie, że wciąż jest nadzieja. Niestety, nie ma żadnej.

– Chris był dobrym chłopcem, naprawdę dobrym. Wiem, że wszyscy tak mówią. Pilnie się uczył, trzymał się z dala od kłopotów, dbał o czystość w domu. Kiedy wracałem z pracy, zawsze było posprzątane, takim był chłopcem. Szliśmy do sklepu z zabawkami, a on wrzucał swoje kieszonkowe do puszek Armii Zbawienia.

Dobijasz mnie, Williamie, mam ochotę powiedzieć. Liczyłem na dzieciaka, który uzależnił się od narkotyków i dał nogę z domu. Nic z tego. Patrę na zdjęcie Chrisa i widzę wyszczerzonego w szerokim uśmiechu dziewięciolatka o grubych policzkach i szczerej fizjonomii.

– Co się stało? – pytam.

– Nie wrócił do domu.

– Kiedy zrobiono to zdjęcie?

– Mniej więcej miesiąc przed jego zaginięciem.

– Co zrobiła policja?

William wzrusza ramionami.

– Minimum tego, co do niej należało. Porozmawiała z sąsiadami. Rozwiesiła plakaty. Zdjęcie Chrisa pojawiło się nawet w wiadomościach. I nic. Wydzwaniałem do detektywów, ale coraz dłużej zwlekali z odbieraniem telefonów ode mnie. W końcu plakaty odpadły, a w telewizji skupiono się na kimś nowym, na jakiejś białej dziewczynie z Kolorado albo kimś takim. – Milknie, uświadomiwszy sobie, co powiedział.

Kiwam głową. Każdy z nas inaczej postrzega przestępstwa przeciwko białym, a inaczej przeciwko czarnoskórym. Różne są powody, niektóre, rzecz jasna, wynikają z uprzedzeń, inne z prostej identyfikacji z tą czy inną grupą. Biali ignorują codzienne żniwo, jakie śmierć zbiera w zamieszkanym przez czarnoskórą ludność śródmiejskich gettach, ale kiedy uzbrojony bandyta napada na kościół i zabija dziesięć chrześcijan, którzy, tak się akurat składa, mają czarną skórę, wówczas biali dzielą oburzenie pozostałych grup – to dlatego, że wiara zbliża ich do ofiar.

– Znalaziono jakieś ślady?

Bostrom kręci głową.

– Żadnych. Przynajmniej tak twierdzi policja.

– Gdzie to się wydarzyło?

Wahanie.

– W Willowbrook pod Los Angeles.

– Na południe od miasta?

Potwierdza skinieniem głowy.

Kojarzę, o tyle o ile. Region South Central, blisko Compton. Teren gangów – to akurat pamiętam z filmów. Poza tym niewiele wiem o Willowbrook. Ale rozumiem wahanie Bostroma. Wskaźnik zabójstw w tamtej okolicy jest wyjątkowo wysoki.

– Chris był dobrym chłopcem – powtarza, zakładając zapewne, że dojdę do pochopnych wniosków.

– Wierzę panu. Został porwany? Tak po prostu?

– Tak. Bez ostrzeżenia, bez żądania okupu. Przepadł.

Na dźwięk słowa „okup” włącza mi się lampka ostrzegawcza. Słyszałem, że codziennie dochodzi do setek porwań w związku z narkotykami – członkowie rodzin są przetrzymywani, bo jedna strona

domaga się czegoś od drugiej. Rodziny ofiar nie spieszą się z powiadamianiem policji, ponieważ nie chcą przyznać, że synek wpadł w ręce porywaczy, bo tatuś nie spłacił kokainowego długu.

– Obawiam się, że brakuje mi punktu wyjścia. Nawet nie znam okolicy, w której pan mieszka. Żałuję, że nie mogę bardziej pomóc. Czy pan i matka chłopca jesteście razem?

– Ona nie żyje. I nie, jej rodzina nie porwała Chrisa – dodaje, żebym nie pomyślał, że chodzi o spór o opiekę nad dzieckiem.

– A wie pan to, ponieważ...

– Ponieważ Chris nie żyje.

– Skąd ta pewność? – Rozmowa przybiera dziwny obrót.

– Ponieważ Chris zaginął przed dziewięcioma laty. Wiem, że już nie wróci.

– Dziewięcioma laty? – Tak zwietrzałego tropu nie wywęszyłby najlepszy pies gończy.

– Doktorze Cray, znam statystyki. Jestem księgowym, potrafię dodać dwa do dwóch. Chris nie uciekł ani się nie zgubił. Ktoś go porwał i zabił. Bóg wie, co jeszcze mu... – Zerka na stojącą przede mną butelkę z piwem, którą mu zabrałem.

Powinienem mu ją oddać czy raczej wylać jej zawartość do zlewu?

– Czego pan ode mnie oczekuje po prawie dziesięciu latach od zdarzenia?

– Chcę znaleźć mordercę. Chcę dopaść człowieka, który odebrał mi syna.

– Niewykluczone, że już nie żyje...

– Albo to ktoś z sąsiedztwa. Ktoś, kogo codziennie mijam na ulicy. Ktoś taki jak Lonnie Franklin.

Lonnie Franklin, Ponury Śpioch, seryjny morderca z South Central, działał przez trzy dekady. Kobiety, które zabijał, głównie uzależnione od narkotyków prostytutki, należały do kasty niewidzialnych. Szufiadkowano je jako ofiary nałogu, z nieoficjalnym cynicznym komentarzem, że same są sobie winne. Dziesiątki wiktyimizowanych za życia kobiet po śmierci zupełnie ignorowano. A wszystko to działo się tuż pod nosem policji i sąsiadów Franklina.

– Podejrzewa pan kogoś?

– Nie. Schodziłem całą okolicę, pukałem do wszystkich drzwi. Byłem świadkiem wielu szemranych interesów, ale nie natrafiłem na ślad mojego syna. Nie potrafiłbym wskazać kogoś palcem i powiedzieć, że to może być sprawca. Rozmawiałem z nauczycielami Chrisa, z każdym dorosłym, z jakim mógł mieć kontakt, i nic.

Popijam piwo i zastanawiam się nad odpowiedzią.

– Nie sądzę, abym mógł coś poradzić. – Powstrzymuję się przed dodaniem, że w tym przypadku zbiór danych jest zbyt mały. – Czy w okolicy zginęły inne dzieci?

– Tak, kilkoro. Policja twierdzi, że to nie wystarczy, by powiązać te sprawy. Cóż, rodzinom ofiar Franklina też wmawiali, że nie ma powodu sądzić, że w okolicy grasuje seryjny morderca. – Unosi dłoń, zanim zdąży się odezwać. – Nie twierdzą, że to samo spotkało Chrisa. Ale ktoś, kto potrafi zrobić coś takiego dziecku, chyba nie poprzestanie na jednym razie, nie sądzi pan? Nie zakończy na jednej ofierze.

– Zakładam, że policja sprawdziła osoby z listy znanych przestępców seksualnych.

– Tak, do nich też zapukałem. – Odchyła się na krześle, kręci głową. – Sami zboczeńcy, ale żadnego z nich nie wskazałbym jako porywacza Chrisa.

– Panie Bostrom, nie dysponuję narzędziami ani środkami, żeby się tym zająć...

– Miał je pan w Montanie? Wiedział pan, czego będzie potrzebował?

– Miałem DNA. Jestem biologiem. Dysponowałem próbką krwi i włosiem, a to już było coś, od czego mogłem zacząć.

– Ale zajmuje się pan też matematyką – mówi. – I komputerami. Wie pan, jak patrzeć na dane tak, by znaleźć to, czego inni nie widzą.

– Nie jestem jasnowidzem. Potrafię jedynie zadawać pytania.

Bostrom wstaje.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan wysłuchać. Proszę tylko, żeby dał mi pan znać, czy nasunęły się panu jakieś pytania, których nikt do tej pory nie zadał.

Wychodzimy przed dom, czekamy na zamówionego ubera, który odwiezie mojego gościa na lotnisko. Bostrom opowiada mi o ulubionych filmach synka. O tym, jak Chris próbował upiec ojcu tort urodzinowy w mikrofalówce. O dumie z osiągnięć szkolnych syna i jego pragnieniu zostania astronautą. Dzieciak chciał być naukowcem. Pracować nad wynalazkami. Pomagać ludziom.

Kiedy uber odjeżdża w noc, przechodzi mnie dreszcz na myśl, że człowiek, który zgasił ten jasny, gorący płomyk, wciąż jest na wolności.

Ze statystycznego punktu widzenia Chris nie był ani jedyny, ani ostatni. Ze statystycznego punktu widzenia mam większe szanse na odnalezienie żywego Ala Capone w Chicago niż na schwytanie mordercy syna Bostroma.

6. Teoria liczb

Kerry przechyla się przez ściankę mojego boksu i mi się przygląda. Nauczyła się, że czasem potrzebuję chwili, żeby powrócić do rzeczywistości ze świata w swojej głowie.

– Nad czym pracujesz?

– Nad niczym szczególnym. Przepuszczam dane przez system. A co?

– Nic, chciałam cię tylko ostrzec, że Park jest na ciebie mocno wnerwiony. Pieklił się na to, jak się komunikujesz z klientami.

– Klientami? – dziwię się. – Nie jesteśmy agencją reklamową, tylko półlegalną grupą konsultingową, którą ludzie szukający wymówki do pociągnięcia za spust obdarzyli zbyt dużą odpowiedzialnością. Cavanaugh na pewno nie powie o nas złego słowa, jeśli o to chodzi Parkowi.

Kerry kłapie na wolny fotel i przysuwa się bliżej.

– Boi się, że skorzystasz z propozycji Cavanaugha. Zdaje sobie sprawę z tego, że DIA uważa cię za nasz największy atut.

– Twoje grafy też są niczego sobie.

Wzdycha.

– Daj spokój, wzięłam tę bzdurną robotę, żeby móc opuścić Dolinę Krzemową i nie musieć pracować po osiemdziesiąt godzin tygodniowo. To twój Predox tak ich nakręca. Jest jak bilet za miliard dolarów.

– Bilet dokąd?

Patrzy na mnie zaskoczona.

– Naprawdę jesteś dziwny.

– Bo nie chcę handlować cudownym lekiem na wszystko, tak jak Park? Wystarczy mi, że muszę znosić pracę w fabryce.

– Może czułyś się inaczej, gdybyś był jej właścicielem. Birkett poparłaby cię bez namysłu. Ja też bym za tobą poszła.

– Co chcesz powiedzieć? Że mam wziąć od Cavanaugha kasę na walkę z terrorem, żebyśmy mogli się przenieść do nowego biura i tam trząść ze strachu, czy aby na pewno robimy to, co słuszne, kładąc na szali ludzkie życie?

– Nowego biura z większym parkingiem – zaznacza Kerry.

– To nie ja jestem zagrożeniem dla Parka. Nawet nie próbujesz ukryć noża w dłoni.

– Nie muszę, kiedy oczy wszystkich są zwrócone na ciebie. – Mruga do mnie porozumiewawczo, po czym wraca do swojego boksu.

Przyznaję, perspektywa jest kusząca, ale jeszcze nie chcę się pozbywać swojego moralnego kompasu, nawet jeśli nie potrafię odczytać jego wskazań.

Kilka minut później dostaję od Parka wiadomość, w której wzywa mnie do siebie.

– O co chodzi? – pytam już w progu.

– Zamknij drzwi i usiądź.

Gabinet szefa firmy przetwarzającej dane wywiadowcze poznasz po tym, że jest największy i nie

ma okien.

Dziesiątki ekranów, które Park kazał zamontować na ścianach, wyświetlają rozmaite bzdurne statystyki, mające robić wrażenie na rządowych szpiegach zainteresowanych tym, jak wydajemy pieniądze podatników. Federalni wywiadowcy nie wiedzą, że kiedy wydaje mu się, że nikt go nie widzi, Park włącza sobie *Overwatcha*.

Odchyła się na fotelu i przeciera oczy.

– Co ja mam z tobą począć?

– Daj mi własny gabinet, żebym też mógł sobie pograć... we własne gry.

Posyła mi ostre spojrzenie. Trąciłem niewłaściwą strunę.

– Oto twój problem. – Celuje we mnie palcem. – Właśnie dlatego żaden uniwersytet cię teraz nie zatrudni.

– Nieprawda, zawsze taki byłem. Żadna uczelnia mnie nie zatrudni, bo uczelniane mięczaki, którym się wydaje, że na kampusie powinno być jak pod kloszem, czują się cokolwiek nieswojo w obecności profesora, którego wprawdzie uwolniono od zarzutu kradzieży zwłok, ale oskarżono o postrzelenie człowieka z zimną krwią. – W sprawie Joego Vika nic nie było proste. Strzelała Jillian, ale to ja wziąłem na siebie winę. Owszem, republikańskie stany nie będą miały nowej bohaterki, obrończyni świata przed złem, ale przynajmniej oszczędziłem Jillian całego związanego z tym szumu.

Sytuacja Parka jest szczególna. Park wie, że dla DIA jestem cenniejszy niż on. Bez solidnej obsady jego projekt stanie się niczym więcej jak grą wideo, czystą rozrywką. Birkett odpowiedziała mu, żeby mnie zatrudnił, co też zrobił, acz niechętnie, a teraz jest na mnie skazany, jeśli chce, by interes nadal się kręcił. Dla mnie rozrywką jest obserwowanie, jak Park wyładowuje na mnie własne frustracje. Ma ograniczone pole działania. Gdyby miał więcej oleju w głowie, zadałby mi pytanie o to, co ma zrobić, żeby przestać zachowywać się jak palant i przekuć tę naszą szopkę w coś pożytecznego. Oczywiście nie zrobi tego, bo wyobraża sobie, że jest bystrzejszy ode mnie. Nie rozumie, że inteligencja ma charakter zero-jedynkowy: jest – nie ma. Jeśli ją masz, wówczas różnica pomiędzy IQ 130 a IQ 170 staje się mało istotna, o ile wiesz, jak wykorzystać własne możliwości.

W trakcie służby wojskowej Richard Feynman, jeden z najwybitniejszych fizyków w historii i mój osobisty autorytet, w teście na inteligencję uzyskał wynik 128, który nie dałby mu członkostwa w Mensie. Tymczasem posiadacz jednego z najwyższych ilorazów inteligencji w historii pracuje jako wykidajło w nocnym klubie, a w wolnym czasie zaczytuje się powieściami fantasy. Nikt mi nie powie, że ten gość jest bystrzejszy od człowieka, który redagował prace naukowe Stephena Hawkinga.

– Jeśli nie jesteś zadowolony, w każdej chwili możesz odejść – rzuca Park.

– Założmy, że to zrobię. Ile czasu minie, zanim wyślesz mi wiadomość z prośbą o powrót? Zdażę dotrzeć do drzwi? Do samochodu? – Nie przepadam za takimi przepychankami, ale ostatnio chodzę podenerwowany.

– Nie masz pojęcia, jaką tu mam władzę – odpowiada kwaśno Park.

Zerkam na monitory.

– Taką jak w swoich gierkach?

– Cavanaugh cię lubi, to prawda, ale nie wiesz, jak on i jemu podobni działają. Jedna spieprzona

sprawa i trafisz na ich czarną listę. Jeśli nadepniesz im na odcisk, zrobi się naprawdę nieprzyjemnie. Podpadnij mi, a już się, kurwa, nie podniesiesz. Wiem to i owo o tobie. Zatrudniłem cię nie tylko dlatego, że Birkett chce cię przelecieć. Przyjrzałem ci się. I wiem, że w tej twojej kompromitacji z seryjnym mordercą nie wszystko się zgadza. Zwłaszcza pewne rzeczy, które dotyczą bliskich ci osób.

Chodzi mu o Jillian. Wie, że to ona pociągnęła za spust? A może ma na myśli coś innego? Mogę się jedynie domyślać, do jakich danych ma dojście za pośrednictwem swojego terminala. No dobrze, to nie do końca prawda, bo sposobem uzyskałem od niego dostęp do bazy – tak że nawet się nie zorientował – ale dotąd nie miałem okazji w niej pobuszować.

Wiem natomiast, że co innego grozić mi, a co innego wciągać w to Jillian. Zawdzięczam jej coś więcej niż życie. Od tamtego dnia, w którym przyszła do mnie, leżącego na chodniku przed restauracją po tym, jak dostałem wycisk od metamfetaminowej dziwki i jej chłopaka, Jillian jest moim światłem przewodnim, nawet wtedy, kiedy nie do końca wiem, co powinienem zrobić z jej blaskiem.

Wstaję. Zaskoczony Park szeroko otwiera oczy. Wyjmuję z kieszeni telefon firmowy – bezpieczny aparat, kosztuje więcej niż moje auto – i ciskam nim o monitory, aż tryskają iskry. Rozbijam jeden z ekranów plazmowych. Potem pochylam się nad Parkiem, opierając się zaciśniętymi pięściami o blat jego biurka, i mówię:

– Kiedy ostatnio ktoś groził osobie, na której mi zależy, wbiłem mu w szyję strzykawkę z zabójczą mieszanką.

Naraz uświadamiam sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, jak już wcześniej podejrzewałem, nie jestem tym samym Theo Crayem, który wszedł do lasu zapolować na Joego Vika. Po drugie, Park popuścił z pęcherza.

– Każę cię aresztować! – krzyczy za mną, kiedy odwracam się i zmierzam do drzwi.

– A ja każę Cavanaughowi zapłacić kaucję i wykopać cię z tego stołka.

Pusta groźba, ale działa na Parka równie skutecznie jak jego lęk przed tym, że przyjdę po niego w środku nocy.

W połowie drogi do domu odbieram telefon od Birkett. Zadzwoiła na mój prywatny numer.

– Coś ty, kurwa, nagadał Parkowi, że wrzeszczy do słuchawki, że Cavanaugh powinien wsadzić cię za kratki?

– Groził mi.

– Czym? Zwolnieniem?

– Nie. Informacjami na temat osoby, na której mi zależy.

Birkett długo nie odpowiada.

– Cholera – mówi wreszcie. – To się nie klei. Dowiem się, o co chodzi. Lepiej, żebyś przez pewien czas trzymał się z daleka od biura.

– Tak myślisz? – rzucam sarkastycznie. – Nie zamierzam wracać. Pomijając to, że Park kazałby mnie aresztować.

Birkett wybucha śmiechem.

– Nie dojdzie do tego. Jego projekt zaistniał wyłącznie po to, żebym mogła się dostać do twojego... talentu w imieniu DIA. Nie tylko Cavanaughowi zależy na asach, które trzymasz

w rękawie.

– Nie mam żadnych asów.

– Uważaj, żeby cię nie usłyszeli. Poza tym to bzdura. Dobrze, słuchaj, wyjedź z miasta, a ja nad tym popracuję.

– Tak też zamierzam zrobić.

– Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?

– Owszem, takie, w którym zapomnę o Parku i o biurze. Konkretnie Compton.

– Ha, ha, bardzo zabawne. – Nie słyszy, żebym się śmiał. – O cholera... Dziwny z ciebie typ.

I gniewny. Dochodzę do wniosku, że strefy w moim umyśle wcale nie są aż tak puste. Wypełnia je wściekłość. Muszę ją skanalizować, skierować na coś innego niż ten osioł Park. Muszę złapać mordercę.

Po zamknięciu sprawy Grizzly Killera dotarło do mnie, że Joe Vik nie był jedynym nosicielem kłopotliwego genu ryzyka. Przyjrzałem się własnemu DNA i odkryłem to, o czym już dawno wiedziałem – że tak samo jak on odstaję od społeczeństwa. Obaj różnimy się od pozostałych mieszkańców tej planety – z zaznaczeniem, że nie zgadzamy się w szczegółach naszej odmienności.

Podobnie jak Joe Vik, ja też czuję potrzebę polowania.

7. Straż sąsiedzka

William Bostrom wita mnie szerokim uśmiechem na twarzy. Jego dom stoi na robotniczym osiedlu w Willowbrook.auta na podjazdach sąsiadów to głównie starsze modele, ale ogródki wyglądają na zadbane, a okolica znacznie odstaje od wyobrażeń większości z nas na temat regionu South Central, co nie zmienia faktu, że znajdujemy się niecały kilometr od terytorium rządzonego przez gangi. W każdym razie nie jest to żadna miejska dystopia spod znaku spalonych wraków i nieustającej strzelaniny.

– Zanim zaczniemy, muszę zaznaczyć, że nie chcę dawać panu złudnych nadziei – mówię.

– Rozumiem. – Prowadzi mnie do stołu w jadalni, na którym w zgrabnych stosikach leżą teczki z dokumentami. Schludność księgowego. – Zgromadziłem wszystkie doniesienia o zaginionych osobach, jakie zdołałem znaleźć. Mam też dane na temat wszystkich zarejestrowanych przestępców seksualnych. – Wskazuje mapę pokrytą czerwonymi iksami. – A tutaj zaznaczyłem trasę, którą Chris pokonywał w drodze do domu, i wszystkie miejsca, które mógł odwiedzić. Każdy iks to jeden przestępca seksualny.

– Sporo ich – zauważam, siadając.

– Większość to tak naprawdę klienci prostytutek, ale od czegoś musiałem zacząć.

Przyglądam się materiałom.

– Zasadniczo wolę pracować na danych cyfrowych. Łatwiej je sortować. Wiem, że niedaleko jest otwarty całą dobę punkt ksero, w którym można zeskanować...

– Już się tym zająłem. Stworzyłem własną bazę danych. – Wskazuje laptop leżący na końcu stołu.

– Zacząłem kilka tygodni po zaginięciu Christophera. Mogę wysłać panu pliki e-mailem.

– Poproszę. – Stawiam torbę na podłodze i wyjmuję swój komputer. – Pierwszą rzeczą, jaką zrobimy, będzie przejrzenie bazy zaginionych osób pod kątem anomalii.

– Co to znaczy?

– Sprawdzimy na przykład, czy ginie tu więcej dzieci niż w mieście o podobnej demografii. Powiedzmy, że w Atlancie.

– Chodzi panu o miasta, w których mieszkają czarni.

– Mniej więcej. Media poświęcają więcej miejsca białym ofiarom, również policja traktuje je inaczej. Przynajmniej ja tak to odbieram.

– W dodatku czarni niechętnie rozmawiają z policją, kiedy coś się wydarzy. – Zastanawia się przez chwilę. – Jak się szuka anomalii?

– Korzystam ze specjalnego programu.

– Z MAAT-a, dzięki któremu wytropił pan Joego Vika?

– Raczej z MAAT-a 2.0. Jego zadaniem jest odnajdywanie wzorów zachowań drapieżców. Nazwałem go Predox. – William jest drugą po Jillian osobą, której przyznałem się do istnienia Predoksa. Nieopanowany entuzjazm Cavenaugh dla każdego, nawet niedopracowanego narzędzia, którego wojsko mogłoby użyć (i niech się dzieje, co chce), podpowiedział mi, żeby się nie wychylać z Predoksem.

Przyznam szczerze, że kiedy William przyszedł do mnie ze sprawą swojego syna, gdzieś z tyłu głowy pojawiła mi się myśl, że chyba pora przetestować program w warunkach polowych.

– Czytałem wprawdzie pański artykuł na temat MAAT-a, ale proszę mi objaśnić jego działanie. Jak prostemu księgowemu – mówi William.

– Wie pan, w jaki sposób komputer pokonał Kasparowa w szachy?

– Mocą obliczeniową?

– Nie do końca. Po pierwszych pięciu ruchach każdego gracza istnieje więcej możliwych wariantów rozgrywki, niż jest cząsteczek we wszechświecie. Dlatego choć można odnieść zwycięstwo w zaledwie kilku posunięciach, to jednak mistrzowie potrafią być trudnymi przeciwnikami dla komputerów. Deep Blue, maszyna, która pokonała Kasparowa, została zaprogramowana do rozwijania strategii. Nie przeliczała każdego możliwego ruchu, a jedynie te mogące doprowadzić do wygranej. Gdyby tamtego dnia ktoś zastąpił Kasparowa przy szachownicy, jakaś osoba, na której pokonanie Deep Blue nie został zaprogramowany, wynik partii okazałby się prawdopodobnie zupełnie inny.

– Zatem ludzkość ma jeszcze szansę – zauważa Williams.

– Nie ma najmniejszej. Komputery przewyższają nas w grach, w szachy albo w go, a także w setkach innych rzeczy. Kiedy osiągają nasz poziom, nie poprzestają na tym, lecz rozwijają się dalej. Naszą jedyną nadzieją jest znalezienie sposobu na współpracę z nimi i tchnięcie w nie takiej części człowieczeństwa, by pozostały naszymi przyjaciółmi. Jeśli chodzi o Predoksa, to nauczyłem go myśleć jak naukowiec. Kiedy wprowadzam dane, program wykorzystuje część z nich do zbudowania hipotezy w oparciu o współzależności, na przykład takiej, że wszystkie osoby o rudych włosach są Irlandczykami. Postawiwszy hipotezę, Predox zestawia ją z pozostałymi danymi. Jeśli hipoteza się potwierdzi, stanie się obowiązującą teorią, dopóki program nie natrafi na, dajmy na to, rudowłosą Libankę i nie będzie musiał zmodyfikować teorii.

– To coś jak statystyka bayesowska? – pyta William, który przecież na co dzień pracuje z liczbami.

– W znacznym stopniu tak. Tym, co czyni Predox wyjątkowym, jest fakt, że program uczy się rozumienia danych. Jeżeli wprowadzę zdjęcie, ten rozpozna na nim, powiedzmy, kobietę i zacznie wyciągać wnioski, również te mniej oczywiste. Określi z dużym prawdopodobieństwem, czy zdjęcie zostało zrobione przez obcą osobę, której ta kobieta przekazała aparat, czy przez kogoś znajomego; znajomi przysuwają się bliżej. Na podstawie kąta, pod jakim zrobiono zdjęcie, Predox wyliczy wzrost fotografującego. Już nie mówiąc o tym, co potrafi wyczytać z wyrazu twarzy.

– Myślał pan, żeby go komuś sprzedać?

– Istnieją inne narzędzia... – Pomijam to, że składano mi propozycje i że właśnie ich najbardziej się boję. – Predox sprawdza się jedynie w tym, do czego został stworzony.

– W tropieniu złoczyńców.

– Nie. Napisałem go po to, żeby pomagał mi myśleć.

– Predox to pan.

Williamowi udaje się mnie zaskoczyć. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem w taki sposób. Starłem się napisać wszechstronne narzędzie badawcze, a w rezultacie powstał program komputerowy odtwarzający mój tok myślenia w dochodzeniu do rozwiązania problemu.

– Coś nie tak, doktorze Cray?

– Theo. Proponuję, żebyśmy mówili sobie po imieniu.

– Zgoda.

– I nie, wszystko w porządku. – Zamilkłem, ponieważ uzmysłowiłem sobie, że niewykluczone, iż Predox nie tylko myśli tak jak ja, ale też, w pewnym sensie, dzieli ze mną uprzedzenia. Być może istnieją inne, lepsze sposoby rozwiązywania problemów, o których po prostu nie wiedziałem ze względu na własną stronniczość. Powiniennem być wziąć to pod uwagę.

Poświęcamy kilka godzin na wprowadzenie danych z baz statystycznych Departamentu Sprawiedliwości oraz z wdrożonego przez FBI publicznego systemu ViCAP. Każemy Predoksowi przeanalizować materiały pod kątem korelacji i anomalii. Niestety, program nie znajduje nic, co wyróżniałoby się na tle statystycznego szumu.

Tego się obawiałem. W Montanie miałem do czynienia ze zdecydowanie mniej liczną populacją, od której seryjny morderca odstawał jak obolały kciuk – o ile wiedziało się, gdzie szukać.

W aglomeracji Los Angeles mieszka dwadzieścia razy więcej ludzi niż w Montanie. Oznacza to, że może tu grasować dwudziestu Joe Vików albo setka nieco tylko mniej krwawych seryjnych zabójców. Jeżeli porywacza Christophera nie cechowała wzmożona aktywność, wytropienie go za pomocą mojego systemu będzie praktycznie niemożliwe.

Przez kolejne kilka godzin starannie przetwarzam dane i próbuję wycisnąć, ile się da, z raportów o zaginionych osobach. Nawet przeglądam zdjęcia, szukając czegoś, co Predox mógł przeoczyć. W końcu spełnia się najgorsza obawa każdego naukowca: moje wysiłki spełzają na niczym. Nie dochodzę nawet do najbardziej naciąganych wniosków, które mógłbym próbować jakoś kalibrować. Mam przed sobą jedynie pusty zestaw danych.

Patrę przed siebie mętnym wzrokiem. William kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Nic się nie stało. Odpocznij. Rano pokażę ci, gdzie Chris chodził do szkoły. Jeśli nic ci się nie nasunie, odwiozę cię na lotnisko.

William już dawno pogodził się ze stratą. Teraz chce się tylko upewnić, że może wreszcie uznać, iż ma to wszystko za sobą; chce zaznać spokoju duszy.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą mogę zrobić. Przysporzy mi to dodatkowych kłopotów, ale nieważne, dziś jestem w takim nastroju, że mam to gdzieś. Założę się, że Park nie zdążył cofnąć mi uprawnień. To oznacza, że mogę przeszukać archiwa i wysłać do policji Los Angeles i do FBI prośbę o udostępnienie materiałów na temat sprawy Christophera i innych uprowadzeń. To zapewne niezgodne z prawem, ale co tam.

Loguję się do systemu akwizycji danych i wypełniam wniosek o udostępnienie pakietu. Jutro się dowiem, czy moja prośba została zaakceptowana, czy trafię za kratki.

8. Samodzielne dziecko

– Chris zwykle sam wstawał, robił śniadanie i szykował się do szkoły – mówi William.

Jest chłodny poranek w Los Angeles. Stoimy na podjeździe przed domem Williama, mijają nas dzieci jadące na rowerach do szkoły.

– Chodził piechotą czy jeździł? – pytam.

– Przeważnie jeździł. – William otwiera drzwi garażowe i pokazuje mi wnętrze.

Wzdłuż ścian stoją szafki pancerne. Widzi, że się im przyglądam.

– Księgi – wyjaśnia.

– Nie korzystasz z przechowalni akt?

– Korzystam, ale w przypadku niektórych klientów muszę mieć szybki dostęp do dokumentacji. – Podchodzi do roweru opartego o stos pudeł na dokumenty.

BMX z naklejkami transformersów.

– Znaleziony po uprowadzeniu Chrisa. – Wzdycha. – Porwano go prosto z ulicy.

Robię rowerowi zdjęcie telefonem. Niepozorna maszyna, ale przecież niezwykłość często kryje się w zwyczajności.

– I nikt nic nie widział? – pytam, kiedy William zamyka garaż.

– Policja twierdzi, że nie. Żadna z osób, z którymi rozmawiałem, też niczego nie zauważyła... Co z tymi materiałami, o które poprosiłeś?

– Złożyłem wniosek. Dowiemy się za parę godzin.

Ruszamy chodnikiem w stronę szkoły, do której chodził Chris, nazwanej, całkiem zwyczajnie, Szkołą Podstawową przy Sto Trzydziestej Czwartej Ulicy.

Mieszkańcy okolicznych domów wyjeżdżają z posesji, włączają się do ruchu i udają do pracy. Na osiedlu dominują czarnoskórzy i Latynosi, choć widzę też kilka starszych białych twarzy.

– Czy Chris miał kolegów, z którymi jeździł do albo ze szkoły?

– Nikogo stałego. Dzieci w tym wieku często zmieniają sympatie, raz lubią tego, raz tamtego. Poza tym Chris był raczej samotnikiem. Dziś czarny kujon ma chyba trochę łatwiej, ale wtedy niekoniecznie.

Zawsze byłem odludkiem. To, że po śmierci ojca zyskałem kolejną wymówkę, by ukryć się we własnej głowie, uczyniło ze mnie jeszcze głębszego introwertyka.

Po drodze zaglądam ludziom w okna. Zwracam uwagę na te z grubymi kratami i kamerami monitoringu.

Docieramy do sporej zielonej przestrzeni, swego rodzaju łąki w mieście. Wystają z niej wysokie słupy energetyczne, które podtrzymują biegnące z elektrowni druty i wiją się przez całe Los Angeles. William wskazuje porośniętą zachwaszczoną trawą spłacheć ziemi przy chodniku.

– Tutaj znaleźli jego rower.

Nasilony ruch, ale mało domów w okolicy. Łatwo zrozumieć wracających po południu z pracy kierowców, których nie zdziwił widok auta zwalniającego przy chłopcu na rowerze.

– Czy Chris chętnie rozmawiał z nieznajomymi?

– Z jednej strony wiedział, czego nie wolno robić, a z drugiej był dzieckiem otwartym. Mógł porozmawiać, ale za nic nie wsiadłby do samochodu obcego człowieka.

To znaczy, że porywacz mógł go zatrzymać siłą i wciągnąć do wozu. Tyle że w takim miejscu w środku dnia zwróciłoby to czyjąś uwagę. Co innego zlekceważyć fakt, że chłopak rozmawia z jakimś kierowcą, a co innego być świadkiem, jak ktoś próbuje chłopca uprowadzić – i nie zgłosić tego na policję. Porywacz Chrisa musiał mieć tamtego dnia wyjątkowe szczęście albo dysponować pojazdem – na przykład vanem – który zasłaniałby widok innym kierowcom. Wykorzystanie vana bądź jakichkolwiek środków, które należałoby wcześniej przygotować, wskazywałoby na premedytację i szło w parze z przekonaniem Williama, że zaginięcie jego syna nie było odosobnionym przypadkiem. Będę mógł potwierdzić to przypuszczenie dopiero wtedy, kiedy zgromadzę więcej danych.

Wreszcie dochodzimy do szkoły Chrisa. Niektóre dzieci bawią się na dziedzińcu, inne biegają po boisku, kopią czerwoną piłkę, śmieją się i krzyczą, wydają wszystkie te rozkoszne dźwięki, o których zapominamy, gdy wchodzimy w dorosłość. William staje plecami do ogrodzenia. Widzę, że boli go przebywanie tutaj. Bóg raczy wiedzieć, co czuje. Robię kilka zdjęć szkoły przez ogrodzenie i podchodzę do obudowanego boksu.

– Dawniej to była wiata na rowery – wyjaśnia William. – Teraz już nie pozwalają dzieciom jeździć rowerami do szkoły.

– Z powodu tego, co się przydarzyło Chrisowi?

– Nie, przez piratów drogowych. Poza tym rowery bez przerwy ginęły.

– Pomóc panom w czymś? – rozlega się za moimi plecami kobiecy głos.

Odwracam się i po drugiej stronie ogrodzenia widzę zmierzającą w naszą stronę dobrze zbudowaną Afroamerykankę w mundurze policji Los Angeles.

William się nie odwraca. Stawiam na szczerłość – a raczej na pewien jej rodzaj.

– Nazywam się Theo Cray. – Wyjmuję z kieszeni legitymację i pokazuję ją funkcjonariuszce.

Legitymację, swego rodzaju federalny dowód tożsamości, otrzymują cywilni pracownicy, których praca wiąże się z dostępem do obiektów rządowych.

– Prowadzę rozpoznanie w związku z uprowadzeniem Chrisa Bostroma.

Przygląda mi się przez chwilę.

– Przebywanie na terenie szkoły wymaga zgody dyrektora Evansa.

Mógłbym zaznaczyć, że wcale nie przebywam na terenie szkoły, tylko w miejscu publicznym, ale jaki byłby pożytek z wygranej potyczki, kiedy jej ceną może być przegrana wojna?

– Nie ma sprawy. Za chwilę sobie pójdziemy.

Policjantka przenosi spojrzenie na Williama.

– Ten pan ma stąd natychmiast odejść albo go zaaresztuję.

No proszę. Otwieram usta, żeby zapytać dlaczego, ale William łapie mnie za rękaw i rzuca:

– Chodźmy.

Funkcjonariuszka odprowadza nas wzrokiem, aż dotrzemy do najbliższego skrzyżowania, i dopiero wtedy wraca do szkoły. Zatrzymuję się przed przejściem przez ulicę.

– O co chodzi?

William nie chce spojrzeć mi w oczy.

– Po zaginięciu Chrisa... przyszedłem tu kilka razy i... nawrzeszczałem na nauczycieli. Dali mi ostrzeżenie.

Ach tak. No jasne.

– Rozumiem.

– Wracajmy – mówi wyraźnie roztrzęsiony i zaczyna przechodzić na drugą stronę.

– Zaczekaj. Tamtędy nie będzie szybciej? – Wskazuję drugi koniec przecznicy.

– Owszem, ale Chris pojechał tędy. Pomyślałem, że będziesz chciał rzucić okiem...

– Skąd wiesz, że pojechał akurat tą drogą?

– Bo tam znaleźli jego rower – odpowiada, ale widzę w jego oczach, że coś mu świta. – Zaraz... – Kieruje wzrok w stronę krótszej trasy. – A jeśli...

Może to oznaczać, że przez lata chodzenia od domu do domu i pukania do drzwi obcych ludzi skupiał się na niewłaściwym obszarze.

– Nie wiem. Ale przyjmijmy, że miejsce odnalezienia roweru nie świadczy o trasie, którą wybrał Chris. Przejdźmy się krótszą drogą i rozejrzyjmy.

William potwierdza skinieniem głowy i ruszamy przecznicą z powrotem do domu. Idąc ulicą, którą mógł, ale nie musiał jechać tamtego dnia Chris, William przygląda się każdemu domowi z nową podejrzliwością, a każdego mijanego przechodnia obdarza spojrzeniem pełnym z trudem skrywanej wrogości. W jego przekonaniu każda z tych osób mogła widzieć, co się stało. Niewykluczone, że jedna z nich porwała Chrisa.

Robię zdjęcia i kiedy tylko mogę, uważnie przyglądam się budynkom. Jednocześnie prowadzę sam ze sobą grę, której reguły poznałem podczas polowania na Joego Vika i która przydaje mi się w pracy w OpenSkyAI. Nazywa się „myśl jak drapieżca”. Zamiast próbować odtworzyć sposób myślenia Chrisa – co prawdopodobnie stara się zrobić William – wyobrażam sobie, że jestem porywaczem szukającym takiego miejsca, w którym mógłbym niezauważony porwać chłopca.

Jeżeli rower porzucono w pewnej odległości od miejsca, gdzie doszło do uprowadzenia, może to oznaczać, że porywacz chciał coś ukryć. Chciał odwrócić uwagę od rzeczy, która nadal może się tu znajdować.

9. Ocena zagrożenia

Kiedy skręcamy na podjazd przed domem Williama, mam gotowe trzy scenariusze zaginięcia Chrisa, każdy uwzględniający inne zmienne.

W pierwszym scenariuszu syna Williama uprowadził ktoś, kto po prostu wykorzystał okazję: natknął się na bezbronного małego chłopca, dosłownie ściągnął go z roweru i zawlókł do auta dokładnie tam, gdzie znaleziono BMX-a Chrisa.

W drugim scenariuszu porywacz Chrisa nie mieszkał w Willowbrook, ale od pewnego czasu, być może od wielu dni, śledził chłopaka. Czekał na dobry moment, a gdy ten nadszedł, przystąpił do działania: schwytał Chrisa, po czym porzucił rower przy drodze, z dala od miejsca, z którego obserwował chłopca – na wypadek gdyby znalazł się świadek mogący podać rysopis porywacza.

W trzecim scenariuszu sprawca mieszkał na trasie powrotu Chrisa ze szkoły – na tej ulicy, którą w naszym początkowym wyobrażeniu wybrał tamtego dnia Chris, albo na drugiej, krótszej. W tym przypadku porywacz pozbył się roweru, aby odwrócić uwagę od siebie i swojego miejsca zamieszkania.

Istnieją dziesiątki permutacji w oparciu o znane fakty, a także nieskończona liczba kombinacji, jeżeli mylimy się w podstawowych założeniach. Tak czy inaczej, w tej chwili dysponujemy trzema niedoskonałymi teoriami.

W pierwszym scenariuszu śledztwo praktycznie utyka w miejscu z powodu braku jakichkolwiek dodatkowych danych.

Przeprowadzenie śledztwa według drugiego scenariusza wymagałoby od świadków zdarzenia sprzed prawie dziesięciu lat przypomnienia sobie szczegółów konkretnego dnia – raczej nie doprowadziłoby to do wielkiego przełomu w sprawie, zwłaszcza że przed laty policja przepytwała tutejszych mieszkańców. Przydałby się za to wgląd w szczegóły zeznań i raportów – gdyby na przykład ktoś zauważył niepokojącego zielonego vana niedaleko sklepu 7-Eleven... – ale nie robię sobie dużych nadziei.

Ostatni scenariusz, bodaj najbardziej mrozący krew w żyłach, zakłada, że porywacz Chrisa mieszkał na trasie jego powrotu ze szkoły. Jeśli tak było, to niewykluczone, że kiedy funkcjonariusze pukali do drzwi i rozmawiali z sąsiadami, chłopak nadal żył, wciąż cały i zdrowy, przetrzymywany zaledwie kilka, kilkanaście metrów dalej.

– O czym myślisz? – pyta William, kiedy docieramy do schodków na werandę.

– Ta uliczka świetnie się nadaje na skrót. Gdybym był na miejscu Chrisa, na pewno bym nią pojechał. Zaułek przy kościele baptystów jest ustronny. A okna domów stojących na rogu Sto Siedemnastej nie wychodzą bezpośrednio na skrzyżowanie. Te dwa punkty wskazałbym w pierwszej kolejności.

– Dziś już pewnie nic tam nie znajdziemy.

– Zrobiłem zdjęcia. Ale masz rację, po tylu latach trudno oczekiwać jakichkolwiek śladów. Jeśli uda mi się załatwić raporty policyjne, przejrzę je i poszukam jakichś punktów wspólnych.

Kiwa głową.

- Możemy też prześwietlić dawnych i obecnych mieszkańców tych ulic.
- Mówisz o wglądzie do ksiąg wieczystych?
- I do kartotek policyjnych. Musimy jedynie sporządzić listę adresów.

Moja przepustka do rządowych baz danych zapewnia mi wprawdzie dostęp do zatrważających ilości informacji o obywatelach, ale akurat tego rodzaju materiały, jakich szukamy, możemy stosunkowo niewielkim kosztem uzyskać od prywatnych spółek specjalizujących się w dostarczaniu danych firmom pożyczkowym i pracodawcom prowadzącym rekrutację.

Odkryłem, że wiele archiwów rządowych charakteryzuje niemal systemowy brak dokładności – z wyjątkiem obszarów związanych z finansami. To dlatego fiskus albo wierzyciel może cię namierzyć szybciej niż policja.

William zabiera się do sporządzania listy, a ja sprawdzam e-maile. Przyszła odpowiedź na mój wniosek o dostęp do archiwów policyjnych. Dobra wiadomość jest taka, że dostanę to, o co poprosiłem, zła – że zgromadzenie potrzebnych informacji zajmie im od czterech do sześciu tygodni.

William pochyła się nad rozłożoną na stole w kuchni mapą, wypisuje adresy.

- Jak pomyślę, że on mógł tam być...
- Rozumiem cię. Posłuchaj, jest pewien problem z materiałami. Dostanę je, ale dopiero za jakiś miesiąc. – Pogodziłem się już z faktem, że w sprawie, która ma dziesięć lat, miesiąc zwłoki nie zrobi wielkiej różnicy.

William prostuje plecy i zakłada ręce na piersi.

– Miesiąc?

Celuję palcem w mapę.

– To w niczym nie przeszkadza, żebyśmy sprawdzili adresy, które wypiszesz. Zobaczymy, kto tam mieszkał, i może natrafimy na jakiś ślad.

Kiwa głową, w milczeniu przyjmując kolejne rozczarowanie od życia.

Wkładam ręce do kieszeni. Czuję pod palcami twarde plastik legitymacji. William przez chwilę zastanawia się nad sytuacją, po czym znów pochyła się nad kartką z listą.

– A, pieprzyć to – rzucam. Może mnie to kosztować posadę, o ile jeszcze jej nie straciłem, albo odsiadkę. Wyjmuję legitymację. – Pójdę tam i spróbuję rzucić okiem.

– Masz uprawnienia?

– Dopóki ktoś mnie nie wyrzuci. – Podam jakiś bzdurny pretekst, na przykład taki, że pracuję nad projektem badawczym na zlecenie DIA. Uda mi się, jeśli nikt nie będzie wnikał w szczegóły. Natomiast jeżeli zadziałam komuś na nerwy, mogę mieć kłopoty. Lepiej, żeby Park nie dowiedział się, co kombinuję. – Masz skaner?

– Taki do dokumentów? Mam przenośny. Zaczekaj, przyniosę z gabinetu.

William wychodzi z kuchni, pokonuje korytarz i zatrzymuje się przed ostatnimi drzwiami. Sięga po klucz. Od kiedy podjąłem pracę w świecie wywiadu, poznałem co najmniej kilka osób, które mają u siebie w domach zamknięte bezpieczne pomieszczenia. Podejrzewam, że to samo tyczy się księgowych. Klienci Williama chcą mieć pewność, że nikt niepożądany nie będzie grzebał w ich dokumentach.

– Proszę – mówi, zamykając za sobą drzwi. – Zapisuje zeskanowane dokumenty w plikach .pdf na karcie pamięci. Nada się?

Urządzenie wygląda jak pszenney paluch.

– Doskonały. – Mógłbym użyć telefonu, ale skaner znacznie ułatwi mi zadanie, poza tym uwiarygodni mnie w oczach archiwisty, o ile ten w ogóle wpuści mnie do środka.

10. Sprawa umorzona z braku dowodów

Oto najnudniejszy skok w historii: okazałem legitymację kobiecie siedzącej za biurkiem recepcji archiwum, po czym zostałem wpuszczony za pancerne drzwi, wręczono mi mapkę płataniny tuneli i magazynów pod ulicami Los Angeles i puszczone samopas. Nikt nie wyraził wątpliwości co do charakteru mojej wizyty.

Składałem to na karb dwóch rzeczy. Po pierwsze, legitymacja otworzyła mi drogę jedynie do tych dokumentów, które i tak są dostępne na mocy Ustawy o wolności informacji. Nie uzyskałem wglądu do archiwum bieżących spraw policji Los Angeles i nie wyciągnąłbym stamtąd nawet mandatu za złe parkowanie, gdyby się okazało, że ten nadal jest potrzebny w sądzie – przynajmniej tak było napisane w ulotce, którą dostałem razem z mapką.

Niemniej przechodząc obok drzwi z napisem „Kartoteka spraw bieżących”, odniosłem wrażenie, że tym, co chroni archiwum trwających śledztw przed wścibskimi spojrzeniami, nie są rzeczywiste, fizyczne bariery, lecz raczej swego rodzaju kodeks honorowy.

Zadowolony z dostępu do dokumentacji dotyczącej sprawy Christophera Bostroma, odnalazłem pomieszczenie, w którym przechowywano akta osób zaginionych. Zostałem tam zupełnie obojętnego urzędnika, najwyraźniej zainteresowanego jedynie doczekaniem do emerytury. Bąknął ogólną wskazówkę i machnął ręką w kierunku rzędu, w którym powinna stać szafka zawierająca teczkę z materiałami na temat sprawy Christophera. Wyjąłem akta i cofnąłem się do urzędnika, żeby zapytać, czy czegoś nie przeoczyłem, ponieważteczka okazała się cieńsza od pliku formularzy, jakie musiałem wypełnić, kiedy kupowałem mieszkanie.

Wydaje się, że policjanci solidnie wykonali swoją pracę, jeśli chodzi o wywiad. Wstępny raport był zwięzły. Mnogość rozmów z sąsiadami, nauczycielami i innymi ludźmi trochę mnie zaskoczyła, ale kiedy przyjąłem perspektywę śledczych, nabrała sensu. Porozmawiali z kierowcami autobusów, których trasy przebiegały w pobliżu miejsca zaginięcia syna Williama, listonoszami, a nawet pracownikami elektrowni i zakładu oczyszczania miasta. Detektyw Ted Corman posunął się aż tak daleko, że skontaktował się z kierowcami FedEksu i UPS, żeby zadać im pytanie, czy nie zauważyli czegoś podejrzanego. Przeprowadził rzetelny, szeroki wywiad, ale niestety – nikt niczego nie widział.

Nie dokonano żadnej ekspertyzy. W teczce znalazłem zdjęcie roweru Chrisa, przejrzałem dokumenty i wyszło mi, że z BMX-a nie zdjęto nawet odcisków palców. Nie jestem policjantem, ale to chyba spory błąd. Potrafię zrozumieć tok myślenia detektywów, którzy założyli, że sprawca porwał Chrisa prosto z roweru i wciągnął go do auta, nie dotykając maszyny, ale przecież nie mieli podstaw do takich założeń. Wysłałem Williamowi wiadomość, żeby nie ruszał roweru.

Mam nadzieję, że policjanci przywieźli rower Chrisa radiowozem, przenieśli go do garażu i tam zostawili, a William rzadko go przesuwiał. O ile bowiem zdjęcie odcisków palców z typowej powierzchni po dziewięciu latach prawie na pewno się nie uda, o tyle znalezienie ich w miejscach pokrytych smarem – jeżeli porywacz akurat tam przyłożył dłoń – daje pewną szansę powodzenia, niewielką, ale jednak.

Zdjęcie takich odcisków będzie wymagało precyzyjnego sprzętu z dobrze wyposażonego laboratorium stanowego albo placówki FBI. Skoro mowa o Biurze, oto kolejna osobliwość z teczki Chrisa: okazuje się, że wykonano zaledwie dwa telefony do FBI.

Mimo że przypadki uprowadzenia zasadniczo nie podlegają kompetencjom FBI, to jednak policja Los Angeles powinna była częściej kontaktować się z lokalnym oddziałem Biura. Często jest tak, że na miejsce nieoficjalnie przyjeżdża agent, żeby się upewnić, czy FBI nie powinno przejąć śledztwa.

W swoim raporcie Corman napisał o telefonie z FBI – zatem to oni odezwali się jako pierwsi – i o tym, że jakiś czas później oddzwonił do Biura, aby poinformować, że policja niczego nie znalazła. Kolejny dezorientujący aspekt raportu to wzmianka, że policja Los Angeles konsultowała się z dwiema agencjami – jedną z nich było FBI, drugiej nie wymieniono z nazwy. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że chodziło o urząd podatkowy, ponieważ William jest księgowym. Szukali kogoś, kto poświadczyłby za Williama i wykluczył możliwość, że zniknięcie Chrisa mogło mieć związek z przemocą w rodzinie?

Ciekawe jest również to, że zaginięcie Chrisa zgłoszono dopiero o dwudziestej trzeciej. William powiedział mi, że jego syna porwano tuż po szkole. Od ostatniej lekcji – na której Chrisa widział nauczyciel – do telefonu na policję, który wykonał William, minęło osiem godzin.

Zapis połączenia z numerem alarmowym tchnie beznamiętnością jak odcinek *Dragnetu*:

Operator: Numer alarmowy, w czym mogę pomóc?

William Bostrom: Mój syn nie wrócił do domu.

O: Ile ma lat?

WB: Osiem... Dziewięć... Ma dziewięć lat.

O: Czy wziął pan pod uwagę ewentualność, że jest u kolegi albo u kogoś z rodziny?

WB: Nie. Nie ma matki. Kiedy wróciłem, nie było go w domu. A powinien już być.

O: Rozumiem. Wyślę patrol. Thornton Street jeden cztery siedem, zgadza się?

WB: Tak.

O: Proszę wyjść przed dom, żeby policjant mógł łatwiej znaleźć.

WB: Dziękuję.

Radiowóz przyjechał po ośmiu minutach. Prawie dwie godziny później na miejsce przybył detektyw Corman.

Z raportu funkcjonariusza, który jako pierwszy zjawił się u Williama, wynika, że skontaktowano się z rodzicami kolegów Chrisa ze szkoły i wysłano dodatkowe patrole na poszukiwania chłopca. Tej samej nocy policjant z latarką natknął się na porzucony rower.

Kolejna zagadka to imię albo nazwisko, które William wymienił w rozmowie z funkcjonariuszem. Wspomniał mianowicie, że zadzwonił do niejakiego Mathisa i zapytał go, czy ten wie coś na temat Chrisa. Corman nie podjął wątku, ale za to zrobił wszystko inne, co powinien: uruchomił AMBER Alert, skontaktował się z innymi wydziałami, a także wprowadził dane Christophera do

odpowiednich baz. Teczka, którą znalazłem, zawierała niewiele ponad to.

W biologii o sile więzów społecznych w danej grupie świadczy poziom reakcji na niebezpieczeństwo. Stada, sfory, watahy gromadzą się wokół młodych. Wśród wielorybów w przypadku zagrożenia ze strony orki młodych osobników bronią nawet dalecy krewni. Inne zwierzęta, głównie te niebędące ssakami, są obojętne. Kiedy drapieżca porywa potomstwo takiego stworzenia, wówczas dochodzi ono – stworzenie – do wynikającego z ewolucyjnego rachunku wniosku, że miało szczęście, bo mu się upiekło – i żyje dalej. Działania podjęte po zaginięciu Chrisa, przynajmniej przez przywódców grupy, nie świadczą bynajmniej o ich silnej reakcji stadnej.

Ale mówimy o ludziach. Wśród przedstawicieli organów ochrony porządku publicznego było wielu czarnoskórych, nie mogło zatem chodzić o kwestie rasowe – w każdym razie nie do końca. Coś mi umyka.

Czy wyglądało to tak, jakby Christopher uciekł? Bo nie był szczęśliwy w domu? Czy istniało niepoparte dowodami i dlatego nieujęte w raporcie podejrzenie co do Williama?

Czemu mam wrażenie, że nikogo ta sprawa po prostu nie obeszła?

11. Obiekt zainteresowania

Podejrzewam, że w oparciu o twoją postawę i spojrzenie mógłbym stworzyć model komputerowy, który potrafiłby odgadnąć, jaki zawód wykonujesz – i to nie na chybił trafił, lecz ze sporym prawdopodobieństwem. Lekarz ogląda pacjenta jak rolnik jałówkę. Słuchając twoich słów, a raczej własnych cennych myśli, naukowiec wpatruje się w przestrzeń gdzieś obok. Policjant patrzy prosto na ciebie, nie odwraca wzroku, utrzymuje kontakt. Spojrzenie funkcjonariusza jest dominujące, bo poparte pozycją władzy i społecznym przyzwoleniem na stosowanie środków przymusu. Jeśli odpowiesz wyzywającym wzrokiem, jeśli zagroźysz tej dominacji, wówczas wystarczy krótki komunikat przez radio, a zaraz przybędzie wsparcie.

Kiedy wychodzę z pomieszczenia archiwum, z cyfrową wersją teczki Chrisa w kieszeni i z głową pełną cennych myśli, natykam się na policjanta, który obrzuca mnie dominującym spojrzeniem. Niby nic dziwnego w budynku pełnym mundurowych, tyle że ten uparcie wpatruje się prosto we mnie.

Mężczyzna w średnim wieku, gęste czarne wąsy przyprószone siwizną, czarna koszulka polo z emblematem policji Los Angeles, pas, a na nim z jednej strony odznaka, z drugiej – broń; typowy glina. Ciekawe, czy przyjmują ich do akademii na wygląd? – przelatuje mi przez głowę.

– Znalazł pan to, czego szukał, panie Cray? – pyta mężczyzna.

Kiedyś radziłem sobie znacznie gorzej w tego rodzaju sytuacjach. To było przed Joem Vikiem. Nie twierdzę, że dziś jestem mistrzem elokwencji, ale przynajmniej nauczyłem się nie stać z rozdziawioną gębą.

Posyłam funkcjonariuszowi szeroki uśmiech i wyciągam do niego rękę.

– Witam serdecznie.

Odruchowo ściska moją dłoń. Jego postawa nieco się zmienia. Mężczyzna nadal świdruje mnie wzrokiem, ale teraz, zamiast narzucać mi określoną reakcję, próbuje mnie przejrzeć.

– Przepraszam, jak brzmi pańskie nazwisko? – Udamę, że się znamy. – Poznaliśmy się podczas konferencji w San Diego, prawda? Tej o antyterroryzmie? – Daję mu do zrozumienia, że obaj działamy na tym samym polu. – Był pan na moim odczycie? – A teraz sugeruję, że bylibyśmy sobie równi, gdybym nie stał trochę wyżej od niego.

Odzyskuje panowanie nad sobą.

– Nie, nie znamy się. – Krótka pauza. – Jak pan doskonale wie.

Wyczerpawszy zasób umiejętności z dziedziny inżynierii społecznej, dochodzę do wniosku, że pozostała mi już tylko jedna szansa na odgadnięcie prawdziwego celu tego spotkania: muszę znów stać się doktorem Theo Crayem.

– Odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: nie, nie znalazłem tego, czego szukałem. A pan? Czego pan szuka?

Jego spojrzenie łagodnieje.

– Chciałem uciąć przyjazną pogawędkę. Posterunek znajduje się po drugiej stronie ulicy. Może się tam przeniesiemy?

- Czy to pogawędka z rodzaju tych, przy których powinien być obecny mój adwokat?
- A czy w normalnych okolicznościach przy każdej rozmowie towarzyszy panu adwokat?
- Odpowiem tak: jego obecność wiele by zmieniła ostatnim razem, kiedy policjant zaskoczył mnie i oznajmił, że chce porozmawiać.
- Rozumiem. Gwoli wyjaśnienia: nie jest pan w tarapatkach. Chcę panu pomóc ich uniknąć.
- To nie wróży niczego dobrego.
- Proszę mi wierzyć, że wyświadczam panu uprzejmość.

Moje krótkie doświadczenie pod czujnym okiem organów ochrony porządku publicznego nauczyło mnie, że zdecydowana większość policjantów to porządni ludzie wykonujący bardzo trudną pracę. Nawet durnie w mundurach, z którymi musiałem się użerać, wykazywali troskę o innych. Mnie niestety postrzegali jako zagrożenie.

Od świętej pamięci detektywa Glenna, który oddał życie za mnie i Jillian, dowiedziałem się również tego, że naprawdę dobrzy policjanci działają na dwóch poziomach.

Tak jak aktor, który po raz milionowy deklamuje tekst sztuki Szekspira i będąc na scenie, zamiast nad swoimi kwestiami zastanawia się nad tym, co zje na kolację, albo jak chirurg, który założyłby szew z zamkniętymi oczami, marząc o zielonej trawie pola golfowego, sprawny policjant potrafi zadawać ci pytania i nakłaniać cię do mówienia, jednocześnie subtelnie tobą sterując. Nie zawsze chodzi mu o konkretną wskazówkę bądź potknięcie. Często chce cię po prostu rozgryźć i ustalić, czy coś ukrywasz, a jeśli tak, to w *jaki sposób*.

Policjanci, tak jak naukowcy, gromadzą dane. Zadają pytania, na które znają odpowiedzi. Indagują o rzeczy wstydlive. Pozwalają ci na drobne kłamstwa, żeby się przekonać, czy poradzisz sobie z dużymi.

Nie bez powodu prawnik każe ci trzymać gębę na kłódkę, jeśli rozmawia z tobą policjant. Przy odrobinie szczęścia będzie to pierwszy i ostatni raz, kiedy spotka cię ta przyjemność, jedyna rozmowa w stylu dobry glina/zły glina. Tymczasem policjanci robią to codziennie, mają do czynienia z tysiącami łgarzy i wysłuchują milionów kłamstw; twoje im nie umkną. Nie powiedzą ci, że pieprzysz bzdury – nie, oni będą cię nakręcać i nakłaniać do blagowania, wszystko świetnie zapamiętując, podczas gdy ty będziesz sobie wmawiał, że jesteś najcwańszym, najbardziej przekonującym sukinsynem pod słońcem. Chcą, byś wyszedł od nich z przekonaniem, że udało ci się wywinąć – albo wywołać w tobie taką panikę, że posypiesz się na ich oczach. Wszystko zależy od tego, jak cię odczytają.

Ruszam za nim i nagle dociera do mnie coś, co powinno było dotrzeć w chwili, gdy mnie zatrzymał. To przecież detektyw Corman. Autor raportów w sprawie zaginięcia Chrisa.

Spore zaskoczenie, bo jestem przekonany, że kobieta z recepcji w archiwum nie zadzwoniła do niego i nie powiedziała mu, że jakiś facet grzebie w jednej z jego starych spraw.

Corman wiedział o mnie, zanim zbliżyłem się do budynku. Pewnie nawet zanim postanowiłem tu przyjechać. I to mnie teraz najbardziej zastanawia.

12. Wspólnicy

Corman stawia przede mną butelkę wody, kładzie na blacie stos teczek i siada po drugiej stronie stołu w sali konferencyjnej. Przez przeszkloną ścianę przyglądam się życiu posterunku: policjanci, jedni umundurowani, drudzy po cywilnemu, uwijają się przy swoich stanowiskach, rozmawiają przez telefony i stukają w klawiatury komputerów, a zwykli pracownicy chodzą od boks do boks, roznosząc korespondencję i ucinając pogawędkę. Gdyby usunąć z tego obrazka mundury – i może jeszcze umięśnione przedramiona i wszechobecne wąsy – wyglądałby jak z dowolnego typowego biura.

– Czytałem o wydarzeniach w Montanie. To musiało być dla pana cholernie trudne doświadczenie – odzywa się Corman.

– Owszem, było – odpowiadam sucho.

– Co pan wie o Williamie Bostromie? – pyta detektyw, niewątpliwie szykując się do powiedzenia mi czegoś, o czym nie mam pojęcia.

– Ojciec opłakujący syna, wdowiec, księgowy. Miły człowiek.

– Tak, miły ten William. Tak jak większość z nich.

– Z „nich”...?

– Czy William powiedział panu, kto jest jego najważniejszym klientem?

– Nie rozmawialiśmy o jego pracy – przyznaję.

– Otóż najważniejszym klientem Williama jest Justice Mathis, właściciel kilkunastu pralni samoobsługowych w całym Los Angeles, trzech punktów realizacji czeków i kilku komisów samochodowych.

– Wygląda na poważnego przedsiębiorcę. – Mógłbym dodać, że wygląda na zbyt dużo pracy jak na jednego księgowego.

– Bo jest nim. Widzi pan, w przeszłości Justice nosił przezwisko Master Kill i był szefem Ninety-Ninersów, odgałęzienia Cripsów. Nazwali się tak, bo twierdzili, że po tym, jak szefowie Cripsów i Bloodsów trafili do paki i wybuchła wojna o dominację, zabili dziewięćdziesięciu dziewięciu członków konkurencyjnego gangu. Justice jest ciekawą postacią o tyle, że choć wychował się tutaj, w okolicy, to jednak pochodzi nie do końca stąd. Jego ojciec był prawnikiem. Justice studiował na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, grał w futbol i był nieco bystrzejszy od swoich kumpli błaznów. Z jednej strony cwaniak, z drugiej biznesmen. Zamiast dawać forsy miejscowym oprychom, bratał się z bardziej wykształconym, nienotowanym towarzystwem i za jego pośrednictwem inwestował w nieruchomości i spółki, unikając podejrzanych interesów, które zwykle przyciągają uwagę.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Że William to oszust na usługach drugiego oszusta. Jest niebezpieczny. Przez niego giną ludzie.

– Wobec tego czemu go pan nie zaaresztuje? – Zamknięty gabinet i pancerne szafki w mieszkaniu Williama zaczynają nabierać sensu. No, ale mimo wszystko...

– Bo to nie moja działka. Poza tym takie rzeczy wymagają czasu.

Podejrzewam, że rozmawia ze mną, ponieważ policja ma Williama na oku i ktoś zauważył, że odwiedził go nietutejszy biały.

– To, co pan mówi, jest... niepokojące, ale mnie naprawdę nie interesuje, jak William zarabia ani dla kogo pracuje. Przyleciałem tu po to, żeby pomóc mu poznać los jego syna.

– Rozumiem. – Corman wyjmuje kopertę ze stosu teczek i mi ją podsuwa.

Kiedy ostatnio policjant wykonał przy mnie taki gest, na fotografii widniały włóki.

– Kim jest ofiara? – pytam, nawet nie dotykając koperty.

Corman uśmiecha się pod nosem i kiwa głową.

– Widać, że miał pan do czynienia z policją... To żona Williama. Powiedział panu, w jakich okolicznościach zmarła? – Patrzy na mnie; czeka, aż odpowiem albo otworzę kopertę.

Staram się zapanować nad pokusą, ale przecież wiadomo, że nie ma szans, bym wygrał z ciekawością. Wyjmuję zdjęcie z koperty i od razu żałuję, że to zrobiłem. Fotografia przedstawia młodą czarnoskórą kobietę leżącą na boku w kałuży krwi. Głowę i pierś ma podziurawione kulami.

– To się stało rok przed zaginięciem Christophera. Zdjęcie zrobiono w Lynwood, na zapleczu firmy handlującej środkami czystości. Okazało się, że to licznia pieniędzy. W gazetach napisano, że jeden gang próbował oszukać drugi.

– A według pana co się wydarzyło? – pytam, połykając przynętę.

– Jesteśmy niemal pewni, że licznia należała do Justice'a. Ale mamy też teorię, że to on zlecił zamach, w którym zginęła żona Williama i dwoje innych ludzi.

– Dlaczego to zrobił?

– Ponieważ go okradali.

– Żona Williama skubała najważniejszego klienta swojego męża?

– Brenda, tak miała na imię. Owszem. W dodatku podejrzewamy, że William jej w tym pomagał.

Próbuję poukładać sobie tę nieprzyjemną teorię.

– Ale przecież powiedział pan, że William nadal pracuje dla Justice'a.

– Zgadza się. I wie, że mógł podzielić los Brendy. Spieprzył sprawę i dostał za to nauczkę. Czemu nadal pracuje dla Justice'a? Może ze strachu. Albo może nie dopuścił do siebie myśli, że jego szef stoi za śmiercią Brendy. Diabli wiedzą. Może to William miał z nią na pieńku. W tamtym czasie oboje ostro ćpali i puszczali się na prawo i lewo. Niewykluczone nawet, że William sam pociągnął za spust. – Corman przygląda się mojej reakcji.

Jakoś nie umiem zobaczyć bezwzględnego mordercy w mężczyźnie, któremu pomagam. Corman dał mi sporo do myślenia, ale w zasadzie nie ma to związku z powodem mojej wizyty w Los Angeles.

– A zaginiony chłopiec? Pana zdaniem on też okradał Justice'a? – pytam z sarkazmem.

– Moim zdaniem ten chłopak miał dwoje bardzo popieprzonych rodziców, przez których dziś nie ma go wśród żywych.

Jeszcze nie wiem, co sądzić o teorii, że William miał coś wspólnego ze śmiercią swojej żony. Natomiast zupełnie nie przemawia do mnie pomysł, że mógłby nadal pracować dla Justice'a, nawet podejrzewając, że gangster zabił mu syna. Pod maską opanowanego księgowego kryje się człowiek będący nieustannie na skraju wybuchu. Nie wydaje mi się, żeby William siedział cicho, gdyby ktoś odebrał mu ostatnią ważną dla niego rzecz.

– Ma pan dzieci? – pyta Corman.

– Nie. – Dla mnie to wciąż jeszcze zbyt dziwny pomysł.

– Ale zapewne potrafi pan sobie wyobrazić, że gdyby ktoś skrzywdził pańskie dziecko, zrobiłby pan wszystko, żeby się zemścić. Chyba że miałby pan poczucie winy. I wiedział, że to wszystko przez pana. Wpadłby pan w błędne koło wyrzutów sumienia. William wszędzie dokoła szuka wytłumaczenia; wszędzie, tylko nie tam, gdzie nie chce tego robić, czyli we własnych uczynkach.

– Zatem twierdzi pan, że to ma związek z gangami?

Corman potwierdza skinieniem głowy.

– Taką mamy teorię.

– Wobec tego proszę mi powiedzieć...

– Tak?

– ...co się, kurwa, stało z Christopherem? Przyklejenie jego zaginięciu łatki „porachunków gangsterskich” albo „przestępstwa z związku z narkotykami” nie rozwiązuje sprawy. Fakty pozostają faktami. Ktoś uprowadził to dziecko, a my nie wiemy kto.

Corman siedzi z kamienną twarzą. Podsuwa mi mniej więcej dwudziestocentymetrowy stos teczek.

– Proszę sobie wybrać. – Wyciąga jedną ze środka i ją otwiera. Na wierzchu leży policyjne zdjęcie młodego twardziela z granatem ręcznym wytatuowanym na twarzy. – Może D’nal Little? Wiemy o co najmniej trzech morderstwach na jego koncie, a także o udziale w przynajmniej kilkunastu najazdach na konkurencję, stąd aż do Las Vegas. – Sięga po kolejną teczkę. – A to Chemchee Park. Miły gość. Zabiłby nawet pańską złotą rybkę. Albo ten: Jayson Carver. Zastrzelił dwoje dziesięciolatków na imprezie. Niektórzy z tych ludzi pracują dla Justice’a. Inni są zbirami do wynajęcia. Każdy z nich mógł odebrać życie Christopherowi.

– A ciało?

– W beczce na ropę w Bakersfield albo w piecu do spalania w którejś z dziupli Justice’a. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że z chłopca nie został nawet atom. Zresztą, może to wcale nie robota Justice’a, tylko jednego z jego licznych wrogów, którzy nie zawahaliby się uderzyć w kogoś blisko niego. Chodzi o to, że...

– Nie brakuje panu wymówek – przerywam mu. – Wszystko, byle nie musieć zajmować się tą sprawą. Nawet pana rozumiem. Dla pana sprawa właściwie jest zamknięta, poza tym, że nie odbył się proces i nikogo nie ukarano. – Rozkładam przed sobą te czki potencjalnych podejrzanych i przyglądam się twarzom. – Pozwoli pan, że zadam mu pytanie: czy którykolwiek z tych dżentelmenów wydaje się panu tytanem intelektu?

– To chyba jasne, że nie. Do czego pan zmierza?

– Rower Chrisa znaleziono daleko od trasy, którą chłopak wracał do domu.

Corman wzrusza ramionami.

– Dostaliśmy zgłoszenie dopiero osiem godzin po zaginięciu. Przez ten czas dzieciak mógł dojechać nawet do Anaheim.

Wyjmuję telefon z kieszeni i otwieram zdjęcie roweru Christophera. Coś nie dawało mi spokoju od chwili, w której go zobaczyłem, ale nie potrafiłem sprecyzować, o co chodzi – aż do teraz.

– Proszę spojrzeć. – Obracam aparat ekranem w stronę detektywa.

– No, rower. I co?

– Zdjęliście odciski palców?
– Zaginął chłopak, nie rower.
– Jak dla mnie świadczy to o waszej niechlujności, ale w porządku, wasza decyzja. Ja jestem tylko naukowcem. Proszę się jednak lepiej przyjrzeć.

Corman piorunuje mnie wzrokiem.

– No co?

– Znalazł pan rower. Ale czy pan wie, czego *nie* znalazł? I dlaczego powinien był zlecić zdjęcie odcisków palców?

– Kończy mi się cierpliwość.

– Brakuje zapięcia do roweru. – Wskazuję palcem zdjęcie na ekranie. – Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić dziecka z South Central, które nie woziłoby zabezpieczenia. – Powiększam fotkę tak, że widać wspornik siodełka. – O, tu ma pan zadrapania od metalowego łańcucha.

– No, nie jest to jakieś wielkie odkrycie. Może w filmach...

– Racja, nie jest. Ale dowodzi, że nie przyłożyliście się do roboty i zlekceważyliście ślad, który mieliście dosłownie pod nosem. Nie wiem, czy którykolwiek z tych pańskich podejrzanych potrafiłby cokolwiek zaplanować albo pomyślałby o zatarciu śladów przez przeniesienie roweru w inne miejsce. Być może się mylę. Ale Christopher to nie William ani Justice. Dzieciak zasługiwał na więcej.

– Dobrze, panie mądralo. Najwyraźniej instruowanie nas, jak powinniśmy wykonywać swoją pracę, sprawia panu przyjemność. – Spuszcza dłoń na drugi stos teczek. – W takim razie proszę się przyjrzeć również temu. Ponad setka zaginionych dzieci na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat. Proponuję jednak, żeby zabrał pan te materiały do Teksasu i trzymał się z dala od Williama. I jak najbardziej proszę mu opowiedzieć o naszej rozmowie.

Z jego słów wynika, że policja bacznie obserwuje zarówno Justice'a, jak i Williama, i że wkrótce sytuacja może osiągnąć punkt krytyczny.

Rzecz jasna zdaję sobie sprawę z tego, że Corman nakreślił przede mną jedynie ogólny obraz spraw, ale mimo to jest dla mnie jasne, że detektyw widzi tylko to, w co chce wierzyć. Tu się dzieje coś więcej, coś, czego jeszcze nie rozgryzłem.

Mam kilka pytań do Williama. Najpierw jednak muszę zebrać więcej informacji na jego temat.

13. Podążaj za pieniędzmi

Kim jest prawdziwy William Bostrom? Pograżonym w żałobie ojcem czy bankierem Pablo Escobara z South Central?

Corman dał mi dużo do myślenia, a także z niewiadomych powodów wręczył mi stos teczek ze sprawami innych zaginionych dzieci. Mogę to odczytywać jedynie jako próbę udowodnienia mi, że jest człowiekiem przygniecionym natłokiem spraw. Mam poczucie, że właśnie tak będzie brzmiała jego wymówka, jeśli jednak coś uda mi się znaleźć – choć to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę wszystko, co wyjawiał mi na temat Williama.

Pora, abym na własną rękę poszukał informacji o Bostromie.

Wynająłem samochód i zaparkowałem kilka budynków od domu Williama, po czym wyjaśniłem mu przez telefon, że niestety, musimy przesunąć nasze spotkanie o kilka godzin.

Przeprowadzając eksperyment, naukowiec dąży do zminimalizowania efektu obserwatora. Zawsze zależy mu na tym, aby obiekt studium zachowywał się tak, jakby badacz był nieobecny – nieważne, czy chodzi o pomiar populacji wilków na Alasce, czy o śledzenie ruchu fotonu w ogniwie z arsenku galu.

Dwadzieścia minut po moim telefonie William odjeżdża spod domu i zaczyna krążyć ulicami Compton. Staram się śledzić go z odległości jednej przecznicy, żeby się nie zorientował, że ma ogon. Pierwszy przystanek wypada przed jedną z pralni samoobsługowych, o których wspomniał Corman.

Mniej więcej po kwadransie William wychodzi z budynku i wsiada do auta. Niczego nie wnosił ani nie wynosi. Osiem minut później zatrzymujemy się przed następną pralnią. Znów piętnastominutowa wizyta. Schemat powtarza się przez kolejne dwie godziny. William odwiedza jeszcze dziesięć pralni. Obserwując, jak znika za drzwiami i wyłania się z nich, zastanawiam się, które – i czy w ogóle którekolwiek – z tych punktów piorą ubrania, a które brudne pieniądze, służąc jedynie jako przykrywka. Dwudziestki i setki z obrotu narkotykami raczej nie ukryją się wśród drobnych wrzucanych do automatów piorących.

Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że William składa losowe wizyty i kontroluje księgi. Pralnie samoobsługowe obracają praktycznie wyłącznie gotówką, co czyni je łatwym celem dla nieuczciwych pracowników kradnących z kasy. Podejrzewam, że William i jego pracodawca, Justice Mathis, są na tyle sprytni, by w swoich punktach montować ukryte kamery, które pozwalają na podglądanie sztuczek w rodzaju resetowania urządzeń i wymieniania monet na żetony.

Po rundzie po pralniach jadę za Williamem do jednego z punktów obsługi czeków, przed którym stoi ogonek klientów, głównie Latynosów, chcących zrealizować czek albo dostać zaliczkę na poczet najbliższej wypłaty.

Ten aspekt działalności finansowej wydaje mi się fascynujący. Stał się celem zapędów regulacyjnych rządu, usiłującego położyć kres istnieniu punktów udzielających niebotycznie oprocentowanych pożyczek akonto przyszłej pensji. Rozumiem chęć ochrony maluczkich, ale nie jestem przekonany, czy zniechęcenie ich do korzystania z legalnych placówek i wydanie na pastwę lewych pożyczkodawców rzeczywiście leży w ich najlepszym interesie. Cóż jednak, nie jestem

ekonomistą, lecz biologiem. I wiem tylko, że miejsce jednego systemu natychmiast zajmuje drugi, bardziej łupieski.

Tak czy owak, wszystko wskazuje na to, że interes w punkcie realizacji czeków kwitnie. Budynek wygląda czysto i profesjonalnie, jak większość banków, nie wydaje się przykrywką szemranej działalności. Może właśnie o to chodzi – i może dlatego nie zostałem policjantem.

William wraca do wozu. Po chwili dostaję od niego wiadomość: „Muszę załatwić parę spraw. Zajmie mi to godzinę. Przez ten czas nie będę miał dostępu do telefonu”.

Hm, robi się ciekawie. Chyba że William wybiera się do salonu masażu. Dyskretnie podążam za jego autem. Kieruje się na północ od Compton, dociera do końca ślepej uliczki i wjeżdża przez zdalnie otwieraną bramę przed piętrowym budynkiem.

Zapada zmierzch, ale dom jest jasno oświetlony. W oknie wykuszowym na piętrze przesuwają się sylwetki starszej czarnoskórej kobiety ubranej w modną bluzkę i rybaczki, takie, jakie lubi moja matka.

Zapisuję adres i sprawdzam, kto tu mieszka. Z bazy ksiąg wieczystych wynika, że nieruchomości należy do firmy Ocean Dream Holdings. Wyszukiwanie po nazwie prowadzi do kancelarii adwokackiej w Los Angeles.

Tak długo wpatrywałem się w jasny ekran telefonu, że przestałem rozróżniać kształty w ciemności. Dlatego mężczyznę z pistoletem zauważam dopiero wtedy, kiedy ten zaczyna stukać w szybę i świecąc latarką w oczy, każe mi wysiąść z auta. W pierwszym odruchu chcę czym prędzej odjechać, ale nagle dostrzegam drugiego mężczyznę, który stoi przed maską i trzyma telefon przy uchu. Nie wysiadam, ale opuszczam szybę. Dopiero wtedy dociera do mnie, że ten, który traktuje mnie latarką, jest ubrany w mundur pracownika ochrony.

– Tak? – rzucam najspokojniej, jak umiem.

– Mogę zapytać, czego pan tu szuka? – pyta grzecznie mężczyzna, nadal omiatając mnie snopem światła.

Tymczasem drugi, w dzinsach i workowatej koszuli, wyciąga przed siebie telefon, pstryka mi zdjęcie i odchodzi.

Raz jeszcze obrzucam spojrzeniem mundur ochroniarza, żeby się upewnić, że to tylko zwykły cieć.

– Zajmuję się własnymi sprawami. Jeśli pan nie przestanie świecić mi w oczy, wezwę policję i oskarżę pana o napaść. – Trochę mu pyskuję, ale to dlatego, że znajduję się w miejscu publicznym, a nie na terenie prywatnym.

– Odebraliśmy zgłoszenie, że ktoś zagląda do okien.

– No to radzę przestać to robić. – Przekomarzając się z ochroniarzem, nie spuszczam z oczu drugiego mężczyzny. Wyraźnie coś jest na rzeczy. – Chętnie odjadę, jeśli tak panu zależy.

Ochroniarz wkłada rękę do kabiny i łapie za kierownicę.

– Nie tak prędko.

Kurwa. To się porobiło.

Drugi mówi pierwszemu szeptem do ucha coś, co brzmi podejrzanie podobnie do: „To nie glina”.

Sekundę później widzę wycelowaną we mnie broń.

– Wysiadaj!

Dochodzę do wniosku, że istnieje szansa, że to zwyczajne nieporozumienie, bo przecież byłoby

mu łatwiej zastrzelić mnie w wozie. Jestem dobrej myśli.

Ochroniarz otwiera drzwi po stronie kierowcy, a drugi mężczyzna sięga do tyłu, zapewne po to, by móc wyszarpnąć broń zza pasa, w razie gdybym próbował się wyrwać.

Ochroniarz każe mi się odwrócić i wyjmuję mi portfel z kieszeni.

– Przekonajmy się, co to za chujek.

Nie wiem, czy legitymacja pomoże mi w tej sytuacji, czy zaszkodzi. Mój pistolet spoczywa w torbie, właściwie w zasięgu ręki, ale to i tak za daleko, by cokolwiek zmienił, jeśli stojący za mną mężczyzna postanowi pierwszy użyć broni.

Znów mnie obraca i znów świeci w oczy.

– Czego tu szukasz, białasie?

– Sprawdź mu ręce – rozkazuje drugi.

– Podwiń rękawy! – krzyczy ochroniarz.

Staram się rozegrać to na spokojnie.

– Nie wydaje mi się, żeby pańskie uprawnienia obejmowały takie działania... – mówię, podwijając mankiety kurtki.

Przesuwa światłem latarki po moich przedramionach.

– Czyste – informuje drugiego, po czym ponownie mnie oślepia. – Federalny?

– To by poprawiło moje notowania czy wręcz przeciwnie?

– Ma licencję prywatnego detektywa? – pyta drugi.

– Nie.

– No to przefasonujemy mu gębę.

– Przestańcie! – krzyczy nagle William, który objawił się po drugiej stronie ulicy. – Puśćcie go!

– Znasz tego pyskatego palanta? – pyta ochroniarz.

– Znam. Jest ze mną.

– Mathis o tym wie?

William podbiega.

– Tak, tak. Chce z nim pogadać. Przepraszam cię, Theo. Zapomniałem, że... miałem się tu z tobą spotkać.

Wie, że go śledziłem, ale nie chce, żeby oni wiedzieli. Trudno powiedzieć, czy to dla mnie dobra, czy zła wiadomość.

– Chodź – mówi – poznasz Justice'a Mathisa.

14. Wróg publiczny

Wróg publiczny numer jeden według detektywa Cormana popija smartwater przy ławie, na której spoczywa katalog wystawy Jamesa Turrella. Jego nastoletnia córka siedzi w kuchni z babcią i odrabia lekcje z historii Europy z kursu dla zaawansowanych.

Mathis ma na sobie czarny, dopasowany sweter podkreślający jego atletyczną sylwetkę. Wygląda jak zamożny prawnik albo wschodząca gwiazda polityki. Trudno mi wyobrazić sobie tego mężczyznę o nienagannej dykcji, znacznie lepszej od mojej, nazbyt akademickiej, w roli gangstera z South Central, który wdrapał się po trupach na szczyt.

Nawet przez chwilę nie mam wątpliwości, że Mathis to człowiek inteligentny, czujny i niewiarygodnie charyzmatyczny. Słyszysz się o ludziach, którzy wpadają w zachwyt na widok Billa Clintona albo mdleją, widząc uśmiech Brada Pitta; Mathis należy do kategorii osób robiących podobne wrażenie. W tej samej lidze grał również Ted Bundy. A także Joe Vik, jeśli wierzyć słowom tych, którzy go znali. Aczkolwiek mój kontakt z nim był całkowicie pozbawiony wdzięku.

Nie chcę przez to powiedzieć, że moim zdaniem Mathis miał cokolwiek wspólnego z zaginięciem Chrisa. Myślę jednak, że cechy, które wymieniłem, pomogły Mathisowi się wybić – i doprowadzają detektywa Cormana do szału tym, że ten człowiek siedzi jak gdyby nigdy nic w swoim pałacu za parę milionów dolarów i przygotowuje swoją córkę do studiów na jednej z uczelni Ligi Bluszczowej.

– Przede wszystkim, profesorze Cray, proszę się nie przejmować gorliwością chłopców. Nadal mam wrogów z czasów łobuzerki.

„Czasy łobuzerki”? Tak to sprzedaje?

– Mam nadzieję, że nie wyglądają jak ja.

– Zdziwiły się pan. Chłopcy naoglądali się *Synów Anarchii* i teraz roją im się różne rzeczy.

Synowie Anarchii to, zdaje się, serial telewizyjny o gangu białych motocyklistów. Czy naprawdę komitet powitalny wziął mnie za kogoś takiego? Jeśli tak, to chyba świadczy o tym, że „czasy łobuzerki” Mathisa niekoniecznie są pieśnią dalekiej przeszłości.

– Po drugie – dodaje – chcę panu podziękować, że zdecydował się pan pomóc Williamowi, który jest dla mnie jak brat, a strata Christophera... Dość powiedzieć, że czułem się, jakbym sam stracił kogoś bliskiego.

Czyżby? Jak wiele wysiłku włożył Mathis w odnalezienie chłopca? Czy w ogóle kiwnął palcem?

– Nie wiem, czy zdołam pomóc. Sytuacja Williama, a raczej Christophera, wydaje się... niezwykle frustrująca.

– Tak. – Mathis współczująco kiwa głową. – William mówi, że odwiedził pan posterunek policji i przejrzał materiały dotyczące zaginięcia Chrisa. Znalazł pan coś ciekawego?

Mnóstwo rzeczy – ale nie muszę mu mówić wszystkiego.

– Owszem. Wygląda na to, że policja spartaczyła śledztwo. – Zwracam się do Williama. – Rozmawiałem z detektywem, który je prowadził.

– Z Cormanem?

– Tak, właśnie z nim.

– Dawno temu przestał odbierać telefony ode mnie.
– Myślę, że się po prostu poddał... – Nagle brakuje mi słów.
– Obarczył mnie winą? – pyta Mathis. – Powiedział, że Chris zaginął, bo jego tata prowadził interesy z gangsterem?

Strzał w dziesiątkę.

– W zawołany sposób.
– Pokazał panu moją teczkę i nazwał mnie Alem Capone z Compton?
– Odniosłem wrażenie, że bliżej panu do Pabla Escobara.

Mathis kiwa głową, po czym zwraca się do Williama.

– Ile razy kontrolowano nasze księgi?
– Dziewięć – odpowiada William. – Nigdy niczego nie znaleziono.
– A ile razy urządzano nalot na nasze placówki?
– Pięć.
– Czy kiedykolwiek postawiono nam zarzuty?
– Tak, raz.

Mina Mathisa wyraża zaskoczenie.

– Słucham?

– Nieprzestrzeganie przepisów BHP. Pańska kuzynka Stacey położyła surowe mięso na blacie służącym do przygotowywania posiłków. Zamknęli nam lokal.

Mathis unosi dłonie, jakby się oddawał do niewoli.

– Wobec tego jestem winny. Przyznaję się do zatrudnienia swojej kuzynki idiotki do prowadzenia knajpy z burgerami, mimo że nie miała do tego kwalifikacji.

Uśmiecham się. Niezłe przedstawienie. Założę się, że ilekroć wypływa drażliwy temat, Mathis odgrywa je przed politykami, znajomymi celebrytami i bogatymi przyjaciółmi z Soho House.

Monolog o niewinności tym bardziej do mnie nie trafia, że Mathis dał mi do zrozumienia, jak bardzo jest bystry. To jasne, że gliny, przyzwyczajone do przyskrzyniania ulicznych półgłówków, których edukacja zakończyła się na podstawówce, mają pod górkę z gościem pokroju Mathisa.

Może z tym skończył, a może nie, w każdym razie jestem przekonany, że zdystansował się do własnej przeszłości i grzecznie słucha swojego prawnika. Wszystko to stało się dla mnie jasne już na zewnątrz, kiedy oprych zrobił mi zdjęcie i szepnął ochroniarzowi, że nie jestem policjantem. Każdy gangster, który ma dość oleju w głowie, by stworzyć własny katalog glin, znajduje się wiele kroków przed innymi. Dla mnie nie ma to jednak znaczenia – mnie interesuje tylko to, czy Mathis był zamieszany w uprowadzenie Chrisa. O wszystko inne niech się martwią Corman i policja Los Angeles.

– Rozejrzałem się – mówię – i natrafiłem na statystyki, z których wynika, że większości uprowadzeń nie zgłasza się, ponieważ w taki czy inny sposób mają one związek z narkotykami. Corman zasugerował, że Christophera mógł porwać któryś z pańskich konkurentów. Być może po to, żeby uderzyć w Williama. Albo po prostu zagrać panu na nerwach.

Mathis zniża głos.

– Czy ja wyglądam jak instrument? A moje nerwy jak struny? Pozwoli pan, że o coś zapytam: co pan tu robi? – Unosi wielką dłoń, zanim zdąży odpowiedzieć. – Nie chodzi mi o pomoc Williamowi.

Mam na myśli to, dlaczego rozmawia pan ze mną, a nie z trupami w Montanie?

Gadał z Williamem, to jasne jak słońce.

– Chce pan usłyszeć prawdziwy powód? Ponieważ tamten sukinsyn odebrał mi kogoś, na kim mi zależało.

– Dwumetrowy prostak, który uśmiercił siedmiu policjantów, chciał skrzywdzić osobę, którą obdarzył pan uczuciem, więc odebrał mu pan życie. Jak pan sądzi, co tak zwany gangster, taki jak ja, uczyniłby człowiekowi próbującemu „zagrać mi na nerwach” albo chcącemu wyrządzić krzywdę komuś mi bliskiemu? Sądzi pan, że następnego dnia nie pisałyby o tym gazety?

– Rozumiem, co pan chce powiedzieć. Chyba że to *pan* to zrobił?

– Ja? – Spogląda niedowierzająco na Williama. – Czemu ja?

– Dlaczego matka Chrisa nie żyje?

Widzę, jak napinają się mięśnie szyi Mathisa, i słyszę, jak William gwałtownie nabiera powietrza. Mathis zagląda mi w oczy, ale milczy.

– To nie miało nic wspólnego z Mathisem – broni szefa William. – Nic. Po co w ogóle o tym mówisz? Tak się nie robi.

– To był cios poniżej pasa – cedzi w końcu Mathis.

Żeby potwierdzić swoją teorię, muszę wywołać w nim jeszcze jedną reakcję, choćbym nawet ryzykował wyparowanie w spalarni jednej z jego dziupli.

– Co napisano w gazetach nazajutrz po śmierci żony Williama i dwóch innych osób? Z którym ze swoich wrogów się pan rozliczył?

Zapada długie, krępujące milczenie.

– Wymierzono kary – odpowiada wreszcie Mathis.

Ja pierdołę. Zabił ją i William o tym wie. Kątem oka dostrzegam zboląłą minę Bostroma.

Biorę głęboki oddech.

– Wyjaśnijmy sobie coś. Nie jestem gliną, tylko naukowcem. Zajmuję się tropieniem wzorów, prawidłowości. William zapukał do moich drzwi, ponieważ chciał, abym pomógł mu znaleźć odpowiedź na pytanie, co się stało z jego synem. Nic innego mnie nie interesuje. Chcę się dowiedzieć, kto uprowadził chłopca i czy mogę dorwać tego człowieka.

Mathis przewierca mnie wzrokiem, który wciąż nabiera intensywności. Wreszcie kiwa głową i wyciąga do mnie rękę.

– Niech pan go odnajdzie.

15. Autorytet

Siedzimy naprzeciwko siebie w boksie baru, gdzie jestem, zdaje się, jedynym białym, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi.

– Byliśmy wtedy z Brendą niezłe pieprznięci. Oboje braliśmy. To cud, że Chris wyrósł na takiego dobrego dzieciaka. Praktycznie sam się wychował. A potem...

Unoszę dłoń.

– Nie obraż się, ale nie muszę ani nie chcę wiedzieć, co się stało z twoją żoną, o ile nie wiąże się to bezpośrednio z zaginięciem Chrisa.

Z jego spojrzenia wyziera ból. William chce mi coś wyznać. Chce, abym spróbował zrozumieć. Sęk w tym, że moim zdaniem żadna wersja opowieści, w której William nie wychodzi na złego człowieka, nie jest wiarygodna.

– Chciałem tylko powiedzieć, że Mathis...

Przerywam mu.

– Mathis to szczególny rodzaj socjopaty.

– Nie znasz go. To wspaniały człowiek. Funduje ośrodki kultury. Oddałby ci ostatnią koszulę...

– Chyba że byś mu ją zabrał. Posłuchaj, wiem, że próbujesz coś sobie wmówić, ale przecież zdajesz sobie sprawę, co to za typ. W jednej chwili jest ojcem roku, a w drugiej kogoś osieroca.

– Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy człowiek dorasta w takim miejscu.

– Owszem, nie mam. Ale Mathis też nie. Pochodzi z zamożnej rodziny, a przyjechał tutaj, bo wiedział, że zło, które zamierzał otwarcie czynić, ujdzie mu na sucho.

William kręci głową.

– Łatwo ci osądzać...

– Nikogo nie osądzam. Czy coś z tego, co powiedziałem, jest nieprawdą? Mathis różni się od ciebie i ode mnie. To szczególny rodzaj socjopaty. Taki, z którego byłby świetny polityk. Sprawia, że myślisz, że wiele dla niego znaczysz. Dopóki nie staniesz mu na drodze. A potem, kiedy postanowi cię wykorzystać, robi to tak, że uznasz, że sam jesteś sobie winien.

– Wiesz z doświadczenia?

– Przez ostatni rok poświęciłem sporo czasu na próby zrozumienia takich umysłów. Wyobraź sobie, że istnieją nawet geny korelujące z charyzmą. Niektóre umysły kompensują tym brak empatii. Przy tego typu ludziach czujesz się, jakby zależało im bardziej niż komukolwiek innemu, podczas gdy tak naprawdę jesteś dla nich niczym.

– Czyli dla ciebie to wszystko kwestia genów.

– Nie, nie zawsze. Myślę, że można się tego nauczyć. – Tak jak można przekonać siebie samego, że nie ma nic zdrożnego w pracy dla mordercy własnej żony.

William kiwa głową.

– Ale twoim zdaniem nie miał nic wspólnego z Chrisem?

– Nie wydaje mi się. Przynajmniej nie bezpośrednio.

– Co to oznacza?

– W przypadku Joego Vika występował pewien wzorzec, jeśli chodzi o ofiary. Wiele z nich było samotnymi młodymi kobietami uzależnionymi od narkotyków.

– Tak jak ofiary Lonniego Franklina? Ponurego Śpiocha?

– Tak. Łatwe zdobycze.

Urażony William zakłada ręce na piersi.

– Chcesz powiedzieć, że mój syn był „łatwą zdobyczą”?

Nie wiem, jak to inaczej ująć.

– Ojciec Christophera pracował dla grubej ryby, narkotykowego bossa, o którym mówiono, że z zemsty zamordował matkę chłopca. Z punktu widzenia policji obaj nosiliście piętno. Dlatego funkcjonariusze nie zrobili więcej niż niezbędne minimum. Ponieważ byli przekonani, że Chris zamienił się w proch w jednym z pieców Mathisa. Wiedzieli, że nigdy nie zdołają niczego udowodnić, więc nawet nie próbowali dociekać.

– Ale z ciebie nieczuły skurwysyn. Mathis przynajmniej nie sprawia, że człowiek czuje się jak ostatni chuj.

– Mydli ci oczy, żebyś nie zobaczył noża, który trzyma w ręku. Ja przynajmniej jestem szczerzy. Nie znałem twojego syna, ale sądząc po tym, co o nim mówisz, mógłbym go polubić. Straciłem kogoś, kto był mi bliższy, niż myślałem. Ruszyłem w pogoń za Vikiem nie dlatego, że zagroził osobie, którą pokochałem, tylko przez to, że odebrał mi kogoś, kogo nawet nie zdążyłem poznać. Rozumiem, czym jest poczucie winy. Wiem, co to ból. Jedynym lekarstwem, jakie mam, jest brutalna szczerłość.

William otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale po raz kolejny powstrzymuje go gestem dłoni.

– Mógłbym skłamać i powiedzieć, że twoja przeszłość nie ma znaczenia. Tyle że jest inaczej. Obaj zdajemy sobie sprawę, że ty i Brenda igraliście z ogniem. Nie oceniam tego, co się wydarzyło. Nie spodziewaj się ode mnie wybaczenia, nie chcę też wzbudzać w tobie poczucia winy. Jedynym potworem, który mnie interesuje, jest ten, który uprowadził Christophera. Nie tylko z powodu tego, co zrobił, ale też przez to, co być może robi innym.

– Uważasz, że nadal grasuje?

– Czemu miałyby przestać? Zorientował się przecież, co jest źródłem bierności policji. Zamierzam się tym zająć. Corman z jakiegoś powodu obarczył mnie stosem akt zaginionych dzieci. Moim zdaniem wie, że porywacz wciąż grasuje i robi to, ponieważ odkrył słaby punkt Cormana i tutejszej policji.

– Rodziny takie jak nasza.

– Zgadza się. Niewidzialne.

William przygląda mi się, popijając piwo.

– Nadal mnie oceniasz.

– Pomogę ci poznać los twojego syna. Czy to, co myślę, ma jakiegokolwiek znaczenie?

William kręci głową.

– Mathis to łebski gość. Naprawdę łebski. Mógłby nam pomóc. Wystarczyłoby poprosić.

– Jeśli o mnie chodzi, zamierzam trzymać się od niego najdalej, jak to możliwe.

– Wydaje ci się, że jego urok na ciebie nie działa.

– Problem w tym, że jest odwrotnie. Instykt podpowiada mi, że powinienem go polubić.

Natomiast rozsądek ostrzega, bym traktował z rezerwą to, co z pozoru oczywiste. Twój szef jest kanciarzem...

– Ja też nim jestem.

– ...ale nie dzieciobójcą. – Sięgam po butelkę. – No, dopijaj. Pora odnaleźć prawdziwego mordercę.

16. U źródła

Teczki od Cormana nie są jedynie przypadkowym zbiorem raportów o zaginięciach dzieci, lecz zestawem niełatwych spraw, to jest takich, w których zebranie dowodów nastęczyło śledczym trudności, ponieważ ofiary pochodziły z rozbitych rodzin. W niektórych przypadkach rodzice wręcz uciekali na widok policjantów przybyłych po informacje na temat poszukiwanego dziecka. Co najmniej połowa doniesień dotyczyła osób mieszkających w domach zajmowanych przez nielegalnych imigrantów. Przechodzi mnie dreszcz, kiedy pomyślę, jak wielu zaginięć dzieci w ogóle się nie zgłasza, ponieważ rodziny boją się kontaktów z władzami. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jakim koszmarem musi być strach przed pójściem na policję w takiej sytuacji.

Wprowadzam dane do Predoksa i na ekranie komputera pojawia się fioletowy pas na mapie miasta, obejmujący prawdopodobny teren łowów drapieżcy. Podobny wynik uzyskałbym, gdybym wykorzystał informacje o punktach, w których najlepiej sprzedają się telefony bez abonamentu i karty do rozmów zagranicznych – z Meksykiem, krajami Ameryki Środkowej i Południowej.

Postanowiłem zacząć od miejsca najbliższego okolicy, w której zaginął Christopher, a następnie poszerzać obszar poszukiwań.

Rok temu babcia poinformowała policję o zaginięciu wnuka, Ryana Perkinsa. Chłopiec wyszedł z zajęć pozalekcyjnych i nie wrócił do domu.

W raporcie policyjnym wspomniano, że ojciec Ryana przebywa na wolności i istnieją pewne niewyjaśnione kwestie w związku z jego prawem do opieki nad dzieckiem. Z kolejnego raportu, autorstwa Cormana, wynika, że w dniu zaginięcia Ryana ojciec chłopca znajdował się w areszcie okręgowym w Henderson w Nevadzie. Sprawa wcale może nie być taka prosta.

Kiedy wchodzę do ośrodka kultury, wita mnie sympatyczna starsza czarnoskóra kobieta. W oczekiwaniu na przybycie dzieci rozkłada kolorowanki na stołach.

– Witam, młody człowieku. Jak mogę panu pomóc?

– Dzień dobry. Nazywam się Theo Cray. Zbieram informacje na temat zaginionych dzieci.

Na jej twarzy odmalowuje się smutek.

– Och, chodzi o Latroya?

– Latroya? – Zerkam do notatek. – Kim jest Latroy?

– Zaginął przed trzema tygodniami. Dzwoniłam do niego do domu, ale nikt nie odbiera. Kiedy poszłam na policję, dowiedziałam się, że jego matka została aresztowana. Babka Latroya nie wie, co się dzieje z chłopcem. Sądziła, że trafił do opieki społecznej.

O Jezu, co za bagno.

– Właściwie to przyszedłem w sprawie Ryana Perkinsa.

– Ryana Perkinsa?

Pokazuję jej zrobione z daleka zdjęcie chłopca – słabo czytelne rysy, czerwone od flesza oczy.

– Ach, chodzi o niego. Wydawało mi się, że wyjechał z ojcem.

– Okazuje się, że nie.

– Mój Boże... – Kładzie dłoń na sercu. – Przewija się tu tyle dzieci, że doprawdy nie sposób być ze

wszystkimi na bieżąco.

Wolne żarty. Zaginęło dwóch chłopców uczęszczających na zajęcia pozalekcyjne dla dzieci z rodzin w trudnej sytuacji życiowej. Na miejscu rodziców chyba wolałbym wypuszczać pociechy po prostu na ulicę niż posyłać je tutaj.

Nie zapędzaj się, Theo, mówię sobie. To miejsce istnieje wyłącznie z powodu rozbitych rodzin, po których tułają się te dzieci. A kobieta, z którą rozmawiasz, stara się zapewnić im stabilne, spokojne otoczenie.

– Co może mi pani powiedzieć o chłopcach? Znali się?

– Och nie. Latroy Edmunds przychodził może przez tydzień. Ale był utalentowanym dzieckiem, wspaniale rysował, do tego bardzo grzeczny. – Podchodzi do rzędu szafek i otwiera jedną z nich. – Zostawił to. Trochę się zdziwiłam, bo ludzik był jego ulubioną zabawką. Chciał, żebym mu go przechowała. Podobno matka często sprzedawała jego rzeczy.

Wręcza mi odrapaną figurkę Iron Mana. Robię jej zdjęcie, oglądam ją i oddaję.

– Czy zapamiętała pani coś szczególnego w związku z Latroyem? Czy odbierał go ktoś inny poza matką albo babką?

– Nie. To są otwarte zajęcia, nie kontrolujemy dzieci tak, jak to się robi w szkołach.

– A Ryana Perkinsa? Odbierał go ktoś poza rodziną?

– Nie wydaje mi się. Staram się zwracać uwagę na takie rzeczy.

– To widać. Dzieci mają szczęście, że opiekuje się nimi ktoś taki jak pani.

Rozglądam się po kolorowym pokoju. Mój wzrok pada na ścianę zaklejoną dziecięcymi rysunkami. Podchodzę, żeby się przyjrzeć.

Przekrój koślawych superbohaterów. Sporo zielonego Hulka. Wielkie roboty, a obok przesłodzone portrety psiaków i kotków. Kilka wyidealizowanych wizerunków życia rodzinnego, na których wszyscy trzymają się za ręce.

Wśród rysunków wyróżnia się zwłaszcza jeden. Przedstawia czarną od stóp do głów postać z torbą pełną zabawek, wyglądającą jak kuriozalny Święty Mikołaj. Podchodzę bliżej.

– Widzę, że rozpoznał pan dzieło Latroya – zauważa kobieta.

– Słucham?

– To jego rysunek. Ot, miejska legenda, chyba tak ją można nazwać.

– Jaka legenda?

– Zabaweczka. Podobno jeździ wielkim cadillakiem i rozdaje zabawki grzecznym chłopcom i dziewczynkom.

– Brzmi sympatycznie.

– Owszem. Ale nie pozwoliłam Latroyowi zawiesić drugiego obrazka, który narysował tamtego dnia.

– Dlaczego?

– Bo był... niepokojący. Ukazywał, co Zabaweczka robi niegrzecznym dzieciom.

Nie wiem, jak długo tam stałem, zanim zapytała, czy może mi jakoś pomóc.

17. Sygnał

Zastępczyni dyrektora Garvina, miejscowej szkoły podstawowej, prowadzi mnie korytarzem i wskazuje szkolną bibliotekę.

– Mamy świetny program korepetycji. Przychodzą do nas studenci Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles i pomagają dzieciom w pracach domowych.

– Wspaniale – odpowiadam, z udawanym zainteresowaniem zaglądając do biblioteki. Chłopcy i dziewczynki siedzą przy stolikach, a nauczyciel czyta im z książki.

Pani Dawson jest ujmującą kobietą, dumną ze swej szkoły oraz wpływu, jaki placówka wywiera na uczniów z trudnych środowisk.

– Mówił pan, że córka chodzi do czwartej klasy? Przenosiny w trakcie roku szkolnego potrafią przysporzyć kłopotów, ale mamy wielu takich uczniów. Na pewno szybko znajdzie przyjaciół.

– Oby. Gracie ma pewne problemy. Nie chodzi o zachowanie.

Dawson kiwa głową, wychodząc z założenia, że zapewne moja zmyślona córka wykazuje trudności z przyswajaniem wiedzy.

– Prowadzimy specjalny program dla uczniów chcących nadrobić zaległości i szybko wrócić do standardowego trybu nauki.

Idziemy korytarzem, mijamy kolejne klasy. Zaglądam przez szybki w drzwiach, szukam rysunków podobnych do tych, które wiszą w świetlicy. Większość ma jednak ścisły związek z nauczaniem przedmiotami i nie przypomina tamtych, swobodnych w formie i treści. Liczyłem, że w szkole kierującej swoją ofertę do imigranckich dzieci z pierwszego pokolenia i uczniów z problemami w nauce znajdę więcej rysunków Zabaweczki. Wiem, że to strzał w ciemno, ale fakt, że Latroy, chłopiec, którego teczki nie znalazłem wśród tych przekazanych mi przez Cormana, tworzył tak niepokojące rysunki, rozbudził moje zainteresowanie.

Jeśli dzieci nie porwał zupełnie obcy człowiek, to być może zrobił to ktoś, kogo znały albo z kim się zetknęły przed uprowadzeniem. Sposób doboru ofiar sugeruje, że sprawca znał charakter ich życia rodzinnego. Jedną z metod rozwiązania tej zagadki jest zadawanie pytań, inną – dostęp do akt, po których lekturze może się okazać, że porywacz pracuje w jakiejś szkole bądź instytucji zajmującej się dziećmi.

Brzmi to lekko paranoicznie, ale nie zapominajmy, że Ted Bundy pracował w telefonie zaufania tuż obok byłego policjanta, który opisał go jako serdecznego, wrażliwego człowieka. Mowa o osobniku, który pewnej nocy napadł pięć kobiet i zabił dwie z nich.

W tutejszym okręgu szkolnym nie brakuje potworów polujących na uczniów. Przerazające jest to, że w przypadku niektórych nauczycieli molestujących i napastujących swoich podopiecznych historia skarg sięga kilka dekad wstecz. Najgorsi są ci, którzy upatrują sobie dzieci nielegalnych imigrantów, z pełną świadomością, że ze strachu przed deportacją rodzice będą się bali odezwać. Poza tym, że uczniowie Garvina stanowią grupę podwyższonego ryzyka, to właśnie do tej szkoły chodził Latroy. Chcę się dowiedzieć, czy jego koledzy i koleżanki z klasy mieli podobne doświadczenia z Zabaweczką.

– To tutaj – mówi Dawson. – Wygląda na to, że pani Valdez zabrała dzieci na plac zabaw. Na ścianie w głębi pomieszczenia wiszą rysunki. Za daleko, nie widzę szczegółów.

– Mogę rzucić okiem?

– E... oczywiście. – Dawson wpuszcza mnie do środka. Nie uchodzi mojej uwadze nuta podejrzliwości w jej głosie. – Mówił pan, że jaka firma pana zatrudnia, panie Gray?

– Nie mówiłem. Pracuję z domu. Jestem analitykiem oprogramowania.

Nie mogłem przecież wejść do gabinetu dyrektora i oznajmić, że jestem zatroskanym obywatelem, który chce przeszukać szkołę, bo liczy, że znajdzie dowody na istnienie Freddy'ego Kruegera z czwartej klasy.

– Rzeczywiście. A czym się zajmuje pańska żona?

– Jest kelnerką – odpowiadam, lawirując pomiędzy niskimi ławkami i krzeselkami.

Dostrzegam znajomy miszmasz zwierzątek, rodzin i wszystkiego, co dzieci wypatrzą w telewizji. Przesuwam wzrokiem po rysunkach, a w tym czasie Dawson usiłuje mnie rozgryźć. Wyczuwam jej nagłą obawę, że nie jestem tym, za kogo się podaje.

– Proponuję, żebyśmy wrócili do gabinetu. Czekam na telefon.

– Oczywiście. – Nie ruszam się z miejsca. Przetwarzam w głowie dziecięce malunki. Są dla mnie odrobinę abstrakcyjne.

Na jednym z rysunków bliżej okna zauważam szczupłego mężczyznę w czarnym ubraniu, niosącego worek z zabawkami. Pokazuję go palcem.

– Wie pani, co to jest? – Obrazek nosi podpis „Rico”, nie „Latroy”.

Pochyla głowę, żeby lepiej widzieć.

– Czarny Święty Mikołaj?

– Jeden z kolegów mojej córki wspominał o istnieniu Zabaweczki. Słyszała pani o kimś takim?

– Nie. Naprawdę lepiej już wracajmy.

– Oczywiście. Pozwoli pani, że wyślę to jej matce. – Wyjmuję telefon i robię zdjęcie.

– Panie Gray, tu nie wolno robić zdjęć.

– Przepraszam. – Opuszczam dłoń, w której trzymam aparat. Na biurku nauczycielki leży otwarty dziennik. – Wróćmy do gabinetu.

Odwraca się w stronę drzwi, a ja ruszam prosto do biurka.

– Panie Gray?

– Muszę wypluć gumę. – Stojąc plecami do niej, szybko pstrykam fotkę listy uczniów.

– Tego już za wiele. Wzywam ochronę. – Bez wahania sięga po krótkofalówkę, którą nosi na klipsie na pasku.

– Proszę bardzo. – Wbijam w nią spojrzenie. – Niech powiedzą, co się stało z Latroyem.

Zamiera.

– Słucham?

– Latroy Edmunds. Zaginął przed miesiącem. – Wskazuję obrazek wiszący przy oknie. – On też rysował Zabaweczkę.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Proszę wyjść, zanim wezwę policję.

Unoszę ręce w geście kapitulacji.

– Chcę tylko pomóc.

- Czy ktoś pana o to prosił?
- Ojciec dziecka, które zaginęło.

Dawson zastanawia się, co o tym wszystkim myśleć. Z jednej strony zachowuję się podejrzanie, a z drugiej mówię o zaginionych dzieciach i rodzicach chcących poznać ich los.

– Jeśli ma pan jakieś pytania, musi je pan zadać naszemu dyrektorowi – odzywa się w końcu. – Tymczasem proszę, aby opuścił pan teren szkoły.

Odprawia mnie do samochodu. Czuję, że jest zdenerwowana i usiłuje zdecydować, czy stanowią realne zagrożenie, czy może jestem niegroźnym wariatem, któremu nieopatrzenie pozwoliła rozejrzeć się po szkole.

Słuszne pytanie, na które chyba nawet ja nie znam odpowiedzi.

18. Kontakt w nagłych przypadkach

Decyzja o tym, jak daleko jestem skłonny się posunąć w tropieniu źródeł legendy Zabaweczki, jest zarazem decyzją o tym, jak głęboko jestem gotów zabrnąć w strefę zakazaną. W tej chwili dysponuję jedynie dwoma rysunkami; autorem jednego jest dziecko, które zaginęło, drugiego – dziecko, które przypuszczalnie nie zaginęło. Nie rozmawiałem jeszcze z Williamem, bo chcę mieć pewność, że nie zawiodę jego mocno już obciążonego stresem umysłu w kolejną ślepią uliczkę.

Namierzenie czwartoklasisty o nazwisku Rico Caldwell, młodego artysty stojącego za drugim rysunkiem Zabaweczki, może się okazać trudniejsze niż przeniknięcie do archiwum policji Los Angeles. Nie mogę przecież ustawić się pod szkołą, zaczekać, aż klasa wybiegnie z zajęć i pogna do autobusu, a wtedy krzyknąć: „Rico” i przekonać się, który z chłopców się obejrzy. Telefon do pani Dawson z prośbą o jego adres domowy też odpada.

Mógłbym się natomiast uciec do phishingu: zadzwonić do kogoś z dyrekcji szkoły, podszywając się pod pracownika miejscowego dostawcy internetu, i poprosić o kliknięcie w link na spreparowanej stronie – to metoda oszustwa o zastraszającej skuteczności. Sęk w tym, że phishing jest przestępstwem federalnym. Dlatego raczej zdecyduję się na coś, przez co nie pójdę siedzieć.

Istnieje jeszcze inny sposób, również ryzykowny, a także nieco niebezpieczniejszy dla mojego zdrowia, ale za to dający rezultaty już w kilka godzin.

Jedną z zalet pracy w charakterze konsultanta agencji wywiadowczej jest to, że możesz uczestniczyć w rozmaitych szkoleniach. Zdecydowałem się na warsztaty z inżynierii społecznej, ponieważ nie miałem żadnych zdolności w tym kierunku. Oprócz tego, że poznałem typowe zagrywki złoczyńców, służące choćby nakłanianiu ludzi do instalowania zawirusowanych programów, i dowiedziałem się, jak pokierować rozmową i rozmówcą, tak by osiągnąć założone cele, to jeszcze nauczyłem się, jak zdumiewająco łatwo uzyskiwać dostęp do chronionych budynków.

Zostawiam auto przy ulicy i udaję się na tyły budynku administracji okręgu szkolnego Los Angeles. Rozglądam się za luką w systemie i znajduję ją na skraju parkingu, tam gdzie pracownicy udają się podczas przerwy na papierosa.

Widzę dwie kobiety i mężczyznę w półoficjalnych strojach biznesowych. Cała trójka zaciąga się, stojąc pod drzewem w odpowiedniej, regulowanej przez prawo stanu Kalifornia odległości od budynku.

Uczepiwszy identyfikator na pasku – „przez roztargnienie” zdjęciem do wewnątrz – podchodzę do nich, wyjmując świeżo kupione camele, witam się przyjaznym skinieniem głowy i zapalam papierosa.

– Patrzcie, nowy – odzywa się mężczyzna. Latynos, mniej więcej mojego wzrostu, kudłaty i roześmiany.

– Szukałem zakątka palaczy i go znalazłem.

– Jestem Corrine – przedstawia się czarnoskóra kobieta po mojej lewej stronie. – To Jackie i Raul.

– Wskazuje drugą Afroamerykankę i Latynosa. – A ty? – pyta z uśmiechem.

– Jeff. Przysłali mnie z biura gubernatora na spotkanie, które trwa już od dwóch godzin, a ja nadal nie wiem, czego właściwie dotyczy.

– Sacramento? – pyta Jackie.

– I Los Angeles. Dojeżdżam.

– Najważniejsze: singiel? Hetero? – rzuca Corrine. – Cierpimy tu na niedobór chromosomu Y.

– Rozwiedziony. Przyzwyczajam się do żywota singla.

Kobiety patrzą po sobie, uśmiechają się i oznajmniają jak na komendę:

– Pauline.

– Oj, stary – wzdycha Raul. – Nie masz pojęcia, w co wdepnąłeś.

I nawzajem.

Przez kolejne dziesięć minut z lekkimi wyrzutami sumienia, że postępuję wobec nich nieuczciwie, przerzucam się uwagami z nowo poznanym koleżeństwem, a kiedy gasimy papierosy i kierujemy się do wejścia, zagaduję Corrine, podczas gdy Raul macha identyfikatorem przed czytnikiem i wpuszcza nas wszystkich do środka.

– Wiesz, jak trafić? – pyta Raul w drodze do wind.

– Muszę tylko znaleźć salę konferencyjną pełną śpiących ludzi.

– Zapraszam na pierwsze. Do wyboru, do koloru – odpowiada, gdy zamykają się za nami drzwi.

Kiedy wysiadam piętro wyżej, Corrine celuje we mnie palcem i mówi:

– Zatrzymaj się później na trzecim. Chciałybyśmy, żebyś kogoś poznał.

Raul przewraca oczami. Drzwi się zamykają.

Tak oto dostałem się do budynku administracji okręgu szkolnego – i nawet mam szansę na randkę. Wszystko dzięki temu, że pokazałem grupie osób bojkotowanych towarzysko ze względu na nałóg, że jestem jednym z nich. Najtrudniejsze było powstrzymanie się od kaśnięcia, kiedy udawałem, że się zaciągam.

Przeniknąłem do budynku pełnego archiwów, ale moim celem nie jest uzyskanie dostępu do komputera ani grzebanie w aktach, tylko znalezienie wolnego telefonu.

Idę korytarzem, zaglądam do mijanych sal konferencyjnych, aż natrafiam na małe niezajęte pomieszczenie. Siadam na fotelu, rozkładam przed sobą dokumenty z przyniesionej przez siebie teczki i staram się sprawiać wrażenie, jakbym pracował we własnym biurze. Zadowolony, że na razie nikt nie zamierza mnie wyrzucić, podnoszę słuchawkę telefonu i wybieram numer szkoły podstawowej, licząc, że osobą, która się zgłosi, nie będzie pani Dawson.

– Garvin. Z kim połączyć?

– Witam, mówi Showalter z archiwum okręgu. Przetwarzamy formularze z numerami kontaktowymi do rodziców w nagłych przypadkach. Mamy tu jeden wypełniony przez waszego ucznia, ale niestety, nie jesteśmy w stanie go rozszyfrować. Chciałem potwierdzić poprawność danych.

– Oczywiście. O którego ucznia chodzi?

– Rico Caldwell.

– Rozumiem. Niestety, nie mogę panu przekazać informacji przez telefon, ale mogę potwierdzić, czy numer, którym pan dysponuje, jest poprawny.

Spodziewałem się tego.

– Obawiam się, że zeskanowany obraz jest zbyt niewyraźny. Może umówmy się, że dla pewności to pani zadzwoni do mnie. Podam wewnętrzny.

– Dobrze, pod warunkiem że to numer osiemset osiemnaście czterysta trzydzieści cztery.

Zerkam na aparat.

– Zgadza się. Wewnętrzny to trzydzieści osiem siedemdziesiąt cztery. Proszę zapytać o Showaltera, gdyby odebrał ktoś inny.

– Proszę dać mi sekundkę.

Zajmuje jej to dwanaście.

– Showalter – rzucam.

– Przepraszam za to. Czasami mamy kontrole. Sprawdzają, czy nie udostępniamy informacji na temat naszych uczniów. Wydaje mi się, że ktoś już do nas dzwonił w sprawie Rica. Czy wszystko w porządku?

– Chyba tak. Wie pani, kto dzwonił?

– Trzy dni temu odezwał się ktoś z przychodni pediatrycznej, ale nie zostawił numeru.

Ciekawe. Czyżby drapieżca krążył wokół ofiary?

– Ma pan długopis? – pyta kobieta, po czym dyktuje mi adres domowy Rica, podaje imię jego matki oraz wszystkie pozostałe informacje z formularza kontaktowego.

Dziękuję jej za pomoc, odkładam słuchawkę, zbieram rzeczy i jak najszybciej ewakuuję się z budynku.

Zbratanie się z Corrine i towarzystwem z trzeciego piętra ułatwiłoby mi późniejszy dostęp do administracji okręgu, ale też stworzyło niepotrzebne ryzyko – podczas rozmowy z kimś lepiej zorientowanym dziewczyny albo Raul mogliby wspomnieć o facecie z biura gubernatora. Prawdopodobieństwo, że ktokolwiek przejąłby się tajemniczym gościem, jest wprawdzie bliskie zeru, ale właśnie: bliskie, a nie zupełnie zerowe. Poza tym muszę się upewnić, że Rico jest cały i zdrowy.

19. Z pierwszej ręki

Rico mieszka na osiedlu Lincoln Gardens, na które składa się kilka żółtych piętrowych budynków z odpryskującą farbą, zgrupowanych wokół niewielkiego parku porośniętego wspomnieniem trawy. Czarnoskóre dzieciaki rzucają do kosza, latynoskie nastolatki ganiają za futbolówką na wytartym boisku. Jedni i drudzy wzmacniają stereotyp, przez którego pryzmat ich postrzegam. Matki stoją przed domami i plotkują, a mężczyźni opierają się o samochody i rozmawiają po hiszpańsku i angielsku. Nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Mieszkanie Rica znajduje się w jednym z ostatnich budynków w szeregu. Z otwartych drzwi na piętrze dolatuje ryk telewizora. Na szczycie schodów napotykam małą, dwu-, może trzyletnią dziewczynkę bawiącą się zepsutą lalką i pokrywką od garnka. W mieszkaniu dwóch mniej więcej trzynastoletnich chłopców ogląda film, rozwaliwszy się na kanapie. Na ekranie trwa pościg samochodowy ulicami miasta.

Pukam do otwartych drzwi.

– Cześć.

Chłopcy obrzucają mnie spojrzeniem i po chwili przenoszą wzrok z powrotem na telewizor.

– Mama w domu? – pytam.

– *¡Vete, gringo tonto!* – krzyczy jeden z nich.

– *¡Bájate del sofá, cucaracha perezosa!* – odpowiadam głośniejszym głosem niż zwykle.

Pokazuje mi środkowy palec.

Raz jeszcze pukam do drzwi, licząc, że zwrócę na siebie uwagę jakiegoś dorosłego.

Wkurzony tym, że zagłuszam ryk silników, gówniarz wrzeszczy do drugiego pokoju:

– *¡Abuela! ¡Hay un maricón en la puerta!*

Zjawia się drobna, starsza kobieta w podomce. Drepcze w stronę drzwi.

– *¿Qué?* – pyta, podnosząc głowę, żeby na mnie spojrzeć.

Pokazuję jej swoją legitymację, licząc, że przyda mi wiarygodności.

– *¿Dónde está Rico?*

Kobieta obraca się i krzyczy:

– Rico! Rico!

Z pokoju wychodzi chudy chłopczyk. Patrzy na mnie nieufnie. Jest ubrany w same szorty i wygląda nieco zbyt mizernie jak na swój wiek.

– Rico? – zwracam się do niego.

Kiwa głową.

– *¿Hablas inglés?*

– Tak.

Ostrożnie podchodzi bliżej, trzymając się babci. Klękam, żeby móc spojrzeć mu w oczy z jego poziomu. Dziewczynka, która bawi się u moich stóp, obdarza mnie przyjaznym uśmiechem.

Wyjmuję z kieszeni wydruk zdjęcia jego rysunku.

– Czy to ty narysowałaś? – Chłopiec wpatruje się w obrazek. Zastanawia się, czy będzie miał

kłopoty. – Nie bój się. Chcę tylko wiedzieć.

Dwóch nastolatków z kanapy nagle się zainteresowało, przyczłapało z pokoju i stanęło za plecami Rica.

– Tak – mówi malec.

– Czy wiesz, kto to jest?

Kiwa głową, że tak.

– Jak się nazywa?

Naraz dostrzegam lęk w jego oczach. Nie boi się rysunku ani pytania – boi się mnie.

Odwraca się, przeciska między starszymi chłopcami i biegnie z powrotem do pokoju. Ci wybuchają śmiechem.

– *Hombre de juguete* cię dorwie! – krzyczy za nim jeden, mieszając hiszpański z angielskim.

Wstaje.

– Wiecie, kto to jest?

– *Sí* – odpowiada drugi. – Zabaweczka. Wszyscy go znają.

– Widziałeś go?

– *Sí* – przyznaje, zerkając na kolegę.

– Gdzie?

– W parku Guzmanana. Zawsze tam jest.

– To biały?

– Nie – kręci głową. – *El negro*.

– Wiesz, kiedy będzie w parku?

– No, jest teraz – odpowiada bez mrugnięcia okiem i narady z kumplem. Wyczuwam w jego głosie taką pewność, że mu wierzę. Natomiast nie jestem przekonany do całej reszty.

Chętnie porozmawiałbym z małym Rikiem i spróbował dowiedzieć się czegoś więcej, ale coś mi mówi, że nie jest w nastroju. Kiedy wspomniałem o Zabaweczce, dzieciak zbladł jak ściana. Jego starsi towarzysze z jednej strony uznali to za żart, a z drugiej chyba naprawdę wiedzą, gdzie można znaleźć tego człowieka.

– Dziękuję. – Uśmiecham się do ich zdezorientowanej babki. Kiedy ruszam schodami na dół, dziewczynka macha mi na pożegnanie.

Odchodząc, czuję na sobie spojrzenia chłopców, którzy wyszli na balkon na szczycie schodów. Mam wrażenie, że dzieje się tu coś, czego nie ogarniam.

Park Guzmanana znajduje się dwie minuty samochodem od Lincoln Gardens. Leży na trasie pomiędzy mieszkaniem a szkołą Rica, akurat na drodze chłopca, gdyby ten chodził na piechotę, zamiast jeździć autobusem. Zostawiam auto przy ulicy i wchodzę do parku. Staram się zachowywać tak, jakbym się wybrał na zwykły spacer. Po boisku do koszykówki biega grupa chłopaków, a kilka nastoletnich dziewczyn zaanektowało na plotki jedną z betonowych ławek. Spotykam kilka rodzin ze spacerówkami; rodzice trzymają za rączki dzieci, które uczą się chodzić.

Jest przyjemny wieczór, z którego każdy zdaje się czerpać własną przyjemność. Nieco z boku stoi grupka młodych mężczyzn palących zioło, a na rogu alejki dwóch kolejnych dokonuje jakiejś nielegalnej transakcji. Nikt nie zwraca na nich uwagi. Nie widzę białego cadillaca ani czarnoskórego mężczyzny w ciemnym ubraniu i z workiem pełnym zabawek. Nie to, że bym się spodziewał kogoś

dokładnie takiego jak na rysunkach. Kończę obchód ścieżką dokoła parku i skręcam w stronę środka, gdzie znajduje się niewielki krąg ławek. Siadam i wypatruję czegoś, czegokolwiek, podejrzanego.

Zaczynam już dochodzić do wniosku, że dwaj chłopcy zwyczajnie mnie nabrali, kiedy nagle słyszę kroki na trawie za plecami. Oglądam się przez ramię i widzę, że zbliża się do mnie detektyw Corman.

20. Brakujący łącznik

- Podobno chce pan się tu przeprowadzić razem z rodziną – rzuca z sarkazmem, siadając obok mnie.
 - Chętnie bym to zrobił, ale zbyt często gubią wam się dzieci.
 - Problem polega na tym, że kiedy ten, kto zaginął, w końcu się odnajduje, ludzie nie zawsze nas informują.
 - Tak? A mi się wydawało, że problemem jest to, że nie powiadomiamy was o zaginięciu.
 - Nie sposób pomóc komuś, kto o pomoc nie prosi.
 - A Latroy Edmunds?
 - Kto taki?
 - Latroy Edmunds. Pracownica świetlicy powiedziała, że zaginął.
 - Gdybyśmy mieli sporządzać raport o każdym dziecku, które wróciło z rodzicami do Juárez albo wyjechało do Nevady, nie mówiąc nic nikomu, to z całej tej papierologii szłoby zbudować mur na granicy.
 - A Ryan Perkins? Czy jego rodzice też zmierzają do Meksyku?
Corman wzrusza ramionami,
 - Pewnie nie. Może do Atlanty. Może do Houston. Kto wie? Trudno być na bieżąco. Ludzie chcą państwa policyjnego bez policji. Co pana tu sprowadza? Szuka pan miejsca do zabawy z córeczką?
 - Przejrzałem akta, które mi pan dał.
 - Liczyłem, że pan to robi na pokładzie samolotu do Teksasu.
 - Jako naukowiec wolę pracę w terenie. Mam teorię. Podejrzewam zresztą, że nie ja pierwszy.
 - Jak brzmi ta pańska teoria?
 - Że w rejonie Los Angeles grasuje seryjny morderca.
 - No, toś mnie pan zaskoczył – komentuje szyderczo Corman.
 - Konkretnie morderca biorący na cel dzieci z trudnych środowisk. Ktoś, kto się przemieszcza, ale niezbyt często, może co parę lat zmienia miejsce zamieszkania, przenosi się kilka kilometrów dalej, żeby zerwać ze schematem miejsca działania. Być może nieco modyfikuje charakterystykę demograficzną ofiar, ale też w nieznacznym stopniu. Skupia się na małych chłopcach.
Corman zakłada ręce na piersi i przekrzywia głowę.
 - Intrygujące. Wywnioskował pan to wszystko z teczek, które ode mnie dostał?
 - Prawda, nie było to napisane wprost, dlatego rozumiem, że detektyw policji Los Angeles, niedysponujący właściwie niczym więcej, mógł mieć zgryz. Problem w tym, że nawet on nie chce wiedzieć, co tu się naprawdę dzieje. Może wyciągnął pochopne wnioski w przypadku kilku spraw, postawił na nich krzyżyk, a teraz, po paru latach, żałuje.
 - Uf, już myślałem, że chodzi o mnie – kwituje Corman. – Dałem panu teczki, bo pomyślałem, że niektóre z tych spraw mogą mieć drugie dno. Zapewniam jednak, że zdecydowana większość kończy się albo bardzo banalnie, albo bardzo tragicznie.
 - Niewykluczone. Istnieje jednak prawdopodobny element wspólny. – Pokazuję mu wydruki zdjęć rysunków Rica i Ryana. – Jeden jest dziełem zaginionego chłopca, a drugi kolegi Latroya z klasy.

Corman przez chwilę przygląda się obrazkom, po czym wybucha stłumionym śmiechem.

– Zabaweczka.

– Zna pan tę historię?

– Jasne. Freddy Krueger z Compton albo ten, jak mu tam... moi synowie o nim gadają... Slender Man. – Oddaje mi wydruki. – Znam te opowiadania. Po to pan przyszedł? Zasadzić się na miejską legendę? Może powinniśmy ściągnąć z emerytury *Pogromców mitów*?

Chowam kartki do kieszeni.

– Wiem, że to się może wydawać głupie. Przeszukałem internet pod kątem Zabaweczki. Dysponuję pewnymi użytecznymi narzędziami, które umożliwiają między innymi głęboką penetrację mediów społecznościowych.

– I co pan znalazł?

– W zasadzie nic. Raptem kilka wzmianek.

Ogarnia park gestem dłoni.

– A mimo to przyszedł pan tutaj, próbując przyłapać tę wymyśloną postać.

– Przyznaję, że dzisiejsza obserwacja może się zakończyć fiaskiem, ale moje poszukiwania dały pewne bardzo ciekawe rezultaty. Otóż wzmianki o Zabaweczce ograniczają się do tej dzielnicy. Teczki, które od pana dostałem, nie wykraczają poza zasięg lokalnego memu. Wydaje mi się to cokolwiek dziwne. Skoro Zabaweczka jest jedynie częścią miejskiego folkloru i niczym więcej, można by sądzić, że usłyszymy o nim również w miejscach, gdzie dzieci nie giną tak często jak tutaj.

– Pytał pan Bostroma, czy jego syn widział Zabaweczkę?

– Jeszcze nie. Najpierw chciałem się przekonać, czy może chodzić o coś więcej niż tylko miejscową legendę.

– „Legendę”? Sądzi pan, że jego historia sięga daleko w przeszłość?

– Nie wiem. Jak mówiłem, w sieci niewiele można znaleźć. Poza tym opowieść o Zabaweczce krąży głównie wśród uczniów szkoły podstawowej, ci zaś, zwłaszcza tutejsze dzieci, nie należą do zapalonych użytkowników Twittera.

Corman wstaje i spogląda na zegarek.

– Cóż, w takim razie powodzenia. Będzie pan miał o czym myśleć w drodze do domu.

– Szeryf wyrzuca mnie z miasta? – pytam, też wstając.

– Nie wiem jak szeryf, ale uprzedzam pana, że jeżeli się dowiem, że znów pan wszedł na teren szkoły, podając się za rodzica albo kogokolwiek innego, dopilnuję, aby mógł pan porozmawiać oko w oko z niektórymi podejrzanymi w areszcie hrabstwa.

– Nie niepokoi pana związek zaginięć z postacią Zabaweczki?

– Dwoje dzieci, z których jedno być może rzeczywiście zaginęło, rysuje miejscowego boogeymana. Czy coś takiego powinno mnie zaniepokoić? Przykro mi, ale nie. To nawet nie jest poszlaka.

– Słyszał pan o Johnie Butkovichu? Jego rodzice dzwoniли na policję ponad sto razy, prosząc detektywów o prześwietlenie człowieka, którego podejrzewali o zamordowanie ich syna.

– Niech zgadnę: okazało się, że rzeczywiście go zabił.

– Bingo. Jego i co najmniej trzydzieści albo czterdzieści innych osób; o tych wiemy. Nawet John Wayne Gacy stracił rachubę.

Corman wzdycha.

– Mogę panu obiecać, że jeśli ktoś skontaktuje się ze mną w sprawie grasującego klauna mordercy, potraktuję sprawę poważnie.

– Na pewno? – Ponownie wyjmuję kartki. – A jeśli ci chłopcy próbują się z panem skontaktować poprzez rysunki?

– Dobranoc, doktorze Cray. Miłej podróży. Dam panu znać, jeżeli Zabaweczka wpadnie się przywitać.

Przesuwam wzrok nad jego ramieniem. Światła samochodu rzucają blask na coś, czego wcześniej nie zauważyłem. Byłem zbyt zajęty wlepianiem oczu w park, w alejki i ludzi, by zwrócić uwagę na to, co znajdowało się tuż obok mnie.

– Dobrze się pan czuje?

Wskazuję coś za jego plecami.

– Te gnojki jednak nie kłamały.

21. Otagowany

Przyciskam policzki do metalowych prętów broniących wstępu na tyły zakładu naprawy klimatyzatorów, który wygląda, jakby od początku ostatniej epoki lodowcowej nikt nie korzystał z jego usług. Ścianę budynku pokrywa jedno wielkie graffiti, kolaż dzieł tysięcy malarzy. W samym środku tej mieszaniny stylów widnieje odstający od pozostałych, bo mistrzowsko wykonany wizerunek mężczyzny w czarnym garniturze, o przepastnych czerwonych oczach i złowieszczym uśmiechu. U jego stóp leżą zakrwawione lalki i figurki, a pośród nich odcięte dziecięce kończyny.

Mężczyzna wygląda jak żywy. Litery nad jego głową układają się w napis: „ZABAWECZKA PATRZY”.

Złowieszczy koszmara, najwyraźniej o wielkim znaczeniu dla autora. Robię zdjęcia. Corman przygląda się niewzruszony.

– Sądzi pan, że to dzieło dziewięciolatka? – pytam.

– To graffiti ma chyba z dziesięć lat. Nie przyszło panu do głowy, że pozostałe dzieciaki zaczęły rozpowiadać o Zabaweczce, bo zobaczyły ten koszmarek?

– Niewykluczone – przyznaję.

Wyjmuję telefon i dzwonię do Williama.

– Cześć, Theo – odzywa się. – Jak leci?

– Słuchaj, szybkie pytanie – rzucam niby swobodnym tonem. – Czy Chris kiedykolwiek wspominał o miejskiej legendzie, w której występuje postać Zabaweczki?

– Nie wydaje mi się. Dlaczego pytasz?

Mam złe przeczucie. Trop się zaciera.

– Ze zwykłej ciekawości.

– Przykro mi. Nic o tym nie wiem, nie widziałem filmu.

– Jakiego filmu?

– No... był chyba jakiś film o Zabaweczce? Albo program w telewizji?

– Skąd ten pomysł?

– Nie sądzę, żeby Chris kiedykolwiek wspominał o miejskiej legendzie, ale chyba mówił, że widział Zabaweczkę. Myślałem, że jego ciocia zabrała go do kina.

„Widział Zabaweczkę”...

– I co takiego powiedział na temat filmu?

– Że Zabaweczka to taki czarny Święty Mikołaj. Jeździ białym cadillakiem i rozdaje prezenty grzecznym dzieciom. Wiesz, jak to jest, kiedy dzieciaki dostają fioła na punkcie filmu i potem im się wydaje, że wszystko się działo naprawdę.

Jezu. Muszę wziąć głęboki oddech i zebrać myśli. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Jak wytłumaczyć Williamowi, że Zabaweczka to nie film, lecz człowiek z krwi i kości, z którym jego syn mógł rozmawiać – i który być może pozbawił Chrisa życia.

– Muszę coś sprawdzić. Pogadamy później.

Corman przysłuchuje się rozmowie oparty o ogrodzenie. Widzi moją minę, kiedy chowam telefon.

- Zatem Chris Bostrom też słyszał o Zabaweczce.
- Powiedział ojcu, że go widział...
- William nic mi nie mówił – odpowiada lekko zaskoczony.
- ...a ten uznał, że chodzi o film.

Corman kręci głową i wbija spojrzenie w ziemię.

- Wie pan, dlaczego William tak długo zwlekał ze zgłoszeniem zaginięcia Chrisa?
- Patrząc na waszą pracę, też bym się wahał.
- Kiedy się spotkaliśmy, miał przekrwione oczy i zaliczał zjazd. Nie wiem, czy ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, co robił jego syn, co widział i kogo znał.

Pokazuję trzy palce.

- Troje dzieci. Wszystkie widziały Zabaweczkę.
- Na pewno wszystkie wiedziały też, kim jest Magneto. To żadna zbieżność, tylko miejscowa bajeczka, którą dilerzy straszą swoje młodsze rodzeństwo, żeby nie pajacowało. – Corman zbywa moją teorię lekceważącym gestem dłoni. – Jeśli go pan wytropi, proszę dać mi znać. Schodziłem wszystkie uliczki i zaułki i nie znalazłem żadnego Zabaweczki.

Corman odchodzi w swoją stronę, a ja siadam na ławce twarzą do muralu, otwieram zdjęcie w telefonie i powiększam obraz.

Niesamowite, ile szczegółów udało się zawrzeć autorowi w pozornie zwyczajnych plamach krwi i w przeszywających oczach. To nie jest coś, co nastoletni grafficiarz maluje na szybko sprayem, bo ma z tego frajdę – to dzieło, które pomaga artyście poradzić sobie z czymś, co go dręczy i nie daje mu spokoju.

Autor nie tylko słyszał o Zabaweczce – on go spotkał, a graffiti jest rodzajem terapii.

Powiększam prawy dolny róg zdjęcia. Ukazuje się podpis: „D. Rez”.

Założę się, że ten człowiek miałby mi wiele do powiedzenia. Może o tym, jak przed dziesięcioma laty on i jego kumple wymyślili tę szaloną miejską legendę. Czy właśnie to podpowiada mi intuicja?

Nie mogę jej zlekceważyć. Muszę potwierdzić albo oddalić przecucie.

Dzwonię do Cormana na komórkę, mimo że z miejsca, w którym siedzę, widzę, jak wsiada do auta.

– Tak?

– Czy może mnie pan skontaktować z kimś w wydziale do walki z gangami? Najlepiej z osobą, która się zajmuje graffiti.

Słyszę, jak wzdycha.

– Pod warunkiem że wreszcie pan wyjedzie... Proszę zadzwonić na posterunek i porozmawiać z Marcusem Grenierem.

– Dziękuję.

– Tylko proszę, z łaski swojej, nie mówić, że to ja pana skierowałem.

Dziesięć minut później telefon odbiera mężczyzna raczej oszczędny w słowach.

– Grenier.

– Powiedziano mi, że mogę z panem porozmawiać na temat graffiti.

– Chodzi panu o osobę od programu Czyste Miasto. To oni odpowiadają za usuwanie...

– Nie, nie. Chciałbym ustalić tożsamość taggera – precyzuję.

– Jeśli pan powie, że dzwoni z galerii sztuki, to panu jebną przez łącza. Nie będziemy złamasów zachęcali.

– A jeśli powiem, że prowadzę z nim wojnę na tagi i chcę mu spuścić wpierdol za podpisanie mojego artu?

– Odparłbym, że pieprzy pan jak potłuczony, ale podoba mi się pański tok myślenia. Jakiś palant pomazał panu ścianę?

– Tak jakby.

– Dam panu kontakt do prawnika, bo może chce go pan pozwać. Ha, ha. Albo telefon do prokuratury, może oni już prowadzą śledztwo przeciwko niemu. Co to za tag?

– De, kropka, er, e, zet.

– Chwileczkę. – Słysząc, jak stuka w klawisze. – Woli pan dobrą czy złą wiadomość? Właściwie to obie są dobre. Artice Isaacs przebywa obecnie w areszcie hrabstwa, oczekując na proces. Jest oskarżony o napad z bronią w ręku. No proszę, historia z happy endem. Od razu poprawił mi się nastrój.

– Czy mogę prosić o numer sprawy?

– Co, jeszcze panu mało? To jego trzecie ciężkie przestępstwo. Tym razem nieprędko wyjdzie. Ale jak pan chce. Mogę dyktować?

22. Konfabulacja

Dzień później siedzę na przyśrubowanym do podłogi małym metalowym stołku, zaprojektowanym tak, by zapewniać minimum wygody. Na stanowisku obok, ale po drugiej stronie szyby, biały mężczyzna z niecenzuralnym tatuażem na szyi – który nieco utrudni mu kandydowanie na urząd publiczny, gdyby zechciał się o niego ubiegać – zasłania dłonią mikrofon telefonu, żeby nie rozgniewać strażników, i z wściekłością beszta swoją dziewczynę za jakąś sprawę rodzinną. Wygląda mi na gościa z klasą.

Nie wiem, czego się spodziewać po wizycie u Artice'a. Jego kartoteka nie wygląda zachęcająco. Teczka młodzieńczych dokonań grafficiarza została wprawdzie zamknięta, ale fakt, że swój pierwszy dorosły akt oskarżenia usłyszał w wieku zaledwie szesnastu lat, każe mi przypuszczać, że pękała w szwach.

Artice spędził dzieciństwo w rodzinach zastępczych. Jego matka wychodziła z więzienia – a wtedy tułała się od alfonsa do alfonsa – tylko po to, żeby zaraz wrócić do mamra. Życie nigdy nie dało mu prawdziwej szansy. Pierwszą odsiadkę jako dorosły odbył za posiadanie z zamiarem sprzedaży. Po raz ostatni trafił za kratki za próbę okradzenia kierowcy ubera, którego zresztą wezwał ze zwędzonego telefonu komórkowego.

Pocieszam się, że jeśli wierzyć kartotece, Artice nigdy tak naprawdę nikogo nie skrzywdził – no, ale może to też oznaczać, że po prostu nigdy mu tego nie zarzucono. Prawda o zdeklarowanych przestępcach jest taka, że udaje się ich oskarżyć o mniej niż dziesięć procent występków, których się dopuszczają. Myślę o tym, ilekroć czytam na jakimś blogu, że „ten człowiek jedynie...”. Z drugiej strony nasz system sprawiedliwości opiera się na tym, co zdołamy udowodnić, a nie na tym, co podejrzewamy. Nie wiem, czy istnieje lepsze rozwiązanie, chyba że chcemy się stać państwem policyjnym.

Prosząc Artice'a o spotkanie, powiedziałem mu, że jestem dziennikarzem, a słowa poparłem banknotem pięćdziesięciodolarowym, który powędrował na jego więzienne konto, żeby mógł sobie kupić przekąski albo inne rzeczy, które na zewnątrz uważamy za coś oczywistego, a tu urastają do luksusu.

Kiedy go prowadzą, pierwszą rzeczą, na jaką zwracam uwagę, są jego szare, niemal srebrne oczy, którymi wpatruje się we mnie z drugiego końca pomieszczenia. Nieznacznie unosi brodę i układa usta w uśmiech.

Strażnik wskazuje mu miejsce naprzeciwko mnie. Artice siada i sięga po słuchawkę.

– Jesteś moją nową ulubioną osobą! Dzięki za datek na Fundusz Resocjalizacji Artice'a.

– Cieszę się, że mogłem pomóc – odpowiadam. – Mam to sobie odliczyć od podatków razem z trzema godzinami, które spędziłem w poczekalni?

– Przepraszam. Następnym razem szepnę chłopakom, żeby cię tyle nie trzymali.

Nie wiem, czego się spodziewałem, ale na pewno nie takiego niefrasobliwego młodego typka.

– Dzięki. – Może wystarczy już tych uprzejmości? Nie jestem dobry w tych sprawach, nawet kiedy nie rozmawiam z gośćmi, którzy jeszcze nie wiedzą, czy kilkanaście najbliższych świąt Bożego

Narodzenia nie spędzą za kratami.

– Przyjechałeś poznać moją wersję zdarzeń?

Artice myśli, że chodzi o sprawę kierowcy ubera.

– Nie.

Zbijam go z tropu. Zmienia mu się wyraz twarzy. A już chciał wydeklamować wyuczone alibi.

– Zaraz, to nie jesteś dziennikarzem, który chciał zrobić ze mną wywiad?

– Skłamałem – przyznaję.

– To co tu, kurwa, robisz? Jeśli jesteś prokuratorem, sędzia może mi odrzucić sprawę.

– Nie jestem prawnikiem – zapewniam. Otwieram zdjęcie muralu. – Chciałem cię zapytać o to.

Szybko rzuca okiem na fotografię i znów patrzy na mnie.

– Nie wiem, kim jest D. Rez. Ale widać, że to zdolny młody człowiek. Jeśli interesuje cię wystawa jego prac, mogę spróbować cię z nim skontaktować.

– Jeśli D. Rez zdecyduje się odpowiedzieć na kilka moich pytań, wpłacę pięć dych na jego konto stołówkowe.

Artice rozważa propozycję.

– Wiesz co? D. Rez akurat jest dostępny. Zaczekaj. – Wstaje i znów siada. – Czym mogę służyć?

Artice lubi odgrywać komedię. Podejrzewam, że rozwinął w sobie tę umiejętność jako mechanizm obronny, kiedy przetrzucano go z domu do domu, a później z ośrodka do ośrodka.

– Panie D. Rezie, porozmawiajmy o Zabaweczce.

Jego twarz tężeje. Nieodłączny grymas uśmiechu błednie. Na krótką chwilę ukazuje się oblicze przerażonego dziecka.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Wskazuję słowo „Zabaweczka” na górze obrazka.

– O to. Jeśli się nie mylę, wykonałeś ten napis tą samą farbą, której użyłeś do pozostałych części malunku.

Próbuje mnie rozgryźć, zastanawia się, po co naprawdę przyjechałem.

– Chcę usłyszeć tę historię – mówię.

– Nic nie wiem. To tylko coś, o czym gadały dzieciaki. I tyle. – Jego głos brzmi niemal mechanicznie.

– Spotkałeś go?

Zbyt długo waha się przed odpowiedzią, bym teraz dał mu się przekonać, że było inaczej.

– Czy go spotkałem? On nie istnieje. Jest jak Freddy Krueger. Jak można spotkać kogoś takiego? Chyba że aktora, który go gra.

– Słyszałeś o mordercy z Montany? O tym, który prawdopodobnie ustanowił nowy rekord, jeśli chodzi o liczbę ofiar?

Powoli kiwa głową.

– Możliwe, że mówili o nim w wiadomościach. Wielki, przerażający wieśniak.

– To właśnie on. Spotkałem go.

– I jak było?

– O mało mnie nie zabił. Nie lubię o tym rozmawiać.

– I ludzie ci uwierzyli?

Ha! Już wiem, skąd ta niechęć do tematu.

– W końcu tak. Ale z początku wszyscy mnie zbywali. Musiałem wykopać trupy. Dużo trupów. –
Wciąż mam przed oczami blade, gnijące twarze młodych kobiet, które wygrzebałem z ziemi. –
Wiem, jak to jest, kiedy nikt nie chce ci uwierzyć.

Kręci głową.

– Nie wiem, o czym gadasz. Pocięły mnie dzieciaki z gangu.

Cholera. Nie spodziewałem się czegoś takiego.

– To wspomnienie jest prawdziwe czy wymyślone przez terapeutów?

– Terapeuci... Jebać ich. Pakują ci się do głowy i mówią, co jest prawdziwe, a co nie. Gówno wiedzą.

Jeszcze raz pokazuję mu zdjęcie muralu.

– Kim on jest? Co ci zrobił?

– To pierdolony duch.

– Co to znaczy?

Artice patrzy przed siebie, zastanawiając się nad odpowiedzią. Nie popędzam go, bo widzę, jak głęboko to w nim siedzi.

Przenosi wzrok na zdjęcie i mówi ledwie słyszalnym głosem:

– Powiedzieli mi, że wszystko zmyśliłem. Nazwali mnie kłamcą. Ale przecież byłem mały i nie potrafiłbym wymyślić czegoś tak pojebanego.

– Jak bardzo pojebanego?

23. Biały samochód

Relacjonując spotkanie z Zabaweczką, Artice trzyma się jedną ręką za głowę i wbija spojrzenie w blat, na którym opiera łokcie. Milczę i pozwalam mu mówić. Mam poczucie, że jako dorosły nigdy wcześniej o tym nie opowiadał. Z czasem szczegóły się zamazują, ale upływ lat pozwala na głębsze zrozumienie tego, co zaszło.

Pierwsze, co mnie uderza, to niejasność ram czasowych. Nigdy się nie dowiem, kiedy dokładnie zetknął się z Zabaweczką, ale wystarczy krótka rachuba, by stwierdzić, że nastąpiło to w okresie od pół roku do roku przed zaginięciem Christophera Bostroma.

Ze zbolącej miny Artice'a wnioskuję, że jego wspomnienia nadal są żywe.

– Zanim go poznałem, słyszałem, że dzieciaki w kółko o nim mówią. Jeździł wielkim białym cadillakiem, zatrzymywał się przy tobie, opuszczał szybę i pytał, czy byłeś grzeczny. Jeśli odpowiedziałeś, że tak, dawał ci pięć dolarów i czasem jakąś figurkę albo coś takiego. Prosił, żeby nikomu o tym nie mówić, bo inni będą zazdrościć. Ale wiadomo, że dzieciaki rozmawiają między sobą. „Słyszałeś o Zabaweczce?”, pytały szeptem i chciały wiedzieć, czy ty też już go spotkałeś. Niektórzy kłamali, że tak, spotkali, bo nie chcieli czuć się wykluczeni. Ja nigdy nic nie miałem, więc możesz sobie wyobrazić, jak cholernie się cieszyłem na myśl, że Zabaweczka może zatrzymać się też przy mnie. Mówię ci, wystawałem na chodniku i wgapiałem się w każdy biały wóz, licząc, że to jego bryka. Aż któregoś dnia idę Sto Dwudziestą i nagle widzę wielkiego białego cadillaca. „Hej, ty tam! – krzyczy do mnie facet o głębokim głosie, głębokim jak skurwysyn. – Byłeś grzeczny?”. „I to jak!”, odpowiadam, na co on wyjmuje pięć dolarów i chce mi je dać, tak po prostu. Podchodzę do okna, a wtedy on wyciąga dłoń i łapie mnie za rękę, niezbyt mocno, ale zdecydowanie, i przyciąga bliżej. Zagląda mi w oczy i jeszcze raz pyta, czy byłem grzeczny. „Tak, proszę pana”, mówię. Chce wiedzieć, jak się nazywam i gdzie mieszkam. Daje mi tę piątkę. „Niech to będzie nasza tajemnica”, rzuca i odjeżdża. Nigdy w życiu nie miałem takiej forsy. Jakbym wygrał na loterii. Od razu pobiegłem do sklepu, tam gdzie sprzedawali cukierki po dziesięć centów, i kupiłem po jednej sztuce każdego rodzaju. Pamiętam, że siedziałem na ławce, jadłem te wszystkie słodczyce i myślałem, że to najpiękniejszy dzień mojego życia. Głupi byłem jak but z lewej nogi. Zabaweczka kupił mnie za pięć dolców. – Milknie. – Przez wiele dni żyłem nadzieją, że znów się pojawi – podejmuje po chwili. – I w końcu rzeczywiście przyjechał. Zatrzymał się tym swoim cadillakiem i spytał, czy byłem grzeczny. „Tak, proszę pana”, odparłem. Wtedy powiedział, że podobno wygadałem, że dał mi pięć dolarów. Najpierw zacząłem protestować, że tamci kłamią i w ogóle, ale potem przyznałem, jak było naprawdę, i obiecałem, że to już się więcej nie powtórzy. Kiedy ruszył, poczułem się, jakby Święty Mikołaj pominął nasz dom. Nagle zapaliły się światła stopu i to było, jakby Święty Mikołaj zmienił zdanie. Otworzyły się drzwi po stronie pasażera i usłyszałem jego głos: „Chcesz, żebym cię zabrał do Zabawkowa?”. Ni chuja nie wiedziałem, co to oznaczało, ale bardzo, bardzo chciałem tam pojechać. Dlatego odparłem: „Poproszę, panie Zabaweczko”. On na to, że będę się musiał położyć na podłodze, bo dzieci nie mają wstępu do Zabawkowa, ale postara się mnie przemycić. Stary, miałem dziewięć lat. Te bzdury brzmiały wtedy cholernie sensownie. Nie pomyślałem, że chodzi o to, żebym nie

wiedział, dokąd jedziemy. Nie mam pojęcia, ile czasu minęło. Kilka minut? Parę godzin? Byłem taki podjarany, że zupełnie mnie to nie obchodziło. W końcu on mówi, że mogę wysiąść. Dotarliśmy do Zabawkowa. Otwieram drzwi i co widzę? No, kurwa, rzeczywiście, Zabawkowo. Dziś już wiem, że to był garaż, ale wtedy równie dobrze mógł być biegun północny. Półki pełne figurek, gier... jebany sklep z zabawkami. Poza tym balony i muzyka. Zaprowadził mnie do pomieszczenia, w którym na wielkim telewizorze leciały kreskówki. Na drugim była włączona gra wideo. Pozwolił mi grać tyle, ile chciałem. Pamiętam, że dał mi do picia sok, po którym poczułem się trochę dziwnie. Myślałem, że to normalne w Zabawkowie. – Nabiera powietrza. – No więc grałem w gry, a on robił różne rzeczy. Łapał mnie, jakby to też była gra. Śmiałem się i miałem frajdę. Nie wiedziałem, co się dzieje. – Na twarzy Artice’a maluje się udreka. – Byłem dzieciakiem, któremu nikt nie poświęcał uwagi.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Przepraszam cię. Naprawdę mi przykro, że to z ciebie wyciągam.

Posyła mi dziwne spojrzenie.

– Psychologowie w poprawczaku też chcieli o tym gadać. Ale to, kurwa, wcale nie było najgorsze. Bo później złapał mnie za fiuta i tak dalej. A potem zapakował mnie do wozu, kazał się położyć na podłodze i odwiózł mnie tam, skąd zabrał. Słyszałem, jak któryś z chłopaków opowiadał, że Zabaweczka też go dotykał i w ogóle. Kiedy inny nazwał go pedziem, postanowiłem trzymać głowę na kłódkę. Kilka dni później znów po mnie przyjechał. Zapytał, czy komuś powiedziałem. Odparłem, że nie. Tym razem uwierzył. Obiecał, że tak jak poprzednio zabierze mnie do Zabawkowa, i kazał się schować. Na miejscu znowu mnie poczęstował czerwonym napojem, ale przypomniałem sobie, że kiedy się go napiłem, za cholere nie szło mi w *Super Mario Kart*, i tym razem tylko udałem, że piję, a tak naprawdę wylałem wszystko na podłogę. Siedziałem w fotelu i grałem w najlepsze, kiedy wszedł Zabaweczka i powiedział, że chce mnie zabrać do specjalnego pokoju, do którego wpuszcza tylko najgrzeczniejszych chłopców. Pamiętam, że zapytałem, co tam jest. Odparł, że niespodzianka. – Artice zawiesza głos. – No więc jasne, że z nim poszedłem – mówi po chwili. – Wyszliśmy na zewnątrz, na podwórze. Stał tam garaż albo, nie wiem, jakaś szopa. W środku było ciemno, przestraszyłem się, ale Zabaweczka powiedział, że nie ma się czego bać. Włączył muzykę, naprawdę głośno. Słyszałem, jak się porusza. Staliśmy na czymś śliskim, co przypominało materac w sali gimnastycznej. Nagle włącza się światło i... ja pierdołę... – Artice zamyka oczy. – Stoi przede mną Zabaweczka, goły jak go Pan Bóg stworzył. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, były blizny na jego ciele. Co za popierdoleństwo. Potem dotarło do mnie, że trzyma nóż w ręku. Wielki jak skurwysyn. Ale co tam nóż, najgorsza była jego mina. Najbardziej przerażająca rzecz, jaką w życiu widziałem. Zawsze się uśmiechał i miał taki miły wyraz twarzy. A to... wyglądało, jakby go opętał demon. Nawet nie zauważyłem cięcia. – Przesuwa palcem w poprzek piersi. – Miałem na sobie workowatą bluzę, nie pamiętam po kim. Ostrze nie weszło głęboko, ale je poczułem. Rzuciłem się do drzwi. Zabaweczce musiało się wydawać, że je zamknął, albo może był tak napruty, że nie zdążył zareagować. Nie wiem. – Artice przerywa. Jego oddech staje się szybszy, a wzrok wbija się w jakiś odległy punkt. Nagle widzę uśmiech na jego twarzy. – Wypadłem na zewnątrz i zapierdalałem, człowieku, jak kot, któremu dzieciaki podpaliły ogon. Podwórze otaczał płot, ale byłem zwinny. Pamiętam dźwięk, jaki usłyszałem, kiedy Zabaweczka walnął w ogrodzenie jak nosorożec. Bum! „Wracaj! – wrzasnął. – To tylko zabawa!”. Sranie w banie. Aż tak głupi nie byłem. Puściłem się

biegiem i gnałem, aż dotarłem do przystanku. Zobaczyła mnie jakaś Meksykanka i zaczęła się drzeć. Następne, co pamiętam, to że siedzę w karetce, a glina mnie pyta, co się stało. Mówię, że byłem w Zabawkowie i że pan Zabaweczka zamienił się w potwora. Oczywiście uznali, że mi odbiło. Kilka dni później zabrali mnie nieoznakowanym radiowozem, jeździli ze mną po okolicy i pytali, w którym to było domu, ale nie umiałem powiedzieć. Bo jak uciekałem, to uciekałem i nie oglądałem się za siebie. Psychologowie uznali, że chodzi o jakiś rytuał dla początkujących w gangu i że kłamię. Miałem dziewięć lat. Po świecie chodzi wielu pojebów, ale w tamtym czasie nie było żadnego, nie wiem, dziecięcego gangu, który by robił takie rzeczy. Policja uwierzyła w to, co chciała. Ja w końcu zrobiłem to samo.

– Przepraszam, że musiałeś do tego wracać – odzywam się po kilku minutach. – Czy to znaczy, że kiedy go malowałeś...

– Chyba próbowałem ostrzec inne dzieciaki. Ale tak naprawdę niewiele pamiętałem. Raz na jakiś czas wracają do mnie urywki... Nawet teraz, po latach. Na przykład zapach garażu. Jakby coś tam zdechło. I inne rzeczy. Na ścianach były półki, na nich słoiki, a w środku... jakieś gówno. Nie wiem co, ale na pewno nie cholerne masło orzechowe. – Głęboko wzdycha. – No więc tak. Artice kontra Zabaweczka.

– Jezu – udaje mi się wybąkać.

– Nie musisz mi współczuć. Lepiej współczuj małym braciom, którzy woleli nie oszukiwać w *Super Mario Kart*.

– Nie udało ci się namierzyć tego domu?

Kręci głową.

– Kiedy podrośłem, siadałem za kierownicą, kładłem gnata na kolanach i krążyłem, szukając budynku i rozglądając się za białym cadillakiem, ale ani jednego, ani drugiego nigdy nie odnalazłem. Nie wiem, jak daleko odbiegłem tamtego dnia, ale raczej niedaleko, bo mocno krwawiłem. W każdym razie na tyle daleko, że gliny nie dopadły Zabaweczki.

– Przypominasz sobie cokolwiek? Inne domy? Charakterystyczne miejsca?

– Mam przebłycki, ale wszystko mi się miesza.

– A gdyby istniał sposób na odtworzenie tej drogi?

– Czyli że co?

– Podejrzewam, że nie ma aż tak wielu domów z garażem i płotem, jakie opisałeś.

– Jeśli masz zdjęcia, to mogę rzucić okiem.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Mam coś lepszego.

24. Symulacja

Godzinę jazdy na północ z Barstow w Kalifornii znajduje się miasto, które wygląda jak przeniesione z Afganistanu. Bazary, meczety, a nawet stadion piłkarski na tle pustynnego krajobrazu łatwo pomylić z którymś z tysięcy podobnych widoków na Bliskim Wschodzie.

Osadę w Fort Irwin, bo o niej mowa, stworzono jako poligon dla żołnierzy wyjeżdżających na misje zagraniczne. W innych bazach również wzniesiono podobne konstrukcje – jest wśród nich rozciągnięty na stu dwudziestu hektarach kompleks w Wirginii, służący do ćwiczenia walki z terrorystami w przestrzeni miejskiej; znalazło się w nim miejsce nawet na fragment linii metra.

Od początku wojny z terroryzmem Stany Zjednoczone wydały miliardy dolarów na budowę struktur naśladujących miejsca, do których być może będą musiały wysłać swoich żołnierzy. Niektóre z tych budowli istnieją jedynie wirtualnie.

Kiedy zacząłem pracować w OpenSkyAI, zyskałem dostęp do szczególnego narzędzia oceny zagrożenia w przestrzeni miejskiej, będącego czymś na kształt futurystycznego Google Earth. Gdzieś na północnym wschodzie Stanów mieści się farma serwerów, na których są przechowywane wysokiej rozdzielczości obrazy każdego skrawka Ameryki (i innych państw). Towarzyszą im precyzyjne dane pozwalające na stworzenie trójwymiarowego modelu właściwie każdego obszaru, któremu chciałbyś się przyjrzeć.

Mam wgląd na telefonie. Artice dzieli się ze mną szczegółami, które sobie przypomina, a ja uruchamiam skrypt ustalający lokalizację na podstawie wprowadzonych danych. Wiemy, gdzie znajduje się przystanek, na który trafił mały Artice. Kolejnym krokiem jest namierzenie domu. Wybieram sześć propozycji o najwyższym stopniu zgodności z parametrami i tworzę modele 3D. Program dysponuje wiernym widokiem z perspektywy pierwszej osoby, nawet dla kogoś takiego wzrostu, jak dziewięcioletni Artice. Przykładam telefon do szyby i pokazuję wizualizacje. Pierwsze cztery nie wywołują żadnej reakcji, za to piąta... Po tym, jak Artice'owi rozszerzają się źrenice, wiem, że trafiliśmy.

– Ja pierdołę, to ten! – wykrzykuje.

Strażnik posyła mu surowe spojrzenie i widać, że jest o krok od zakończenia naszego widzenia. Artice zniża głos.

– Do kurwy nędzy. Gdybym tylko tu nie siedział...

Chyba jednak lepiej, że siedzi. Nie wiem, co by zrobił człowiekowi, który otworzyłby mu drzwi. Zresztą, sam nie jestem pewien, jak bym postąpił, gdybym był na jego miejscu.

– Artice – odzywam się. Chcę, żeby się skupił na moich słowach. – Wcale nie jest pewne, że chodzi o ten dom.

Piorunuje mnie wzrokiem.

– Nie bądź taki jak oni.

– Tylko mówię. Wygląd rzeczy zmienia się z czasem. Możliwe, że dziś mieszka tam ktoś zupełnie inny. – Możliwe również, że Artice wymyślił sobie to wszystko. Nie mogę tego wykluczyć.

Zamiast się wściec, kiwa głową.

– Co teraz? Pójdiesz z tym do glin? Tobie uwierzą.

– Przecenisz zaufanie, jakim mnie darzą. Nie mogę zadzwonić na policję i oznajmić, że znam miejsce zamieszkania Freddy’ego Kruegera z Compton i wywiódłem je z zeznań człowieka osadzonego w areszcie hrabstwa.

Artice wydaje zmęczone westchnienie.

– Zupełnie jak wtedy, kiedy Ponury Śpioch kasował dziwki. Jedna z nich nawet powiedziała glinom, gdzie to się działo.

– Pomyliła się o jeden dom – prostuję.

– Wielka mi różnica. To co teraz zrobisz? Napiszesz gniewnego tweeta? Opowiesz swoim białym liberalnym koleżkom, jak pomogłeś biednemu czarnemu chłopakowi?

– Nie, myślałem o tym, żeby pójść i zapukać do drzwi.

Artice wpatruje się we mnie bez mrugnięcia tymi swoimi przenikliwymi szarymi oczami.

– Pojebało cię?

– Nie mam dziewięciu lat. Jeśli zaprosi mnie do środka, odmówię. Ale założę się, że i tak od dawna już tam nie mieszka.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo mu uciekłeś. Jeżeli ma choć trochę oleju w głowie, po incydencie z tobą przez pewien czas trzymał się z daleka od domu, a kilka miesięcy później się wyprowadził.

– Dokąd?

– Niedaleko. Sądzę, że zamieszkał w okolicy.

– No to jak go znajdziemy?

– Po księgach wieczystych. Po rachunkach za media. Jeżeli ten dom rzeczywiście należał do niego, to pan Zabaweczka na pewno zostawił jakiś ślad.

– No... – Artice zastanawia się przez chwilę. – Jest coś jeszcze. Kiedy byłem mały, nie potrafiłem tego opisać, ale teraz to nabiera sensu.

– Co takiego?

– Dziwnie mówił. Jak biały, ale nie do końca. Jakby nie pochodził z tych stron.

– A skąd? Z Nowego Jorku?

Kręci głową.

– Dawniej nie rozpoznawałem akcentów. Była gadka ulicy i gadka telewizora, uczyłem się obu. Innym językiem rozmawiało się z kumplami, a innym z dorosłymi, którzy mogli człowiekowi utrudnić życie w zakładzie. – Znowu milknie. – Wiesz co, stary? Lepiej nie idź tam sam. Zaczekaj, aż mnie wypuszczą, i pójdziemy razem.

– Kiedy wychodzisz?

– Może za niedługo, jeśli powiesz, że pomogłem dorwać Zabaweczkę... To było nieporozumienie. Nikomu nic się nie stało.

Nie jestem pewien, czy to kupuję. Decyzja o tym, czy Artice wyjdzie na wolność, nie należy do mnie.

– Potrzebuję czegoś. Jakiegoś dowodu. Inaczej wszystko na nic.

– Możesz im pokazać na przykład to. – Artice podciąga bluzę i pokazuje wielką bliznę biegnącą w poprzek klatki piersiowej od biodra do ramienia.

– O, kurwa!

– Właśnie.

– Jak ci się udało wywinąć?

– Strach, człowieku. Strach. Twój najlepszy przyjaciel. – Zawiesza głos. – Ale przecież sam wiesz, prawda?

– Następnym razem pokażę ci swoją.

Artice kręci głową i ukradkiem zerka za siebie.

– Nie mów tu takich rzeczy.

– Wybacz.

– Odezwij się i powiedz, jak poszło. Jeśli tego nie zrobisz, założę, że Zabaweczka cię załatwił. Nie pij czerwonego napoju. – Artice znów zakłada maskę kpiarza, która jak sędzę, pomaga mu pozostawać przy zdrowych zmysłach. – W życiu nie pokonasz Bowsera w *Super Mario Kart*.

– Zapamiętam sobie.

– Mówię poważnie. Uważaj na siebie. Niech ci się nie wydaje, że skoro przeżyłeś starcie z jednym potworem, to poradzisz sobie z drugim. Mnie się udało, bo zamiast pchać mu się prosto w łapy, uciekłem jak najdalej od niego.

Odprawiam go wzrokiem, myśląc o jego słowach. Zabaweczka w zaledwie kilka dni z matematycznej osobliwości przemienił się w całkiem realne zagrożenie.

Nie jest wykluczone, że Artice pogrywa sobie ze mną tak jak dzieciaki w mieszkaniu Rica. Być może jest po prostu bardzo utalentowanym kłamcą, który wie, jak mówić to, co człowiek chce usłyszeć. Tyle że nic by na tym nie ugrał – Artice skorzystałby jedynie na prawdzie. Odnalezienie Zabaweczki pomogłoby jego sprawie i uratowałoby go od więzienia. Nie wiem, czy w ogólnym rozrachunku to dobre dla społeczeństwa, ale podejrzewam, że gdyby życie Artice'a od samego początku nie było najeżone cierniami, nie trafiłby do miejsca, w którym dziś się znajduje.

25. Akt własności

Dom przy Wimbledon Street 17658 miał do tej pory czterech właścicieli. W latach 1986–2005 należał do Kevina i Trudy Harrisonów. Od 2005 do 2011 roku zajmował go Jeffery L. Washington – to czas Zabaweczki. Obecnie znajduje się w posiadaniu New Castle, agencji zarządzającej nieruchomościami.

W normalnych okolicznościach podskoczyłbym z radości, gdyby udało mi się odkryć tożsamość właściciela domu, ale jak już zdążyłem się przekonać, w przypadku South Central nazwisko widniejące w akcie własności wcale nie musi być prawdziwe. Istnieje wiele nieruchomości należących do podstawionych spółek albo do słupów, ludzi, którzy bądź nie wiedzą, że figurują w akcie własności, bądź w ogóle nie istnieją.

Jeffery Washington kupił ten dom za gotówkę. Niestety, nie udało mi się znaleźć żadnych informacji o nabywcy. Jestem głęboko przekonany, że nie było żadnego „Jeffery’ego L. Washingtona”. Nie namierzyłem również żadnej innej transakcji przeprowadzonej pod tym nazwiskiem. Być może przeniósł się gdzieś dalej, ale bardziej prawdopodobne, że użył kolejnego pseudonimu.

To jednak jeszcze nie koniec poszukiwań. Istnieją przecież rozmaite dane, od rachunków za media, po rozmowy telefoniczne, przez które mogę się przekopać. Owszem, w tej chwili nie mam do nich dostępu, ale jeśli znajdę coś, jakiś mocny dowód łączący Artice’a i Christophera z tą nieruchomością, wówczas być może uda mi się przekonać nawet takiego cynika jak detektyw Corman. Ale nie spodziewam się zbyt wiele.

W kolejnym kroku porozmawiam z sąsiadami. Posesja Zabaweczki graniczyła z dwiema innymi. Być może ktoś coś widział. Jasne, wciąż mowa o South Central, dlatego nie zdziwiłbym się, gdyby nikt nie zechciał mi nic powiedzieć.

Po zgromadzeniu informacji na temat domu dzwonię do Williama. Nie chcę, żeby rozwalił kopniakiem drzwi komuś niewinnemu albo, co gorsza, przekazał Mathisowi, że mamy podejrzanego, dlatego ograniczam się do poinformowania go, że sprawdzam pewne tropy i odezwę się, kiedy będę wiedział coś więcej. Mam nadzieję, że nastąpi to wkrótce.

– O co chodziło z tym Zabaweczką? – pyta William.

Myślę, że akurat to mogę mu powiedzieć.

– Zabaweczka jest miejską legendą, którą przekazują sobie dzieci. Wypływa raz na kilka lat.

– Czy ma coś wspólnego z Christopherem?

– Być może. Wydaje mi się, że Zabaweczka naprawdę istnieje. – Pomijam, że molestował dzieci i był mordercą, ale William z pewnością może to sobie dopowiedzieć.

– Uważasz, że mógł coś zrobić Chrisowi? – pyta beznamietnie William.

– Istnieje taka możliwość. Tacy jak on lubią urabiać dzieci. Sprawdzają, czy wzbudzają zaufanie.

William wzdycha i po dłuższej chwili mówi:

– Miałem nadzieję, że to się okaże ktoś przypadkowy. Wiesz, jakiś włóczęga, któremu Chris wpadł

w oko.

– Wiem. Nie twierdzę, że tak nie było. To tylko jedna z hipotez. – Oszczędzę mu wstrząsającej historii Artice’a, dopóki nie potwierdzą, że jest przynajmniej w części prawdziwa.

Mówię, że na razie nic więcej nie wiem i będę go informował na bieżąco – co brzmi nieszczerze, zważywszy, że znajduję się raptem przecznicę od domu, w którym jak podejrzewam, sprawca mógł zamordować jego syna – i się rozłączam. Od pewnego czasu jeżdżę po okolicy, obserwując budynek i czekając, aż zapalą się rzadko tu rozmieszczone latarnie i skąpią ulice w bladym, żółtawym świetle.

Zauważyłem, że wszystkie domy, poza tym pod numerem 17658, wyposażone są w lampy ogrodowe z czujnikami ruchu. Interesujący mnie jasnobrązowy parterowy budynek tonie w zupełnej ciemności, jeśli nie liczyć słabej poświaty za zasłonami w pomieszczeniu od frontu. Wyróżnia go też ogrodzenie. Sąsiednie płoty mają najwyżej dwa metry wysokości, a ten – niemal dwa i pół, co znacznie utrudnia zajrzenie na drugą stronę. Od strony ulicy widać, że na podwórzu za domem rosną rozłożyste drzewa.

Przedmieście jest gęsto zamieszkane, ale ten dom wydaje się odcięty od okolicy, osobny. Od ścian budynku do wysokiego ogrodzenia po jego stronach są mniej więcej trzy metry. Na zdjęciach satelitarnych widać, że działka ciągnie się aż do biegnącej na tyłach drogi dojazdowej. Na samym końcu posesji znajduje się garaż, być może ten, o którym mówił Artice. Drugi garaż, przyklejony do budynku, jest zamknięty od zewnątrz i wygląda na rzadko używany.

Największą zagadką jest dla mnie tożsamość właściciela. Nieruchomość została sprzedana w 2011 roku za mniej więcej jedną piątą mniej, niż wynosi średnia cena domów w okolicy, co sugeruje, że transakcja miała charakter prywatny – właściciel wolał przeprowadzić ją bezpośrednio, bo mu się spieszyło – albo odbyła się pomiędzy znajomymi. Kto wie, może ktoś sam sobie sprzedał ten dom?

Czuję ciarki, kiedy o tym pomyślę. Być może Jeffery L. Washington nadal jest właścicielem budynku. I może jest tu teraz, siedzi tam, w środku.

Zastanawiam się, jak postąpić. Nie mam zbyt wielu opcji. Pierwsza możliwość jest taka, że machnę ręką i pojedę na lotnisko, po drodze dzwoniąc do Cormana i przekazując mu wszystko, czego się dowiedziałem.

Tyle że – o ile Zabaweczka nie otworzy mu drzwi w stroju Adama, zakrwawiony i z nożem w rękę – Corman niewiele może zrobić, poza jeszcze dokładniejszym przeszukaniem archiwów.

Istnieje prawdopodobieństwo, że Zabaweczka zadbał o wymazanie wszelkich śladów mogących powiązać go z morderstwami – jeśli jest sprytny. Roztropność nakazywałaby to zrobić po ucieczce Artice’a. Z tym że mowa przecież o seryjnym mordercy. „Roztropność” może dla niego oznaczać coś zupełnie innego niż dla mnie.

W końcu postanawiam zebrać się na odwagę i zapukać do drzwi domu przy Wimbledon Street. Sięgam do kabury z glockiem, którą noszę na pasku pod kurtką, i przesuwam ją na plecy. Nawet po przejściach z Joem Vikiem nie stałem się zwolennikiem dużego kalibru, natomiast dzięki sprytniej prawniczej interpretacji umowy OpenSkyAI z Departamentem Obrony wolno mi nosić broń na terenie całych Stanów Zjednoczonych – mimo że ten czy ów miejscowy sędzia mógłby kręcić nosem.

Pytanie, czy jestem gotów jej użyć. Albo inaczej: czy znajdę się w sytuacji, w której będę musiał to zrobić.

Raz jeszcze rzucam okiem na budynek i otoczenie, po czym wysiadam z auta i podchodzę do

drzwi. Pukam.

Słyszę, jak w środku ktoś ścisza telewizor. Rozlega się szczekanie psa.

Przynajmniej ktoś jest w domu...

26. Psi detektyw

Przez lekko uchylone drzwi wypada z domu szara futrzana kulka i zatrzymuje się u moich stóp, piskliwym ujadaniem dając mi do zrozumienia, że powinienem się stąd natychmiast zabierać.

– Eddie! – odzywa się starsza kobieta. – Zostaw!

Psiak pędzi z powrotem do środka, zadowolony ze spełnienia swego psiego obowiązku. Kiedy drzwi otwierają się szerzej, moim oczom ukazuje się niska, czarnoskóra babcia w wielkich okularach, która patrzy na mnie, zadzierając głowę.

– Tak?

Zerkam do wnętrza, czy nie czai się tam goły seryjny morderca, gotów rzucić się na mnie jak Eddie.

– Miło mi, nazywam się Theo Cray. – Pokazuję jej legitymację. Babcia bierze ją do ręki i dokładnie ogląda.

– Kiepskie zdjęcie, panie Cray – zauważa, oddając kartonik.

– Jestem mało fotogeniczny.

– Zapraszam, zapraszam – mówi i wpuszcza mnie do środka. – Może herbatki?

– E... poproszę. – Idąc za nią, podejrzliwie zaglądam za drzwi w obawie, że wchodzę w pułapkę.

Meble pamiętają prezydenturę Clintona. W salonie na ścianach drewniane panele. Sporej wielkości kanapa przed dużym telewizorem, który wydaje się przeniesiony z czasów Zabaweczki.

Kiedy babcia zamyka drzwi, zwracam uwagę, że są wyposażone w trzy zatrzaski i jeden zamek wymagający użycia klucza od środka. W mojej głowie zapala się lampka. Taki zamek montuje się wtedy, kiedy chce się kogoś powstrzymać od wyjścia na zewnątrz.

Odprowadzam ją wzrokiem do kuchni i patrzę, jak robi dwie herbaty. Podłoga jest porysowana, a dywan miejscami zupełnie poprzecierany.

– Właśnie miałam pójść usiąść na werandzie – mówi i mija mnie, niosąc kubki z herbatą.

Wychodzę za nią na niewielki betonowy taras z widokiem na nierówny, zachwaszczony skrawek suchej ziemi. Siada i pokazuje, żebym zajął drugie z pokrytych rdzą metalowych krzeseł.

– Jest pan tym mężczyzną z kościoła, którego mieli przysłać? – pyta wreszcie.

– E... nie, pani...

– Green – podrzuca, ani trochę niezaniepokojona tym, że wpuściła do domu zupełnie obcego człowieka.

Eddie obwąchuje mi stopy, po czym udaje się na inspekcję porośniętego wyschniętą trawą spłachetka i zaczyna na coś warczeć. Nerwowo zerkam przez ramię w obawie, że mąż pani Green podkradnie się od tyłu i założy mi garotę.

– Czy pan Green jest w domu?

– Pan Green przeniósł się na łono Abrahama. Panie, świeć nad jego duszą.

– Przykro mi to słyszeć. Czy oboje państwo mieszkaliście w tym domu?

– Och, nie. Mieszkaliśmy w Lynwood. Przeprowadziłam się tu krótko po śmierci męża.

Sprawia wrażenie całkowicie niezainteresowanej powodem mojej wizyty. Ale nie mogę tak po

prostu zasypać ją pytaniami, potrzebuję jakiegoś zagajenia.

– Pracuję dla rządu. Sprawdzam przeszłość pewnej osoby ubiegającej się o pracę w jednej z naszych agencji. Co może mi pani powiedzieć na temat mężczyzny, który mieszkał tu przed panią?

Eddie znajduje nowy obiekt zainteresowania, przez chwilę szamocze się w zaroślach, po czym drepta ze zdobyczą i przynosi ją swojej pani. Ta wyciąga rękę, drapie psiaka za uszami... Nie spieszy się z odpowiedzią na moje pytanie.

– Nie poznałam poprzedniego właściciela, bo wyprowadził się, zanim kupiliśmy dom. Załatwiłam formalności przez pośrednika.

– Rozumiem. A czy zostawił jakieś rzeczy?

– Tylko telewizor.

– Czy sąsiedzi kiedykolwiek o nim wspominali? Może mówili coś ciekawego?

– Nie przypominam sobie. Mówili, zdaje się, że bardzo rzadko tu bywał i że byli zaskoczeni, kiedy się wprowadziłam.

Ciekawe. To by znaczyło, że Zabaweczka korzystał z tego domu jak z kryjówki – oczywiście przy założeniu, że dom w ogóle kiedyś do niego należał. Może służył mu wyłącznie jako miejsce, do którego przywoził ofiary?

Eddie zeskakuje z tarasu i biegnie za czymś, co najwyraźniej uznał za bardzo ważne.

– Czy kiedykolwiek odwiedzała pani policja?

– Po co?

– Żeby zapytać o mężczyznę, który mieszkał tu przed panią. – Nadal nie znam jego nazwiska, chyba że rzeczywiście brzmiało Jeffery L. Washington.

– Nie. Nic takiego nie pamiętam. Czy grożą mu kłopoty?

– Niestety, sam też nie dysponuję pełnymi informacjami. Czy zauważyła pani coś osobliwego w związku z domem? Może natknęła się pani na nietypowy przedmiot?

Patrzy na mnie z ukosa.

– Zadaje pan dziwne pytania, panie Cray.

Eddie wraca z patykiem w pysku.

– Bardzo panią przepraszam, ale taką mam pracę.

Zbywa to machnięciem ręką.

– Nieważne. Ludzie w telewizorze też mówią różne dziwne rzeczy. Niech pan nawet nie wspomina o tym naszym prezydencie...

– Nie miałem takiego zamiaru. – Kieruję wzrok w stronę garażu, który z tej odległości wygląda raczej jak szopa. – Co pani tam trzyma?

– Rupiecie... Rzeczy po mężu...

Chętnie zajrzałbym do środka, ale nie mam pomysłu, jak ją poprosić, żeby mnie tam wpuściła – tak, by nie zabrzmiało to podejrzenie.

– Czym się zajmował pan Green?

– Ćwierć wieku temu służył w marines. Potem pracował na poczcie. Był dobrym człowiekiem. Dbał o rodzinę.

– Macie państwo dzieci?

Kręci głową.

– Nie, proszę pana. Mieliśmy tylko siebie. – Klepie psiaka po głowie. – I Eddiego.

Eddie wypuszcza z pyska to, co przytargał z ogrodu, i ociera się szczęką o dłoń pani Green.

Pochylam się, żeby się przyjrzeć mokremu od śliny przedmiotowi. Przypominają mi się słowa pewnego paleontologa: „Znamy i opisujemy więcej gatunków dinozaurów, niż w rzeczywistości istniało”. Problem ma swój początek w czasach, w których ludziom się wydawało, że dinozaury były po prostu ogromnymi gadami. Cykl życiowy jaszczurki jest dość linearny. Mały krokodyl wygląda niemal dokładnie tak samo jak dorosły. Kiedy paleontolog natrafia na dwa nieidentyczne zestawy kości, to wychodząc z założenia, że dinozaur równa się wielki gad, przyjmuje, iż ma do czynienia z dwoma różniącymi się gatunkami, podczas gdy tak naprawdę może chodzić o młodego i dorosłego przedstawiciela jednego gatunku.

Specjalizuję się wprawdzie w bioinformatyce, ale ludzka anatomia jest mi dziedziną na tyle bliską, bym wiedział, że kość, którą ogryza Eddie, nie należy do czegoś, co wcześniej zostało zjedzone na obiad, ani do zwierzęcia, które mogło zawędrować na podwórze po potrąceniu przez samochód i tu wyzionąć ducha.

Ta kość bardzo bowiem przypomina zebro młodego przedstawiciela gatunku ludzkiego. Wyjmuję rękawiczkę z kieszeni i sięgam po przedmiot. Eddie warczy, ale pani Green go obłaskawia. Oglądam ciemnobrązowy odłamek pod słabe światło lampy na werandzie. Czuję, jak to, co widzę, mrozi mi krew w żyłach.

– Dzwoniłam do ratusza – mówi pani Green. – Powtarzałam im, że po każdej ulewie mam za domem pełno kości.

Przenoszę spojrzenie na powoli tonące w półmroku podwórze. Widzę wystające z ziemi postrzępione kształty. Są wszędzie.

27. Zatroškany obywatel

Polując na Joego Vika – którego tożsamość odkryłem zaledwie godzinę przed tym, jak o mały włos wysłałby mnie na tamten świat – przekonałem się, że życie nie wygląda tak jak w kinie. Śledztwo zajmuje sporo czasu. Bywa, że minie wiele godzin albo dni, zanim ktoś zechce z tobą porozmawiać. A kiedy uda ci się rozwiązać wszystkie elementy zagadki i ułożyć je tak, by wszyscy mogli je zobaczyć – nawet wtedy może się zdarzyć, że dopiero po kilku miesiącach ktoś zorientuje się, co ma przed oczami.

Aby dopaść Vika, musiałem złamać przepisy i zrobić rzeczy, z których nie jestem dumny. Na pewnym etapie prokuratorzy z Montany, sfrustrowani tym, że ich podejrzany nie żyje i nie mają komu przedstawić zarzutów, całkiem poważnie rozważali postawienie mnie w stan oskarżenia – uczynienie ze mnie kozła ofiarnego – pod pretekstem, że wtrącałem się w nieistniejące śledztwo. Na szczęście presja ze strony rodzin ofiar, które odnalazłem – liczne podziękowania przed kamerami za to, że pomogłem rozwikłać zagadki śmierci ich najbliższych – a także ze strony biura gubernatora udaremniły próby oczernienia mnie. Ale niesmak pozostał. Zawstydziłem organy ochrony porządku publicznego i zyskałem co najmniej kilku wrogów wśród przyjaciół Joego Vika, a tych miał naprawdę wielu. Zaliczali się do nich nawet policjanci, którzy po wszystkim nie potrafili pogodzić się z faktem, że człowiek, którego gościli u siebie w domu, okazał się brutalnym seryjnym mordercą.

Myślę o tym, wybierając numer detektywa Cormana. Potraktował mnie jak upierdliwego petenta, ale nie jak wroga. Dał mi nawet teczki pozostałych przypadków, licząc, że znajdę coś, co sam przeoczył.

Poprosiłem panią Green o zamknięcie Eddiego w domu, żeby nie zniszczył więcej dowodów. Diabli wiedzą, ile ludzkich kości zdążył przeżuć.

W słuchawce odzywa się poczta głosowa: „Mówi Corman. Wiesz, co robić”.

Zaskoczył mnie. Spodziewałem się, że porozmawiamy. Kilka razy powtórzyłem w myślach, co dokładnie mu powiem. Rozłączam się i próbuję jeszcze raz. Znowu poczta. Może wyłączył telefon na noc. Trudno, dzwonię na alarmowy.

– Numer alarmowy, w czym mogę pomóc? – odzywa się dyżurna.

– Dobry wieczór. Jestem przy Wimbledon Street siedemnaście sześć pięć osiem. Z ziemi wystają kości. Czy może pani przysłać patrol?

– Wimbledon siedemnaście sześć pięć osiem? – Słysząc, jak stuka w klawiaturę.

– Zgadza się.

– Rozumiem. W tej sprawie będzie pan się musiał skontaktować z towarzystwem opieki nad zwierzętami.

– Słucham?

– W przypadku kłopotów ze zwierzęciem należy dzwonić do towarzystwa.

– Kto powiedział, że chodzi o zwierzę?

– Z moich informacji wynika, że odebraliśmy osiem zgłoszeń na uciążliwego zwierzaka na posesji przy Wimbledon Street siedemnaście sześć pięć osiem. Podobno znosi kości na podwórze.

Spoglądam na Eddiego, który stoi z nosem przyklejonym do szyby. Pani Green patrzy na mnie wymownie.

Cholera mnie bierze.

– Czyli co? Nie przeszkadza pani, że to są ludzkie szczątki? I że może chodzić o co najmniej trzy albo cztery ciała?

Dyżurna zmienia ton głosu, ale nie na taki, na jaki liczyłem.

– Proszę pana, wysyłaliśmy już patrole pod ten adres. Więc bardzo proszę nie tym tonem, chyba że ma pan kwalifikacje do przeprowadzenia ekspertyzy sądowej.

Szlag trafia moją cholere.

– Wystarczy jebany doktorat z biologii na MIT? A jeśli dorzucę, kurwa, nie wiem, artykuły w „Human Origins”? – Omiatam światłem latarki wystającą z ziemi małą żuchwę. – Proszę pani, trzeba by bardzo szowinistycznej definicji człowieka i założenia, że plemię cholernych neandertalczyków zapuściło się naprawdę, ale to naprawdę kurewsko daleko od domu, by zaprzeczyć, że bez dwóch zdań mamy tu do czynienia z ludzkimi szczątkami! A jak policja Los Angeles się z tym nie zgadza, to niech tu przyjedzie i mi to powie!

Pani Green kiwa głową i pokazuje uniesiony w górę kciuk.

Detektyw Corman nie będzie zadowolony, kiedy transkrypcja rozmowy z dyżurną wycieknie do prasy. Wychodzę na ostatniego dupka, ale co poradzę, że ta kobieta jest niekompetentna?

– Proszę pana, wysyłam patrol. Tymczasem bardzo proszę się uspokoić.

Cudem powstrzymuję się przed ciśnięciem telefonem na sąsiednie podwórko.

Krażę po podwórzu za domem i robię zdjęcia kości. Wreszcie podjeżdża radiowóz, migając odbijającym się od budynków i koron drzew niebieskim i czerwonym światłem.

Ostrożnie, żeby niczego nie połamać, stąпам wśród kości, chcę sfotografować jak najwięcej, zanim na miejsce przybędą technicy. Ciągnie mnie do stojącego w głębi garażu, ale nie, nie mogę tam wejść, dopóki policja go nie przeszuka. Jeśli bowiem na podłodze albo gdziekolwiek znajdzie się choć śladowa ilość mojego DNA, obrońcy Zabaweczki będą zacierali ręce, czytając o tym w raporcie.

Wystarczy mi piekło, które przeszedłem z prawnikami Joego Vika. Okazało się, że Vik zarządzał całkiem sporymi aktywami i miał pod sobą ludzi gotowych bronić zarówno tych środków, jak i reputacji szefa. Znajomy prokurator powiedział mi, że Joe i kumple kręcili miejscowym rynkiem metamfetaminy. Nic a nic mnie to nie zaskoczyło. W tamtym mieście działo się mnóstwo dziwnych rzeczy.

Oglądam właśnie wystającą z trawy miednicę, kiedy nagle za moimi plecami otwierają się rozsuwane szklane drzwi. Padające od kilku tygodni ulewne deszcze musiały wypłukać górną warstwę gleby w ogrodzie, który prawdopodobnie nie był podlewany, od kiedy Kalifornia wprowadziła obowiązek ograniczania zużycia wody w czasie suszy. Ciekawe, kiedy spękana ziemia odsłoni kolejne tajemnice.

– To pan wzywał patrol? – pyta młody funkcjonariusz.

Jest biały, ma krótkie blond włosy i sprawia wrażenie, jakby niedawno zrzucił znacznie wygodniejszy mundur skauta. Wygląda na poważnie niedożywionego (jak na glinę). Nawet Eddie miałby z nim szansę.

– Tak, ja – odpowiadam.

Świeci latarką na kość, którą oglądałem, i wpatruje się w nią przez chwilę.

– Hm. Wygląda mi na świńską. To nie pierwszy raz, kiedy dostajemy takie zgłoszenie.

Znowu to samo.

Nie widzi, jak zamykam oczy i liczę do dziesięciu.

– Panie władzo, z całym szacunkiem, ale... – A chuj z tym! – Czy to panu wygląda na strukturę kości biodrowej, jaką można znaleźć u czworonogów?

Wskazuję zaokrąglony kształt w zielsku. Snop światła z jego latarki przesuwają się po chwastach i nagle odbijają się oślepiającym blaskiem od niewielkiej, matowożółtej kopuły czaszki z jednym widocznym oczodołem.

– Jasna cholera – bąka policjant i rusza przed siebie.

Łagodnie chwytam go za rękę, zanim zادةpcze materiał dowodowy.

– Niech pan spojrzy pod nogi.

Zauważa wystające z ziemi ostre żebro.

– Ja pierdolę...

Robi duży krok do tyłu i sięga po radio.

– Tu cztery cztery dwa jeden. Przyślij kogoś z wydziału zabójstw i lekarza sądowego. Na jednej nodze.

– Przyjęto.

Po chwili z głośnika dobiega męski głos na tle trzasków:

– Słuchaj, Long Beach, tylko niech to nie będzie zakopana w ogródku świnia po quinceañerze.

Funkcjonariusz Russell – takie nazwisko widnieje na jego naszywce – odwraca się do mnie i pyta, kręcąc głową:

– Widział pan kiedyś coś takiego?

W oczekiwaniu na ekipę chętnie opowiem mu swoją historię.

28. Anonim

Kim jest Zabaweczka? Trzy dni po tym, jak zabrałem Eddiemu makabryczną przekąskę, siedzę przy stole konferencyjnym w komendzie głównej policji Los Angeles. Detektyw Cheryl Chen, która prowadzi sprawę przy wsparciu Craiga Sibela, agenta FBI z oddziału Biura w Los Angeles, objaśnia mi postępy śledztwa. Robi to wyłącznie z uprzejmości. Detektyw Corman jest nieobecny, ponieważ odkrycie przy Wimbledon Street potraktowano jako nową sprawę.

Ścianę w drugim końcu pomieszczenia zasłania ekran. Zapewne wyświetli się na nim wstrząsający przegląd odkryć poczynionych w toku śledztwa.

Chen naciska guzik na pilocie i pojawia się pierwszy obraz: jest nim podwórze za domem pani Green, podzielone na sekcje jak teren wykopalisk archeologicznych. Technicy w białych kombinezonach stoją i klęczą na metalowych platformach, starannie wydobywają szczątki.

– Jak dotąd znaleźliśmy siedemnaście ciał. Wiele kości jest pomieszanych, dlatego ostateczną liczbę, jak również tożsamość ofiar, potwierdzą dopiero badania DNA. Sprawca zakopał zwłoki na głębokości od trzydziestu do czterdziestu centymetrów, a następnie przykrył darnią. Jak słusznie pan zauważył w swoich notatkach, to że pani Green od kilku lat nie podlewała regularnie trawnika, doprowadziło do stopniowego obumierania trawy oraz wymywania gruntu podczas okresowych ulewnych deszczy. Nie bez znaczenia okazał się również fakt, że dom jest posadowiony na niewielkim wzniesieniu. Erozja odsłoniła górną warstwę gleby, którą pies właścicielki potraktował jako pole dalszej eksploatacji.

– W jakim wieku były dzieci? – pytam.

– Zdaniem lekarza sądowego wszystkie miały od ośmiu do trzynastu lat. Brak stuprocentowej pewności co do płci tych najmłodszych, ale wygląda na to, że wszystkie szczątki należą do chłopców.

– Na jakim etapie są badania DNA?

– Ogólne wyniki będą znane za kilka dni, ale na bardziej szczegółowe będziemy musieli poczekać wiele tygodni.

– Mam dostęp do certyfikowanego laboratorium, w którym można to zrobić znacznie szybciej i o wiele dokładniej. – W rozpracowywaniu sprawy Joego Vika pomagało mi współpracujące z CIA laboratorium kryminalistyczne, które specjalizuje się w identyfikacji żywych i martwych terrorystów.

– Jesteśmy zadowoleni z naszego.

– Jeżeli zależy państwu na niezależnym raporcie, chętnie go dostarczę.

– Dziękujemy. Damy panu znać – odpowiada Chen. Innymi słowy: daruj sobie.

Dla policji Los Angeles to delikatna sprawa. Nie dość, że mają podwórze pełne zwłok, to na dodatek właścicielka posesji, starsza czarnoskóra pani, kilka razy informowała o kościach, a oni zjawili się dopiero wtedy, kiedy zadzwonił do nich biały mężczyzna. Jeszcze gorzej, że ani policja, ani FBI nie wszczęły oficjalnego śledztwa w sprawie zaginięcia któregośkolwiek z tych dzieci, zanim te odnalazły się teraz we wspólnym płytkim grobie.

W drodze na to spotkanie zajechałem na Wimbledon Street. Naliczyłem dwanaście wozów transmisyjnych. Nawet nie wiedziałem, że jest tyle kanałów informacyjnych.

Wszyscy zadają sobie to samo pytanie: kto tu mieszkał? Z rozmów z sąsiadami płyną sprzeczne wnioski. Istnieją trzy różne opisy czarnoskórego mężczyzny, którego często tu widywano, a także jeden białego, obserwowanego rzadziej, ale też wielokrotnie.

Chen przechodzi do kolejnej serii slajdów.

– Znaleźliśmy otwory w ścianach, prawdopodobnie używane do mocowania więzów, a także zamki zamykane na klucz po wewnętrznej stronie drzwi. Technicy zabezpieczyli ślady krwi w domu, ale nic nie wskazuje na to, aby to tam dokonywano morderstw.

– Garaż?

– Tak. Podłoga i ściany garażu, a właściwie szopy, zostały pomalowane, ale udało nam się odkryć plamy pod warstwą farby. Oczyszciliśmy dopiero niewielki fragment, pobranie próbek krwi i tkanki spod farby zajmie nieco więcej czasu.

Na ekranie ukazują się zdjęcie chropowatego betonu.

– Fundamenty mają prawie metr grubości. Znaleźliśmy szczelinę, w której gromadziła się krew. Analiza pozwoli nam ustalić chronologię morderstw, którą następnie zestawimy z wynikami badań stopnia rozkładu poszczególnych ciał.

Ściekając do szczeliny, krew stworzyła swego rodzaju warstwy osadowe, odmienne dla każdego zabitego dziecka. Oprócz tego, że posłużą one jako źródło dodatkowych próbek krwi, dzięki nim będzie również można prześledzić historię zabójstw.

– A sufit?

Kolejny slajd. Kolaż jaskrawych plam na suficie.

– Akurat tego nie starał się ukryć.

– Spieszył się – zauważam.

Zabaweczka włożył minimum wysiłku w zatarcie śladów, akurat tyle, żeby nowi właściciele nieruchomości nie zaczęli zadawać pytań. Za mało jednak, by zwieść wyspecjalizowaną ekipę. To mnie zastanawia. Skąd ta niechlujność? Lonnie Franklin posłużył się tym samym vanem przy okazji kilku morderstw, a zrobił się bardziej niedbały, kiedy się zorientował, że policja zupełnie nie przejmuje się losem zaginionych kobiet.

Znacznie staranniej Zabaweczka dobierał ofiary. Fakt, że pozostawił po sobie tak dużą liczbę śladów, pozwala sądzić, że albo nagle stał się nieuważny, albo uznał, że nie ma się czym przejmować. Być może to, że nadal nie mamy pojęcia, kim jest, choć w jego domu roi się od techników, sugeruje, że za tym człowiekiem kryje się coś albo ktoś więcej.

– To właściwie wszystko, czym w tej chwili dysponujemy. Niewiele. Wiemy tylko tyle, ile po sobie pozostawił.

– A co z Artice'em?

– Chętnie współpracuje. Nasz grafik pracuje nad nadaniem kształtu jego wspomnieniom. Staramy się dotrzeć do innych dzieci, które w tamtym czasie widziały podejrzanego. Zobaczymy, czy ktoś się zgłosi i co będzie miał do powiedzenia. Sądzę, że raczej prędzej niż później dojdzie do kolejnego przełomu w śledztwie.

Nie byłbym tego taki pewny. Nawet sąsiedzi Lonniego Franklina niechętnie wypowiadali się na

jego temat. Jego najbliżsi znajomi mieli własne podejrzenia, a mimo to milczeli.

W tej okolicy składową strachu jest brak pewności co do tego, czy ktoś zginął z ręki przypadkowego mordercy, czy wskutek zaplanowanego działania. Idąc na współpracę z policją, możesz się znaleźć na liście, na którą nie chciałbyś trafić.

Wiele się zmieniło na lepsze od czasów, w których Ponury Śpioch przeżywał swoje tłuste lata, ale stosunki między miejscową społecznością a policją jeszcze nigdy nie były tak złe.

– Ustaliliście profil? – zwracam się do Sibela.

Agent kręci głową.

– Ludzie, którzy zabijają we własnym domu, z reguły nie zadają sobie trudu zakupu nieruchomości na fałszywe nazwisko. To raczej domena płatnych zabójców. Sęk w tym, że nasz sprawca nie pasuje do profilu. Nie dysponujemy niczym, co moglibyśmy z nim powiązać, żadnymi tropami. – Wzrusza ramionami. – Nie mamy pojęcia, kim on może być.

– A sposób, w jaki zabijał dzieci? – kieruję pytanie do obojga.

– Spłynęły co prawda dopiero wstępne raporty – odpowiada Chen – ale jednym słowem: to dzikus. Dosłownie wybebeszał te dzieci. Nic jednak nie wskazuje na to, aby w tym samym czasie wykorzystywał je seksualnie. Być może robił to wcześniej, ale nie po ani w chwili śmierci.

– Artice twierdzi, że Zabaweczka go molestował.

– Tak, ale mogło to nie mieć związku z morderstwami. Niewykluczone, że najpierw molestował dzieci, a potem je zabijał, ze strachu albo poczucia winy.

Widzę, że Sibel koniecznie chce coś powiedzieć.

– Ma pan jakieś przemyślenia?

– To wciąż niejasne. Artice mówi, że ani on, ani inne dzieci nie przypominały sobie, żeby Zabaweczka stosował przemoc. Z wyjątkiem tej skrajnej sytuacji, w której mężczyzna próbował go zabić. To by wskazywało, że chodzi o dwa odrębne działania... – dodaje z wahaniem.

– Różnimy się w tym punkcie – zaznacza Chen. – Ja uważam, że Zabaweczka urabiał chłopców, aby móc ich molestować, po czym mordował, żeby przestępstwo nie wyszło na jaw. Natomiast Sibel i jego ludzie są zdania, że podstawowym motywem Zabaweczki było zabijanie.

– Molestował ich bez przemocy, a potem zabijał jakby... na dokładkę?

– Właśnie tak – potwierdza Chen.

Nie jestem przekonany, czy to pasuje do przeżyć Artice'a, ale nie komentuję. Mam przecież do czynienia z ekspertami.

Chen zamyka prezentację.

– Dziękujemy za pomoc w śledztwie – zwraca się do mnie.

Brzmi to tak, jakby naprawdę toczyło się śledztwo, a ja tylko zadzwoniłem na infolinię jak zatroskany obywatel. Niech jej będzie.

– Proszę dać znać, jeśli będę się mógł na coś przydać.

– Oczywiście. Jeżeli przyjdzie panu do głowy jakiś pomysł albo trop, proszę się kontaktować bezpośrednio ze mną.

Mam pójść od razu do niej. Jasne, dotarło. Trochę to partykularne, ale to też nie moje zmartwienie.

– Na pewno się zgłoszę, jeśli moje modele komputerowe odkryją coś nowego. Oczywiście

przydałoby się więcej danych.

– Niestety, obawiam się, że istnieją procedury ograniczające dostęp cywilów do informacji.

Ach, „cywilów”. Formalnie rzecz biorąc, jestem nim, ale przecież istnieją furtki dla ekspertów z zewnątrz. Niemniej Chen wyraziła się jasno, jak chce, żeby mnie postrzegano.

Powinienem odpuścić.

– Pani detektyw, czy wie pani, w jaki sposób dotarłem do zwłok w domu przy Wimbledon Street?

– Zdaje się, że odezwał się do pana Artice. Albo jeden z jego znajomych.

Widać, że tylko przebiegła wzrokiem tę cześć notatek, które im przekazałem.

– Nie. Skontaktował się ze mną ojciec pewnego chłopca, który zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Kiedy tu przyjechałem, teczka z materiałami ze śledztwa w jego sprawie była taka cienka. – Unoszę dłoń i przybliżam do siebie kciuk i palec wskazujący. – Nie było się o co zaczepić. A jednak nie dałem za wygraną.

– Pomogła panu historia o Zabaweczce? – odzywa się Sibel.

– Tak. Plotka.

– Panie Cray – przerywa mi Chen. – Jesteśmy panu bardzo wdzięczni za pomoc. Dopilnujemy, aby doczekał się pan należnego mu uznania. Tymczasem jednak musimy znaleźć odpowiedź na pytanie o to, czy morderca nadal grasuje. Dlatego wstrzymajmy się z otwieraniem szampana, dobrze?

– Kurwa mać – rzucam. – Przecież nie o to mi chodzi.

– A o co?

– Mam narzędzia. Mam środki. Mogę pomóc.

– My zaś mamy bardzo sprawne laboratorium.

– Opóźnione o dwadzieścia lat w stosunku do najnowszej wiedzy. Proszę zapytać, czy mają tam kogoś, kto potrafi przeprowadzić analizę metylacji DNA albo wygenerować mapę biomów.

– Mamy pierwszorzędnych specjalistów od analizy kryminalistycznej – zapewnia Chen.

– Wierzę. Ale mówię o narzędziach, które staną się dla was dostępne za kilka dziesięcioleci albo później. Dzięki mnie moglibyście skorzystać z nich już teraz. – Tak naprawdę chcę powiedzieć, że mogę im dać dostęp do *siebie*.

– Weźmiemy to pod uwagę – ucina Chen, tymi uprzejmymi słowami każąc mi się odpiardolić.

Mam ochotę pokręcić głową, ale nie robię tego.

– Zdjęliście odciski palców z roweru Christophera Bostroma?

Chen zagląda do notatek.

– Nie wydaje mi się. Ale minęło dziesięć lat...

– Zapewniam panią, że przez cały ten czas nikt nim nie jeździł. Zróbcie to, proszę.

– Dobrze – odpowiada tonem, jakby godziła się wyświadczyć mi przysługę.

Sibel posyła jej spojrzenie, po czym zabiera głos.

– Nie podaliśmy tego do wiadomości, ale udało nam się pobrać odciski palców z szopy. Dużo odcisków.

To coś nowego.

– No i?

– Zero trafień. Sprawdziliśmy wszystkie bazy i nic. Zaznaczam, że nie chodzi o częściowe odciski, tylko wyłącznie pełne.

– To znaczy, że nie macie go w swoich kartotekach?

– Nie mamy osoby pasującej do tych odcisków. Rachunki za media, wykazy połączeń. Wszystko prowadzi donikąd. Fałszywe nazwiska i firmy. Archiwa bankowe. Okrągłe zero.

– Jak to możliwe, że w tych czasach ktoś zostawia po sobie tak mało śladów?

Kręci głową.

– Z reguły prędzej czy później trop prowadzi do tej czy innej kancelarii prawnej, ale nie w tym przypadku. Wiemy w zasadzie mniej niż na początku.

– Niekoniecznie.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – pyta Chen.

– Ilu ludzi wiedziałoby, jak zrobić coś takiego? Jak się skutecznie maskować? Moim zdaniem to całkiem oczywista wskazówka, ale przecież sami wyraźnie widzicie. Na pewno już się tym zajęliście.

Tak, wiem, arogancki ze mnie palant. Ale myślę, kurwa, że mam do tego prawo.

Niech ciągną sprawę po swoim. Ja jednak nie zamierzam stać z boku, bo wiem, że Zabaweczka nadal grasuje i jest dużo, dużo przebieglejszy, niż nam się wydaje.

Podobnie jak Joe Vik, który długo pozostawał niewidoczny, mimo że zabijał niemal na oczach wszystkich.

Teraz, kiedy wyszły na jaw szczątki, które zakopał, okazuje się, że jego kamuflaż ma swoje słabe strony.

29. Perspektywa

Leżę na łóżku w pokoju hotelowym przy lotnisku LAX i rozmawiam z Jillian, której twarz wypełnia ekran laptopa. Na drugim planie mam lśniąca światła Los Angeles.

Widok Jillian działa na mnie uspokajająco. Nie tylko dlatego, że jej włosy koloru ciemny blond i uroda małomiasteczkowej piękności dają mi iskrę do życia, ale też przez to, że razem przeżyliśmy koszmar i wytworzyła się między nami szczególna więź, której żadna inna para raczej nie potrafiłaby zrozumieć – mimo że formalnie rzecz biorąc, nie jesteśmy parą. Chyba nadal oboje próbujemy ustalić, kim właściwie dla siebie jesteśmy.

Z poczuciem winy, że nie odzywałem się od kilku dni, poświęciłem godzinę na zapoznanie jej z postępami sprawy.

– I co o tym myślisz? – pytam w końcu.

– Arogancki z ciebie dupek – kwituje.

I jak tu nie kochać tej kobiety, która nie owija w bawełnę?

– A poza tym?

– Co mam powiedzieć? Że jesteś przemądrzały i masz natychmiast wracać do Austin, żeby prawdziwi policjanci mogli się zająć tropieniem mordercy? Bo czuję, że właśnie to chcesz usłyszeć.

– Nie, nie... To znaczy... Naprawdę jestem przemądrzały?

– Bez dwóch zdań. Tak jak cała reszta twoich napuszonych kolegów po fachu.

– Słuszna uwaga. Gorzej, że przenosimy tę zarozumiałość również na obszary, w których brakuje nam kompetencji.

– Uczysz ich, jak zdejmować odciski palców albo jak przesłuchiwać podejrzanych?

Nie wspominam o rowerze, bo rozumiem, co Jillian ma na myśli.

– Nie, tylko...

– Obawiasz się powtórki z Joego Vika? Niepotrzebnie. Taki jak Vik był tylko jeden. Bardziej powinieneś się przejmować tym, że zupełnie nic nie wiesz o tym człowieku.

– Oni też nie. I to mnie niepokoi.

– Czego się boisz?

Zostawić sprawę w rękach Chen.

– Że wykopią szczątki, przebadają je i... nie ruszą z miejsca, dopóki coś się nie wydarzy.

– A co, twoim zdaniem, powinni zrobić?

– Zacząć działać.

– Na przykład włączyć się po lasach Montany, szukając martwych autostopowiczek?

– Na przykład. Wiesz, jestem pewien, że oni wszyscy są świetnymi specjalistami...

– Oto dwuznaczny komplement z ust poważanego doktora Theo Craya.

– Wiesz przecież, o co mi chodzi. – Jillian bywa nieco zbyt przenikliwa, a jej komentarze nieco zbyt trafne.

– No, o co?

– Zabaweczka grasuje od, lekko licząc, prawie dekady. Tymczasem oni nie wiedzieli o jego

istnieniu ani nawet o tym, że w ogóle są jakieś ofiary. Znajdujemy jego dom, ale nie dość, że go tam nie ma, to jeszcze analiza odcisków palców, oczywiście o ile te należą do niego, prowadzi nas donikąd.

– Sądzisz, że nie zdołają go złapać.

– Uważam, że gdyby schwytanie go było możliwe, policja deptałaby mu już po piętach. A oni nie mają żadnych tropów. Nawet fałszywych. Żadnych. To się oczywiście zmieni, kiedy rozdzwonią się telefony i niemający pojęcia o sprawie ludzie zaczną wpuszczać detektywów w maliny... Jedyne, co działa na ich korzyść, to że nie upublicznili informacji o związku Zabaweczki z morderstwami. Nie jestem pewien, czy to najlepszy pomysł, ale przynajmniej pozwoli im odsiać wartościowych informatorów od tych nic niewartych.

– A jeśli zgłoszą się inni świadkowie?

– Na przestrzeni lat było ich naprawdę wielu. Mało tego: ostatnia ofiara zaginęła raptem parę tygodni temu, ale policja nie łączy jej przypadku z Zabaweczką. Tak jakby wierzyli, że sprawca przez pewien czas mordował w szale, a potem umarł albo trafił do więzienia za jakieś inne przestępstwo.

– Twoim zdaniem nadal grasuje w tamtej okolicy?

Wzruszam ramionami.

– Zależy, co rozumiemy pod pojęciem „okolica”. Zestawiłem dane z mapami potencjalnych incydentów i odkryłem coś ciekawego.

– No przecież – komentuje.

– Uważaj, bo dostaniesz klapsa.

– Obiecanki cacanki. „Ach, cóż pan odkrył, genialny doktorze Cray?”, pyta z zapartym tchem studentka w obcisłym sweterku i krótkiej spódniczce. – Widzi moją reakcję i wybucha śmiechem. – Nie wiem, jak ci się udawało panować nad sobą na zajęciach.

– Po pierwsze, studentki wcale się tak nie ubierają, wyglądają raczej jak kłozardki. A po drugie... nieważne. Pozwolisz, że wrócę do tematu?

– Tak, panie psorze.

– Kiedy aktywność drapieżcy na określonym terenie staje się zbyt wysoka, wówczas naraża się on na ryzyko, że populacja, na którą poluje, przejrzy jego metody. Wyobraź sobie stado jeleni, na które zasada się wilk. W takim wypadku drapieżca bierze na cel inną populację, o ile ma taką możliwość. Jeśli stado zewrze szeregi, wówczas drapieżca przeniesie się do nowego rewiru, ale od czasu do czasu będzie wracał do starego, żeby sprawdzić, czy coś się zmieniło. Jeżeli sytuacja wróci do normy bądź z zachowania potencjalnych ofiar będzie jasno wynikało, że nie potrafiły one nawet odpowiednio zareagować na zagrożenie ze strony drapieżcy, wtedy ten znów zacznie na nie polować, być może jeszcze śmieiej, zachęcony biernością zwierzyny.

– Czyli Zabaweczka wyprowadził się, ale nadal ma tę okolicę na oku?

– Właśnie. Los Angeles tak obfituje w potencjalne ofiary, że nie mógł po prostu spisać miasta na straty, o ile nie musiał. Podejrzewam, że wycofał się na, powiedzmy, terytorium zastępcze, przeniósł się w jakieś inne miejsce, które wybrał ze względu na swoją pracę lub powiązania towarzyskie albo zwyczajnie dlatego, że na coś musiał się zdecydować. Jeśli pokierował się pierwszym kryterium, sygnał będzie silniejszy i łatwiej go namierzę, ponieważ w nowym miejscu zacieranie śladów nie jest

już takie proste.

– Nie wierzę, że agenci sami na to nie wpadli – komentuje zgryźliwie. – Ledwo to zrozumiałam, Theo, a przecież byłam z tobą, kiedy szukałeś ciał, a Joe Vik się wściekł.

– Policjanci nie są głupi. Glenn był bystry, znacznie bystrzejszy, niż to po sobie pokazywał.

– Tak, ale nawet on za tobą nie nadażał. Niewykluczone, że przypłacił to życiem. Zresztą nie tylko on.

Milkniemy i przez chwilę w myślach wspominamy Glenna.

– Oczekujesz ode mnie pozwolenia, żeby ruszyć jego tropem? – odzywa się w końcu Jillian. – Przecież to nie zależy ode mnie. Osobiście wolałabym, rzecz jasna, żebyś nie narażał się po raz kolejny na niebezpieczeństwo. Ale znam cię. I nie sędzę, abys potrafił sobie odpuścić, zwłaszcza jeśli ten cały Zabaweczka krzywdzi dzieci. Ale... czuję, że to nie wszystko. Że istnieje jeszcze inny powód, dla którego nie chcesz wrócić do domu.

Biorę głęboki oddech.

– Moja sytuacja w OpenSkyAI nieco się skomplikowała, ale jeśli wszystkiego nie schrzaniłem, to być może szykuje się niezła okazja... Sam nie wiem, czy tego chcę. W każdym razie może z tego wyjść coś dobrego... – uwaga, zaraz to powiem – dla nas.

Ostatnio spędziliśmy razem tydzień i robiliśmy wszystko poza rozmową o „nas”. Chyba oboje zanadto się baliśmy zapytać, czy dla drugiego to, co jest między nami, to nadal tylko przygoda, i nie chcieliśmy doprowadzić tego do przedwczesnego końca pośród zbyt wielu uczuć.

– Dla nas, Theo?

Czuję, że się czerwienię.

– Chciałem tylko powiedzieć... – Zacinam się, próbuję wycofać.

– Podoba mi się brzmienie tego słowa – mówi Jillian, a mnie serce zaczyna walić jak piętnastolatkowi.

– Mnie też. Chodzi o to, że... Szlag! Jeśli ruszę tropem tego sukinsyna, będę musiał nagiąć pewne reguły. Jeszcze bardziej niż do tej pory.

– Planujesz coś gorszego niż zakradnięcie się do podstawówki i włamanie do biura administracji okręgu szkolnego?

– Ani się nie zakradłem, ani nigdzie nie włamałem. Ale owszem, będę musiał przekroczyć granicę, tak jak...

– ...poprzednim razem.

– Właśnie. Jeśli mnie złapią, wtedy wizja „nas”, którą bardzo chętnie bym zrealizował, może się nieco skomplikować.

Widzę, jak się zastanawia, skubiąc zębami dolną wargę.

– Theo, „my” to ty i ja. Co się tyczy ciebie, to... nadal usiłuję cię rozgryźć. Być może nigdy nie zdołam cię do końca zrozumieć. Bywasz najtroskliwszym człowiekiem pod słońcem. Czasem jednak mam wrażenie, jakbym rozmawiała z kalkulatorem, i mówię sobie, że potrzebuję kogoś czulszego, cieplejszego. Ale wtedy robię krok do tyłu, żeby mieć obraz całości. Widzę mężczyznę, który naraził swoje życie, aby odkryć prawdę o losie ludzi, na których nikomu nie należało, i uświadamiam sobie, że ten twój dystans bierze się nie stąd, że przebywasz w innej rzeczywistości, ale że krążysz setki metrów nad głowami i usiłujesz wypatrzeć najdrobniejsze szczegóły, znaleźć wszystko, co wymaga

naprawy. I choć czasem boli mnie, że nie patrzysz na mnie albo zachowujesz się jak nieobecny, to jednak bardzo, bardzo mi się podoba, że nadal starasz się składać różne rzeczy do kupy, żeby były lepsze. Nie chciałabym, żebyś kiedykolwiek z tego zrezygnował, nawet za cenę braku twojej nieustającej uwagi.

– Czyli... co?

– Dorwij skurwiela. Nie zbliżaj się do niego, ale dorwij go. To twój cel. A jeśli powinie ci się noga, przybędę ze strzelbą albo z prawnikiem.

Uwielbiam tę kobietę.

30. Cząstki

Siedzę na fotelu w pokoju hotelowym. Prostuję plecy i przyjmuję najbardziej naturalny wyraz twarzy, na jaki mnie stać, udając, że rozmówca na drugim końcu linii mnie widzi. Potem wybieram numer biura lekarza sądowego i proszę o połączenie z Sanjayem Shivpurim, technikiem odpowiedzialnym za materiały zgromadzone na posesji przy Wimbledon Street.

– Shivpuri – odzywa się miły głos.

– Witam, mówi Theo Cray. Jak pan się miewa? – Staram się brzmieć jak najswobodniej i najprzyjaźniej.

– Dziękuję, w porządku. Zaskoczył mnie pan. Właśnie przeglądałem pańskie notatki. Bardzo pomocne. Muszę przyznać, że jestem pana cichym wielbicielem. Czytałem pański artykuł na temat zastosowania detergentów do pobierania DNA z mieszków włosowych. Świetny tekst.

– Uznanie należy się przede wszystkim Guanowi i jego ekipie. Ja tylko ubrałem w ładne słowa to, czego oni dokonali w laboratorium – wyjaśniam z celową skromnością w głosie.

– Ale zrobił pan to doskonale. Pracuje pan nad czymś nowym?

– Owszem. Nad wykorzystaniem nanocząsteczek żelaza w procesie naprawy fragmentarycznego DNA przed kąpielą detergentową. Udało mi się wyodrębnić znacznie dłuższe łańcuchy. Metoda może się okazać pomocna nawet w przypadku zwapnionych próbek. – Warto czymś zanęcić osobę, od której chce się wydębic przysługę.

– Bardzo ciekawe... Kiedy można się spodziewać artykułu?

– Och, trudno powiedzieć. Prace nadal trwają.

– A w której placówce, jeśli można wiedzieć?

– W domowej. Konkretnie na stole u mnie w kuchni. – Nie pracowałem w laboratorium, od kiedy opuściłem zajęcia w pogoni za seryjnym mordercą.

– Na stole w kuchni? Jeśli potrzebuje pan współpracownika, mam dostęp do laboratorium Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Mógłbym pomóc.

Skoro już o tym wspomniałeś, „cichy wielbiciele”...

– No właśnie. A gdybyśmy tak przetestowali nowe metody w warunkach polowych na materiale zgromadzonym w domu przy Wimbledon? – Stary, tylko ty i ja, będziemy sobie przybijali piątkę jak najlepsi kumple.

– Nie – odpowiada krótko.

– E... nie? Chodzi mi tylko o analizę porównawczą. Nic wielkiego.

– Przykro mi, doktorze Cray, ale dosłownie przed godziną odwiedziła mnie detektyw Chen i uprzedziła, że jeśli wypowiem słowo „DNA” w rozmowie z panem, pozbawi mnie jąder i pracy. Z całą trójką bardzo się zżyłem. Niemniej proszę zauważyć, że z szacunku dla pana dokonań jednak użyłem słowa „DNA”. Sercem jestem z panem, ale całą resztą niestety nie.

No cóż, liczyłem na coś innego. Wygląda na to, że detektyw Chen za wszelką cenę nie chce dopuścić niesławnego doktora Craya do sprawy.

Pewnie boi się powtórki z Montany. Mimo że zrobiłem wszystko, o co mnie poproszono i nie

pobiegłem do prasy, to jednak o moim udziale w wydarzeniach było powszechnie wiadomo; utrudnił on życie technikom kryminalistyki, którzy musieli wyraźnie oddzielić własny tok pracy nad sprawą od mojego.

– Rozumiem, oczywiście. Za nic nie chciałbym się wtrącać. Ale, czysto hipotetycznie, powiedzmy, że dysponuje pan sekwencjami genów ofiar i, dajmy na to, wyekstrahował pan DNA z próbki nasienia podejrzanego i wszystkie te informacje trafiły do pliku, który został wysłany na adres e-mailowy, naturalnie nie mój...

– Czy to pytanie, doktorze Cray? Ponieważ odpowiedź na tę bardzo poszlakową hipotezę brzmi następująco: detektyw Chen zdaje sobie sprawę z istnienia wynalazku zwanego pocztą elektroniczną, a także bardzo, ale to bardzo wyraźnie zaznaczyła, co mi wolno, a czego nie, jak również dość obrazowo opisała sposób, w jaki pozbawi mnie najcenniejszej części mojej anatomii, w razie gdybym postąpił wbrew jej zaleceniom.

– Czyli... nie?

– Stanowczo.

– No dobrze. Ostatnia hipoteza: powiedzmy, że trafiłyby do pana rąk niepublikowane informacje z nowatorskiego instytutu badawczego, mieszącego się w pewnej kuchni w Austin, zawierające opis kilku niezwykle użytecznych metod, o których istnieniu nie wiedzą nawet laboratoria FBI.

– Uznałbym za swój obowiązek przyjrzenie im się bliżej – przyznaje Shivpuri. – I zachowanie wniosków dla siebie.

Ech.

– Lepsze to niż nic.

– Tyle jestem w stanie zrobić. Żałuję, że nie mogę panu zaproponować nic więcej, ale proszę spróbować spojrzeć na to z punktu widzenia detektyw Chen. Mając na uwadze perspektywę ujęcia sprawcy, musimy się wystrzegać wszelkich niejasności, jeśli chodzi o materiał, który badamy. Nie możemy dopuścić do ingerencji z zewnątrz, zwłaszcza ze strony kogoś tak... kontrowersyjnego jak pan.

– Jestem panu wdzięczny – odpowiadam bez przekonania.

– Między nami mówiąc, detektyw Chen tylko wydaje się groźna. Tak naprawdę to bardzo dobry człowiek i świetna policjantka. Jedna z naszych najlepszych. Nie bez powodu przydzielono ją do tej sprawy. Mogę powiedzieć z pełną odpowiedzialnością, że jest jedną z nielicznych osób, które naprawdę rozumieją, o czym piszemy w raportach. Nigdy jej się nie zdarzyło zawalić sprawy przez to, że przekazała prokuraturze nierzetelne wnioski kryminalistyczne.

Dlatego nie chce, żeby stuknięty doktor Cray majstrował przy jej dowodach. Rozumiem, choć to frustrujące. Żegnaj się z Shivpurim, rozłączam się i postanawiam pojechać do Williama, żeby mu przekazać, co mogę, a raczej czego nie mogę zrobić w tej sprawie.

– Ale przecież jesteś najlepszy na świecie w te klocki – mówi William.

Stoimy u niego w kuchni i ubolewamy nad rozwojem wypadków.

– To akurat nieprawda. Nie jestem technikiem kryminalistyki. Nie znam większości metod, jakimi posługują się fachowcy w tej dziedzinie. Moją specjalnością jest badanie tych obszarów, którymi inni się nie zajmują, i odnajdywanie ukrytych wzorców.

– Mogłeś zebrać tyle materiału, ile dusza zapragnie, bo przecież byłeś na miejscu przed policją.

– Owszem, ale gdybym cokolwiek wyniósł od pani Green, mój czyn zostałby potraktowany jako fałszowanie dowodów. W pierwszej kolejności detektyw Chen zapytała mnie, czy pobrałem próbki. Zagroziła nawet, że przeszuka mój pokój w hotelu, i obiecała nie wyciągać konsekwencji, jeśli od razu się przyznam.

– Ale nie zrobiłeś tego?

– Nie. Chociaż nie wiem, może opłacało się zaryzykować.

William wkłada puste butelki do kosza, po czym wyjmując worek z pojemnika.

– Pójdę wyrzucić śmieci.

Chodzi od pokoju do pokoju, zbierając odpadki. Drepczę za nim.

– Wcale nie jestem pewien, czy wpadłbym na jakikolwiek ślad, ale mając DNA, mógłbym spróbować. Gdyby jakimś cudem Zabaweczka pozostawił nieco własnego materiału genetycznego, nie wiem, drasnął się i zostawił plamkę krwi na ubraniu któregoś z dzieci, wtedy dysponowałbym wystarczającą ilością informacji do stworzenia jego trójwymiarowego modelu. Przekonalibyśmy się, jak wygląda.

– Coś takiego jest w ogóle możliwe? – dziwi się William, wsypując do worka zawartość łazienkowego kosza na odpadki.

– W pewnym sensie. Problem z technikami policyjnymi polega na tym, że o kierunku ich pracy decyduje dopuszczalność dowodów w postępowaniu sądowym. Procedura z pięćdziesięcioprocentowym odsetkiem wyników fałszywie dodatnich nie wchodzi przecież w rachubę, nie można z czymś takim pójść do sędziego. – Przytrzymuję mu drzwi.

– To oczywiste.

– Właśnie. W sądzie to nie przejdzie. Ale jeśli zgarniesz z ulicy setkę ludzi, przebadasz ich i wynik pięćdziesięciorga i jednej osoby okaże się pozytywny, możesz zapomnieć o pozostałych czterdziestu dziewięciu i skupić się na reszcie, tyle że z wykorzystaniem dokładniejszych, choć bardziej złożonych narzędzi.

– Naprawdę łąbski z ciebie gość. Szkoda tylko, że nie mamy DNA ani niczego, co mógłbyś przeanalizować. Myślałeś, żeby wrócić tam, do pani Green, po tym, jak policja oczyści teren?

Kręcę głową, wychodząc za Williamem na podwórze.

– Technicy spędzą u niej kilka tygodni. A potem i tak wszystko zaplombują. Popelniałbym przestępstwo, gdybym próbował tam wejść.

– Pomożesz? – pyta, wskazując stojący pod ścianą domu kosz na śmieci.

Podnoszę pokrywę, żeby mógł wrzucić worek.

– Żałuję, że nie zabrałem czegoś na pamiątkę. Chociaż wiesz, kiedy ostatnio wzięłem coś z furgonetki koronera, konkretnie wymaz od martwej dziewczyny, trafiłem do szpitala z pękniętą szczęką.

– Nie brak ci determinacji.

– Czasami. – Opuszczam pokrywę.

– Postaraj się szczelnie zamknąć, dobrze? Nie chcę, żeby coś weszło do kosza i narobiło bałaganu.

Ponownie podnoszę pokrywę i wpatruję się w nią przez chwilę, a słowa Williama rozbrzmiewają echem w mojej głowie.

- Theo?
- Tak? – odpowiadam odruchowo. – Słuchaj, nie wiesz, gdzie zdobędę noktowizor?
- A co? Wybierasz się na nocne polowanie?
- Powiedzmy, że coś w tym stylu. Będziemy potrzebowali McDonalda jako przynęty.

31. Komandosi

Spod domu przy Wimbledon Street odjechały wozy transmisyjne i policyjne furgonetki, ale na miejscu pozostał zwykły radiowóz, a w nim funkcjonariusz pilnujący, aby pod nieobecność techników nikt nie zanieczyścił miejsca zbrodni. Ustawione wzdłuż ogrodzenia barierki i rozpięta między nimi taśma wyznaczają strefę objętą zakazem wstępu. Na niezabudowanej działce po drugiej stronie ulicy stoją kolejne blokady; okalają miasteczko medialne, które rozbija się tam w ciągu dnia.

William siedzi za kierownicą swojego chevroleta malibu, a ja obok niego. Mijamy radiowóz.

Zerkam na mapę, przyglądam się zakreślonym miejscom.

– Zrobić jeszcze jedną rundę? – pyta William.

– Nie. Na pewno zdążył się przyzwyczaić, że ludzie przejeżdżają tędy, chcąc się przyjrzeć domowi – odpowiadam, mając na myśli policjanta. – Ale lepiej niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi. Zwolnij.

William skręca w przecznicę. Opuszczam szybę i ciskam porcją frytek tak, że wpadają na podwórko domu sąsiadującego z tym pod numerem 17658.

– A niech cię. Tak pięknie pachniały.

– Właśnie o to chodzi – mówię. – Olej, w którym je smażą, pobudza zmysł węchu zaprogramowany do poszukiwania pożywienia o wysokiej zawartości tłuszczu. Uzależnienie mamy w genach. Dodaj do tego sól i fruktozę w keczupie, a otrzymasz jedzenie doskonałe. O ile jesteś neolitycznym jaskiniowcem, który wszystkie pozostałe składniki pokarmowe czerpie z pożerania woreczków żółciowych i zwierzęcych wnętrzności.

– Twoja dziewczyna musi uwielbiać te zwierzenia w łóżku – komentuje William, kręcąc głową.

– Po północy nie wolno mi używać żadnych słów mających więcej niż dwie sylaby – wyjaśniam żartem. – Zaparkuj tu.

William zatrzymuje się na rogu uliczki, która skręca i biegnie wzdłuż tylnego ogrodzenia domu. Tutaj też ograniczono teren barierkami i żółtą taśmą, zapewne po to, żeby ekipom telewizyjnym nie przychodziło do głowy zagłębienie z kamerami przez płot.

– Co teraz?

– Zaczekasz tu na mnie. W razie wpadki jeden zapłaci kaucję za drugiego. – Przesiadam się na tylne siedzenie i zakładam noktowizor.

– Oj, poleje się krew – bąka William.

– Nie prosiłem, żebyś mi pomagał. Sam chciałeś.

Gasi silnik i odwraca się do mnie.

– Lepiej zapal go z powrotem i włóż telefon do uchwytu na szybie. Będziesz wyglądał jak kierowca, który czeka na pasażera.

William utyskuje pod nosem na białych i ich obsesję na punkcie ubera. Zauważyłem, że zaskakująco wiele rozwiązań problemów, z jakimi ludzie stykają się w sytuacjach społecznych, ma związek z uberem.

Pochyliłam głowę nad oparciem fotela, tak by mieć dobry widok, ale żeby żaden z przejeżdżających

kierowców nie zorientował się, że na tylnej kanapie siedzi dziwak z noktowizorem na głowie, który wgapia się w porośniętą trawą spłacheć ziemi.

– Jak myślisz, ile to zajmie? – pyta William, raczej z zainteresowaniem niż zniecierpliwieniem.

– Wydaje mi się, że widzę parę lśniących oczu, które wpatrują się we frytki.

Jest pod krzakiem po drugiej stronie ulicy. Wiedziałem, że go tu znajdę. Tak jak przypuszczałem, wybrał bezpieczną kryjówkę, z której może obserwować okolice i w razie czego szybko się ewakuować.

– Idzie...

Szop przemyka ulicą, przyklejony do asfaltu jak żołnierz pod ostrzałem snajpera.

Dociera do frytek, wacha, rozgląda się dla pewności, że nikt go nie widzi, po czym ładuje kilka do pyszczka.

Zjada jeszcze parę, a potem łapie więcej, niż jest w stanie zjeść, i rusza po trawie w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przyszedł. Wtedy orientuję się, że ten szop to szopica.

– Mamy tu panią szopową. Wygląda na to, że niesie jedzenie dzieciom.

Odwraca łepkę w tę stronę. Usłyszała mój głos.

– Widzi mnie – szepczę.

Zamieram, czekam, aż zwierzę dojdzie do wniosku, że nic mu nie zagraża. Minutę później szopica rusza w dalszą drogę – prosto na nas.

– Idzie tu – mówię cicho.

– Uciekamy? – dowcipkuje William.

Muszę się ugryźć w wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Niezbadane są ścieżki humoru. Siedzimy w aucie zaparkowanym trzydzieści metrów od domu śmierci, w którym wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w okrutny sposób zakończył życie syn Williama, i żartujemy sobie z szopicy o pysku pełnym frytek.

Mrużę oczy, bo na chwilę oślepia mnie przejeżdżający samochód.

– Cholera, zniknęła. – Przepłoszył ją pojazd.

– Spróbujemy jeszcze raz? Może weźmiemy więcej frytek albo Happy Meal...

Milknie po ostatnim słowie, bo powraca do niego bolesne wspomnienie chwil spędzanych z synem.

– Nie, nie zrobi tego po raz drugi. Różnica pomiędzy szopem a rybą polega na tym, że ryba po kilku minutach wraca do tego samego haczyka i robi to, aż zostanie złowiona. Szop jest ostrożniejszy.

– Jesteś jak Discovery Channel, tylko na żywo.

– A wiesz, że nawet zaproponowali mi prowadzenie programu na temat biologii i seryjnych morderców?

– I co, zgodziłeś się?

– Uprzejmie odparłem, żeby spierdalali.

– Podbili ofertę?

– Nie... – Coś się rusza na skraju chodnika. – Zaczekaj tu – rzucam i wysiadam z auta.

Zauważyłem niewielką przerwę w krawężniku, coś na kształt wlotu burzowca – prawdziwa rzadkość w Los Angeles. Kucam i świecę latarką do środka. Witają mnie trzy pary lśniących oczu

i syk pani szopowej. Rodzinka siedzi na posłaniu z zeschniętej trawy, gałązek i... czegoś, co wygląda jak kość udowa.

Mam wyrzuty sumienia, że muszę wyeksmitować pracującą samotną matkę, ale wymagają tego okoliczności. Sięgam do kieszeni po pistolet na wodę, odsuwam się, żeby familia miała którędy uciec, i psikam szopicy wodą prosto w pyszczek. Samica wyskakuje z nory i pomyka na drugą stronę ulicy w poszukiwaniu kolejnej kryjówki – a za nią młode.

Zaglądam do dziury i widzę jeszcze jedną parę małych oczu. Odwracam się, a tam przerażona szopica spogląda z nowej miejscówki – policzyła ferajnę i jednego jej członka zabrakło.

Na szczęście dla niej kupiłem parę rękawic spawalniczych. Wkładam rękę do nory, wydaję szopiátko i zanoszę je do matki. Maleństwo daje susa w krzaki i po chwili rodzinka, znów kompletna i szczęśliwa, czmycha w bezpieczne miejsce.

Nie sposób powiedzieć tego o krewnych osoby, której szczątki znalazły się w studziencie.

Proszę Williama, żeby trochę cofnął samochód, tak bym nie był na widoku dla policjanta, po czym czyszczę norę szopów, przekładając jej zawartość do kupionych specjalnie dużych białych wiader malarskich.

Muszę sięgnąć naprawdę głęboko. DNA ofiary może się znajdować nawet na czwartym paliczku dalszym, czyli najmniejszej kostce małego palca u dłoni, a jeśli zachował się również paznokieć, którym w dodatku sprawca dał się podrapać, być może udałoby się dowiedzieć czegoś ważnego o Zabaweczce.

Nie przyglądam się temu, co wydaję z odpływu. Pilnuję, żeby policjant się nie zainteresował, nie podszedł i nie zaczął zadawać pytań.

Zasadniczo nie łamię żadnego prawa – a przynajmniej tak mi się wydaje – ale policja może zinterpretować moje działanie zupełnie inaczej, na przykład kiedy się zorientuje, że brakuje ważnych dowodów rzeczowych. Sami są sobie winni. Nic też dziwnego, że nie mam zaufania do ich metod. Płot może stanowić pewne ograniczenie dla człowieka, ale nie dla szopa albo psa pani Green.

To, że Zabaweczka prawdopodobnie zabijał swoje ofiary na terenie posesji, nie oznacza bynajmniej, że po śmierci wszystkie ich szczątki tam pozostały. Polujący na jedzenie i nieprzebiegający w okazjach padlinożerca, który musi wykarmić młode, nie wybrzydza. Jest mu obojętne, że zjada kości i rozkładające się mięso martwego ludzkiego dziecka.

32. Błąd systematyczny próbkowania

William zaproponował, żebym urządził swoje laboratorium u niego w domu, ale nie dawała mi spokoju wizja wpadających z niezapowiedzianą wizytą agentów DEA albo skarbowki. Lepiej, żeby mnie nie nakryli, jak ze szkłem powiększającym pochylałam się nad rozkładającą się czaszką dziecka. Dlatego zdecydowałam się na wynajęcie apartamentu w Marriottcie przy LAX. To prawda, że warunki hotelowe są dalekie od idealnych, jeśli chodzi o badanie kryminalistyczne, ale ponieważ mam doświadczenie w konstruowaniu miniaturowego pomieszczenia czystego w warunkach polowych, uznałem, że dam radę zdobyć materiał, na którym mi zależy, bez ryzyka nadmiernego zanieczyszczenia próbki.

Na wypadek gdyby sprzątaczką postanowiła zignorować zawieszoną „Nie przeszkadzać”, którą umieściłem na drzwiach, przygotowałem kartkę z ostrzeżeniem: „Rekwizyty filmowe – nie dotykać” i postawiłem ją obok próbek. Doszedłem do wniosku, że w mieście, które dało światu *CSI* i *NCIS*, a oglądanie leżących na prosektoryjnym stole gnijących zwłok uczyniło popołudniową i wieczorną rozrywką, takie wytłumaczenie na pewno przejdzie.

Pierwszy etap pracy polegał na opróżnieniu zawartości wiader pod prowizorycznym namiotem, który ustawiłem na biurku, oraz umieszczeniu każdej próbki w osobnej plastikowej torebce i opisaniu jej. Pomyślałem, że jeśli znajdę więcej kości niż ta udowa, którą zauważyłem, dobrze by było, żeby lekarz sądowy, któremu przekazę materiały – rzecz jasna anonimowo – wiedział, co skąd pochodzi.

Wyjmując po kolei przedmioty z wiader, przemywałem je wodą demineralizowaną. Następnie dokładnie przejrzałem szlam na dnie, szukając paznokci albo kosteczek z ucha. Kiedy William zorientował się, że to będzie bardzo długi i nużący proces, postanowił odmeldować się do domu. Udawał zainteresowanie moimi tłumaczeniami, jak ekstrapolować położenie kanałów ściekowych na podstawie mapy gleb, ale spasował w chwili, gdy zacząłem się rozwodzić na temat lokalizowania starych cieków i den jezior w radykalnie przeobrażonej topografii.

Zrobiła się trzecia, zanim udało mi się zidentyfikować wszystkie kości, które wygrzebałem z odpływu. Jedenaście sztuk. Niemal same elementy palców. Wyglądało na to, że pani szopowa przywłaszczyła sobie jedną lub dwie dziecięce dłonie albo być może kilka pojedynczych palców.

Znalazłem również kość udową oraz fragmenty piszczeli bądź kości łokciowej, trudno jednoznacznie stwierdzić.

Zrobiłem zdjęcia cyfrowym aparatem, którego teoretycznie nie sposób powiązać z moją osobą, i przystąpiłem do etapu pozyskiwania DNA.

Używając małego wiertła jubilerskiego i specjalnej uszczelki polimerowej, chroniącej przed dopływem tlenu, pobrałem po trzy próbki z każdej kości. Zostawiłem na tyle dużo materiału, że lekarz sądowy nie powinien mieć kłopotu z uzyskaniem własnych próbek z niezanieczyszczonych fragmentów kości.

Przyszło mi do głowy, że mógłbym spłatać Shivpuriemu figła, wziąć próbki DNA z sekwencji neandertalskich, umieścić je w żelatynie i zastąpić nią szpik w jednej z kości. Szybko jednak

uświadomiłem sobie, że naprawdę nie mógłbym wymyślić nic paskudniejszego, i uznałem, że na dziś wystarczy.

Schowałem próbki kontrolne do lodówki i obłożyłem je lodem, a pozostałe zapakowałem do torby termicznej. Potem zamówiłem usługę kuriera zajmującego się transportem obligacji na okaziciela, materiałów kryminalistycznych agencji wywiadowczych i pendrive'ów pełnych informacji zdecydowanie zbyt wrażliwych, by przesyłać je przez internet albo polegać na tradycyjnych przewoźnikach, takich jak FedEx albo UPS.

W holu spotkałem się z mężczyzną w średnim wieku, ubranym w garnitur i dzierżącym skórzaną torbę listonoszkę. Dokonałiśmy przekazania.

Za siedem godzin próbki trafią do laboratorium w Wirginii, a pod koniec dnia otrzymam wyniki. Na szczęście właściciel placówki ma u mnie dług wdzięczności, więc badanie nie będzie mnie nic kosztowało. Za sumę, jaką normalnie musiałbym wyłożyć, mógłbym pewnie sklonować dinozaura. Jeśli policja Los Angeles zdecyduje się wnieść przeciwko mnie oskarżenie, wtedy poproszę laboratorium o fakturę i pokażę ją sędziemu.

Z podstawowej analizy DNA nie dowiem się niczego ponad to, co policja sama może odkryć. Ciekawsze są natomiast inne, niestandardowe testy, dzięki którym możemy sprawdzić aktywność poszczególnych genów, a także wykryć metylację oraz kilka innych objawów ich ekspresji. Wszystko po to, aby uzyskać jak najdokładniejsze dane na temat wyglądu ofiary – to był zresztą jeden z głównych powodów, dla których to laboratorium w ogóle powstało.

Typowa analiza nici DNA daje jedynie przybliżone pojęcie o wyglądzie ofiary. Istnieje jednak pół tuzina innych czynników determinujących sposoby ekspresji genów. Mówiąc najprościej, większa część kodu genetycznego zawarta jest w sekwencji AGTC, ale niektóre informacje kryją się na powierzchni nici.

Kładę się do łóżka, zanim mój zmęczony mózg wpadnie na kolejne błyskotliwe pomysły, które wpakują mnie do więzienia federalnego i zafundują mi dożywotni zakaz zbliżania się do mikroskopu. Jestem tak wykończony, że zasypiając, nawet nie zwracam uwagi na zapach śmierci w pokoju.

33. Kubeł zimnej wody

Zanim odkryto DNA – drobinę będącą głównym nosicielem informacji genetycznych, a także tych o pochodzeniu życia w ogóle – największą zagadką biologii była dziedziczność. Od zięb Darwina po groch Mendla. Wyczuwaliśmy istnienie jakiejś niewidocznej siły zawiadującej wszystkim, co przechodzi z rodziców na dzieci. Im uważniej się przyglądaliśmy, tym wyraźniej docierało do nas, że dziedzicznością nie rządzi żadna tajemnicza, chaotyczna moc, lecz matematyka, i że często jest ona w dużym stopniu przewidywalna.

Kiedy Watson i Crick zdołali dzięki zastosowaniu rentgenografii strukturalnej uzyskać wystarczająco dużo informacji, by móc zwizualizować strukturę DNA, wreszcie ujrzeliśmy brakujący element układanki. Tyle że ta układanka okazała się sama w sobie zagadką. Spodziewaliśmy się odnaleźć czytelne fragmenty kodu odpowiadające na przykład za naszą bystrość albo wzrost, a natrafiliśmy na geny, które czasem, w jakiś sposób odnosiły się do tych cech, a czasem – nie, co nas doprowadzało do szału. Zdaliśmy sobie sprawę, że DNA nie jest jak prosta i zrozumiała książka kucharska. W wielu obszarach przypomina raczej wysoko zagęszczone instrukcje albo ciągnący się jak makaron komputerowy kod źródłowy, które ewolucja wrzucała do wspólnego gara w zależności od potrzeb. Nasze poszukiwania takiego rozwiązania zagadki życia, które nie zakładałoby obecności bezpośrednio zaangażowanego twórcy, zakończyły się powodzeniem, ale przy okazji przekonaliśmy się, że wymazując tego, który nadaje porządek, pozbawiamy się zarazem samego porządku.

Przeglądam histograme i odczyty pierwszej sekwencji DNA, które przysły e-mailem z laboratorium, i widzę pozbawiony ładu, chaotyczny zbiór instrukcji tworzących ludzkie życie. Niektórzy twierdzą, że ten niemal przypadkowy wzór jest dowodem cudu; odpowiadam im, że kierując się tą logiką, musielibyśmy każdy żywy organizm, któremu uda się przyjść na świat, nazwać cudem – a skoro wszyscy jesteśmy cudem, to nikt nim nie jest, ponieważ wówczas słowo to ztraca swoje znaczenie. Życie działa albo nie.

To konkretne życie spotkał przedwczesny koniec nie z winy jego własnego DNA, lecz z powodu usterki materiału genetycznego zupełnie innej osoby bądź też wady środowiska, w którym się ono rozwijało. Ofiara A była płci męskiej i sądząc po długości telomerów umocowanych do nici DNA, miała od siedmiu do dwunastu lat. Zakładając, że chłopiec odżywiał się prawidłowo w fazie prenatalnej – co wcale nie jest oczywiste, biorąc pod uwagę tło społeczne dzieci, które wybiera Zabaweczka – można przyjąć, że miał przeciętny wzrost. Był nosicielem genu najczęściej kojarzonego z długowiecznością i męską łysiną. Ja też mam ten gen. Jak na razie czoło mi się nie cofnęło, a co do mojego przedterminowego zejścia, to się dopiero okaże.

Jeśli chodzi o tożsamość etniczną, ofiara miała mutacje właściwe dla różnych grup. Oprócz dominujących afrykańskich znalazło się też miejsce dla bliskowschodnich, irlandzkich i środkowowłoskich. W porównaniu z jego czysto afrykańskimi przodkami skóra chłopca była stosunkowo jasna. Miał niebieską wersję genu HERC2 i zieloną genu EYCL1, a zatem zielone oczy. Rzadko spotykana cecha u osoby z afrykańskim rodowodem, ale częstsza u kogoś mającego północnoeuropejskie korzenie. Słyszę podszept, coś domaga się mojej uwagi.

Sięgam po profil Ofiary B i przeglądam jej DNA. Bardzo podobne pochodzenie, ale geny w większości libańskie i skandynawskie. Najciekawsze jednak, że ten chłopiec miał niebieski gen HERC2 i zielony EYCL1.

Nic nie wskazuje na to, aby ofiary były ze sobą spokrewnione. Prawdopodobieństwo współwystępowania genu odpowiedzialnego za kolor oczu...

Otwieram zdjęcie Christophera Bostroma na komputerze. Zielone oczy! A Artice? Miał szare, prawie srebrne. To wyjątkowo rzadki gen, a właściwie połączenie kilku, bo w grę wchodzi również OCA2, którego funkcji nie udało nam się jeszcze do końca poznać – ot, kolejny z nieznośnych drobiazgów genetyki. Niektóre geny związane z kolorem oczu zachowują się zgodnie ze ściśle określonymi zasadami, innymi rządzą czynniki, których wciąż nie rozumiemy.

Co najmniej trzy spośród ofiar Zabaweczki miały zielone bądź szare oczy. Przyjrzyjmy się Ofierze C.

Nie miał genów odpowiadających za zielony kolor oczu, ale za to nosił nietypową wersję OCA2. Być może jego oczy też były w jakiś sposób przebarwione? Nie mogę zlekceważyć takiego zbiegu okoliczności. Sięgam po telefon i dzwonię do Shivpuriego.

– Tak?

– Mówi Cray. Szybkie pytanie: czy ma pan wyniki sekwencjonowania DNA?

– Wydawało mi się, że już to sobie wyjaśniliśmy – odpowiada.

– Nie proszę, żeby mi je pan udostępnił. Chcę tylko coś sprawdzić. A raczej podpowiedzieć, czego powinien pan szukać...

– W porządku. Ale to nie może działać w dwie strony, rozumie pan, prawda? – Milknie na chwilę. Słychać, jak uderza w klawisze. – Czego mam szukać? Otworzyłem pierwszy plik.

– Niech pan spojrzy na HERC2 i zielony EYCL1. Wie pan, gdzie są zlokalizowane?

– Znajdę. Mam... Zielone oczy? Czy Christopher Bostrom nie miał czasem zielonych oczu?

– Owszem.

– Hm. Pierwszy, którego sprawdzam, i od razu to samo. Jakie jest prawdopodobieństwo, że...

– Próbuję to ustalić – wchodzę mu w słowo. – Proszę otworzyć plik kolejnej ofiary.

– Już. No proszę... HERC2 i zielony EYCL1. Dziwne...

Czuję uderzenie adrenaliny. Albo przypadkiem wybrał próbki z tych samych źródeł co moje, albo cztery ofiary Zabaweczki miały zielone oczy.

– Proszę spróbować z następną.

– Chwilkę... Na razie mam tylko osiem. Już. No niestety. Brązowy HERC2.

– W porządku. Może w jego przypadku to nie była żelazna zasada. Proszę sprawdzić pozostałe.

– Właśnie patrzę na czwartą. Nie ma zielonych oczu. Piąta... i szósta... Też nie – dodaje po chwili.

– Ale to i tak interesujące. Dwoje zielonookich dzieci.

– I jeszcze Artice. Ma szare, prawie srebrne oczy.

– Nasz sprawca ma szczególne preferencje, to trzeba przyznać. Jego problem polega na tym, że niewiele potencjalnych ofiar może zaspokoić te wymagania.

Chodzi mi po głowie coś, co Shivpuri powiedział kilka chwil wcześniej.

– Zaraz, zaraz... – Przebiegam palcami po klawiaturze swojego komputera i upewniam się, czy właściwie odczytałem sekwencję. – Czy u innych ofiar występują rzadkie odmiany OCA2?

– Niech spojrzę... Hm, tak. To... naprawdę dziwne. W pozostałych sześciu próbkach widać podobne mutacje.

– To dlatego, że sprawca nie kieruje się w pierwszej kolejności zielonym kolorem oczu – mówię, kiedy dociera do mnie, o co chodzi.

– Chwileczkę, a ten OCA2... właściwie co takiego kontroluje?

– Wiele rzeczy. Ale ta jego przekształcona wersja, którą pan widzi na ekranie, odpowiada za pewną szczególną cechę, bodaj najbardziej rzucającą się w oczy mutację, jaką można sobie wyobrazić: albinizm.

Słyszę, jak Shivpuri nabiera powietrza.

– To dopiero – odzywa się po chwili. – Muszę zadzwonić do Chen. Jak pan na to wpadł?

– Przykro mi, nie mogę powiedzieć.

Rozłączam się, żeby mógł donieść przełożonym o potencjalnym przełomie w sprawie i odkryciu, że znalazł się sposób na wskazanie tych przypadków zaginięć dzieci, które mogły mieć związek z działalnością Zabaweczki.

Jeśli morderca grasował również w innych miejscach, być może uda się ustalić w których.

Według Predoksa istnieje prawdopodobieństwo, że w Houston, Atlancie, Denver i Chicago grasuje drapieznik. Każę mu przeszukać bazę pod kątem albinizmu i kilku innych zaburzeń genów, przejawiających się charakterystycznym wyglądem, na przykład rudym kolorem włosów u Afroamerykanów.

Godzinę później ślęczę nad wynikami, kiedy nagle rozlega się głośne pukanie do drzwi.

– Proszę nie przeszkadzać! – rzucam przez ramię. Jeszcze nie spakowałem próbek, które zamierzam jak najszybciej i anonimowo przekazać policji Los Angeles.

Za drugim razem pukanie staje się bardziej natarczywe.

– Chwileczkę – mówię i wstaję. Boso, w samych dżinsach i T-shircie podchodzę do drzwi.

Kiedy je otwieram, moim oczom ukazuje się detektyw Chen w asyście dwóch umundurowanych policjantów. Cała trójka ma ponure miny.

Detektyw podsuwa mi papier.

– To nakaz rewizji i zarazem nakaz aresztowania, gdyby się okazało, że fałszuje pan dowody.

Zerkam przez ramię na swoje minilaboratorium i zapakowane w foliowe torebki oraz ułożone w równych rzędach fragmenty szczątków martwych dzieci.

No pięknie.

34. Przesłuchanie

Siedzę przy niewielkim stole, który po mojej stronie ma zamontowaną z boku metalową obręcz, w oczywisty sposób przeznaczoną do mocowania kajdanek – zatem to nie sala konferencyjna, a pokój przesłuchań.

Na szczęście nie założyli mi bransoletek. Po ostatniej przygodzie, w której posadzono mnie skutego w aucie, zepchniętym później z drogi przez mężczyznę chcącego mnie zabić, poświęciłem kilka godzin na opanowanie sztuki uwalniania się z kajdanek. Moim nauczycielem był gość z Austin i jego filmiki na YouTube. Poszedłem też na kurs samoobrony do byłego mistrza MMA, obecnie studenta medycyny (w zamian za lekcje pomagam mu się przygotować do egzaminów kwalifikacyjnych). Mam nadzieję, że wiedza, którą zdobyłem, na zawsze pozostanie teoretyczna.

Poprzez okoliczności, w których się spotykamy, Chen i towarzyszący jej detektyw Raul Avila wyraźnie sygnalizują swoje intencje – a przynajmniej dają do zrozumienia, jak poważnie powinienem je traktować – ale nadal nie mam pewności co do ich prawdziwych pobudek. Wiem natomiast, że tempo, w jakim zdołali załatwić nakaz, świadczy o tym, że sprzyjają im prokurator i sędzia. Zdaję sobie również sprawę, że kiedy ostatnio znalazłem się w podobnej sytuacji, nie potrafiłem trzymać gęby na kłódkę, przez co niewiele brakowało, a postawiono by mi zarzut morderstwa.

Siły światła i dobra są wprowadzicie po mojej stronie, ale Chen tego nie widzi. Żąda odpowiedzi na pytanie o to, skąd wzięłem własne próbki DNA. Znalazłem je na ulicy, w miejscu publicznym, i nawet mam gotowe wytłumaczenie, ale milczę jak zakłęty. Od chwili, w której podsunęła mi pod nos nakaz rewizji i aresztowania, powtarzam jak mantrę: „Chcę zadzwonić”.

– Doktorze Cray, kiedy pobrał pan te próbki? Przed czy po tym, jak zadzwonił pan na numer alarmowy?

– Chcę zadzwonić.

– Być może nie będzie pan musiał, jeśli tylko zdoła nam pan wszystko wyjaśnić. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Chcę zadzwonić – powtarzam, tym razem patrząc prosto w obserwujące mnie szklane oko kamery, która stoi na statywie w drugim końcu pomieszczenia.

– Wcześniej był pan skłonny do współpracy. Niestety, zignorował pan bardzo wyraźne polecenia, które pan otrzymał.

Wpatruję się w przestrzeń pomiędzy siedzącymi naprzeciwko mnie detektywami.

– Ty z nim pogadaj – rzuca Chen do Avila.

– Doktorze Cray, ustalenie łańcucha dowodowego ma dla nas pierwszorzędne znaczenie. Falszowanie dowodów, które pan uprawia, może nas kosztować tę sprawę – odzywa się Avila.

– Chcę zadzwonić. – Mam ochotę powiedzieć im, że moje próbki nie były i nie są częścią ich łańcucha dowodowego, ale może lepiej tego nie robić.

– Możemy pana wypuścić choćby za godzinę – mówi Chen, a w jej głosie słychać rosnącą irytację.

– Albo możemy oficjalnie postawić pana w stan oskarżenia i zanim pański adwokat załatwi panu

jutro formalne odczytanie zarzutów, o ile w ogóle uda mu się to zrobić, w prasie wypłynie pańskie nazwisko jako tego, który fałszował dowody.

Nie odpowiadam, ale odruchowo uśmiecham się znacząco. Oboje doskonale wiemy, że taki nagłówek to ostatnie, na czym jej zależy – byłby prezentem dla obrońcy usiłującego obalić kryminalistyczne dowody oskarżenia.

Do Chen chyba dociera przyczyna mojej reakcji. Detektyw zmienia ton.

– Zarzuty mogą być rozmaite. Kradzież ludzkich szczątków. Narażenie na utratę zdrowia. Naruszenie własności. To wszystko przestępstwa zagrożone nie grzywną, tylko karą więzienia. – Zwraca się do Avili. – Mam rację?

– Jak najbardziej. Ale możemy panu tego oszczędzić, jeśli tylko wyjaśni nam pan pewne rzeczy. Co pan na to?

– Chcę zadzwonić.

Chen robi się czerwona ze złości.

– Im dłużej tu siedzimy, tym mniej mamy czasu na wytropienie sprawcy.

– Co pani nie powie? – bąkam, przerywając mantrę.

Avila posyła mi spojrzenie pełne rozdrażnienia.

– A w dupie z nim.

– Sam pan tego chciał, doktorze Cray. Zostanie pan spisany i zamknięty w areszcie razem z prawdziwymi bandziorami. Jutro, jeśli się panu poszczęści, zostaną panu formalnie odczytane zarzuty, a jeśli znajdzie pan sobie adwokata, któremu zaufa bardziej niż naszemu obrońcy z urzędu, wyjdzie pan za dzień, może dwa. W tym czasie pozwolimy prasie snuć domysły na temat tego, co znaleźliśmy w pańskim pokoju hotelowym i dlaczego pana zaarrestowaliśmy.

– Może wpiszemy mu jakiś mniej oczywisty zarzut? Na przykład „posiadanie przedmiotów pochodzących z przemytu”? – zwraca się Avila do Chen, próbując mnie zastraszyć.

Siedzę najspokojniej, jak potrafię. Oboje nie rozumieją, że już dawno straciłem jedyną reputację, o jaką dbałem.

Chen puka do drzwi. Wchodzi zastępca szeryfa i zakłada mi kajdanki.

– Skończyłam z panem! – woła za mną Chen, kiedy zastępca prowadzi mnie do strefy, w której rejestruje się aresztantów. – Proszę nawet nie próbować się ze mną kontaktować.

Upokarzająca procedura rejestracji zajmuje mniej więcej godzinę. Większość tego czasu spędzam na plastikowych krzesłach pod galerią ściganych złoczyńców i czekam, aż mnie wywołają i przepędzą przez kolejne pomieszczenia, pobiorą odciski palców, sfotografują i przeszukają – dokładnie, ale nie *zbyt* dokładnie. W końcu funkcjonariusz odprowadza mnie do niewielkiego boksu z telefonem i pozwala zadzwonić.

Znam w Montanie prawnika, który pomógł mi się uporać z ciągnącymi się za mną następstwami sprawy Joego Vika, ale nic mi po nim w Los Angeles. Zamiast więc zadzwonić do adwokata, wybieram numer mojego przyjaciela Juliana Steina, inwestora dostarczającego kapitału wysokiego ryzyka, entuzjasty nauki i obrazurcy, który nie boi się wyrażać niepopularnych opinii.

– Cześć, Theo! Co słyhać? Przydały ci się wyniki?

– Można tak powiedzieć...

– Oho. Co się stało? Drań chce cię dorwać, tak jak tamten?

- Nie. Gorzej. Gliny. Znasz jakiegoś dobrego prawnika?
 - Zamknęli cię?
 - Ano. Właśnie mnie zarejestrowali.
- Przełącza na głośnik. Słyszę, jak pisze na telefonie.
- Wydział policji miasta Los Angeles?
 - Zgadza się.
 - Którą tam macie? Prawie dziewiąta, co nie?
 - Gdyby znalazł się ktoś na jutro na formalne odczytanie zarzutów, byłoby super.
 - Co ty pieprzysz. Jeszcze dziś będziesz spał we własnym łóżku.
 - Czyli w Austin...
 - Wiesz, mógłbym posłać po ciebie samolot.
 - Wystarczy dobry prawnik.
 - Chwileczkę... – Dalej pisze. – Już. Pani adwokat jest w drodze.
 - To się nazywa tempo.
 - Ba! Mary Karlin. Kojarzysz?
 - Tak. To, zdaje się, ta adwokat z telewizji? Widziałem ją w CNN i FOX. Ma parcie na szkło?
 - Owszem. Dlatego to właśnie jej potrzebujesz. Bo nie chodzi o to, co potrafi zrobić na sali sądowej, tylko o to, jak postąpi policja, kiedy zobaczy, z kim ma do czynienia.

35. Sprawiedliwość

Dwie godziny później siedzę na fotelu pasażera w należącej do Mary Karlin czerwonej tesli model X. Pani adwokat mknie przez miasto, jak szalona zmieniając pasy ruchu. Oby tylko inżynierowie Elona Muska okazali się tak dobrzy, jak się o nich mówi.

Karlin jest drobną pięćdziesięciolatką o jasnoczerwonych włosach i ustach, które się nie zamykają. Jak burza wpadła na posterunek w towarzystwie szeryfa federalnego i wyciągnęła mnie stamtąd, zanim zdążyłem zdjąć buty. Nadal nie mogę się otrząsnąć.

– Niech pan podziękuje sędziemu Davenportowi. To on nakazał pana uwolnić.

– Był pani winny przysługę?

– Ha! – Wyprzedza kolejnego priusa. – Bynajmniej. Nie cierpi mnie. Powiedziałam mu, że jeżeli spędzi pan noc w areszcie, rano zwołam konferencję prasową, na której poinformuję media, że policja Los Angeles zaaresztowała pana, ponieważ zawstydził ją pan, wytykając uchybienia w śledztwie, i postanowiła uczynić z pana kozła ofiarnego, na wypadek gdyby spieprzyła dochodzenie.

– No proszę. Nie pomyślałem o tym w ten sposób.

– Nie mam pojęcia, czy rzeczywiście o to im chodziło. Ale wystarczyło, żeby się ugięli. No to niech pan powie, za co *naprawdę* pana przyskrzynili.

– Nie wie pani, a mimo to mnie uwolniła?

– Przeczytałam, co napisali podczas rejestracji. Mętnie, mało konkretów. W każdym razie nie im na korzyść. Potknęli się o własnego chuja. Nie musi pan mi mówić, ale raz, że zostałam pańskim adwokatem, a dwa, że jestem cholernie ciekawa.

– Zabrałem materiał, który znalazłem w zatkany odpływie w pobliżu domu przy Wimbledon Street.

– Czy to droga publiczna?

– Tak.

– Całe, kurwa, szczęście. Mówi pan, że odpływ był zatkany? Miasto nie przestrzega przepisów Agencji Ochrony Środowiska. Jeśli sprawa dotyczy biednej dzielnicy, można wyciągnąć coś jeszcze. Proszę mówić dalej...

– Natrafiłem na kości i pobrałem z nich DNA, żeby poddać je własnej analizie.

– Fantastycznie! – wykrzykuje Karlin, mknąc pasem dla pojazdów z wieloma pasażerami. – Czyli materiał nie znajdował się na miejscu zbrodni?

– Nie. Policja nawet nie wiedziała o jego istnieniu.

– Zdradził pan, skąd wziął próbki?

– Nie. Milczałem jak grób. Detektyw Chen chyba myśli, że wykopałem je na podwórzu domu przy Wimbledon przed albo po tym, jak wezwałem policję.

– Czy wcześniej pytała pana o to, czy dysponuje pan materiałem dowodowym?

I to nie raz, bo bała się powtórki z Montany.

– Tak, wielokrotnie. Zgodnie z prawdą odpowiadałem, że nie.

– Zażądam wideo z pańskiego przesłuchania. Chen się wścieknie. Sprawa jest oczywista: nie zabrał pan niczego z miejsca zbrodni, nawet zanim formalnie się nim stało. Nie mogą pana o to oskarżyć.

– Powiniennem być im powiedzieć? Może wtedy zaoszczędziłbym nam wszystkim kłopotu.

– W życiu! Nigdy, panie Cray, *nigdy*, kurwa, nie wiadomo, czego spróbują. Dobrze pan zrobił, że milczał. Więc te próbki pochodzą z kości?

– Tak.

– Ohyda. Skonfiskowali je w pańskim pokoju?

– Tak.

– Powiedzieli, dokąd zabierają?

– Sądzę, że do laboratorium.

– Ha! No to dali dupy! – oznajmia Karlin z entuzjazmem. Wciska guzik na wyświetlaczu auta.

– Co jest? – rozlega się głos młodej kobiety.

– Połącz mnie z Davenportem.

– Robi się.

– Próbki są pańską własnością – zwraca się do mnie Karlin. – Nakaz, który wobec pana zastosowano, nie uprawnia policji do uwzględniania próbek w materiałach dowodowych ani nawet do badania ich w kontekście sprawy morderstw przy Wimbledon Street siedemnaście sześć pięć osiem.

– Ale ja chciałem, żeby do nich trafiły...

– Zgoda, ale przecież nie mogą pana nimi szantażować.

– Co znowu, Karlin? – odzywa się szorstki głos starszego mężczyzny.

– Okazuje się, że pańscy detektywi z policji Los Angeles posłużyli się lipnym nakazem i przywłaszczyli własność mojego klienta, po czym wysłali ją do laboratorium zajmującego się sprawą morderstw przy Wimbledon.

– I co z tego?

– Co z tego? Jeśli nie chce pan, żeby ważny materiał dowodowy trafił do kosza, to proponuję, żeby zadzwonił pan do sędziego Laua i kazał mu dopilnować, aby jego detektywi jak najszybciej naprawili to, co tak koncertowo spierdolili. Zdążyli postraszyć mojego klienta paragrafami. Nawiasem mówiąc, te materiały, z których potem pobrali DNA, mój klient znalazł w odpływie burzowym na drodze publicznej, a nie na terenie posesji przy Wimbledon Street. Właśnie rozmawiam z Kleinerem w sprawie pozwu o bezprawne aresztowanie.

– Nie rozmawia pani. Kleiner siedzi tu ze mną.

– Mam go na szybkim wybieraniu. Na jedno wychodzi. – Zwraca się do mnie. – Zabrali coś jeszcze?

– Mój komputer i broń.

– No, fuszerka. Słyszał pan? Jeśli Lau też tam jest, sugeruję, żeby podpowiedział mu pan, jak wybrnąć z tej sytuacji.

– Niech pani sobie wsadzi tę sugestię, pani adwokat. Sama pani wie gdzie.

– Chętnie. Bo w tym mieście nie znajdę faceta, który umiałby to dobrze zrobić. – Naciska czerwoną słuchawkę.

Gapię się na nią zdezorientowany. Nie mam pojęcia, co tu się zadziało.

Karlin zauważa moją minę.

– Zna pan powiedzenie „skoro wyjąłeś broń, bądź gotów jej użyć”?

– Tak...

– No więc zablefowali na całego. Chen i ktoś jeszcze, kto postanowił pana zastraszyć. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że tę intrygę zmontował prokurator Grassley, bo chciał przywołać pana do porządku. Sęk w tym, że zamiast potraktować pana jak zatroskanego obywatela okazali panu brak szacunku i zachowali się tak, jakby to pan był sprawcą. I to się na nich zemściło.

– Jak to wpłynie na sprawę?

– Nijak. Policja Los Angeles prawdopodobnie jeszcze dziś zwróci panu rzeczy.

– Chodziło mi o sprawę morderstw przy Wimbledon. Czy afera na nią wpłynie? Bo tylko to się w tym wszystkim liczy.

– A, tak. Sprawa. Zapomniałam, że jest pan uczciwym do bólu naprawiaczem świata. Odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: nie. Dobrali się do pana, bo wydaje im się, że kogoś mają, i chcieli pana uciszyć.

– Jak to: kogoś mają?

– Ode mnie pan tego nie wie, ale złożyli wniosek o ekstradycję. Podobno znaleźli odcisk palca i ślady krwi, które pasują do osoby odsiadującej karę w Brazylii.

– Jasny gwint.

– Poszczyściło im się. Chodzi o jakiegoś cyngla, który pracował dla gangów. Brazylijczycy złapali go przed kilkoma miesiącami.

– Przed kilkoma miesiącami? To się nie klei. Ostatnia ofiara, o której wiemy, zaginęła zaledwie miesiąc temu.

Karlin kręci głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. W każdym razie policja sądzi, że znalazła sprawcę.

– Obawiam się, że to pomyłka.

Karlin wjeżdża na parking przed moim hotelem i zatrzymuje auto.

– Nie bardzo wiem, co panu powiedzieć, może poza tym, że teraz na pewno nie zechcą pana wysłuchać. Niech go sprowadzą do kraju. Nawet jeśli jeszcze nie wszystko pasuje, to zapewne wkrótce znajdą się nowe dowody.

– Ale to może potrwać wiele miesięcy...

– O, niewątpliwie. Zrobił pan wszystko, co było w jego mocy.

– No nie wiem. Prawdziwy zabójca nadal przebywa na wolności.

– Być może. Kiedy następnym razem Chen zapuka do pańskich drzwi, będzie bardzo, bardzo skrupulatna i niewykluczone, że posunie się do prowokacji. Chce pan usłyszeć moją radę? Proszę trzymać się z daleka od pani detektyw i od sprawy. Moje magiczne sztuczki nie będą działały w nieskończoność.

Otwieram drzwi po swojej stronie.

– Dziękuję. A co do... kwestii finansowych...

– Dzisiejsza interwencja była na koszt firmy, bo walczy pan w dobrej sprawie. Następnym razem wystawię Julianowi odpowiednio wysoki rachunek. Dobrej nocy, doktorze Cray. Jeśli do rana nie

zwrócić panu komputera, proszę do mnie zadzwonić. Aha, i znajdę sposób, żeby im powiedzieć, że mogą sobie zatrzymać całe to DNA i tak dalej.

Odprowadzam ją wzrokiem, zastanawiając się, co dalej. Brazylijski wątek może, choć nie musi zmienić sytuacji, ale nie mogę czekać, aż się wyjaśni.

Zanim Chen złożyła mi wizytę, Predox zasygnalizował istnienie potencjalnego wzorca, z którego wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, a który uczyniłby sprawę jeszcze pilniejszą, niż jest.

36. Nowa możliwość

Kiedy siedzę przed laptopem (który wrócił do mnie w tempie ekspresowym), obserwując kolorowe spiralne wstęgi i zastanawiając się, jakie pytania zadać Predoksowi, przychodzi mi do głowy refleksja na temat jednego z pożytków płynących z nauki: otóż odkrycie nowej prawdy oznacza zarazem uzyskanie nowego spojrzenia na różne rzeczy, które może zupełnie odmienić naszą perspektywę.

Nowa mechanika Newtona umożliwiła odkrycie cykli orbitalnych nieznanymi wcześniej światów. Bardziej dopracowana w stosunku do prac Newtona teoria względności Einsteina, która wzięła pod uwagę zakrzywienie przestrzeni, pozwoliła nam zrozumieć, dlaczego posługując się mechaniką newtonowską, nie można było precyzyjnie wyliczyć orbity krążącego bardzo blisko Słońca Merkurego.

Całkiem niedawno, kiedy astronomowie przyjrzeni się trójwymiarowej mapie lodowych ciał składających się na odległy Obłok Oorta na obrzeżach Układu Słonecznego, zauważyli osobliwy wzorzec: obiekty zdawały się gromadzić w jednym końcu obłoku jak woda w misce, którą przechylamy; zachowywały się tak, jakby coś je tam przyciągało.

Obserwacja ta zrodziła teorie na temat istnienia nieodkrytej planety w naszym układzie – zyskałaby miano Planety X, gdyby astronomowie wcześniej nie uznali, że Pluton, dawniej numer dziewięć na orbicie, nie kwalifikuje się już do tej kategorii.

Rośnie liczba danych przemawiających za tym, że nowa Dziewiąta Planeta, mimo że nadal hipotetyczna, rzeczywiście istnieje. Astronomowie, którzy dokonali obserwacji, zauważyli coś jeszcze: specyficzne, niemal trzystopniowe odchylenie osi Słońca od płaszczyzny układu. Środowisko badaczy nie potrafiło ustalić wspólnego stanowiska w sprawie odchylenia. Spekulowano, że być może z czasem Układ Słoneczny „osiadł”, tak jak osiada dom wzniesiony na lekkiej pochyłości. Odkrycie Dziewiątej Planety nasunęło wniosek, że jeżeli na obrzeżach systemu krąży obiekt o znacznej masie, jego ruch nie pozostaje bez wpływu na wewnętrzną, środkową część układu. Taki obiekt zadziałałby jak niewyobrażalnie długa dźwignia, powodując lekkie nachylenie osi pozostałych planet, które skutkowałoby wrażeniem, że to Słońce jest ustawione pod kątem, a nie nasz glob... Tyle teoria.

Kiedy zaakceptowałem fakt, że Zabaweczka wybiera swoje ofiary, kierując się przede wszystkim ich wyjątkowymi cechami zewnętrznymi – a nie wyłącznie dostępnością – zyskałem nową optykę. Skoro to, co wywnioskowałem, jest prawdą, to co jeszcze nią jest? Jeżeli Zabaweczka typuje ofiary według szczególnej estetyki, to jakie inne czynniki wpływają na jego wybór?

W przypadku każdego morderstwa rozpatruje się co najmniej pięć jego aspektów: ofiarę, metodę, miejsce, czas i sprawcę. Rozwiązanie jednej bądź wielu zagadek może doprowadzić do pomyślnego zakończenia, zupełnie jak w równaniu, o ile nie mamy do czynienia z samymi niewiadomymi.

Dobór ofiar w wykonaniu Zabaweczki okazuje się znacznie mniej przypadkowy, niż początkowo sądziłem. Z metody – morderstwo za pomocą noża – mógłbym wywieść kolejne wnioski, gdybym tylko miał dostęp do danych kryminalistycznych, ale nie mam. Wydaje się, że miejsce –

przynajmniej jeśli chodzi o zwłoki odnalezione na podwórzu domu przy Wimbledon – się nie zmieniało, ale nie jestem w stanie stwierdzić tego ze stuprocentowym przekonaniem. Latroy niemal na pewno został zabity gdzie indziej, kilka lat po wyprowadzce Zabaweczki z Wimbledon Street. Nie znamy tożsamości sprawcy, ale potrafimy oszacować, kiedy dopuścił się tych zbrodni – wiemy, kiedy Artice przeżył swoje doświadczenie śmierci, i wiemy też, kiedy zniknęli Christopher i Latroy.

Należy zadać sobie pytanie, czy ten ostatni czynnik – czas zgonu – wynikał z wygody mordercy, jakkolwiek to brzmi, czy też nosił znamiona celowości. Jeśli Zabaweczka pracował albo podróżował i przemieszczał się po stałej trasie, i akurat danego dnia natknął się na ofiarę, wówczas moglibyśmy mówić o wygodzie. Jeśli natomiast zabijał konkretnego dnia, ponieważ miał ku temu konkretny powód – to już celowość.

Urowadzenie Christophera miało miejsce 22 marca 2009 roku. Latroy zaginął około 15 lutego. Jak wynika z raportów policyjnych, Artice'a odnaleziono na przystanku 19 czerwca tego samego roku, w którym zniknął Christopher. Na pierwszy rzut oka żadna z tych dat nie wiąże się ze świętami religijnymi. Jeśli mają one dla sprawcy osobisty sens, poznanie go bez rozmowy z Zabaweczką będzie prawie niemożliwe. Zadaję Predokswi pytanie, czy w te dni wypada pełnia Księżycy. Odpowiedź negatywna, zatem Zabaweczka nie jest wilkołakiem...

Potem pytam o korelację liczbową w oparciu o odstęp czasowy pomiędzy poszczególnymi morderstwami i otrzymuję wynik: trzysta pięćdziesiąt cztery godziny. Nie wygląda to obiecująco. Przypomina mi się jednak, że Predox podsuwa wyniki jak najbardziej precyzyjne, a nie te najlepiej osadzone w kontekście.

Trzysta pięćdziesiąt cztery godziny to połowa cyklu faz Księżycy.

Hmm, zatem moja pierwsza myśl o pełni była w sumie trafna, tyle że pytałem o niewłaściwą fazę. Raz jeszcze spoglądam na daty zaginięć chłopców i nagle czuję ten delikatny dreszcz, kiedy mój mózg zostaje nagrodzony za dobrą robotę. Ofiary nie zginęły (albo, jak Artice, omal nie zginęły) w czasie pełni, tylko podczas nocy bezksiężycowych.

Nie przychodzi mi na gorąco żaden powód, dla którego miałyby to jakieś szczególne znaczenie – poza tym, że ciemną nocą Zabaweczka mógłby paradować goły po podwórku i zakopywać ciała dzieci, nie martwiąc się o to, że sąsiedzi coś zauważą – ale nasuwa mi się inne spostrzeżenie.

Ze statystycznego punktu widzenia spośród około tysiąca dzieci figurujących aktualnie w kalifornijskim rejestrze osób zaginionych mniej więcej trzydzieścioro pięcioprocent powinno było zniknąć podczas nowiu. Pozwoli mi to zawęzić poszukiwania do uprowadzonych w te dni dzieci o zielonych oczach bądź mających inne charakterystyczne cechy, zgodnie z wynikami analizy DNA. Sęk w tym, że Zabaweczka gustował w dzieciach ze środowisk programowo niechętnych wszelkim kontaktom z policją, co siłą rzeczy zubaża moje dane.

Pytam Predoksa, czy doniesiono o zaginięciach pasujących do nowych kryteriów. Odpowiedź przyprawia mnie o dreszcze. Osiemnaście dni temu. W połowie cyklu faz Księżycy po zniknięciu Latroya. Zaledwie dziesięć dni przed tym, jak podjąłem trop.

Vincent Lamont, trzynaście lat, zaginął w Snellville w Georgii, dwadzieścia pięć kilometrów od Atlanty. Albinos.

Przeszukuję dane z Kalifornii z ostatniej dekady, korzystając z nowych kryteriów i predylekcji Zabaweczki do określonych cech fizycznych, i odkrywam, że w grę może wchodzić jeszcze

dwanaścioro dzieci, których los pozostaje nieznany. Zabaweczka dysponuje zatem większą liczbą miejsc, w których dopuszcza się morderstw. Pytanie, czy powinienem postarać się je odszukać. I jakie wskazówki mogę w nich znaleźć? A może lepiej pojechać do Georgii i tam spróbować go namierzyć...

Pierwsze wyjście jest bezpieczniejsze i może dostarczyć więcej danych kryminalistycznych. Wybierając drugie, znów narażę się na potencjalnie śmiertelne niebezpieczeństwo.

Nagle orientuję się, że już biegam palcami po klawiaturze.

Niech detektyw Chen bada sobie ten swój naciągany brazylijski wątek, ja podążę własnym tropem. Nieważne, które z nas ma rację, bylebyśmy schwytali Zabaweczkę, zanim znów zabije.

37. Obserwacja

Urządziłem centrum operacyjne w pokoju hotelowym. Zatrzymałem się w Sheratonie w Atlancie, nieco na północ od kampusu Uniwersytetu Stanu Georgia. Mam wydruki akt wszystkich znanych ofiar. Mam mapy miejsc w South Central, gdzie uderzył Zabaweczka, mam kolorowe karteczki wypełnione faktami i przypuszczeniami. Wszystko to przymocowałem do ściany. Zaopatrzyłem się też w duży kalendarz, na którym odliczam dni do nowiu: zostały niecałe dwa tygodnie.

Brakuje mi bezpośrednich podstaw do założenia, że podczas najbliższego nowiu morderca znów zabije, ale jeżeli za jego czynami stoi nieodgadniony rytualny sens, to prawdopodobieństwo jest wysokie. Na pewno ogląda wiadomości. Wie, że policja przeczesuje jego dawny dom i usiłuje go namierzyć. Jeśli jest przesądny, może uznać, że musi nadal zabijać, aby chronić siebie. Albo może dojść do odwrotnego wniosku. Nie mam pojęcia, jakimi torami biegną jego myśli.

Nie jest również wykluczone, że Chen i spółka ogłoszą wielki brazylijski przełom w swoim śledztwie. W takiej sytuacji Zabaweczka – zakładając, że brazylijski podejrzany nie jest tym przełomem, który, jak im się wydaje, mają – dojdzie do przekonania, że znów wymknął się sprawiedliwości i że śmiało może dalej zabijać. Nie mogę do tego dopuścić.

Ciekawe, że zniosło mnie do Atlanty, miasta, w którym po raz pierwszy wypróbowano w praktyce metodę profilowania seryjnych morderców.

Chodzi o sprawę „atlanckich morderstw dzieci”, jak nazwała je prasa. Od połowy 1979 do połowy 1981 roku zamordowano tam dwadzieścioro ośmiorgo dzieci i dorosłych – policja powiązała ze sobą te przypadki, ponieważ większość ofiar miała poniżej osiemnastu lat.

Dopiero po szóstym zabójstwie z rzędu władze zorientowały się, że mają do czynienia z grasującym seryjnym mordercą. Ponieważ mowa o tak zwanych czarnych zbrodniach, policja – z różnych powodów, w większości rasowych, choć nie rasistowskich, lecz z równie opłakanym skutkiem – wahała się przed wyciągnięciem podobnych wniosków, jakie wyciągnęłaby, gdyby chodziło o ofiary białe.

Kiedy do mieszkańców dotarło, że poluje na nich drapieżca, nagle opustoszały place zabaw, ludzie zrobili się bardziej czujni i zaczęły krążyć plotki.

Jeszcze pokolenie wstecz w Atlancie jawnie działał – i odpowiadał za dziesiątki morderstw – Ku Klux Klan. Członkowie Klanu nadal służyli w organach ochrony porządku publicznego i piastowali publiczne urzędy. Niektórzy sądzili, że to pieśń przeszłości, pozostałość po dawnych czasach, ale trudno było się zgodzić z tego rodzaju opiniami w momencie, gdy Robert Byrd, były rekruter KKK w Wirginii Zachodniej, zasiadał w Kongresie jako senator z ramienia Partii Demokratycznej.

Uchwycone na taśmie przerażające deklaracje miejscowego przywódcy Klanu jedynie zaogniły sytuację; mężczyzna pochwalił morderstwa i na wiele lat dołał oliwy do ognia teorii spiskowych.

Kiedy profiler FBI Roy Hazelwood wybrał się radiowozem z czarnoskórą obsadą w objazd po czarnych dzielnicach, zauważył, że na widok jego białego oblicza mieszkańcy schodzą z ulicy i zamykają się w domach.

To był ważny przełom w pracach nad profilem sprawcy. Uznano bowiem, że człowiek o białej

skórze, który zapuszczałby się do czarnych dzielnic, z całą pewnością przyciągałby nadmierną uwagę mieszkańców, zwłaszcza po tym, jak prasa zaczęła się szeroko rozpisywać o morderstwach.

Wbrew opinii miejscowej społeczności i spekulacjom mediów Hazelwood i jego ekipa z FBI zasugerowali, że sprawcą jest osoba czarnoskóra. Opierając się na wcześniejszych doświadczeniach w sprawach seryjnych morderców, poczynili szereg założeń: zabójca jest młody. Jest entuzjastą policyjnej roboty. Mieszka prawdopodobnie sam albo z rodzicami.

Niestety, o ile profil rzeczywiście do pewnego stopnia ograniczył zbiór podejrzanych, to jednak nadal obejmował setki tysięcy młodych mężczyzn.

Śledczy potrzebowali wzorca. Ofiarami były niemal bez wyjątku osoby biedne i dlatego skłonne pójść z nieznanym za kilka dolarów albo dające się łatwo przekonać. Co innego sposób pozbywania się ciała przez mordercę – ten zmienił się po tym, jak prasa zaczęła opisywać postępy w sprawie.

Sprawca przestał porzucać zwłoki w ustronnych miejscach, a zaczął pozostawiać tam, gdzie można je było łatwiej odnaleźć – do czasu, aż jeden z techników z zakładu medycyny sądowej mimochodem wspomniał w rozmowie z prasą, że nie jest wykluczone, iż zabójca ponownie zmienił metodę i teraz będzie topił ciała, pozbywając się wszelkich dowodów. Tę uwagę udało się w końcu wykorzystać dla dobra śledztwa. Profiler FBI John Douglas wywnioskował, że kierując się podpowiedzią technika, morderca zacznie się rozglądać za mostami i innymi miejscami z widokiem na rzekę Chattahoochee i tam pozbywać się zwłok.

Podjęto ogromny wysiłek logistyczny, rozlokowano funkcjonariuszy, w tym stażystów, przy dwunastu okolicznych mostach i polecono im wypatrywać mordercy. Po miesiącu bezowocnych obserwacji śledczy postanowili następnego dnia zakończyć operację.

Pechowo dla siebie Wayne Bertram Williams wybrał akurat tę noc, by zrzucić ciało z mostu przy alei Jamesa Jacksona, pod którym stał na posterunku jeden ze stażystów z akademii policyjnej. Kiedy młody policjant usłyszał plusk, natychmiast zawiadomił starszych kolegów obserwujących drogę, ci zaś szybko ujeli Williamsa.

Odnalezienie ciała zajęło kilka dni. W końcu natrafiono na nie sto dziesięć metrów od miejsca, w którym wypłynęły na brzeg zwłoki innej ofiary.

Williamsa zwolniono z aresztu, obejmując go stałym nadzorem. Podczas zorganizowanej na poczekaniu konferencji prasowej przed własnym domem podejrzany deprecjonował działania policji, a nawet chwalił się tym, że pomyślnie przeszedł badanie na wykrywaczu kłamstw; tymczasem śledczy metodycznie zbierali dowody przeciwko niemu i formułowali zarzuty. Ostatecznie osądzono go za zamordowanie dwóch mężczyzn. Był również zamieszany w śmierć dwudziestu dziewięciu innych osób.

Lektura archiwalnych materiałów FBI na ogólnodostępnej stronie Biura to interesujące studium mechanizmu „budowania” sprawy. Na początkowym etapie trudno orzec, co jest ważne, a co nie. Profilowanie stało się przydatnym i potężnym narzędziem, ale też sprowadziło niejedno śledztwo na manowce, ponieważ nazbyt pewni siebie profilerzy bardziej skupiali się na intuicji i instynkcie niż na faktach.

Jak powiedziałałyby mój bohater, Richard Feynman: „Jeżeli teoria nie współgra z doświadczeniem, to jest błędna, bez względu na swoją doskonałość, i nieważne, jak bardzo jesteś inteligentny”.

Nie jestem ekspertem od ludzkiego umysłu ani nawet od procedur, którymi kierują się detektywi ścigający przestępcę. Jestem naukowcem, wprawdzie o elastycznych horyzontach, ale jednak naukowcem przyzwyczajonym do tego, że z próbek, które analizuję, dowiaduję się prawdy. Owszem, zdarza mi się natrafić na mrówkę, która udaje pająka albo liść, ale taka mrówka nie próbuje mnie oszukać. Zabaweczka natomiast jest inteligentnym indywidualistą, potrafiącym modyfikować swoje zachowanie w stopniu wykraczającym poza genetykę, a także dostosowywać się do środowiska w sposób, jakiego nie jestem w stanie przewidzieć.

Profilerzy FBI dysponują tysiącami spraw, do których mogą się odnosić i z których mogą wyciągać wnioski – dostrzegą na przykład korelację pomiędzy określonym rodzajem rany kłutej a obsesją na punkcie kobiecych butów – tymczasem jak dotąd moje badania opierają się na tym, co zdołałem upchnąć do kół Eulera i wykresu w arkuszu kalkulacyjnym.

Smutna prawda o większości śledztw w sprawie seryjnych zabójstw jest taka, że inicjuje się je dopiero po okresie największej aktywności mordercy. Bywa zresztą jeszcze gorzej – kiedy śledczy muszą czekać na kolejne ofiary, aby w ogóle ruszyć z miejsca. Nie chciałbym, żeby tak się stało również w tym przypadku.

Siedzę na brzegu łóżka, przyglądam się tym nielicznym faktom, którymi dysponuję, rozważam konieczność wytropienia Zabaweczki, zanim znów zabije, i uświadamiam sobie, że aby to zrobić, będę musiał wyjść poza swoją strefę komfortu logicznego.

Pamiętam opis Zabaweczki, który usłyszałem od Artice'a, a także wzmiankę o trudnym do określenia akcencie. Mam już pewien mglisty pomysł na profil tego człowieka, ale to, co mogę wyczytać z tego szkicu, wcale mi się nie podoba. Sposób myślenia sprawcy jest mi zupełnie obcy.

Mój świat to świat nauki i sprawdzalnych założeń, jego – kraina magii. Zaś reguły magii są zupełnie nieprzewidywalne.

38. Wyznawcy

Siedzę w ostatnim rzędzie w sali wykładowej i słucham profesor Miriam, drobnej czarnoskórej kobiety o krótkich siwych włosach i potężnym głosie, który wypełnia pomieszczenie. Jej studenci sumiennie notują i bez skrzepowania zadają pytania w trakcie prezentacji na temat rozprzestrzeniania się ruchu zielonoświątkowego.

Opowiada o swoich doświadczeniach w badaniach terenowych i o odwiedzinach w kościołach w Finlandii, Brazylii i innych miejscach. Jestem nią oczarowany, bo to mój ulubiony typ nauczyciela akademickiego – taki, który wystawia nos poza kampus.

Po skończonych zajęciach czuję, jak przyciąga mnie jej przesywające spojrzenie.

– Podejdz, Theo – mówi.

Czekam, aż skończy odpowiadać na pytania kilkorga bardziej wnikliwych studentów. Zaprasza ich do siebie na cotygodniowy piknik, podczas którego jak zwykle będzie rozwiewała ich wątpliwości i pozwalała swobodnie dyskutować.

Kiedy zostajemy sami, wskazuje mi stołek po drugiej stronie biurka.

– Wszystkim powtarzam, że nic nie wiem na temat seryjnych morderców. Ale twój e-mail był wyjątkowo uprzejmy.

– Dziękuję, pani profesor – mówię. – Moja wiedza na ich temat też nie jest imponująca.

– Wolałabym po imieniu. Albo „ciociu Miriam”, jeśli udało ci się zaliczyć moje zajęcia – odpowiada z uśmiechem, który sugeruje, że warto się starać choćby dla tego przywileju.

Natknąłem się na jej teksty, szukając eksperta w dziedzinie rytuałów i magii. Miriam opublikowała sporo artykułów na temat tego rodzaju wierzeń w Ameryce i jest często cytowana przez innych naukowców, co świadczy o wysokiej jakości jej pracy.

– Mam kilka pytań dotyczących magii. Badam sprawę seryjnego mordercy odpowiedzialnego za szereg zabójstw w Los Angeles.

– „Badasz”? – pyta sceptycznie. – Tak jak w Montanie?

– Liczę, że tym razem z innym finałem.

– I pokonałeś taki szmat drogi, żeby ze mną porozmawiać? Na pewno znalazłoby się w Kalifornii wiele osób mogących udzielić ci lepszych odpowiedzi niż ja.

– Właśnie niekoniecznie. Akurat byłem w okolicy i pomyślałem, że zapytam o kilka spraw związanych z rytuałami.

– Tak jak napisałam w e-mailu, od czasu do czasu policja prosi mnie o konsultację w sprawach, w których mogą występować elementy rytuałów lub wierzeń magicznych, ale problem polega na tym, że dostrzegamy tego rodzaju związki tam, gdzie ich tak naprawdę nie ma. Owszem, bywa, że seryjni mordercy rysują pentagramy, wysyłają listy do gazet, w których podają się za demony i tym podobne, ale najczęściej są to chorzy ludzie, szukający usprawiedliwienia dla swoich czynów.

Kiwam głową.

– Po schwytaniu często tworzą własną narrację, wymyślają jeszcze bardziej rozbudowane historie, by ukryć fakt, że stanął im na widok małej rudej dziewczynki. – Wybuchają śmiechem. – Wybacz,

czasem mówię takie rzeczy, żeby studenci nie pozasypiali.

– Przecież jedzą ci z ręki. Jesteś wyjątkową wykładowniczą. Zazdroszczę ci – mówię bez grama fałszu.

– Zdradzę ci sekret. – Pochyliła się nad blatem biurka. – Uwielbiam ich. Zwłaszcza tych najtrudniejszych. Są dla mnie jak dzieci, a ja dla nich, pomimo wieku, jak rodzic. Skwapliwie z tego korzystam i kiedy ktoś mnie pyta, czy mam dzieci, odpowiadam, że owszem, jakiś tysiąc... No dobrze, ale powiedz, skąd wniosek, że ten twój zabójca jest wyznawcą nietypowego systemu wierzeń.

– Zauważyłem kilka wzorców. Wszystkie jego ofiary mają zielone oczy bądź inną rzadko spotykaną cechę fizyczną, na przykład albinizm.

– Interesujące. W jaki sposób je wybiera? – pyta Miriam.

– Wszystkie pochodzą z biednych albo rozbitych rodzin. A jeśli chodzi o selekcję, to myślę, że styka się z wieloma dziećmi w swojej pracy albo dzięki sprawowanej funkcji, lub też zajmuje się czymś, co daje mu dostęp do informacji.

– Masz na myśli na przykład ośrodki opieki społecznej?

– Tak. I to mnie przeraża. Bo trudno określić zakres danych, do których ma dostęp. W dodatku, jeśli jest urzędnikiem i działa w różnych stanach, może to oznaczać, że współpracuje z władzami nie jednego, tylko wielu miast.

– Czy tego rodzaju bazami danych zarządza jedna firma w całym kraju?

Dobre pytanie. Predox wskazał „konsultanta do spraw oprogramowania” jako potencjalny wektor.

– Może jest usługodawcą pracującym w różnych stanach. Albo podwykonawcą realizującym zlecenia dla lokalnych firm. To jedna z hipotez, które rozważam. Ale przyszedłem do ciebie, ponieważ poza tym, że jego ofiary mają wspólne rzadko spotykane cechy, to wszystkie morderstwa miały miejsce podczas nowiu.

Miriam nagle sztywnieje.

– O tym nie piszą w gazetach.

– Nie. Uświadomiłem to sobie, kiedy zacząłem szukać czynników mogących wpływać na schemat działania sprawcy.

– Czy policja wie?

– Wysłałem im e-mail... – Chen nie odbierze telefonu ode mnie, a za każdym razem, kiedy próbuję się dodzwonić do kogoś z ekipy śledczej, zostaję przekierowany na pocztę głosową.

Miriam stuka pomalowanym na złoto paznokciem o blat biurka.

– Nietypowe... Rzeczywiście jest w tym bardzo silny aspekt magiczny.

– Dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Czytałem o wudu...

Wybucho stłumionym śmiechem.

– Wudu? Ależ Theo, to tak jakbyś nazwał judaizm pogaństwem. Albo wyobraź sobie, jak Rzymianie mówili o chrześcijaństwie per „ta nowa żydowska wiara”. Wudu to wyświechtane słowo, które dawno straciło swoje pierwotne znaczenie.

– Dlatego przychodzę do ciebie. Bo jestem niedouczonego biologiem w poszukiwaniu oświecenia.

– Niniejszym wybaczam ci. Zapewne znasz ten rodzaj wudu, w którym afrykańscy niewolnicy mieszają elementy własnego folkloru z katolicyzmem. Znaczna część tego, co dziś wkładamy do tej

przegródki, jest w rzeczywistości konglomeratem afrykańskich wierzeń wyznawanych poza Czarnym Lądem. Większość systemów bez świętej księgi, takiej jak Koran albo Stary Testament, wybiera skrajny pragmatyzm i przyswaja wybrane elementy innych wiar. W nowoorleańskim wudu odnajdziesz zatem wiele cech francuskiego katolicyzmu, a w brazylijskiej odmianie zapożyczenia z miejscowych religii. Jak zapewne wiesz, osoby o zielonych oczach i cierpiące na albinizm bodaj w każdej kulturze uważa się za obdarzone nadprzyrodzonymi mocami, naznaczone przez boga lub bogów. Problem polega na tym, że czasem odczytuje się te cechy jako znamię zła i wtedy budzą one wzgardę pozostałych członków społeczności. Na przykład w Afryce świadczą o opętaniu przez szatana i w odległych zakątkach kontynentu są wymówką dla uśmiercania tysięcy dzieci. Jeśli się nad tym zastanowić, jako żywo przypomina to oskarżenia o czary, które jeszcze nie tak dawno formułowano w Ameryce wyłącznie na podstawie takiego czy innego znamienia na skórze.

– Chcesz powiedzieć, że morderca zabija dzieci, ponieważ uważa je za... czarowników?

Miriam zastanawia się przez chwilę.

– To możliwe. Ale w społeczeństwach, w których dochodzi do tego rodzaju rytualnych mordów, niemal zawsze sprawca zna swoje ofiary i przypisuje im negatywny wpływ, na przykład uważa, że przynoszą mu nieszczęście. Zakładam jednak, że w tym przypadku zamordowane dzieci nie znały wcześniej swojego zabójcy?

– Raczej nie.

– W jakim stanie były ciała, kiedy je znaleziono?

– Widziałem jedynie kości i fragmenty ścięgien. Nie wiem, co się znajdowało pod ziemią. Policja milczy na ten temat.

– A te kości... Czy były fizycznie połączone?

– Nie, prawie wszystkie leżały luzem, były rozproszone.

– Bardzo ciekawe... – mówi Miriam. – Bardzo ciekawe.

– Dlaczego pytasz?

– Wygląda na to, że zwłoki zostały poćwiartowane.

– Tak, dzięki temu łatwiej się ich pozbyć.

– Po co jednak dzielić trupa na mniejsze kawałki, skoro ma się na tyle duże podwórko, by móc go bez trudu zakopać? Niewykluczone, że morderca rozebrał martwe ciała dzieci tak, jak rzeźnik rozbiera mięso.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

– W jakim celu?

– Sprawca nie tylko zabija dzieci opętane w jego mniemaniu przez szatana, ale też wykorzystuje części ich zwłok do celów magicznych.

Zaraz zwymiotuję.

– Czyli to jednak rytuał? Jak w sekcie?

– Rytuał tak, sekta raczej nie. Jest zresztą gorzej, niż sądzisz.

– Co, do cholery, może być gorszego od mordercy, który ćwiartuje małych chłopców, bo potrzebuje materiału do zaklęć?

– On ich pożera.

Zatyka mnie.

Siedzimy w milczeniu. Wszystko, co usłyszałem od Miriam, układa się w sensowną całość. Nie potrafiłem dojść do tych samych wniosków co ona, bo nie umiałem skojarzyć faktów, w dodatku zupełnie obcych mojemu systemowi postępowania.

– Oby go złapali. Dobrze kojarzę, że w Brazylii aresztowali kogoś w związku z tą sprawą? – pyta Miriam.

Powoli kiwam głową.

– Tak, podobno istnieje jakiś związek, ale moim zdaniem to nie on. Ostatni chłopiec zaginął w czasie, kiedy ten z Brazylii siedział w więzieniu.

– O tym też nie pisano.

– Rzeczywiście. Poza tym policja uważa, że wszystkie morderstwa miały miejsce w Los Angeles... Przeszywa mnie wzrokiem.

– O Boże, tylko nie tu... Nie znowu...

39. Botanica

Przez całe życie w taki czy inny sposób miałem do czynienia z wierzeniami opartymi na magii – od teksaskich kościołów, do których usiłowali mnie przekonać dalsi członkowie rodziny, po szamanów i znachorów, z którymi stykałem się podczas wypraw badawczych do południowoamerykańskiej dżungli. Raz nawet wypilem pewną miksturę, bo chciałem zrobić przyjemność tubylcom, i przeżyłem surrealistyczne doświadczenie, w którym ocknąłem się na drzewie, wydając małpie odgłosy. Dziesięć lat później moi koledzy prowadzący badania terenowe w Hondurasie twierdzili, że miejscowi nadal pytają, kiedy znów odwiedzi ich Człowiek-Małpa z Ameryki.

Kiedy przechadzam się po sklepie ezoterycznym Yewe's Botanica w jednej z biedniejszych części Atlanty, uświadamiam sobie jednak, że choć często ocierałem się o wiarę w magię, a nawet brałem udział w symbolicznych obrzędach, to tak naprawdę nigdy się w nią nie zagłębiałem. Niewielką przestrzeń sklepu wypełniają świece wotywnie, proszki i olejki o intrygujących nazwach, na przykład Krew Gołębicy albo Pana Guyera Proszek na Szczęście, a także rozmaite totemy: od ptasich piór po kamienie z przyklejonymi do nich muszlami, które wyglądają jak oczy. Nie mam pojęcia, co to wszystko oznacza. Czy nawiązują do jakichś dawnych magicznych historii? A może Pan Guyer to przedsiębiorca wymyślający nowe linie produktów? Moją uwagę zwraca fakt, że wiele przedmiotów ma metki z adresami w Los Angeles i okolicach, co jest dla mnie sygnałem, że będąc na Zachodnim Wybrzeżu, pominąłem bardzo istotny wektor.

Właściciel sklepu to żylasty starszy gość o mahoniowej skórze i wyglądzie sugerującym pochodzenie antylskie. Kiedy wszedłem, rozmawiał przez telefon z klientem i wyjaśniał mu, że kilka tygodni temu skończyły się zapasy czegoś o nazwie Ukąszenie Węża, ale na szczęście na dniach spodziewa się dostawy od dystrybutora.

Celem mojej wizyty jest próba zrozumienia świata ezoteryki i być może wysondowanie, czy Zabaweczka obraca się w tym środowisku.

Przekonałem się, że jeśli chodzi o seryjnych morderców skupiających swoją działalność na jednym bądź dwóch obszarach, z reguły są oni związani z pewnego rodzaju grupą społeczną albo organizacją mającą coś wspólnego z ich ofiarami.

Przykład: ofiarami Johna Wayne'a Gacy'ego byli głównie młodzi mężczyźni, których werbował do swojej firmy budowlanej. Poza tym bywał w towarzystwie męskich dziwek, a zarazem zadawał się z policjantami. Więcej niż jeden rodzic zaginionego nastolatka wskazywał mężczyznę, który spędzał dużo czasu z zatrudnianymi przez siebie młodymi ludźmi.

Lonnie Franklin lubił imprezować z uzależnionymi od cracku prostytutkami. Jego znajomi wiedzieli o słabości Lonniego, a niektórzy nawet podejrzewali go o mroczniejsze skłonności. Na długo zanim policja wpadła na jego trop, prostytutki ostrzegały się nawzajem przed klientem o predylekcji do przemocy.

Atlancki seryjny morderca Wayne Williams uważał się za producenta muzycznego i nawet dysponował własnym amatorskim nadajnikiem radiowym. Dopiero później wyszło na jaw, że wiele ze swych ofiar mamili, roztaczając przed nimi wizję kariery muzycznej. Kiedy policja go zatrzymała,

powiedział, że jedzie na przesłuchanie do nieistniejącej, jak się okazało, wokalistki.

Wszyscy trzej obracali się w kręgach, w których mogli polować na ofiary, ale też zadawali się z ludźmi ze sfer, do których aspirowali. Gacy – z policjantami. Franklin – z innymi „graczami”. Williams – z producentami muzycznymi.

Jeśli Zabaweczka naprawdę wierzy, że jest częścią środowiska parającego się ezoteryką bądź okultyzmem, to wydaje się prawdopodobne, że zarówno w Los Angeles, jak i w Atlancie zna osoby odpowiednio zorientowane w tym temacie.

Blisko drzwi stoi tablica, na której znajdują się ogłoszenia grup modlitewnych, wróżek, uzdrowicieli i innych nadprzyrodzonych chałupników.

– Pomóc w czymś? – pyta właściciel.

Kombinuję, jak ująć to, co chcę powiedzieć, żeby nie wyjść na zupełnego ignoranta.

– Zastanawiam się... Nie do końca się w tym orientuję...

– Ja też nie, chociaż siedzę w tym od pięćdziesięciu lat. Jaki ma pan problem?

Odwracam się od tablicy.

– Ktoś mnie prześladowuje... – Lepiej mówić ogólnikami niż wymyślać kłamstwa, w których łatwo się pogubić.

– Fioletowa. Niektórzy mówią, że pomaga. – Wskazuje półkę ze świecami w różnych kolorach.

Sięgam po fioletową i stawiam ją na ladzie.

– Coś jeszcze?

– Talizman? – rzuca, kiedy dociera do niego, że trafił mu się frajer. – Zobaczmy. – Odwraca się do stojącego za plecami regału i rozgląda się po półkach, aż trafia wzrokiem na tę z drogimi przedmiotami. – Zdaniem niektórych skuteczny będzie minerał. Taki jak ten. To onyks.

Kładzie na kontuarze fasetowany szmerlit. Nawet z daleka nie wygląda jak onyks, ale nie spieram się o szczegóły.

– Ile?

Przygląda mi się przez chwilę; zastanawia się, na jaką cenę przystać po tym, jak rzuci jakąś absurdalną kwotę.

– Sto. Ale mogę odstąpić za, powiedzmy, siedemdziesiąt pięć.

Biorę kamień do ręki, udaję, że oceniam jego wartość.

– W porządku... Skoro pan twierdzi, że podziąła.

Wzrusza ramionami.

– Wiem tyle co z własnego doświadczenia.

Kiepsko mu wychodzi zachwalanie towaru, ale nie przyszedłem tu po to, żeby marudzić. Wyjmuję zwitek studolarówek i kładę jedną na ladzie.

Gość zwraca uwagę na pieniądze. O to mi chodziło.

– Nie wiem, jak o to zapytać... – zaczynam. – Ale tak się zastanawiałem, czy może mi pan podpowiedzieć, gdzie znaleźć... no, kogoś, kto się zna na... jak to się mówi? Złych urokach.

Wskazuje jedno z ogłoszeń na tablicy.

– Pani Violet. Ludzie mówią, że nie ma lepszej. Jak pan się nazywa?

Pyta na pewno po to, żeby donieść pani Violet, że właśnie wysłał do niej naiwniaka z grubym plikiem pieniędzy.

– Craig – odpowiadam.

Wręcza mi torebkę z zakupami i wydaje resztę.

– Myślę, że to właśnie jej pan szuka. Proszę wziąć ulotkę.

Też tak myślę. Skoro gość odsyła do niej najbogatszych klientów, to znaczy, że pani Violet jest znaczną figurą w tutejszej sieci ezoterycznej, a także osobą, z którą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zetknął się Zabaweczka.

40. Błogosławieństwo

Kiedy zajeżdżam pod gabinet pani Violet, na plastikowych krzesłach pod jej domem siedzi grupa petentów.

Pani Violet mieszka w okolicy pełnej domów z połowy ubiegłego wieku, ze zwirowymi podjazdami i nieco zapuszczonymi trawnikami. Wynajęte auto, którym jeżdżę, jest najdroższym pojazdem wśród zaparkowanych przed budynkiem, z wyjątkiem stojącego w otwartym garażu mercedesa.

Kiedy podchodzę bliżej, wita mnie mocnym uściskiem dłoni wysoki, na pierwszy rzut oka około czterdziestoletni czarnoskóry mężczyzna w spodniach w kolorze khaki i koszuli zapiętej pod szyję.

– Pani Violet cieszy się na spotkanie z panem, panie Craig.

To zapewne z nim rozmawiałem przez telefon. Robert, bo tak ma na imię, wyjaśnił, że pani Violet jest osobą w służbie Boga i świadczy swoje usługi za darmo. Jeśli zaoferuję jej pieniądze, potraktuje to jako zniewagę.

Zapytałem, kiedy będę mógł się z nią zobaczyć. Robert odparł, że bardzo wiele osób oczekuje na spotkanie z tą wspaniałą kobietą. Po wymownym milczeniu z jego strony zasugerowałem, że mógłbym złożyć datek na działalność pani Violet, i wraz z podziękowaniami usłyszałem, żebym przyjechał nazajutrz.

– Jaka suma będzie odpowiednia?

– Wczoraj mieliśmy pana, który chciał ofiarować tysiąc dolarów, ale to nie była odpowiednia suma – poinformował Robert. – Co innego, gdyby był człowiekiem zamożnym. Ale był biedny i pani Violet pękało serce na myśl, że jego dzieci mogłyby nie dojechać.

Ach, anioł, nie kobieta.

– Czy zatem pięćset dolarów będzie w porządku?

Ależ oczywiście, że będzie. Robert wiedział przecież, ile pieniędzy wydałem na bezwartościowy kamień i że w zwitku mam znacznie więcej.

– Jest pan bardzo hojny. Pani Violet nie musi wiedzieć, kto okazał jej tak wielką życzliwość, dlatego proszę włożyć banknoty do koperty i przekazać ją mnie.

Jakżeby inaczej. Uścisnęliśmy sobie dłonie i wręczyłem mu kopertę.

– Mam nadzieję, że to odpowiednia suma.

Chowa pieniądze do kieszeni, nie przelicza.

– Jest pan dobrym człowiekiem. Hojnym człowiekiem.

Zanim tu przyjechałem, przeczytałem co nieco o kulisach działalności „pracowników branży ezoterycznej” i odkryłem, że wiele takich osób wymienia się między sobą informacjami na temat klientów. Chodzi o to, żeby rozpoznawać tych z najgrubszymi portfelami i skutecznie ich skubać.

Obawiając się, że kiedy będę rozmawiał z panią Violet, jej pomocnicy sprawdzą numery rejestracyjne mojego wozu i poznają moje prawdziwe nazwisko, pozwoliłem sobie na małe odstępstwo od przepisów prawa i kiedy na parkingu przy lotnisku pakowałem swoje rzeczy do auta, ukradłem tablice ze stojącego obok samochodu do wynajęcia. Podmiana zdezorientuje osobę

sprawdzając numery, ale jest szansa, że zostanie uznana za pomyłkę pracownika wypożyczalni, a nie celowe podstępne działanie „pana Craiga”.

Robert wskazuje krzesło, na którym mam usiąść obok starszej pani dziergającej na drutach długi szalik. Miejsce po drugiej stronie zajmuje znacznie młodsza kobieta, która buja dziecko na kolanie, podczas gdy drugie bawi się na podłodze modelem samochodu.

Podejrzewam, że szlachetna pani Violet stosuje zasadę, w myśl której im więcej zapłacisz, tym wyżej będziesz w kolejce, i że moja wizyta kompensuje jej pozostałe.

Jak można się było spodziewać, Robert każe mi czekać akurat tyle, bym pomyślał, że pani Violet musi być bardzo zapracowaną kobietą, ale też nie zbyt długo, żebym nie stracił cierpliwości i chęci wsparcia jego pracodawczyni gotówką.

Mniej więcej po kwadransie zaprasza mnie do domu – więcej tu świec wotywnych i akcesoriów religijnych niż w pałacu w Watykanie – i prowadzi do pokoju w głębi budynku, w którym przez szpary w zaciągniętych zasłonach wpadają do środka migoczące pojedyncze promienie zachodzącego słońca.

Pani Violet jest przysadzistą czarnoskórą kobietą z wielkimi okularami na nosie i szczerym uśmiechem na ustach.

Kiedy wchodzi do pokoju, wstaje, obchodzi stół, przy którym siedziała, i zamyka mnie w mocnym uścisku, tak że prawie tracę równowagę.

– Pan Craig! Nie mogłam się doczekać pańskiej wizyty! – Wykonuje gest w stronę stojącego na niskim stoliku posążka jakiegoś świętego. – Powiedział, że spotkam kogoś wyjątkowego, kto przybywa z daleka.

Czyli już wie, że samochód jest wypożyczony. Dla żartu rzuciłem egzemplarz „Chicago Tribune” na tylne siedzenie. Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim pani Violet wykorzysta tę wiedzę.

– Usiądź, dziecko – mówi i pokazuje miejsce po drugiej stronie stołu. Sama wraca na swoje stanowisko. – I pokaż mi dłonie.

Chwyta mnie za nadgarstki, odwraca dłonie wierzchem do dołu i poświęca dobre trzy minuty na przestudiowanie ich, mrucząc pod nosem takim tonem, jakby czytała gazetę, ale wiedziała wszystko, co jest w niej napisane.

Wreszcie puszcza moje nadgarstki i odchyła się na krześle, zakładając ręce na piersi.

– Jak mogę ci pomóc w sprawie twojego problemu?

Domyślam się, że zastosuje na mnie zimny odczyt, a także wykorzysta informacje, które przekazał jej właściciel sklepu ezoterycznego, oraz to, co udało się Robertowi wycisnąć z mojego wypożyczonego wozu.

Jest jednak na tyle bystra, by zrobić to dopiero w ostateczności. Podejrzewam, że wyczuwa sceptycyzm, który demonstruję swoją postawą, mimo że naprawdę staram się go ukryć. Chce wiedzieć, co musi uczynić, żeby mnie do siebie przekonać – zapewne po to, bym jeszcze do niej wrócił.

Ułatwię jej zadanie.

– Jest pewien człowiek, który sprawia mi problemy. – Wyobrażam sobie Parka z OpenSkyAI. Najlepsze kłamstwo opiera się na prawdzie.

– Czy czegoś ci zazdrości?

– Tak. – Dobra jest.

– Mmm. Widzę dokoła ciebie odrobinę jego aury. Myśli o tobie w tej chwili. Ale nie chodzi o kobietę, prawda? Chodzi o twoje zajęcie.

– Tak. Myślę, że próbuje utrudnić mi życie w pracy.

– Daj ręce – mówi, po czym zamyka swoje dłonie wokół moich i pochyla głowę w modlitwie. – Panie, pomóż temu człowiekowi. Niech ten drugi nie zsyła na niego swego zła. Chroń swoje dziecko. Miej go w swojej opiece, a także wszystkich jego przyjaciół i rodzinę na północy. A gdy powróci do domu, spraw, aby już więcej nie trapiły go troski. – Puszczam moje dłonie. – Dam ci wyjątkowy przedmiot. – Zdejmuje krucyfiks, który nosi na piersi. – Pewnego dnia, kiedy byłam mała i łobuzy znów doprowadziły mnie do płaczu, babcia dała mi ten wisiołek i powiedziała, że jeśli będę go nosiła, Jezus stale będzie przy mnie. I że łobuzy to zobaczą i zostawią mnie w spokoju.

– Nie mogę tego przyjąć – odpowiadam, udając, że pani Violet nie ma pełnej szuflady takich krzyżyków, po jednym dla każdego idioty, który odwiedza jej dom.

– Nie. Babcia chce, żebym ci to dała, a ja zawsze robię, co ona każe.

– Dziękuję. Nie wiem, co powiedzieć.

– Jeśli nadal będzie ci się naprzykrzał, wróć i opowiedz o tym. – Posyła mi serdeczny uśmiech. – Naślę na niego babcie.

Jak na razie uraczyła mnie doskonałą chrześcijańską sesją modlitewną z jedynie szczątkowym pokazem mediumicznej zonglerki. Nie po to tu przyjechałem.

– Pani Violet, ten człowiek... jest zły. – Składam dłonie jak do modlitwy. – Dziękuję za błogosławieństwo, ale... jest w nim coś takiego, że nie wiem, czy wisiołek wystarczy, żeby dał mi spokój. – Kładę dłoń na sercu. – Nie chcę, broń Boże, aby drugiemu człowiekowi działa się krzywda. Zastanawiam się natomiast, czy istnieje jakiś inny rodzaj... błogosławieństwa.

Mierzy mnie wzrokiem, po czym kręci głową.

– Panie Craig, nie zrobię tego, o co pan prosi. Jestem chrześcijanką, która swymi błogosławieństwami czyni wyłącznie dobro. Tymczasem to, o co panu chodzi... Przyrzekłam Bogu nigdy nie dać się w to wciągnąć. – W złości wskazuje drzwi. – Jeśli zależy panu na tego rodzaju magii, to proszę stąd wyjść, zabierając ze sobą szatana. Bo nie jest tu mile widziany.

– Ale ja tylko... Nieważne. – Opuuszczam, bo nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Choć w jej odmowie było coś sztucznego. Powinienem zaproponować pieniądze? Sięgam wymownie do kieszeni. – Mógłbym zapłacić za fatygę...

Pani Violet nagle wstaje, niemal przewracając stół.

– Panie Craig, proszę natychmiast wyjść! Takiego zła nie sposób odczynić! Pan nie wie, o co prosi! Wstaje.

– Przepraszam, naprawdę.

– Będę się za pana modliła, panie Craig. Będę się modliła.

Robert czeka na mnie w korytarzu.

– Niech pan jej powie, że jest mi bardzo przykro – mówię do niego. Nie jestem do końca pewien, co się właściwie stało.

Robert zabiera mnie na stronę i odzywa się ściszym głosem:

– Wszystko dobrze. Wybacz panu. Pani Violet to kobieta o złotym sercu.

– Nie chciałem jej urazić.

– Ona to wie. Po prostu to, o co pan poprosił... – Kręci głową. – Coś takiego bardzo obciąża duszę.

– Ale da się zrobić?

Zerka nad moim ramieniem na drzwi do pokoju.

– W tym domu nie rozmawiamy o takich rzeczach.

Robert zamyka moją dłoń w swoich obu i wkłada do niej karteluszek.

Oglądam go dopiero w samochodzie.

Numer telefonu.

Do kogoś, z kim się kontaktujesz, jeśli potrzebujesz mroczniejszej magii.

41. Kamienie

– Proszę się tak nie denerwować – odzywa się do mnie Robert z fotela pasażera. – Mecha nie trzeba się bać.

Na karteczce, którą wcisnął mi do ręki, znajdował się numer jego prywatnej komórki. Kiedy zadzwoniłem, okazało się, że w sprawie, jak to ujął, „czegoś mocniejszego” może mnie skontaktować z człowiekiem znanym jako Mech.

Zgodnie z poleceniem Roberta – który jak zdałem sobie sprawę, jest kimś w rodzaju miejscowego pośrednika rozmaitych mediów i szarlatanów – umieściłem dziewięćset dolarów w banknotach pięćdziesięciodolarowych między stronicami Biblii, następnie wsunąłem ją na noc pod poduszkę, a nazajutrz przyjechałem po niego na parking w południowej części Atlanty. Obiecał, że zabierze mnie na spotkanie z Mechem. Miałem wziąć ze sobą zdjęcie albo jakiś przedmiot należący do mojego wroga. Wybrałem długopis, rzekomo buchnięty z biurka mojego antagonisty.

Kiedy podjechałem po Roberta, kazał mi się udać autostradą I-75 na południe. Powiedział, że da znać, kiedy trzeba skręcić. Odniosłem wrażenie, że to nie będzie wycieczka na przedmieścia. Opuściliśmy autostradę w miasteczku, w którym nie było praktycznie nic poza paroma domami, parkiem wodnym i sklepem „wszystko po dolarze”. Zacząłem się niepokoić, kiedy Robert wskazał zjazd na tonącą w mroku drogę gruntową. Zajmował mnie opowieściami o Mechu. O tym, jak leczy ludzi, jak zdarzyło mu się nawet wskrzesić dziecko, jak dawniej gubernator stanu składał Mechowi wizyty w podziękowaniu za pomoc. Nie pytałem, czy pieniądze pochodziły z kasy stanowej, czy z budżetu na walkę o reelekcję. Robert zaznaczył, że nie powinienem się obawiać, mimo że na widok Mecha niektórych ludzi paraliżuje strach. Na dodatek Mech posługuje się mową, której nikt poza Robertem i kilkoma innymi osobami nie rozumie – ponieważ władzę nad jego językiem przejmują diabeł.

Słucham tego wszystkiego, a w głowie brzęczy mi piosenka *The Devil Went Down to Georgia*. Nie wiem, jak zareaguję, jeśli Mech na dokładkę wyjmie skrzypki z za pazuchy i zacznie grać. Muszę jednak przyznać, że jak na razie przedstawienie można zaliczyć do całkiem udanych. Oby tylko dziewięćset dolarów okazało się ostateczną ceną – choć jestem pewien, że mój przyjaciel inwestor i jego paczka zapłaciliby o wiele więcej za tego rodzaju rozrywkę. Kiedy będzie po wszystkim, być może zaproponuję Robertowi, żeby zaczął organizować wycieczki do tutejszych talentów.

– Część miejscowych uznała, że ma dość Mecha, i ruszyła na niego z psami i strzelbami – opowiada Robert, pracowicie budując legendę człowieka, do którego mnie wiedzie. – Minęły trzy dni, a oni nie wracali. Po kilku kolejnych szeryf wysłał do niego swoich ludzi, a oni znaleźli jedynie kupki popiołu i porzucone strzelby. Ktoś powiedział, że widział później Mecha z dwoma kundlami przy nodze. Kiedy go spytał, skąd się wzięły psy, Mech odparł, że zesłał mu je diabeł. – Robert sprawdza moją reakcję. – Wiem, głupie gadanie. Ale tutaj każdy zna jakąś historię związaną z Mechem. Tyle że prawie nikt go nie widział. Ma pan szczęście, że Mech powiedział: „Przyprowadź do mnie tego białego chłopca z Chicago”. Bo zwykle nie przyjmuje obcych.

Ciekawe, czy zadzwonił do Mecha bezpośrednio, czy ustalił z nim szczegóły na kanale w Slacku?

- Tutaj – mówi Robert, kiedy zbliżamy się do kolejnego rzędu drzew.
- Nie widzę drogi.
- Jest, jest. – Wskazuje niewielki biały kamień przy krawędzi szlaku.

Skrećam. Gałęzie rysują poszycie auta. Jak to dobrze, myślę, że dałem się naciągnąć i wykupiłem pełne ubezpieczenie. Zwykle tego nie robię, ale uznałem, że tym razem warto – żeby nie policzyli mi dodatkowo za karoserię podziurawioną kulami i smród zwłok w kabinie. Jedno i drugie tak często przytrafia się moim wozom, że nawet nie chce mi się o tym myśleć.

Światło reflektorów rozprasza ciemności, pada na owady wielkie jak ptaki i wiszące nisko gałęzie, które szorują po dachu jak szczotki leśnej myjni samochodowej.

- Już prawie jesteśmy – informuje Robert. – Proszę zabrać Biblię.

Sięgam po leżącą na tylnym siedzeniu brązową papierową torbę, ale czekam, aż Robert wysiądzie pierwszy, bo nie chcę, żeby zobaczył pistolet, który zatknąłem za pas. A może lepiej mu go pokazać?

Próbuję sam siebie przekonać, że przecież nie ma sensu mnie teraz napadać, skoro i tak zgodziłem się zapłacić.

– Tędy – mówi Robert, pokazując wąską ścieżkę w słabym blasku ubywającego księżyca. Patrę na rogal wiszący za koronami drzew i przypominam sobie, jak niewiele czasu zostało mi na odnalezienie Zabaweczki.

Sięgam po małą latarkę, ale Robert niemal wytrąca mi ją z ręki.

– Mówiłem przecież: żadnych latarek. To byłby sygnał dla diabła, gdzie jesteśmy. Trzymajmy się światła Boga. – Wskazuje na księżyc.

Zatem kiedy księżyc jest w nowiu, czyli właściwie staje się niewidoczny, wtedy Bóg nie patrzy... Ciekawe.

Robert prowadzi mnie niewyraźną ścieżką. Pewnie stawia kroki, zna drogę. Zwracam uwagę na punkty orientacyjne, upewniam się, że Robert nie cofa nas po naszych własnych śladach, szykując podstęp, ale nie, cienie padają w dobrą stronę, poza tym nie mam poczucia, że kręcimy się w kółko. Mam do tego dryg. Ilekroć wybieram się na pieszą wyprawę, zawsze rysuję sobie w myślach mapę hydrologiczną okolicy i obserwuję kamienie i rośliny, które napotykam. Trasy bowiem z reguły wiodą szlakami erozji wywołanej działaniem płynącej wody albo ścieżkami wydeptanymi przez zwierzęta szukające strumieni.

- Jesteśmy na miejscu – oznajmia Robert, kiedy docieramy do niewielkiej polany.

Białe kamienie, takie jak ten znaczący drogę, układają się w równy okrąg o promieniu mniej więcej sześciu metrów. Wchodzimy do środka.

Robert siada na leżącym pniaku i pokazuje, żebym zrobił to samo.

- To bezpieczna strefa. Diabeł nas tu nie odnajdzie, dopóki go nie przyzwiemy.

„Dopóki”? Czuję, że w tym zamglonym lesie, w którym rechot żab i cykanie świerszczy mieszają się w upiornym podkładzie dźwiękowym, powoli wyczerpuje się mój sarkazm. Przebijający się przez zasłonę gałęzi blask księżyca rozlewa się po ziemi niewielkimi, blednącymi w oddali kałużami światła. Czuję się tak, jakbyśmy oddalili się od cywilizacji o tysiące kilometrów. Albo tysiące lat. Nie słysząc nawet wszechobecnego szumu aut mknących autostradą.

- Teraz zaczekamy i przekonamy się, czy Mech nadejdzie.

Mniej więcej po dwudziestu minutach Robert wskazuje krzaki rosnące w pewnym oddaleniu od

kręgu. Poruszają się.

– To on – szepcze.

Przechodzi mnie lekki dreszcz, kiedy widzę, jak liście dokoła nas kołyszą się, jakby przetaczała się po nich fala.

– Co on robi? – pytam.

– Upewnia się, że nie śledził nas diabeł.

Naraz uświadamiam sobie coś, co wywołuje kolejny dreszcz. Fakt, że teatralność pani Violet jest przemyślana i obliczona na zarobek, nie oznacza, że oboje z Robertem nie wierzą w to, co robią.

Fala zatrzymuje się tuż przede mną. Liście przestają się ruszać, a do mnie dociera, że umilkły nawet żaby i świerszcze. Czuję na sobie czyjeś spojrzenie. Zerkam na nasz cień i nagle okazuje się, że ktoś stoi między nami.

42. Jasnowidz

Obrócenie głowy zajmuje mi całą wieczność. W tej rozciągniętej w czasie chwili mój mózg wrzuca najwyższy bieg i usiłuje odpalić jak najwięcej połączeń neuronalnych, jednocześnie oceniając zagrożenie, któremu być może będę musiał stawić czoło.

Niebezpieczeństwo numer jeden to to, że kiedy się obrócę, nie ujrzę kolejnego aktora w misternym Robertowym kabarecie okultystycznym, lecz mężczyznę, którego przyjechałem odnaleźć w Atlancie. Nagle uzmysławiam sobie głupotę tego, jak daleko się posunąłem. Jeśli Mech jest Zabaweczką, nie będzie wiedział, kim jest Craig z Chicago, ale niemal z pewnością rozpozna Theo Craya, który odkrył jego dom grozy.

Kiedy orientuję się, kto stoi obok mnie, przetacza się przeze mnie fala ulgi bynajmniej nie dlatego, że mężczyzna, który się zjawiał, nie wygląda niepokojąco, ale ponieważ na pierwszy rzut oka nie sprawia wrażenia groźnego.

Mech jest niewidomy. Poznaje to po zmętnionych rogówkach, mimo że na jego twarz pada cień. Ma niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu i jest ubrany w porwane brązowe spodnie ze sznurkiem zamiast paska i zapiętą pod szyję luźną białą koszulę. Drewniana laska, którą trzyma, jest niemal tak długa, jak ja wysoki.

Przekazuje Robertowi laskę i pokazuje, żebym wstał i ustawił się w środku kręgu. Zaczyna obchodzić mnie dokoła i wpatrywać się we mnie niewidzącym wzrokiem, badając każdy centymetr kwadratowy mnie. Bez słowa wyciąga rękę, łapie mnie za lewy nadgarstek i odgina po kolei wszystkie palce, otwierając dłoń. Dotyka jej wewnętrznej strony i odzywa się do Roberta w języku, który z grubsza brzmi jak kreolski.

– Mech mówi, że trzymasz coś w lewej dłoni.

Wpatruję się w swoją pustą dłoń, usiłując zrozumieć, o co może mu chodzić.

– Ma na myśli tajemnicę. Mroczny sekret.

Mech podchodzi do płóciennego worka, który położył na ziemi obok pniaka, wkłada rękę do środka i wyjmuje butelkę.

Wygląda jak whisky, ale płyn nie jest bursztynowy, lecz bezbarwny. Na czarnej etykiecie widnieje zwinięta kobra i nazwa trunku: Ukąszenie Węża.

Mech sięga po przytroczony do sznurka przy boku nóż, łapie mnie za kciuk i robi niewielkie nacięcie. Podstawia butelkę i ściska ranę.

Mieszające się z alkoholem krople mojej krwi wyglądają w nim jak ciemne obłoki.

Mech szybkim ruchem wyjmuje chusteczkę z tylnej kieszeni spodni i zawiązuje ją ciasno na moim kciuku. Boli bardziej niż nacięcie. Zakręca butelkę, potrząsa nią i podnosi do światła księżyc. Najwyraźniej coś sprawdza. Nie mam pojęcia, skąd w ogóle wie, z której strony świeci księżyc. Chyba że nie jest całkiem ślepy albo ma inne sposoby. Zadowolony z rezultatu otwiera butelkę, nabiera sporo płynu do ust, ponownie chwytając mnie za rękę i spryskuje mi dłoń mieszanką krwi i alkoholu. Zdaje się, że to załatwia problem.

Zerkam na Roberta – jestem ciekaw, co będzie dalej – ale Mech nagle i z zaskakującą siłą łapie

mnie za brodę, unieruchamia moją głowę i wpatruje się w oczy, nozdrza, usta.

– Szuka diabła – podsuwa Robert.

Usatysfakcjonowany przykładami mi butelkę do ust i pokazuje, że mam się napić.

Płyn smakuje jak spirytus zbożowy z octem. Dostaję wypieków i czuję, jak lodowate palce bólu dźgają mnie w mózg. Moje ucho wewnętrzne robi salto i nagle zaczyna kręcić mi się w głowie. Nie znam składników Ukąszenia Węża, ale skutki jego działania są typowe dla alkoholu, jak i neurologiczne.

– Ma pan szczęście – mówi Robert. – Ukąszenie Węża jest bardzo trudno dostępne.

Owszem, domyśliłem się, że nie kupię go w sklepach Costco.

Mech każe mi usiąść, po czym zwraca się do Roberta.

– Czy ma pan przedmiot należący do człowieka, na którego chce pan rzucić urok? – tłumaczy Robert.

– Tak.

Chcę włożyć rękę do kieszeni, ale Mech daje mi po łapach.

– Jeszcze nie. Najpierw musi zbudować ognisko – wyjaśnia Robert.

Mech wychyla się poza krąg z białych kamieni i – bardzo sprawnie, jak na niewidomego – znosi gałązki, patyki i większe kawałki drewna. Gromadzi je przede mną i układa z nich stosik. Niektóre dotykają moich skrzyżowanych nóg. Uzbierawszy wystarczająco dużo, siada po drugiej stronie i rozpala ogień zapalkami. Ognisko nie jest duże, ot w sam raz, żeby zagotować wodę na kawę.

Mech znów odzywa się do Roberta.

– Ma pan Biblię?

– Tak. – Wskazuję leżącą obok pniaka papierową torbę. – Mam mu teraz zapłacić?

– Pieniądze nie są dla niego – odpowiada Robert, podając mi torbę.

Mech wyciąga ręce przed siebie. Wyjmuję Biblię i kładę ją na jego zwróconych ku górze dłoniach. Trzymając księgę nad płomieniami, Mech zaczyna rozrywać jej grzbiet. Banknoty wpadają do ognia, a za nimi lecą strony z Biblii.

Nie wiem, czy to bladość księżycowej poświaty, czy może mój cynizm, ale co najmniej jeden z wytrząsanych do ogniska banknotów wygląda jak kserokopia. Tak czy owak, prawdziwą zagadką jest dla mnie to, jak Robertowi udało się je podmienić.

Mech patykiem podsyca płomienie i po chwili znów wyciąga rękę.

– Proszę mu teraz podać przedmiot należący do wroga – podpowiada Robert.

Przekazuję długopis. Mech bada palcami kształt przedmiotu, po czym przełamuje go i obie części wrzuca do ognia.

Co by zrobił, gdybym dał mu coś twardszego, na przykład klucz do drzwi?

Do moich nozdrzy dociera zapach topiącego się plastiku. Mech po raz kolejny pociąga z butelki. Spryskuje płomienie, wywołując kulę ognia, która smali mi policzki. Powtarza to sześć razy. Ogień płonie coraz mocniej, aż w końcu osiąga apogeum. Zostało już niewiele Ukąszenia Węża. Kiedy żar po ognisku dogasa, Mech bierze szczyptę popiołu i wsypuje do butelki. Potrząsa nią i ogląda pod światło księżycy.

Otwiera butelkę. Podsuwa mi ją. Mam wypić.

– Do dna – uzupełnia Robert.

To jakieś trzy kieliszki.

Zupełnie wbrew zdrowemu rozsądkowi wlewam w siebie wszystko jednym haustem. Piecze mnie skóra głowy. Mam wrażenie, jakby yeti wyrwał mi gardło. Nagle moja szyja nie jest w stanie utrzymać głowy i przechylam się na bok. Ziemia jest na tyle przyjemna, że postanawiam trochę poleżeć. Mech wstaje. Widzę, jak jego bose stopy oddalają się w stronę lasu, z którego przyszedł. Po chwili znika we mgle i pośród drzew. Leżę, usiłując sobie przypomnieć, po co tu przyjechałem i na co liczyłem. W pewnym momencie zjawia się przy mnie Robert. Bierze mnie pod ramię, pomaga mi się podnieść.

– Rozchodzimy to – proponuje, prowadząc mnie ścieżką, którą tu przyszedliśmy.

– Wcale nie było tak strasznie – komentuje, jednocześnie starając się nie powłóczyć nogami.

– Niech pan zaczeka na kaca.

– Są inne rodzaje magii? – pytam pomiędzy jednym potknięciem a drugim.

– To znaczy?

– Mroczniejsze. Silniejsze.

Przez chwilę idziemy w ciszy.

– Znam jeszcze kogoś – odzywa się wreszcie. – Mech i pani Violet nie chcą mieć z nim nic wspólnego.

– A pan?

Kręci głową.

– Nie, nie zrobię tego.

– A jeśli dobrze zapłacę?

Milczy. Zastanawia się.

– Nie. To zły człowiek. Mech wie, jak zwodzić demona i zmuszać go, żeby robił, o co go poprosić, ale tamten... to sam diabeł.

43. Właściwy przebieg

Buczenie telefonu leżącego na stoliku nocnym wyrywa mnie ze snu. Pulsowanie w głowie nie pozwala zapomnieć o długotrwałych skutkach konsumpcji Ukąszenia Węża pomieszanego z popiołem i moją własną krwią.

– Cray – rzucam do słuchawki, tłumiąc ziewnięcie.

– W razie czego ta rozmowa się nie odbyła – odzywa się męski głos.

Zerkam na wyświetlacz. Nieznany numer. Kierunkowy z Los Angeles.

– No to masz szczęście, bo nie wiem, kim jesteś – odpowiadam i przesuwam palec nad czerwoną słuchawkę.

– Mówi Shivpuri.

– Ach, miło pana słyszeć. Co się stało? Chen pana zwolniła?

– Jeszcze nie. Na razie tego nie rozgłaszamy, ale udało nam się namierzyć podejrzanego.

– Tego z Brazylii? Cyngla?

– No tak... Nie pytam, skąd pan o nim wie. W każdym razie w domu przy Wimbledon znaleźliśmy jego odciski palców. I zdjęliśmy odciski spod siodełka roweru należącego do Christophera Bostroma.

– Świetnie.

– To nie wszystko. Wczoraj wieczorem nasz podejrzanym, Ordavo Sims, został zamordowany w swojej celi w więzieniu w Rio. Tuż przed ekstradycją.

– Niestety, nie mogę powiedzieć, że mi przykro.

– Chodzi o to, że był nam potrzebny jako istotny świadek, ponieważ większość odcisków palców zdjętych w domu nie należy do niego. Niewykluczone, że miał współnika.

– Tego się obawiałem.

– Mimo to Chen i spółka palą się, żeby uznać sprawę za zamkniętą. Ordavo był zamieszany w morderstwa związane z wojną gangów. Są świadkowie, którzy widzieli, jak zabija człowieka nożem.

– Siedział w więzieniu, kiedy zaginął Latroy – zauważam.

– Dla Chen nie ma to znaczenia. Ją interesują wyłącznie zwłoki w domu przy Wimbledon. Jeśli znajdzie kogoś, kogo zdoła obarczyć winą, będzie po sprawie.

– Ale nie dla pana.

– Z zawodowego punktu widzenia dla mnie też. Kazano mi zakończyć prace nad próbkami, bo sprawa i tak nie trafi do sądu. Chen zwołuje na jutro konferencję prasową, na której ogłosi koniec polowania.

Czuję, że to nie daje Shivpuriemu spokoju.

– Po co więc pan do mnie dzwoni?

– Bo to jakaś bzdura. Rzeczy, które odkryliśmy... Zaznaczam, że Chen kazałaby mnie zastrzelić, gdyby się dowiedziała, że to wypłynęło ode mnie...

– Chodzi o kanibalizm?

Pełna zdumienia cisza w słuchawce.

– Tak. Znaleźliśmy niewielkie ślady zębów. Poza tym niektóre spośród lepiej zachowanych szczątków okazały się niekompletne. Brakuje penisów, oczu, serc i innych organów. Podejrzewamy, że sprawca je zjadł.

– Albo wsadził do słoika – podsuwam, przypominając sobie opowieść Artice’a o tym, co widział w szopie.

– Słucham?

– On wierzy w magię. Dla niego części ciała mają nadprzyrodzone właściwości. Chen będzie mówiła o kanibalizmie?

– Nie. Powiedziano nam, że mamy przerwać badania w tym kierunku. Przedstawią przekonującą historię o płatnym zabójcy, który w wolnym czasie molestował i zabijał małych chłopców. Nie wyjaśnią, gdzie pracował i skąd miał na dom. Pewnie trafił na promocję. Tak, jasne. To wszystko brednie. Nieważne. Prześlę panu materiały.

– Nie mogę pana o to prosić – odpowiadam, zastanawiając się, czy to nie podstęp.

– A ja nie daruję sobie, jeśli tego nie zrobię. Właściwie i tak już wszystko panu powiedziałem, poza wnioskami kryminalistycznymi na temat tego, co wykopaliśmy na podwórzu.

– Zwłoki?

– I trochę śmieci. Sam pan zobaczy. Wysłałam panu link do konta na Dropboksie. Jeśli Chen zapyta, skąd pan ma te materiały, proszę wymyślić jakieś kłamstwo.

– Spokojnie. Nie wydam pana.

– E... przepraszam za to, co się stało – mówi, mając na myśli moje aresztowanie. – Nic jej nie powiedziałem. Zażądała wykazu połączeń z mojego numeru i zobaczyła, że rozmawiałem z panem akurat wtedy, kiedy zajmowałem się profilami DNA.

– Nic nie szkodzi. Nie miałbym do pana pretensji. W końcu pańska sytuacja jest zupełnie inna niż moja.

– No tak. Dziękuję. Tak w ogóle to gdzie pan się podziewa?

Muszę się rozejrzeć po pokoju, żeby sobie przypomnieć, że nie jestem u siebie w domu.

– W Georgii.

– Postanowił pan odetchnąć od tego bajzlu? Nie dziwię się.

– Nie do końca.

– Mam rozumieć, że nadal bada pan sprawę?

– A-ha.

– Sądzi pan, że morderca ukrywa się w Georgii?

– Domyślam się, że Chen nie podzieliła się treścią wiadomości ode mnie. Pisałem w nich o uprowadzeniach w Atlancie i okolicach. – Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Nie. Obchodzi ją wyłącznie dom przy Wimbledon. Skontaktował się pan z oddziałem FBI w Atlancie? Mogliby przejąć sprawę.

– Jeszcze nie. Na razie mam tylko przeczucie i kaca.

– Dziwny z pana człowiek. Jeśli będę mógł jeszcze jakoś pomóc, choć nie wiem w jaki sposób, proszę się odezwać.

– Dziękuję. Wie pan co?

– Tak?

– Postępuje pan słusznie. Najłatwiej byłoby niczym się nie przejmować i nie komplikować sobie życia.

Rozłączam się. Idę napić się wody, żeby choć trochę oczyścić organizm.

Odzyskawszy jako taką trzeźwość myślenia, siadam na łóżku z laptopem na kolanach i otwieram folder, do którego link dostałem od Shivpuriego. Setki stron danych kryminalistycznych na temat zwłok. Przejrzę je później, w tej chwili najbardziej interesuje mnie to, co jeszcze, oprócz ciała, policja znalazła na podwórzu. Zaglądam do tekstu, który wygląda jak opis wykopalisk, bo zawiera szczegółowe sprawozdanie ze znalezisk w kolejnych warstwach gleby. Oprócz ludzkich szczątków w ziemi znajdowały się pozostałości palenisk, a w nich zwęglone papiery i potłuczone butelki. Żadnych zakrwawionych noży ani innych rodzajów broni, jedynie śmieci, jakich pełno na każdym podwórku.

Już mam zamknąć laptopa i spróbować się jeszcze przespać, kiedy coś mi podpowiada, żeby ponownie zajrzeć do raportu. I słusznie: miałem przed oczami coś ważnego, czego nie dostrzegłem. Tuż za opisem szczątków i odpadków widnieje zdjęcie kawałka potłuczonej butelki. Natychmiast rozpoznaję kształt. To przez jej zawartość teraz pęka mi głowa.

Zabaweczka był miłośnikiem Ukąszenia Węża. Wręcz koneserem, sądząc po ilości. Z raportu wynika, że przy każdym szczątkach znajdowała się butelka ohydneho płynu. Nie dowodzi to związku pomiędzy Zabaweczką a Mechem bądź Robertem, tak jak lektura *Buszującego w zbożu* nie stanowi łącznika pomiędzy różnymi seryjnymi mordercami. Oznacza to jedynie, że miałem słuszne przeczucie.

Ubieram się. Muszę wrócić do sklepu ezoterycznego. Wsuwam dłoń do kieszeni i uświadamiam sobie, że ktoś ruszał mój portfel. Sprawdzam zawartość: gotówka jest na swoim miejscu, ale prawo jazdy znajduje się w niewłaściwej przegródce. Okazuje się, że Robert nie tylko osiągnął biegłość w podmienianiu prawdziwych banknotów na fałszywe, ale jest też utalentowanym kieszonkowcem. Wie, kim jestem. Pytanie, z kim się podzielił tą wiedzą.

44. Światło jako przynęta

W 1889 roku George Shiras III, adwokat z Pensylwanii, wpadł na pomysł, który na zawsze odmienił nauki biologiczne, a także pozwolił podejrzeć dziką przyrodę nocą.

Shiras dorastał w otoczeniu Odżibwejów, którzy zaznajomili go ze szczególną techniką nocnego polowania, wykorzystującą światło jako przynętę. Polegała ona na tym, że kiedy myśliwy wypływał kanu po zwierzynę, w przedniej części łodzi umieszczał na przykład rondel z płonącym ogniem, sam zaś krył się ze strzelbą z tyłu, w cieniu. Kiedy zwierzę na brzegu dostrzeżało światło, nieruchomiało. Wtedy myśliwy celował pomiędzy dwa lśniące punkciki oczu i mógł ustrzelić ofiarę nawet ze sporej odległości.

Shiras stosował tę metodę w bardziej humanitarnym kontekście. Zamiast rondla z płonącymi węglami używał lampy naftowej, a zamiast strzelby – aparatu fotograficznego. Kiedy zaczął ustawiać go na brzegu i wykorzystywać rozciągnięty nisko nad ziemią drut, którego szarpnięcie uruchamiało proces spalania magnezji, będącej prekursorem dzisiejszych lamp błyskowych, stworzył zupełnie nową dziedzinę zdalnej fotografii, w której fotograf nie musiał nawet przebywać na miejscu, aby zrobić zdjęcie.

Jego prace, publikowane na łamach „National Geographic” w pierwszych latach dwudziestego wieku, ukazują nieznane wcześniej oblicza zwierząt. Od szopów praczy na brzegach rzek po zamazane sylwetki niedźwiedzi grizzly przemykających przed obiektywem. Shiras pozwolił nam zobaczyć, co robią zwierzęta, kiedy nie ma w pobliżu człowieka.

Metoda Shirasa wciąż jest stosowana. Niedawno dzięki niej odkryto panterę sundajską na Borneo, a także nowy gatunek jelenia w Wietnamie.

Z punktu widzenia naukowca technika ta pozwala mu przebywać w kilku miejscach jednocześnie. Zamiast obserwować wciąż jeden i ten sam wodopój, licząc, że pojawi się przy nim wypatrywany zwierzak, można rozmieścić aparaty w różnych lokalizacjach i zaczekać, który z nich uchwyci upragnioną zdobycz.

Nie wiem, gdzie jest Zabaweczka, dokąd zmierza ani co planuje. Tak jak fotograf polujący na czujne zwierzę muszę rozmieścić tyle kamerek pułapek, ile zdołam, i spróbować złapać moją ofiarę na kliszy, a raczej na karcie SD.

Zakładam, że Ukąszenie Węża, swego rodzaju sos sriracha tutejszej magii, odgrywa zasadniczą rolę w rytuałach Zabaweczki. Sprawdziłem producenta napoju i okazało się, że wytwarza je i dystrybuuje na całym świecie pewna wietnamska gorzelnia. Siedziba amerykańskiego przedstawiciela firmy znajduje się w Los Angeles. Wystarczyło zadzwonić, by się dowiedzieć, że z magazynu w Tennessee właśnie wyrusza ciężarówka pełna napoju, która kieruje się do Atlanty. W swej uprzejmości podali mi nazwy czterech sklepów handlujących Ukąszeniem Węża.

Dystrybutorowi udało się uniknąć kolizji z miejscowymi przepisami dotyczącymi obrotu alkoholem w taki sposób, że nie sprzedaje Ukąszenia Węża jako napoju alkoholowego, lecz jako „balsam homeopatyczny o działaniu miejscowym”. W razie czego mogę zeznać, że rzeczywiście nie powinno się tej mikstury uważać za napój – dowolnego rodzaju.

Teraz, kiedy Robert – a wraz z nim teoretycznie cała nieliczna okultystyczna społeczność Atlanty – wie, kim naprawdę jestem, runda po trzech pozostałych sklepach ezoterycznych w tym mieście i wypytywanie właścicieli, czy przypadkiem nie odwiedza ich wysoki czarnoskóry facet, który wygląda na mordercę dzieci, i nie kupuje Ukąszenia Węża, raczej nie wchodzi w rachubę.

Nie chcę, żeby Zabaweczka nabrał podejrzeń, że dopatruję się związku pomiędzy nim a tym, czego się do tej pory dowiedziałem. Jeśli zacznie się orientować w postępach mojego prywatnego śledztwa, może zmienić schemat działania.

Na stole w pokoju hotelowym leży pięć kamer wielkości breloczka do kluczy. Wczoraj kupiłem je w internecie, dziś odebrałem. Wszystkie są wyposażone w czujniki ruchu i robią zdjęcia raz na minutę albo za każdym razem, kiedy sensor wykryje ruch. Zamierzam umieścić po jednej kamerce przy wejściu do każdego ze sklepów i wymieniać je co dwadzieścia cztery godziny, w miarę zapewniania się kart pamięci. Ryzyko polega na tym, że ktoś może mnie przyłapać w momencie montowania albo podmiany kamer. Dlatego będę to robił poza godzinami pracy sklepów.

Zdobycie zdjęcia Zabaweczki to jednak dopiero początek. Zgromadzę zapewne setki obrazów, a przecież nie będę potrafił rozpoznać mordercy na pierwszy rzut oka. Poza tym, nie dysponując nakazem sądowym, nie będę w stanie zmusić właściciela do podania mi jakichkolwiek informacji na temat podejrzanego – przy założeniu, że w ogóle cokolwiek wie.

Muszę znaleźć sposób na śledzenie klientów.

Inaczej niż ze zwierzętami Shirasa, które zostawiają trop w błocie i ziemi, z osobami zaopatrującymi się w sklepach ezoterycznych sprawa nie będzie taka prosta. Chodzi o to, żebym mógł się zorientować, czy ktoś, kto przyszedł do sklepu ezoterycznego, żeby kupić Ukąszenie Węża, odwiedził również inne miejsca, w których bywał Zabaweczka – liczę, że to doprowadzi mnie do jego miejsca zamieszkania. Jeśli mi się powiedzie, odkryję kolejny wektor przed nastaniem nowiu. W najgorszym, ale to absolutnie najgorszym scenariuszu Zabaweczka wybierze i zamorduje kolejną ofiarę, a mnie uda się odnaleźć jej ciało. Będę wówczas potrzebował czegoś, co powiąże go z jednym ze sklepów ezoterycznych.

Jak wysledzić kogoś, z kim się nigdy nie miało do czynienia?

Pomysł, na który wpadłem, jest ryzykowny i zasadniczo nielegalny (choć to akurat w zależności od tego, jak zinterpretujemy pewne zapisy prawa federalnego). Jest dla mnie również źródłem rozbawienia, ponieważ zamierzam to zrobić dosłownie kilka kroków od siedziby Ośrodków Zapobiegania i Kontroli Chorób.

Kupując wczoraj kamerki, zamówiłem przy okazji jeszcze jedną rzecz, a właściwie cztery. Nie zrobiłem tego poprzez stronę Amazona, lecz bezpośrednio w pewnym laboratorium w Karolinie Północnej, dostarczającym produkty medyczne do firm z sektora obronnego – przynajmniej oficjalnie. Ich prawdziwym towarem są bowiem hodowane na specjalne zamówienie i dostosowane do bardzo konkretnych potrzeb bakterie.

Zabaweczka ma nade mną znaczną przewagę na wielu polach. Nie jestem śledczym ani patologiem, ani nawet nie zawsze potrafię się zorientować, kiedy ktoś kłamie mi prosto w oczy. Jestem za to niekonwencjonalnym naukowcem, dysponującym szczególnym zestawem narzędzi i cech. Jedną z nich jest gotowość podjęcia wojny biologicznej.

45. Ocena zagrożenia

Jeśli posadysz przy hotelowym barze grupę strategów zaawansowanych konfliktów zbrojnych, mężczyzn i kobiety, którzy najpierw połowę życia spędzają w murach uczelni, a potem drugą w Pentagonie na naradach za zamkniętymi drzwiami, i zapytasz, co ich najbardziej przeraża, nie powiedzą, że bomba atomowa w walizce – więcej osób ginie w wypadkach na autostradach każdego roku, niż umarłoby wskutek wybuchu takiej stosunkowo przecież niewielkiej bomby w gęsto zaludnionym mieście – lecz zagrożenie wynikające z tego, że jakiś pracujący dla państwa zbójce albo kiepsko monitorowanego supermocarstwa biolog siedzi nad szalką Petriego i pichci coś, co położy do grobu większość ludzkości.

Zagrożenie wcale nie jest nowe. Już w latach czterdziestych ubiegłego wieku rząd Stanów Zjednoczonych przeznaczał miliony dolarów na badania nad broniami biologicznymi, a nawet posuwał się do uwalniania własnych czynników bakteryjnych w ramach eksperymentów z zasięgiem oddziaływania tychże.

W 1950 roku po wodach zatoki San Francisco pływał okręt marynarki wojennej, który w porannej mgiełce rozsiewał *Bacillus globigii* i *Serratia marcescens*, dwie teoretycznie łagodne bakterie, i śledził ich rozprzestrzenianie. Wyniki eksperymentu – pomijając to, że prawdopodobnie wskutek kontaktu z tymi rzekomo łagodnymi szczepami bakterii zachorowało mnóstwo osób – okazały się zatrważające. Akcja jedynie utwierdziła decydentów w przekonaniu, że obca potęga może w każdej chwili przypuścić znacznie bardziej zabójczy atak na Stany Zjednoczone. Z tego powodu w tajemnicy kontynuowano badania nad bronią biologiczną i nadal prowadzono eksperymenty, na przykład w metrze i w innych miejscach publicznych rozsiewano teoretycznie niegroźne bakterie, aby się przekonać, jak szybko ich skupiska ulegną rozproszeniu.

Sześćdziesiąt lat później Stany Zjednoczone przeznaczają miliard dolarów rocznie na program łagodzenia skutków działania broni bakteriologicznej, a także *billion* dolarów na wsparcie dla branży biotechnologicznej, która nieustannie obmyśla nowe sposoby wzbudzania w nas strachu.

Dziś mogę usiąść przed komputerem i pobawić się programem, który miesza i dopasowuje geny jak klocki Lego, kliknąć „wyślij” i zlecić laboratorium wyhodowanie bakterii o takiej sekwencji genów, na jakiej mi zależy.

Technologia ta uratowała wiele istnień i w teorii może uratować znacznie więcej, niż zabiłaby wykorzystana w niewłaściwy sposób – a przynajmniej taką mamy nadzieję. Dżin został uwolniony z lampy, kiedy dziewiętnastowieczny zakonnik zaczął majstrować przy grochu. Ograniczając dostęp do narzędzi i przepływ informacji, tłumimy wiedzę i potencjał ludzi o dobrych zamiarach.

Prawdopodobnie.

Zainteresowaniu wykorzystaniem zarasków w kontekście wojskowym towarzyszył rozwój licznych cywilnych zastosowań bakterii. Na przykład w projekcie, w którym miałem swój drugoplanowy udział jako konsultant.

Przypuśćmy, że według twojej oceny Terrorysta A należy do międzynarodowej siatki zamachowców, ale nie wiesz, czy zna mieszkającego w innym kraju Terrorystę C. Załóżmy, że obaj

mają wystarczająco dużo oleju w głowie, by nie komunikować się za pomocą urządzeń elektronicznych i zawsze korzystać z pośrednika – Terrorysty B. W jaki sposób powiązać A z C bez poddawania B waterboardingowi, a nawet tak, żeby ten nie zorientował się, że wpadłeś na jego trop?

Możesz śledzić każdego, z kim spotka się A, a potem każdego, z kim spotkają się te osoby, które spotkały się z A, aż w końcu przy odrobinie szczęścia znajdziesz krótki łącznik z C. Sęk w tym, że szybko mogą ci się wyczerpać zasoby ludzkie niezbędne do pilnowania wszystkich możliwych pośredników. Drzewo powiązań międzyludzkich będzie się nieustannie rozgałęziało i prędko się zorientujesz, że populacja świata jest zbyt mała, aby dało się wykonać to zadanie.

To jeden z problemów, z jakimi borykała się społeczność wywiadowcza: koszt wykluczający możliwość zatrudnienia wystarczającej liczby agentów, których zadaniem byłoby śledzenie obiektów. Jednym z rozwiązań było sięgnięcie nie po ludzi, lecz po bakterie. Tym właśnie zajmował się projekt, w którym się udzielałem.

Bogate supermocarstwo dysponujące zaawansowanymi projektami naukowymi miałoby przecież możliwość zmodyfikowania jakiejś łagodnej bakterii – jednej z powszechnie występujących – i oznakowania jej genetyczną etykietą ułatwiającą szybkie odróżnienie od pozostałych. Następnie wystarczyłoby przenieść tę bakterię na Terrorystę A, na przykład mijając go na ulicy. Zarazek zaczęłyby się mnożyć w jego jamie ustnej i nosowej, a potem rozprzestrzeniać – i robiłby to przez kilka dni, zanim nie poradziłyby sobie z nim układ odpornościowy nosiciela.

Brzmi jak scenariusz koszmaru.

I tak, i nie.

Kłopot z eksperymentem w San Francisco – pomijając kwestie etyczne – polega na tym, że naukowcy nie mieli dostępu do specjalnie zaprojektowanych bakterii. Musieli skorzystać z istniejących szczepów, teoretycznie niegroźnych, ale na tyle rzadkich, by móc powiązać ich rozprzestrzenianie się z doświadczeniem. Sięgnięcie po powszechnie występujące łagodne bakterie nic by nie dało, ponieważ w San Francisco i tak było ich pod dostatkiem.

Dziś możemy wziąć jakiś przyjazny, przewidywalny szczep, na przykład *Neisseria lactamica* – a odrzucić wszelkie zdradliwe, takie jak *Streptococcus pneumoniae*, które zbyt łatwo i groźnie mutują – i dodać markery do genomu, a po pewnym czasie sprawdzić, czy dotarł do Terrorysty C; wystarczy podprowadzić papierowy kubek, z którego mężczyzna pił kawę, albo pobrać wymaz z dowolnego przedmiotu, którego dotknął.

Dzięki cudowi adaptabilności możemy nawet z grubsza określić, z iloma ludźmi nasz bakteryjny szpieg miał do czynienia, zanim dotarł do Terrorysty C – możemy wyznaczyć „dystans” dzielący A od C. Potem, korzystając z oprogramowania, które pomogłem opracować, możemy oszacować rozmiar siatki, opierając się na liczbie mutacji bakterii, którą odnajdziemy u Terrorystów D i E.

Dla niektórych brzmi to zatrważająco. Dla mnie nie. Prawdopodobieństwo uwolnienia niebezpiecznego zmutowanego szczepu *Neisseria lactamica* w tego rodzaju eksperymencie odpowiada mniej więcej jednej bilionowej szansy na to, że kiedy następnym razem kichniesz w McDonalddie, uwalniając *Streptococcus pneumoniae*, sprowadzisz na ludzkość zabójczą supergrypę, która zmiecie z powierzchni ziemi całą jej populację.

Moją trwogę budzi coś, co powiedział mi jeden ze znajomych. Otóż kilka lat temu, kiedy jeszcze

trwało polowanie na Osamę bin Ladena, poważnie rozważano wyhodowanie takiego szczepu wirusa grypy, który zaatakowałby tylko tego konkretnego człowieka. Naukowcy byli na pięćdziesiąt procent pewni, że udałoby się tego dokonać dzięki kilkumiliardowemu budżetowi na badania. Musieli jednak wyjaśnić mocodawcom, że ryzyko, iż drobna mutacja wirusa może doprowadzić do śmierci całej rodziny bin Ladena, w tym również jej niewinnych członków, jest równie wysokie. Natomiast większa mutacja – tak naprawdę wystarczyłaby usterka w tej części, która by celowała w unikatowe markery genów terrorysty – z dużym prawdopodobieństwem zabiłaby dziewięćdziesiąt procent wszystkich naczelnych na planecie, w tym również *Homo sapiens*.

Projekt zarzucono. Podobno.

Dziś świat wywiadu ma dostęp do specjalnie wyhodowanych bakterii i wirusów szczególnego, nieśmiertelnościowego przeznaczenia – trzeba tylko wiedzieć, o co poprosić. Nikt nie nazywa zarazków według klucza ich prawdziwego zastosowania. Nadaje im się nudne sygnatury i kategoryzuje pod kątem przydatności zasadniczo wyłącznie w warunkach laboratoryjnych.

Zamówiłem pięć osobnych szczepów *Neisseria lactamica* z kilkoma modyfikacjami, o których nie wspomina się w podręcznikach. Ponieważ nie mam dostępu do nowoczesnego sprzętu laboratoryjnego ani nawet zmyślnego skanera z produkowanym na zamówienie chipem do oznaczania prób, muszę mieć możliwość łatwego namierzenia moich szczepów w terenie. Dlatego uzupełniłem każdy o specjalny gen, który sprawi, że potraktowane związkiem białkowym będą w świetle ultrafioletowym emitowały różowy blask. Po tym, jak umieszczę kamery przy wszystkich sklepach ezoterycznych w mieście, wejdę do każdego z nich i na każdą butelkę Ukąszenia Węża, jaką znajdę na półce, spuszczę moje drobnoustrojowe charty.

Niech to będzie zemsta za kaca, który po dwóch dniach wciąż nie odpuszcza.

46. Uprzedzenia

Największym wyzwaniem nie było wcale przymocowanie szpiegowskich kamerek tuż przy aluminiowych drzwiach sklepów ezoterycznych ani nawet spryskanie bakteriami butelek Ukąszenia Węża, których drogę na półki śledziłem, jadąc za furgonetką rozwożącą dostawę. Najtrudniejsze okazało się przejrzanie tysięcy zdjęć i zawężenie wyboru do trzystu dwudziestu trzech osób, które przez te dwa dni przekroczyły progi sklepów.

Przy okazji wyszło na jaw, że krzywo przyczepiłem kamerkę przy Duchowych Cudach Świętego Anioła i jedynymi nadającymi się do czegokolwiek obrazami były uchwycone w szybie odbicia ludzi otwierających i zamykających drzwi. Czuję, że na którymś z nich widnieje Zabaweczka, co mnie zarazem pokrzepia i frustruje, bo jakość zdjęć pozostawia wiele do życzenia. Do tego dochodzi świadomość moich własnych uprzedzeń. W myślach obsadziłem już w roli Zabaweczki człowieka pasującego do opisu Artice'a. Czy to dlatego, że jest moim wyobrażeniem na temat przerażającego czarnoskórego mężczyzny?

Mógłbym długo spekulować o swoich wrodzonych uprzedzeniach, ale i tak nigdy nie zastąpią one opinii eksperta. W tym przypadku będzie nim sam Artice.

Poprosiłem dyrekcję zakładu o możliwość skontaktowania się z Artice'em za pośrednictwem więziennego systemu do wideorozmów. Chciałem go zapytać, czy przypomniał sobie coś ważnego, a także zapewnić go, że nadal badam sprawę i bynajmniej o nim nie zapomniałem. Otwieram program do telekonferencji na komputerze i czekam na połączenie. Przez okno zagląda do pokoju ubywający księżyc. Jeszcze tylko cztery dni do kolejnego ataku Zabaweczki – o ile pozostanie wierny schematowi.

Podejrzewam, że gdyby chodziło o innego mordercę, ten przyczaiłby się na czas śledztwa i nie wychylał. Ale nie Zabaweczka – z kilku powodów.

Po pierwsze dlatego, że policja szuka go w innej części kraju i bada dom, który opuścił kilka lat wcześniej. Nie udało im się nawet namierzyć jego drugiego pola śmierci w Los Angeles. Po drugie, jest arogancki. Podobnie jak inni mordercy odznaczający się wysoką inteligencją, Zabaweczka chce wierzyć, że jego działania są niewidoczne, a on sam nieuchwytny. Gdyby przestał zabijać, musiałby przyznać przed sobą, że detektywi są co najmniej równie bystrzy jak on. Po trzecie, zabije podczas nowiu, bo moim zdaniem wierzy w magię. Z całego cyklu faz Księżyca nów to najlepszy moment na przeprowadzenie krwawego rytuału.

Program sygnalizuje połączenie. Na ekranie pojawia się posępne oblicze Artice'a. To już nie jest ten niewzruszony młody człowiek, z którym wcześniej rozmawiałem.

– Artice?

– Siemano, Theo. – Łypie w bok. Z reguły takim spotkaniom na łączach towarzyszy strażnik, więc pewnie Artice daje mi znak, żebym uważał na słowa.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Ta... Była u mnie detektyw... e... Chang.

– Chen.

– Właśnie ona. I jakiś prokurator, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Pokazali mi zdjęcie i zapytali, czy ten gość to Zabaweczka.

– I co? To on?

Artice pochyła głowę i osłania słuchawkę dłońmi.

– Szczerze? Nie, nie kojarzę typa. Ale im bardzo, naprawdę bardzo zależało, żebym powiedział „tak”.

– Wymienili nazwisko?

– Tak. Jakiś Sims.

Policja wywiera presję na jedyne go świadka, żeby wskazał nieżyjącego brazylijskiego cyngla Ordavo Simsa. Jak daleko się posuną?

– Mocno naciskali. Wystarczy, powiedzieli, że stanę przed wielką ławą przysięgłych i oświadczę, że on to on. Nie będzie żadnego procesu, nic. – To nie w porządku, nie powinni go tak mamić. Staram się utrzymać złość na wodzy. – Powiedziałem, że nie jestem pewien. A oni na to, że przecież byłem wtedy mały, a kiedy jest się małym, wszystko wygląda inaczej i wspomnienia się mieszają.

– I na czym się skończyło?

– Kazałem im spierdalać. Już to przerabiałem z typami, którzy mi wmawiali, że wymyśliłem tego całego Zabaweczkę. A teraz co? Przystawili im się, że naprawdę istnieje, ale będą mi wciskali kit, kim jest albo kim nie jest? Chuj im w dupę. Mam gdzieś ich obietnice. Ten gość ze zdjęcia nie jest Zabaweczką i koniec. Nie pójdę z nimi na układ, wiedząc, że ten sukinsyn nadal krzywdzi dzieci. Jak można później żyć z czymś takim?

Racja. Rozumie to nawet Artice, bynajmniej nie aniołek.

– I co teraz?

– Kazali mi się zastanowić i powiedzieli, że wrócą jutro.

– Złożyli ci jakąś konkretną propozycję?

– Nie. Ale domyśliłem się, że prokurator mógłby pogadać z sędzią o mojej sprawie i coś by się ruszyło. Kto wie. Nie ufam im. A ty co masz?

– Tak się składa, że też zdjęcia. Różnica polega na tym, że niestety, nie jestem w stanie dopomóc twojej sprawie.

Artice kiwa głową.

– Wiem, wiem. Ale jeśli ma się skończyć tak jak poprzednim razem, kiedy dorwałeś tamtego skurwiela, to spoko.

– Wiesz, wolałbym mniej siłowe rozwiązanie.

Wyjmuję zdjęcia z teczki, trzymając je przodem do kamerki w laptopie. Wymieszałem je tak, żeby nie wiedzieć, które jest które. Chcę, żeby Artice udzielił mi własnej wskazówki, na którą nie będzie miała wpływu moja mowa ciała. Wszystkim nam się wydaje, że świetnie maskujemy takie rzeczy, ale z reguły im wyżej cenimy swoje umiejętności, tym są mniejsze.

– Chciałbym, żebyś je obejrzał. Kiedy zobaczysz twarz, która skojarzy ci się z Zabaweczką, daj znak, a wtedy odłożę wybrane przez ciebie zdjęcie na osobny stosik. Upprzedzam, że niektóre są kiepskiej jakości.

– Kumam. – Przysuwa się bliżej ekranu. – Nie. Nie. Nie. Nie – powtarza bez chwili wahania.

– Potrzebujesz więcej czasu?

- A co? Męczą ci się ręce?
- Nie, przepraszam. A może ten?
- Nie. Nie. Nie. Nie. Nie... – Zawiesza głos.

Nieświadomie odwracam wzrok od ekranu, żeby nie zobaczyć odbicia zdjęcia.

- Artice? – Opuszczam fotografię.

Wygląda jak zahipnotyzowany. Wytrzeszczone oczy, półotwarte usta.

- Artice?
- To on.
- W porządku. Odłożę to zdjęcie i przejrzymy pozostałe.
- Nie musisz. – Powoli kręci głową. – To on.
- A może jednak? Dla pewności.

Posłusznie kiwa głową na znak zgody.

- Jak chcesz. Ale to ten skurwiol.

Przeglądamy resztę fotek. Artice rzuca jedno niecierpliwe „nie” za drugim. Wreszcie docieramy do ostatniej.

- Nie. To tamten. – Pokazuje brodą.

Odwracam zdjęcie, które odłożyłem. Okazuje się, że sam też je wcześniej wybrałem. Raz jeszcze podnoszę je tak, żeby mógł się dobrze przyjrzeć.

- Jesteś pewien?

Artice wbija wzrok w obiektyw kamery i spogląda mi prosto w oczy. Jego oblicze tchnie chłodem i uraża. Tyle razy wątpiono w jego słowa, a teraz jeszcze ja mu nie wierzę.

- To on – odpowiada Artice. – W dodatku nadal jeździ tym samym białym cadillakiem.
- Co?

Odwracam zdjęcie. To jeden z tych wizerunków, które udało się uchwycić jedynie w odbiciu. Mrużę oczy i rzeczywiście – w górnym rogu widać charakterystyczną kratownicę wlotu powietrza i przednią szybę cadillaca.

Muszę zadać sobie dręczące pytanie o to, czy fotografia zwróciła moją uwagę, ponieważ wyraz twarzy mężczyzny skojarzył mi się z obliczem postaci z graffiti Artice’a, czy też mój zwierzęcy mózg, mój układ wczesnego ostrzegania, który nasłuchuje odgłosów i wypatruje oznak drapieżców, zauważył cadillaca, tylko nie zakomunikował tego mojej świadomości.

- Hej, doktorze Cray.

Otrząsam się.

- Tak?
- Wiesz, jak się nazywa?

Kręcę głową.

– To nie takie proste. Nie chcę, żeby wiedział, że wpadłem na jego trop. Jeśli właściciel sklepu go zna, może go ostrzec.

- Jasne... No to jaki masz plan? Chcesz wysłać anonim policji? – rzuca z sarkazmem.

– Co to, to nie! – Wpatruję się w zdjęcie, szukając szczegółów. Niestety, jakiś krzew zasłania tablicę rejestracyjną. Ale widać, że coś leży na tablicy rozdzielczej. Wygląda jak kwit z parkingu.

- Postaram się dowiedzieć, co to takiego. – Pokazuję Artice’owi, o co mi chodzi.

– Chcesz rozszyfrować tę plamę? Musiałbyś mieć takie cudo, jakie mieli w *Blade Runnerze*, wiesz, ten powiększalnik.

Zerkam na kartę SD, z której pochodzi zdjęcie, i zaczynam się zastanawiać nad algorytmem wykorzystanym do utworzenia pliku obrazu oraz nad tym, który będę musiał napisać, żeby uzyskać wyraźną fotografię.

– To tylko kwestia falek, Artice.

47. Fourier

Na początku dziewiętnastego stulecia francuski matematyk i fizyk Jean-Baptiste Joseph Fourier, który kilka lat wcześniej towarzyszył Napoleonowi w jego wyprawie do Egiptu, zainteresował się zjawiskiem przewodzenia ciepła i wymiany energii pomiędzy dwoma ciałami. Dlaczego jeden obiekt nie przekazuje drugiemu całego zgromadzonego ciepła? To pytanie dało początek wielu kolejnym.

Próbował na przykład rozwiązać zagadkę tego, czemu, u diabła, nasza planeta nie jest jedną wielką śnieżną kulą. Kiedy obliczył odległość pomiędzy Słońcem a Ziemią, uświadomił sobie, że do powierzchni naszego globu dociera zbyt mało energii, aby go ogrzać. Skutkiem tego było poznanie roli atmosfery i parowania wody w regulacji temperatury na Ziemi, a w końcu odkrycie efektu cieplarnianego. Tym jednak, co nas przede wszystkim interesuje, jest transformacja Fouriera, owoc pracy naukowca nad matematycznymi funkcjami przewodzenia energii. Upraszczając, chodzi o wykorzystanie arytmetyki do rekonstrukcji sygnału poprzez skupienie się wyłącznie na jego niewielkich fragmentach.

Transformacja Fouriera legła u podstaw kompresji stosowanej w informatyce – to dzięki niej mogę zmieścić dużą liczbę zdjęć i nagrań na niewielkiej karcie SD. Procesor nie musi zapisywać na kości pamięci wszystkiego, jedynie tyle, bym uzyskał nadający się do użytku obraz.

Problem z tego rodzaju kompresją polega na tym, że jest stratna. Zakładając, że maleńki obiekt w mojej kamerki szpiegowskiej zdołał przenieść wyraźny obraz deski rozdzielczej cadillaca na jeszcze mniejszą matrycę światłoczułą, która z kolei dysponuje wystarczająco wysoką rozdzielczością, by dało się dojrzeć, co było napisane na tym świstku, to i tak zanim procesor przerobił informacje na obraz, wszelkie przydatne dane mogły zostać utracone.

Właśnie ze względu na stratną naturę transformacji Fouriera matematycy zaczęli szukać innych metod kompresji i rekonstrukcji. Kompresja falkowa opiera się na wykorzystaniu całej fali sygnału i uzyskaniu jego bezstratnej wersji poprzez odwołanie się do tej samej funkcji, która ją stworzyła. Obciąża procesor znacznie bardziej niż transformacja Fouriera, ale za to wydajniej używa pamięć.

Niestety, moje kamerki korzystają z Fourierowskich algorytmów stratnej kompresji, przez co nie jestem w stanie zbyt wiele wycisnąć ze zdjęcia.

Z drugiej strony, matematykę leżącą u podstaw teorii falek można zaprząć do rekonstrukcji sygnału w czasie. Zasada działania oprogramowania potrafiącego odtworzyć wyraźne zdjęcie z powstałego wskutek drgań aparatu rozmytego obrazu opiera się na kalkulacji czasu otwarcia migawki oraz pomiarze skali ruchu. Program traktuje rozmycia jak pociągnięcia pędzlem i umie je cofać aż do początkowej fazy, oddawać ich pierwotną strukturę, którą może być na przykład kształt ludzkiego oka.

Kiedy nasz podejrzany przekroczył próg sklepu i uruchomił czujnik ruchu w mojej kamerce, urządzenie zarejestrowało czterosekundowe ujęcie. Użyłem kompresji Motion JPEG przy piętnastu klatkach na sekundę, co oznacza, że aparatik zrobił sześćdziesiąt zdjęć twarzy tego człowieka i przodu jego samochodu. Drzwi sklepu były w ruchu, dzięki czemu moja maszynka szpiegowska uchwyciła twarz podejzranego pod różnymi kątami, na podobnej zasadzie jak skaner wykonujący

trójwymiarowy obraz głowy.

Gotowe oprogramowanie pozwoli mi stworzyć model 3D w oparciu o te zdjęcia.

Dane na temat kształtu nie stanowią problemu, ponieważ głowa mężczyzny znajdowała się wystarczająco blisko szyby. Większym wyzwaniem okazuje się uzyskanie wyraźnego obrazu tego, co leżało na desce rozdzielczej cadillaca, ponieważ mowa o dwuwymiarowym obiekcie sfotografowanym pod sześćdziesięcioma nieco przesuniętymi względem siebie kątami.

Nie wszystko jednak stracone. Magia kompresji falkowej polega między innymi na tym, że dane, które oprogramowanie uzyskało z obrazu, mogę uzupełnić o pewne znane informacje. Algorytm widzi w grillu cadillaca jedynie zwyczajny prostokąt, tymczasem ja znam jego dokładną przekątną, co pozwala mi z dużą precyzją oszacować odległość, w jakiej wóz znajdował się od drzwi i obiektywu w momencie, gdy kamera robiła zdjęcia. Po ustabilizowaniu interesującej mnie karteczki w przestrzeni trójwymiarowej mogę nałożyć na siebie wszystkie pozostałe obrazy, wziąć poprawkę na zmiany spekularne, obliczyć refrakcyjność papieru, a nawet zaprząć sztuczną inteligencję do rozpoznawania kształtów widocznych na zdjęciu.

Po pięciu godzinach mam już kopię tego, co znajdowało się na desce rozdzielczej białego cadillaca – no, prawie. Rozpoznaję kod kreskowy, który być może mógłbym nawet odtworzyć, gdybym tylko dysponował próbkami kodów kreskowych do porównania i zdołał odgadnąć, co oznaczają rozmyte smugi, ale ważniejsze jest logo, wyraźne i jednoznaczne.

Przez dwadzieścia minut szukałem w sieci atlanckiego parkingu piętrowego, który miałby podwójne E w swoim logo, i już miałem rozszerzyć poszukiwania na cały stan, kiedy nagle dotarło do mnie, że w całych tych tchnących samouwielbieniem matematycznych sztuczkach magicznych kompletnie zapomniałem odwrócić obraz – bo to przecież jego lustrzane odbicie.

Postąpiłem identycznie z wizerunkiem Zabaweczki; blizna znad jego lewego oka przeniosła się nad prawe, tam gdzie jej miejsce.

Peachtree 33 to adres parkingu piętrowego, na którym stał jego wóz, zanim Zabaweczka zaparkował go na ulicy przed wejściem do sklepu ezoterycznego. Parking jest częścią kompleksu, który tworzy z czterdziestopiętrowym biurowcem. Jeżeli Zabaweczka wrócił tam po wizycie w sklepie, wówczas niewykluczone, że moje drobnoustrojowe charty nadal tam są...

48. Pudełko z aparatem

Wygodnie usadowiony w pokoju hotelowym tak intensywnie obmyślałem misterny plan wyśledzenia moich bakterii gończych w ich naturalnym środowisku, że zupełnie nie pomyślałem o tym, jak mam to zrobić o siódmej wieczorem w biurowcu pełnym ludzi.

Chcę sprawdzić, czy mikroby znajdują się na przyciskach w windzie i na klamkach na tych piętrach, na które wskazują użyte, „zainfekowane” przyciski. Problem polega na tym, że moje małuchy świecą tylko wtedy, kiedy spryska się je mieszanką treoniny i glukozy i potraktuje ultrafioletem. Ponieważ ich blask jest zdecydowanie zbyt słaby, aby dało się go zobaczyć w normalnie oświetlonym pomieszczeniu, muszę umieścić próbki w wirtualnej ciemni i przyjrzeć się im własnym gołym okiem bądź uzbrojonym okiem iPhone'a.

Gdybym był powieściowym asem wywiadu, miałbym czas, aby zalać cały ich system przeciwpożarowy moim katalizatorem świecenia, a potem dokonałbym superhacku, tak że całe miasto utonąłoby w jednym wielkim blackoucie, ale niestety, muszę wymyślić coś bardziej przyziemnego.

Rozwiązanie przychodzi mi do głowy, kiedy mój wzrok ląduje na jednym z wielu pudeł z logo Amazona, które walają się po pokoju i pewnie niedługo wyprą mnie z niego niczym mnożące się jak króliki startrekowe tribblesy. Odcinam dno jednego ze średniej wielkości pudeł, po czym przyklejam je z powrotem, ale tak, że otwiera się jak drzwiczki na zawiasach, a w środku przyczepiam lampę UV. Będę mógł przyłożyć tak spreparowane pudełko do dowolnej podejrzanej powierzchni, uchylić klapkę i podejrzeć. Poza tym wykorzystując fakt, że Amazon zatrudnia zewnątrz firmy przewozowe, podam się za doręczyciela z przesyłką. Szybko preparuję etykietę z adresem Thompson Consulting na dziewiętnastym piętrze. Przed wyjściem przeglądam się w lustrze, żeby się upewnić, że nikt na pierwszy rzut oka nie rozpozna we mnie bioinformatyka przebranego za doręczyciela, który po kryjomu rozsiewa niezbadane, genetycznie zmodyfikowane drobnoustroje.

Kiedy melduję się na wjeździe do podziemnego garażu na Peachtree 33, widzę, że bramki wciąż wpuszczają i wypuszczają auta, ale większość miejsc postojowych jest już wolna. Odbieram kwit i czuję ukłucie dumy z faktu, że wygląda bardzo podobnie do tego, który sam odtworzyłem – z tą różnicą, że na tym można odczytać kod kreskowy bez uciekania się do technik kryptograficznych. Znajduję miejsce niedaleko wind prowadzących do recepcji. Kusi mnie, żeby od razu je zbadać, ale się powstrzymuję. Parking może być monitorowany, nie chciałbym, żeby ochrona wyrzuciła mnie albo zatrzymała, zanim zdążę sprawdzić główne windy.

Z walącym sercem wsiadam do kabiny i naciskam przycisk piętra, na którym mieści się recepcja. Nie przygotowałem się i nie wiem, czy wejście nie jest pilnowane i czy przypadkiem nie będę musiał się wpisać do księgi gości. Drzwi się otwierają i moim oczom ukazuje się hol, w nim biurko, a za biurkiem ochroniarz. Czuję na sobie jego spojrzenie. Musi patrzeć akurat tutaj. Wykonuję nieokreślony gest pudełkiem trzymany w ręku, tak jakby było uniwersalną przepustką.

– Wie pan, na które piętro jedzie? – pyta ochroniarz. – Są dwie windy po lewej stronie i dwie po

prawej.

Na chwilę zapominam języka w gębie, ale dociera do mnie, że przecież wystarczy, jeśli przeczytam na etykietce. Dodaje to autentyczności mojemu zawahaniu.

– E... na dziewiętnaste.

– Proszę pojechać jedną z tych po lewej.

– E... dzięki – odpowiadam tonem trzynastolatka, któremu lada moment uda się wemknąć na film dozwolony od lat osiemnastu.

Stoję przed drzwiami o barwie mosiądzu i czekam, aż się otworzą. Numery pięter obejmują od dziesiątego do dziewiętnastego, co oznacza, że kiedy sprawdzę obie windy jeżdżące na najwyższe piętra, będę musiał zejść po schodach, żeby złapać te, które obsługują dolną część budynku.

– Trzeba wcisnąć guzik – podsuwa ochroniarz.

– A... tak. – Naciskam przycisk i po chwili otwierają się drzwi.

Wsiadam, wybieram dziewiętnastkę i z ulgą wypuszczam powietrze. Kiedy winda rusza, nagle przypominam sobie, że przecież mam coś do zrobienia. W samochodzie wytarłem i zdezynfekowałem dłonie, aby mieć pewność, że nie wniosę do budynku sfabrykowanych przez siebie bakterii. Przynajmniej nie muszę się martwić o to, że sam zanieczyszczę przyciski. Sięgam do kieszeni po buteleczkę aktywatora, spryskuję guziki, po czym wysiadam z windy. Licząc się z tym, że pomocny ochroniarz może śledzić moje poczynania na ekranie monitoringu, ostentacyjnie pokonuję całą drogę aż do biura Thompson Consulting, a następnie zawracam.

Staram się nie wypatrywać kamer. Jednym z sekretów przekonującego miejskiego kamuflażu jest to, że jeśli będziesz się zachowywał zwyczajnie i nieciekawie, ludziom raczej prędzej niż później znudzi się patrzeć na ciebie.

Podchodzę do drugiej windy, naciskam „dół”, a kiedy drzwi się otwierają, szybko wkładam rękę do środka i spryskuję tablicę z przyciskami. Przychodzi mi do głowy taka refleksja: jeśli ochroniarz ma podgląd z kabiny i doskonale widzi, co robię, to czy mógłby złożyć osobliwość mojego zachowania na karb obsesyjnej bakteriofobii?

Lepiej, żebym nie musiał się o tym przekonać.

Wciskam guzik dziesiątego piętra, cofam się na korytarz i przywołuję windę, którą tu przyjechałem. Czekając na nią, przygotowuję sprzęt: włączam lampę UV i otwieram dolną klapę pudełka. Muszę działać naprawdę szybko, jeśli chcę sprawdzić wszystkie windy. Natychmiast po wejściu do kabiny klękam, przykładam pudełko do tablicy z przyciskami i gratuluję sam sobie, że powstrzymałem się przed odruchowym wciśnięciem guzika – zaczęłyby świecić i diabli by wzięli moją przenośną ciemnię.

Zaglądam do pudełka i widzę jedynie fioletowy blask lampy. Żadnych charakterystycznych plam i smug. Jedną z możliwości jest to, że mój podejrzanym wsiadł do windy i kazał komuś innemu wybrać piętro. W takiej sytuacji nie zostawiłby żadnych śladów. Posyłam windę na dziesiąte i wychodzę.

Czekam na drugą, zastanawiając się, ile mam czasu, zanim ochroniarz zorientuje się, że nie wróciłem na dół. Zadzwoni po policję czy sam się po mnie pofatyguje? Jedno i drugie jest do przeżycia, pod warunkiem że zbiorę dane. Nie robię przecież nic, co byłoby zabronione – no chyba że są specami od mikrobiologii.

Wchodzę do drugiej windy, którą wcześniej spryskałem, klękam i przykładam pudełko.

Świecąca smuga.

Witajcie, moi mali koledzy.

Tęskniliście za mną?

W... obu koloniach?

Nacisnął trzynastkę i szesnastkę. Być może okazał się na tyle uprzejmy, by nacisnąć za kogoś. Co za facet! To oznacza, że mam do sprawdzenia dwa piętra, a na każdym dziesięć do piętnastu biur. Towarzyszący polowaniu dreszczyk emocji sprawia, że rośnie mi adrenalina, a kiedy wybieram guzik szesnastego piętra, strach przed wpadką skręca mi żołądek.

49. Szybki obchód

W czasie pięciosekundowej podróży z dziewiętnastego piętra na szesnaste powtarzam sobie plan: szybkim krokiem przejdę korytarzem, spryskując po drodze wszystkie klamki, po czym zawrócę i jak najprędzej przyjrę się każdej moją kamerą obscurą. Przy założeniu, że mam do sprawdzenia trzydzieści klamek, a przemieszczenie się od jednej do drugiej zajmie mi dziesięć sekund, spędzę na piętrze niespełna pięć minut. Przy odrobinie szczęścia znajdę swoje mikroby po pierwszych kilku próbach, ale na tyle dobrze znam rachunek prawdopodobieństwa, by wiedzieć, że równie dobrze mogę trafić na nie dopiero na samym końcu, w dodatku długo po tym, jak ktoś doniesie na świra próbującego włamywać się do biur na szesnastym piętrze przy pomocy pudełka ze znaczkiem Amazona.

W zaciszu pokoju hotelowego pomysł wydawał się znacznie lepszy.

Otwierają się drzwi windy. Ruszam zygzakiem, oglądając się za siebie, spryskując klamki i na razie nie zwracając uwagi na tabliczki na drzwiach – później w wykazie firm wynajmujących przestrzeń biurową w budynku posprawdzam, kto jest kim. W tej chwili liczy się tempo. Kiedy docieram do końca korytarza po lewej, uświadamiam sobie, że zamiast zataczać się od ściany do ściany jak napruty marynarz, mogę najpierw przemknąć po jednej stronie, a potem, w drodze powrotnej – po drugiej.

Nie bez powodu DIA zatrudniła mnie do pracy w biurze, a nie w terenie.

Mijam strefę wind i przystępuję do oprysku klamek w korytarzu po prawej stronie, kiedy nagle słyszę sygnał kabiny zatrzymującej się na moim piętrze. Zamieram. Wysiada kobieta, niesie duży karton z pizzą. Posyła mi uprzejmy uśmiech i rusza korytarzem. Widzę, jak zatrzymuje się przy drzwiach i usiłuje sięgnąć do torebki po klucz. Powinienem jakoś zareagować.

– Pomogę pani – mówię i podbiegam do niej.

Wkładam swoją fałszywą paczkę pod pachę i przejmuję karton z pizzą.

Szperając w torebce, kobieta wskazuje moje pudełko.

– Co to?

Już mam odpowiedzieć, że przecież nie mówią dostawcom, co się znajduje w przesyłkach, ale zerkam na dół i widzę, że kłapa prowizorycznego aparaciku otworzyła się i z pudełka wydobywa się blask, jakby w środku ktoś urządził gejowską dyskotekę dla myszy.

– E... eksperyment naukowy – bąkam.

Sądząc po spojrzeniu, jakim obrzuca mnie kobieta, lepiej bym wyszedł na wyjaśnieniu z myszami. Otwiera drzwi, przytrzymuje je stopą, odbiera ode mnie pizzę, robi minę, jakby miała przed sobą jajogłowego świra, i rzuca:

– Miłej zabawy.

Jak tylko znika w środku, przyklękam i przykładam pudełko do klamki, żeby się przekonać, czy kobieta jest w zмовie z Zabaweczką. Czysto. Mam nadzieję, że będzie jej smakowała szczypta treoniny na pepperoni.

Podchodzę do następnych drzwi, sprawdzam – nic. Osiem kolejnych – to samo. Na myśl, że

kobieta w tej chwili dzwoni do ochrony, serce zaczyna mi walić jak młot, ale robię swoje. Przerwę dopiero wtedy, kiedy mnie stąd wyrzucą – albo aresztują.

Docieram do końca korytarza, jednocześnie przeżywając dylemat akwizytora: jak szybko zaliczyć wszystkie klamki na trzynastym piętrze. A potem przychodzi mi do głowy pytanie o to, co zrobię, jeśli się okaże, że nie znajdę odcisków palców mordercy, z tej prostej przyczyny, że nie otworzył sam drzwi, tylko ktoś to zrobił za niego. Niech szlag trafi południową uprzejmość.

Spokojnie, Theo, mówię sobie. Nie wszystko naraz. Zawsze mogę zaparkować w pobliżu windy garażowej i po prostu na niego zaczekać. Mogę nawet zamontować kamerki w windach i wycelować ich obiektywy w tablice z guzikami. Istnieją różne sposoby, przekonuję sam siebie. Brak świecącej plamy to jeszcze nie koniec świata, przynajmniej dla mnie. Nie daje mi spokoju świadomość, że Zabaweczka wybrał już nową ofiarę i być może w tej chwili zastanawia się, jak ją porwać z ulicy.

Wątek Ordavo Simsa skłania mnie ku podejrzeniom, że Zabaweczka miał współnika. Niewykluczone, że ten przeciął obcęgami łańcuch, którym Christopher Bostrom zabezpieczył rower, i ukradł go po to, aby Zabaweczka miał pretekst, by zaproponować chłopcu podwózkę. Nietrudno sobie wyobrazić, jak zrozpaczony chłopak, zdenerwowany tym, że ktoś mu ukradł rower, staje się emocjonalnie łatwym celem dla mężczyzny, który obiecuje mu nowy w zamian za przejażdżkę.

Tak bardzo nakręcam się tą myślą, że dopiero po chwili dociera do mnie, że właśnie ujrzałem lśniąca smugę w okienku aparatu. Prędko cofam się do naznaczonych drzwi, ponownie przyklękam i zaglądam do pudełka, mrużąc oczy.

Jest. Całe mnóstwo rozmazanych świecących bakterii. Zabaweczka tu był, przeszedł przez te drzwi.

Robię zdjęcie telefonem. Dzięki odporności czynnika zawieszinowego, w którym unoszą się bakterie, udaje mi się uzyskać częściowy odcisk palca.

Był tu, raptem kilka godzin temu...

Krew w moich żyłach zamienia się w lodowatą maź.

Tutaj...

Dotknął *tych* drzwi.

Naraz Zabaweczka nabiera kształtów, przestaje być jedynie wizerunkiem zjawy, staje się realną postacią, istniejącą na tej samej płaszczyźnie rzeczywistości co ja.

Robię krok do tyłu, żeby zobaczyć, do którego biura wszedł. Pracuje tu? Odwiedził to miejsce jako gość? Czytam litery widniejące na drzwiach i czuję, jak przechodzi mnie dreszcz. Podskakuję na dźwięk dzwonka telefonu; w środku ktoś odbiera. Jeszcze nigdy kilka prostych słów nie zrobiło na mnie tak piorunującego wrażenia.

Stoję, kurwa, jak sparaliżowany.

Bo na tabliczce na drzwiach jest napisane: „DEPARTAMENT BEZPIECZEŃSTWA KRAJOWEGO”.

50. Bezpieczna przestrzeń

Istnieją tysiące powodów, dla których mógł tu wejść. Żaden nie działa na mnie uspokajająco. Czuję przerażenie na samą myśl o tym, że złoczyńca może swobodnie przekraczać próg tego biura, podczas gdy w drugim końcu kraju policjanci i agenci usiłują rozwikłać zagadkę jego zbrodni. Moją konsternację pogłębia fakt, że biuro, przed którym stoję, nie jest siedzibą główną Departamentu w Atlancie, tylko placówką pomocniczą, którą zakłada się z braku miejsca w centrali albo wtedy, kiedy ma ona koordynować osobne operacje. Pytanie brzmi: jakie operacje?

Mój palec naciska guzik interkomu, zanim mózg zdąży zdecydować, czy to aby na pewno rozsądne posunięcie.

A jeśli to *on* odbierze?

– Słucham? – odzywa się męski głos.

Zerkam w górę i zauważam obserwujące mnie oko niewielkiej kamery. Czy ktoś widział, jak ukrytym w pudełku aparatem badam klamki? Czy będę musiał odpowiedzieć na szereg niewygodnych pytań, jeśli wpuszczą mnie do środka?

Wyjmuję legitymację pracownika DIA i pokazuję do kamery.

– Dzień dobry. Chciałbym o coś zapytać w związku z osobą, która prawdopodobnie tu pracuje.

Słychać brzęczyk i drzwi się otwierają.

– Proszę wejść, doktorze Cray.

Kamera, którą zainstalowali nad drzwiami, jest wyposażona w system rozpoznawania obrazu; w ułamku sekundy odczytała i rozszyfrowała moją legitymację. Teraz nie tylko znają moje nazwisko, ale też wszystko o mnie wiedzą.

Kładę dłoń na klamce – tej samej, której dotykał Zabaweczka – i wchodzę do środka.

Biuro jest niewielkie. Stanowisko recepcji zajmuje niemal całą szerokość pomieszczenia, w którym znajduje się dwoje drzwi – jedno, szklane, za recepcją, drugie, zwyczajne, zamknięte, po prawej stronie. Prowadzą, jak się domyślam, do przyległego biura, mającego osobne, nieoznaczone wejście z korytarza. Stanowisko recepcji obsługuje siedzący przed komputerem młody biały mężczyzna w białej koszuli i w krawacie. Obok jego klawiatury leży niedojedzona kanapka z Subwaya.

– W czym mogę pomóc? – pyta życzliwym tonem. – Uprzedzam, że prawie wszyscy skończyli pracę na dziś.

Wpatruję się w nazwiska i funkcje wymienione na szklanych drzwiach za jego plecami.

JACK MILLER: MŁODSZY ZASTĘPCA DO SPRAW ZAGRANICZNYCH

KIM DUNN: SPECJALISTA DO SPRAW WSPÓŁPRACY ZAGRANICZNEJ

CARTER VALCHEK: SPECJALISTA DO SPRAWY KOMUNIKACJI Z ZAGRANICĄ

To wszystko szpieczy. Sądząc po częstotliwości występowania słowa „zagraniczny” w opisach ich stanowisk, nie skupiają się na sprawach wewnętrznych. Są pracownikami agencji wywiadowczej, którzy porozumiewają się ze swoimi odpowiednikami w innych krajach. Tajny kontrterroryzm.

Tajny, bo nie ma tu słowa o terroryzmie albo narkotykach.

Jedynym powodem, dla którego mnie tu wpuszczono, jest to, że posłużyłem się papierkiem z DIA. Gdybym tego nie zrobił, z całą pewnością odesłano by mnie do siedziby głównej Departamentu. Gorączkowo myślę nad przekonującym kłamstwem, w którym się nie zgubię.

– Najpierw poszedłem do innej placówki, ale odesłano mnie tutaj. – Wyjmuję wydruk z mojej kamerki szpiegowskiej, ale nie ten podrasowany, trójwymiarowy, tylko oryginalny, ziarnisty. – Jedna z moich współpracownic ucierpiała w wypadku, którego sprawca uciekł. Szukamy świadków. Podobno rozmawiała z tym mężczyzną tuż przed tym, jak to się stało. Pomyśleliśmy, że mogłby poświadczyć prawdziwość jej zeznań.

Recepcjonista przygląda się mężczyźnie na fotografii. Rzuca mi przelotne spojrzenie. Nieznacznie kręci głową – to nieświadomy tik, kiedy człowiek chce skłamać.

– Nie pracuje tu?

Ponownie wykonuje ten sam gest, ale znacznie bardziej zdecydowanie – jak wtedy, kiedy zgadzamy się z czymś, co jest prawdą.

– Nie, nie pracuje.

Mógłbym go poprosić o dostęp do logów z kamery, ale to by było naruszenie bezpieczeństwa, poza tym przecież nie pozwoli przyłapać się na kłamstwie.

Zabaweczka tu był. Niewykluczone, że faktycznie tu nie pracuje, ale jego wizyta była na tyle ważna, że recepcjonista zdecydował się mnie okłamać.

– Czyli nie chodzi o żadną sprawę służbową? – pyta, uświadamiając sobie, że popełnił błąd, wpuszczając mnie do środka.

– Niestety, nie mogę powiedzieć – mówię; a niech się domyśla.

– Mógłbym popytać. Proszę podać numer, pod którym będę mógł się z panem skontaktować. I chciałbym zatrzymać zdjęcie.

Jestem na prawie sto procent przekonany, że ten człowiek zna Zabaweczkę, ale nie ma pojęcia, kim ten naprawdę jest. Jeśli zostawiając zdjęcie i numer mojej jednorazówki, mogę rzucić na mordercę jeszcze więcej podejrzeń, to tym lepiej. Zapisuję numer i oddaję zdjęcie recepcjoniście.

– Przyda się każda pomoc – zaznaczam, po czym dodaję złowieszczo: – Musimy zadać mu kilka pytań w związku z Los Angeles.

Mężczyzna przyjmuje kartkę i kładzie ją na biurku, nawet nie patrząc na numer ani fotografię.

– Zajmę się tym – obiecuje.

Dziękuję mu i wychodzę na korytarz. Gdyby nie kamera pod sufitem, przyłożyłbym ucho do drzwi i spróbował podsłuchać, do kogo recepcjonista dzwoni i komu opowiada o mojej wizycie. Wracając do auta, układam w głowie pytania i potencjalne scenariusze.

Co takiego łączy Zabaweczkę z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego?

Czy jest kimś w rodzaju informatora? A jeśli tak, to o czym donosi? Na czyj temat?

Jest szansa, że mogę odkryć przynajmniej część jego tożsamości. Unikałem tego, ponieważ liczba błędów pierwszego rodzaju jest porażająca, ale teraz, kiedy zyskałem nowy punkt pomiarowy, być może zdołam przefiltrować dane i otrzymam przydatne wyniki.

51. Niepewność

W świecie wywiadu istnieje wiele różnych kategorii informacji: od publicznych, takich jak książki telefoniczne, po ściśle tajne, takie jak zapisy rozmów figurujących w nich abonentów.

Jako osoba współpracująca z DIA poprzez OpenSkyAI mam bardzo ograniczony dostęp do tego rodzaju materiałów. Trafiają do mnie briefingi istotne dla operacji, w których mam uczestniczyć jako obserwator, i czasem nawet uzyskuję odpowiedzi na swoje pytania i wątpliwości, o ile góra uzna, że mają znaczenie dla sprawy.

Prawdziwi agenci DIA, tacy jak Birkett, mogą czerpać ze znacznie bogatszej skarbnicy informacji, do której sięgają za pośrednictwem specjalnego portalu dla pracowników agencji wywiadowczych, ale nawet wtedy jest to obwarowane ograniczeniami i zabezpieczeniami. Każde zapytanie odnotowuje się w logach. Gdyby Birkett miała ochotę sprawdzić, czy jej były korzystał z innego numeru telefonu – tę wiedzę zapewne przechowuje któraś z maszyn w podziemnej serwerowni w Wirginii – zostałyby to zasygnalizowane i być może zgłoszone jako przestępstwo, oczywiście przy założeniu, że komukolwiek chciałoby się zrobić z tego aferę.

Wyzwaniem mogą się okazać również zapytania dotyczące pracy. Wiele razy prosiłem Birkett o załatwienie tej czy innej informacji, po to tylko, by usłyszeć, że zdaniem góry jest ona nieistotna, albo, co gorsza, odkryć, że jest błędna bądź przestarzała.

Uważam co prawda, że powinniśmy pilnować, aby nasze tajemnice nie wychodziły na jaw, ale też czerpię pociechę z faktu, że większość tego, co wie o nas rząd, spoczywa pod grubą warstwą biurokracji. Dlatego tak często po tym, jak dochodzi do jakiejś tragedii, nagle dowiadujemy się, że ta czy inna agencja wywiadowcza od dawna posiadała raport na temat zagrożeń, ale nic z tym nie zrobiła. Nawet nie wiedziała, czym dysponuje.

Coraz częściej jednym z najbardziej wiarygodnych źródeł informacji dla DIA – źródłem, do którego mam swobodny dostęp – są prywatne materiały i dane sprzedawane korporacjom oraz spółkom inwestycyjnym. Gdybym zwrócił się do CIA z pytaniem o to, czy Chengdu Aircraft Industry Group buduje nowy myśliwiec J-20 w dawnej strefie przemysłowej położonej osiemset kilometrów na zachód od Syczuanu, usłyszałbym krótką, acz stanowczą odpowiedź, że to informacja zastrzeżona. Jeśli jednak zaloguję się w portalu Projekty Strategiczne Czarno na Białym, należącym do prywatnej firmy z Albany w stanie Nowy Jork, i zapytam o prace nad chińskim myśliwcem, zobaczę mapę satelitarną z danymi na temat zużycia energii w rzekomo opuszczonej strefie przemysłowej, a także zdjęcia, na których widać wyjątkowo równy odcinek świeżo wybudowanej szosy, świetnie nadający się na pas startowy.

Dzięki tego rodzaju informacjom Boeing i Lockheed będą mogli przygotować lepszą ofertę dla Hindusów i Saudyjczyków – zwłaszcza jeśli uświadomią sobie, że w tym samym czasie generałowie Sił Powietrznych Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej szepczą do uszu przedstawicielom obu tych krajów.

Z zasobów Projektów Strategicznych Czarno na Białym nie dowiem się wprawdzie, czy rosyjski attaché w Nowej Zelandii jest tak naprawdę putinowskim szpionem w kręgach bliskich władzy, ale

mogę zajrzeć na spokrewniony z witryną portal Globalne Związki, będący czymś w rodzaju LinkedIn dla osób chcących poznać stopień zależności pomiędzy różnymi przedsiębiorstwami a ludźmi z rządu. Wystarczy wpisać nazwisko attaché, żeby się przekonać, że liczba podejmowanych przez niego interwencji, których skutki nader pozytywnie wpływają na prywatny stan posiadania Władimira Putina, przewyższa liczbę analogicznych działań podejmowanych przez rosyjskiego attaché w Australii.

Nietrudno zagłębić się w system i domyślić, kim są „anonimowe źródła w Białym Domu”, rozmawiające z dziennikarzami „Washington Post”, albo których meksykańskich polityków więcej łączy z handlującymi kokainą Boliwijczykami pod względem biznesowym niż politycznym. Niemal wszystkie te dane można zebrać całkowicie legalnymi sposobami. Rząd Stanów Zjednoczonych sam zresztą do tego zachęca, ponieważ o ile interwencja CIA, polegająca na przekazaniu Boeingowi informacji na temat tego, co agenci odkryli w rzekomo porzuconych chińskich fabrykach, byłaby pogwałceniem prawa handlowego, o tyle fakt dysponowania przez Boeinga tą samą wiedzą, którą Chińczycy notorycznie wykradają z amerykańskich komputerów i którą dzielą się ze swoimi firmami, zapewne pozytywnie wpływa na amerykański deficyt w handlu zagranicznym.

Tak więc owszem, byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym mógł po prostu wrzucić zdjęcie Zabaweczki do którejś z baz DIA, CIA albo NSA i poczekać, aż ta wypluje listę trafień, łącznie z historiami życia i danymi o uzębieniu potencjalnych podejrzanych, ale niestety, z formalnego punktu widzenia mój certyfikat bezpieczeństwa jest na tym samym poziomie co certyfikat osoby odbierającej telefony w recepcji siedziby głównej DIA. Mogę natomiast skorzystać z prywatnych portali, takich jak Globalne Związki albo Lokalizator Twarzy, i za ich pośrednictwem zbadać tropy.

Podobnie jak w przypadku pozostałych stron dokładność wskazań Lokalizatora Twarzy rośnie tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze. Jeśli Zabaweczka grywa w kasynach i jest z nich wyrzucany, bo liczy karty, albo widziano go w Antwerpii, jak próbował upłynnić krwawe diamenty, wówczas istnieje spora szansa, że go namierzę. A jeśli nie, to cóż, okaże się po prostu jednym z siedmiu miliardów ludzi mających parę tysięcy mniej lub bardziej wiernych sobowtórów.

Kiedyś w samej tylko Indianie udało mi się znaleźć sześciu mężczyzn wyglądających zupełnie tak samo jak ja. Umówmy się więc, że Lokalizator Twarzy nie jest najbardziej obiecującym narzędziem na początek poszukiwań. Do tego dochodzi kontrowersyjny problem, polegający na tym, że ze względu na połączenie sposobu odbijania światła przez skórę oraz wrodzonej tendencyjności naukowców większość algorytmów rozpoznawania twarzy testuje się na twarzach białych bądź Azjatów. To oznacza, że w wynikach pracy Lokalizatora Twarzy znajdzie się całkiem sporo błędów pierwszego rodzaju, ale jestem na to przygotowany.

Wgrywam zdjęcia, zarówno te oryginalne, pochodzące z kamerki, która uchwyciła odbicie w drzwiach, jak i te zrekonstruowane. Niech system zacznie mieć. Lokalizator Twarzy w pierwszej kolejności stara się stworzyć własne punkty pomiarowe: mierzy odległość pomiędzy źrenicami i nozdrzami, analizuje kształt brwi i innych elementów, zwłaszcza uszu – uszy są prawie jak odcisk palca. Następnie przeczesuje bazę miliardów obrazów. Niektóre pochodzą z galerii serwisów społecznościowych, inne z artykułów w gazetach, a pozostałe z tysięcy różnych źródeł. W końcu – jest. Pojawia się siedem propozycji. To mniej, niż liczyłem. Obawiam się, że może nie być wśród nich Zabaweczki.

Trzy z miejsca odrzucam, bo ich profile nie pasują do mojego podejrzanego. Dwie kolejne dostarczają jedynie cząstkowych danych. A dwie ostatnie, pierwsza z dziewięćdziesięciosześciprocentowym dopasowaniem, druga z dziewięćdziesięcioośmioprocentowym, na pierwszy rzut oka przedstawiają tego samego człowieka. Zdaniem Lokalizatora Twarzy są to jednak dwie różne osoby. Wprowadzam ich nazwiska do Globalnych Związków i otrzymuję zupełnie inne biografie.

Pierwszy z mężczyzn nosił nazwisko Oyo Diallo i był prawą ręką nigeryjskiego watażki, dopóki nie zaginął krótko po wybuchu konfliktu z Boko Haram. Drugi jest pastorem zielonoświątkowym o nazwisku John Christian. Porównuję oba zdjęcia na ekranie. Niesamowicie, że ci dwaj są do siebie tak podobni, a zarazem tak bardzo się od siebie różnią.

Potem wgłębiam się w biografie i naraz wszystko nabiera sensu.

Szlag.

Diallo i Christian to rzeczywiście ta sama osoba.

W jaki sposób dowódca afrykańskiego szwadronu śmierci zostaje pastorem w kościele na południu Stanów Zjednoczonych? Muszę znaleźć przekonującą odpowiedź na to niepokojące pytanie, zanim pójdę z nim do FBI albo innej agencji.

Powodowany wątpliwościami sprawdzam doniesienia medialne i szukam historycznych precedensów, aż wreszcie przypadek Dialla vel Christiana zaczyna mi się wydawać coraz mniej szokujący, a coraz bardziej prawdopodobny.

W 2016 roku media nagłośniły ponurą historię pracownika ochrony lotniska Dulles pod Waszyngtonem, którego zdemaskowano jako byłego somalijskiego dyktatora oskarżanego o zbrodnie wojenne. Zarzucano mu, że dopuszczał się licznych okropności, nakazywał wykonywanie masowych egzekucji, zezwalał na palenie wiosek i ciągnięcie ludzi za samochodami.

Oskarżenia te padały przed sądami cywilnymi – czyny dyktatora nie podlegały kompetencji Stanów Zjednoczonych – a ludzie zachodzili w głowę, jakim cudem taki człowiek przeszedł sito FBI i TSA, i to w dodatku po tym, jak zakwestionowano wzięcie jego żony, ponieważ wyszło na jaw, że kobieta podała się za uchodźczynię z konfliktu, który jej mąż pomógł rozpętać.

Wyniki szybkiej kwerendy w internecie pokazują, że według grup zrzeszających działaczy na rzecz obrony praw człowieka w Stanach Zjednoczonych mieszka co najmniej tysiąc osób oskarżanych o zbrodnie wojenne, w tym wielu takich, którzy popełnili przestępstwa równie ciężkie jak Oyo Diallo vel John Christian.

Mimo że wśród naszych własnych obywateli nie brakuje osób, które wyjechały do obcych krajów i tam dopuściły się potworności wojennych – i mimo że nasz rząd wcale nie tak rzadko decydował się na wyjątek w przypadku szczególnie cennych „nabytków”, takich jak niemieccy inżynierowie raketowi, których sprowadziliśmy po drugiej wojnie światowej – to jednak myśl, że ktoś taki jak Diallo cieszy się u nas swobodą, przyprawia mnie o ciarki. Jakiś uchodźca bez grosza przy duszy nie dostał azylu, bo Diallo wiedział, jak oszukać system? A może jeden z urzędników przysnął na posterunku?

Znalezienie idealnego trafienia zajmuje mi raptem kilka minut. Samo zdjęcie jeszcze o niczym nie świadczy, ale porównanie chronologii zdarzeń ukazuje doskonałą zbieżność: rok po zniknięciu Dialla

pojawia się Christian. Obaj mają zielonoświątkowe korzenie, wywodzą się z religii popularnej zwłaszcza w Afryce Zachodniej. Obaj mają identyczną bliznę nad okiem.

Jeszcze bardziej przekonujące – przynajmniej z punktu widzenia mojego od niedawna, to znaczy od kiedy przed rokiem zacząłem zwalczać terrorystów, mocno cynicznego spojrzenia na świat – wydaje mi się to, że praca misyjna Christiana stanowiłaby doskonałą przykrywkę dla przemytnika broni handlującego z regionami pustoszonymi przez wojnę.

W teorii wszystko ładnie się składa, ale to za mało. Muszę zdobyć więcej dowodów, żebym nie zabrzmiał jak stuknięty krzewiciel teorii spiskowych, kiedy będę próbował zwrócić uwagę policji i agentów na fakt, że Zabaweczka nie tylko nie był tym mężczyzną, który przed kilkoma dniami zginął w brazylijskim więzieniu, ale że tak naprawdę jest zbrodniarzem wojennym, który mieszka w Georgii i pracuje jako pastor.

52. Lokalizator

Nazajutrz mam już trzy adresy, które mogę powiązać z Johnem Christianem. Pod pierwszym mieści się niewielki dom na peryferiach Atlanty. Wybrałem się tam i doszedłem do wniosku, że jeśli pod budynkiem nie ma znacznych rozmiarów piwnicy, to nie może on służyć jako kryjówka do mordowania. Przede wszystkim dlatego, że stoi w gęsto zabudowanej okolicy wśród działek bez ogrodzeń. Jest parterowy, ma dwie sypialnie i doskonale widoczne z ulicy małe podwórze, a okno w salonie jest na tyle szerokie, że pozwala dojrzeć spartańskie wnętrze i wiszący na ścianie wielki krzyż.

Lokum prostego duchownego, nie nora groźnego drapieżcy, który ceni swoją prywatność. Budynek wygląda jak przeciwieństwo domu przy Wimbledon Street, co jedynie umacnia mnie w przekonaniu, że Zabaweczka dysponuje kilkoma mieszkaniem, każde na potrzeby innego ze swych wcieleń. Jest dom Johna Christiana i są kryjówki Zabaweczki. Przejeżdżając obok, nie widziałem samochodu na podjeździe, dlatego zatrzymałem się, wysiadłem, zrobiłem kilka zdjęć i ruszyłem dalej.

Drugim miejscem związanym z Christianem jest kościół. Ta nieco zaniedbana, pomalowana na biało metalowa konstrukcja znajduje się mniej więcej piętnaście kilometrów od domu Christiana i stoi na półakrowej działce, którą dzieli z kilkoma innymi budynkami.

Na parkingu przed kościołem zauważam zaparkowanego w towarzystwie pięciu aut białego cadillaca z koszmaru Artice'a. Czuję się, jakbym zobaczył rekinią płetwę prującą grzywiastą falę. Od pewnego czasu wiedziałem, że istnieje, ale dotąd czaiła się głęboko pod powierzchnią wody.

Teraz jednak wdarła się do mojego świata.

Mój plan jest prosty. Diallo na pewno dysponuje jeszcze jakąś nieruchomością, której nie jestem w stanie znaleźć w księgach, miejscem, o którego istnieniu nikt nie może wiedzieć. Za trzy dni, kiedy księżyc będzie w nowiu, Diallo jako Zabaweczka dokona tam zbrodni. Aby go powstrzymać, muszę namierzyć tę kryjówkę.

Nie jestem wprawnym szpiegiem-observatorem, zresztą nawet oni pracują w zespołach. Chcąc schwytać Zabaweczkę, będę musiał się uciec do czegoś bardziej bezpośredniego i ryzykownego. Zaparkuję przy jego wozie i będę się modlił, żeby akurat wtedy nie wyszedł z kościoła i mnie nie zobaczył.

To, co chcę zrobić, jest nielegalne, ale przestałem się już tym przejmować. Od moich działań może zależeć życie małego chłopca.

Wjeżdżając na parking, kręcę kierownicą i czuję się, jakbym obracał koło sterowe wielkiego jachtu. Znacznie łatwiej byłoby zignorować widmo nadciągającej burzy o twarzy Dialla. Pokonuję krótki asfaltowy podjazd i zajmuję miejsce obok białego cadillaca, który wygląda na kilkuletni wóz i nadal ma kalifornijskie tablice. Może Diallo wynajmuje auta albo co roku kupuje nowe, nie z próżności, ale po to by utrudnić pracę technikom, którzy będą szukali włosów i włókien z ubrań wcześniejszych ofiar Zabaweczki.

W najbardziej gorącym okresie śledztwa w sprawie zbrodni Teda Bundy'ego radiowozy parkowały

dosłownie po drugiej stronie ulicy od jego domu. Kiedy policjanci czekali na wydanie nakazu rewizji, Bundy mył swojego volkswagena garbusa, pracowicie usuwając ślady, na których detektywom tak bardzo zależało.

Biorę głęboki oddech, po czym wyjmuję mapę, która będzie mi służyła za przykrywkę. Tradycyjna, papierowa to już wprawdzie trochę przeżytek, ale nadal może być przekonująca, zwłaszcza jeśli uzupełnię ją kilkoma typowo turystycznymi pytaniami, które zadam temu, kto się mną zainteresuje. Rozkładałam płachtę na kierownicy i wyjmuję urządzenie, żeby sprawdzić, czy działa.

Ponieważ nie mam dostępu do miniaturowych aparacików, jakimi posługuje się DIA podczas swoich operacji, muszę improwizować, licząc, że Diallo nie jest aż takim paranoikiem, by każdorazowo sprawdzać auto pod kątem lokalizatorów. Kupiłem w walmarcie zwykły, najzwyczajniejszy telefon komórkowy, podpiąłem do niego powerbank i umieściłem całość w czarnym pudełeczku na śrubki ze sklepu z narzędziami. Do pudełeczka przykleiłem największy magnes neodymowy, jaki udało mi się dostać w tak krótkim czasie.

Rozglądam się, czy nikt nie idzie, otwieram drzwi, pochylam się i prawie kładę na ziemi. Jeżeli ktoś mnie zauważy w tej osobliwej pozycji, udam, że podnoszę telefon, który na wszelki wypadek trzymam w gotowości w drugiej dłoni. Kiedy wygięty nerwowo usiłuję przymocować lokalizator do podwozia cadillaca, co rusz wystawiając głowę ponad listwę drzwi niczym zestresowany suseł, dociera do mnie z całą mocą, że nie zostałem skrojony do pracy w terenie.

Znalezienie miejsca, w którym magnes będzie dobrze trzymał, zajmuje mi całą wieczność, a kiedy wreszcie się udaje, neodymowy krążek wydaje tak głośne metaliczne szczęknięcie, że słyszeli je chyba nawet ludzie zgromadzeni w kościele. Nikt jednak nie wybiega zobaczyć, co się stało. Łapię za ten swój prowizoryczny lokalizator i mocno pociągam. Trzyma. To znaczy, że nie powinien odpaść podczas jazdy.

Wracam na miejsce za kierownicą. Organizm wciąż tłoczy adrenalinę. Ponownie upewniam się, że nikt mnie nie obserwuje, i wyjeżdżam z parkingu. Skręcam na stację benzynową po drugiej stronie ulicy, mniej więcej pół przecznicy od kościoła. Tankuję, nie spuszczaając wozu Dialla z oczu. Czekam, aż Diallo wybiegnie, żeby sprawdzić, co ten dziwny gość robił przy jego wozie. Nie wybiega. Po napełnieniu baku zastanawiam się, czy nie zaczekać i zobaczyć, co Diallo teraz zrobi, ale dochodzę do wniosku, że jednak nie. Będę się trzymał danych z punktów pomiarowych, bezpośrednia interakcja to – o czym się wiele razy przekonałem – zupełnie nie moja bajka.

W kolejnym kroku sprawdzę trzecią nieruchomość związaną z Zabaweczką i jego kościołem. Z jednej strony budzi ona we mnie liczne podejrzenia, a z drugiej trudno jest mi sobie wyobrazić, żeby Diallo był tak zuchwały, by dopuszczać się swoich zbrodni w takim miejscu; policja, gdyby chciała, z łatwością zdobyłaby nakaz rewizji. Ale kto wie? Być może Oyo Diallo doskonale się czuje w pastorskiej skórze Johna Christiana.

53. Oaza

Szukając informacji o pastorze Johnie Christianie, odkryłem, że jest on właścicielem niedużej nieruchomości na zachód od Atlanty, w pobliżu Parku Stanowego Sweetwater Creek. Z Google Earth wynika, że na prawie hektarowej działce stoi tam Chrześcijański Ośrodek dla Dzieci, obejmujący trzy główne budynki, mały basen, dosyć nierówne boisko do piłki nożnej oraz krąg pod ognisko.

Ze strony internetowej ośrodka można się dowiedzieć, że jest on przeznaczony dla dzieci z rodzin w gorszej sytuacji materialnej. Brzmi jak raj dla zabójcy, ale ośrodek wcale nie wygląda jak obóz z *Piątku trzynastego*. Nie ma ogrodzenia, budynki są w większości dobrze widoczne z daleka, a dokoła wielu sąsiadów. Podobnie jak w przypadku domu Dialla na przedmieściach, nie wydaje się, aby morderca mógł czuć się tu na tyle swobodnie, by nago polować na dzieci. Za to jako miejsce upatrywania i urabiania ofiar ośrodek prawdopodobnie sprawdza się znakomicie.

Pod nieobecność Dialla postanawiam podjechać pod pusty ośrodek – pusty, jeśli wierzyć zamieszczonemu na stronie harmonogramowi pobytów – i trochę się rozejrzeć.

Zostawiam samochód i wchodzę między pomalowane na biało budynki. Wszystkie są drewniane i dość stare, mają zakurzone szyby. Zaglądam do środka. Widać stołówkę i pokój zabaw, a w nim półki pełne gier planszowych. Pozostałe budynki to cztery baraki po dziesięć piętrowych łóżek w każdym oraz wspólne prysznic i toaleta – jak na kempingach.

Ze zdjęć, które znalazłem na stronie, wynika, że dzieci spędzają dużo czasu w namiotach i na zajęciach w terenie. Nie ma tu wprawdzie ani jeziora, ani udogodnień spotykanych na zwyczajnych letnich obozach, ale dla chłopców i dziewczynek z ubogich rodzin to wcale nie najgorsze miejsce – poza tym, że prowadzi je morderca...

W głębi, na granicy posesji, zaczyna się las stanowy. Po lewej znajduje się zamknięty teren, otoczony wysokim płotem, zapewne dla odgradzenia od hałasu generowanego przez dzieci. Na mapie w internecie nieruchomość figuruje jako żłobek McGentry, ale z perspektywy ośrodka nic o tym nie świadczy, brak jakiegokolwiek oznakowania, tabliczek, a zieleń wokół budynku – przynajmniej o ile mogę dojrzeć przez płot – jest cokolwiek zaniedbana.

Jeszcze raz obchodzę teren ośrodka i upewniam się, że niczego nie przeoczyłem, jakiegoś, nie wiem, schronu przeciwbombowego albo bunkra. Nie jestem co prawda przekonany, że rozpoznałbym taką konstrukcję, nawet gdybym miał ją tuż pod stopami, ale też nie sądzę, aby kryjówka Zabaweczki znajdowała się w podziemiach jego Chrześcijańskiego Ośrodka dla Dzieci.

Nie wyklucza to ośrodka jako miejsca zbrodni. Choć jednak działka przy Wimbledon okazała się jednocześnie cmentarzyskiem ofiar Zabaweczki, nie wydaje mi się, aby człowiek o inteligencji Dialla był gotów ryzykować, pozwalając rozbrykanym dzieciom grać w dwa ognie na płytkim grobie. Kieruje się wyższymi standardami. Inaczej niż większość seryjnych morderców.

Zdarzało się, że policja pukała do drzwi seryjnego mordercy, a w tym samym czasie jego zdobycz krzyczała uwięziona raptem kilka metrów dalej, w wygłuszonym korytarzu serwisowym pod podłogą albo w ukrytym pomieszczeniu. John Wayne Gacy pod własnym domem zakopał zwłoki dwudziestu sześciu spośród ponad trzydziestu zabitych przez siebie osób. Szczątki ofiar Jeffreya

Dahmera znaleziono w lodówce w kuchni i w niemal wszystkich pozostałych częściach mieszkania.

Podchodzę do pniaków leżących dokoła kręgu na ognisko. Czubkiem buta na wszelki wypadek rozgrzebuję popiół – a nuż znajdę coś, czego nie powinno tu być. Trochę stopionego plastiku i folii; nie wygląda to na dół po kremacji. Wszystko tutaj jest takie, jak należałoby się spodziewać. Tymczasem sam widok domu przy Wimbledon przyprawiał mnie o gęsią skórę.

Wracam do auta. Pojadę z powrotem do hotelu, przejrzę dane z lokalizatora i sporządzą mapę miejsc, które Diallo odwiedził w ciągu ostatnich kilku godzin. Oby co najmniej jedno okazało się kryjówką. Odnalezienie go może być dosłownie sprawą życia i śmierci.

Kiedy sięgam do kieszeni po kluczyki, nagle dzwonek mojego telefonu przerywa panującą tu ciszę.

– Słucham? – Przykładam słuchawkę do ucha, siadając za kierownicą.

– Kurwa, Theo, co ty odpierdalasz?

– Birkett? – Nigdy nie słyszałem jej tak nabuzowanej.

– Coś ty narobił?

– Co konkretnie masz na myśli? – Rozglądam się nerwowo, czy nie nasłała na mnie radiowozów i śmigłowców. – Chodzi ci o... tamto w Los Angeles?

– „Tamto”? Jezu, nie. Nie mówię o twoim stukniętym hobby, tylko o tym, że staję na głowie, żeby ugłaskać Parka, bo inaczej zamieni twoje życie w piekło. Rozmawiałam ze znajomą, która zajmuje się sprawami cywilnych współpracowników w Departamencie Wewnętrznym DIA, i zapytałam ją, jak Park zareagował na waszą, hm, „wymianę zdań”, na co odparła, że ktoś poprosił o twój TOR.

– Co takiego?

– Teczkę Oceny Ryzyka. Zawiera wszystkie twoje potencjalne zobowiązania z tytułu bezpieczeństwa. W ten sposób mamy was wszystkich, dupki, na oku i możemy spać spokojnie, że nie odstawicie nam takiego numeru jak Snowden i nie pobiegniecie wyzalić się Rosjanom. No więc ktoś się tobą bardzo interesuje.

– Park?

– Nie! Jak to możliwe, że ktoś tak inteligentny jest tak głupi?

– To codzienna walka...

– Zapytanie wpłynęło z innej agencji.

– Z której?

– O nie, tego ci nie mogę powiedzieć. Ale załóżmy, że w skrócie DIA zmienimy jedną literę...

CIA.

– Cholera, dlaczego akurat oni o mnie pytają?

– Dlaczego akurat... – Przerywa, bo dociera do niej, że zaczęła powtarzać moje pytanie. – Chciałeś powiedzieć, dlaczego w ogóle o ciebie pytają.

– Uwierzyłabyś mi, gdybym przyznał, że nie mam zielonego pojęcia? Zresztą chyba i tak nie powinnaś ze mną o tym rozmawiać?

– Gdyby wydali oficjalny zakaz, wtedy owszem, ale nie zrobili tego, zatem uznajmy, że po prostu plotkujemy, jak to w biurze. Ale bądźmy poważni, Theo. Jeśli się dowiem, że wypalałeś tajne dokumenty na płytach Lady Gagi, to ci urwę jaja.

– To była Manning, nie Snowden.

– Przecież, kurwa, wiem! – Bierze głęboki oddech i wyraźnie słycać, że próbuje zapanować nad wściekłością. – Nie chodzi tylko o ciebie, ale też o mnie. Pociągnęłam za wiele sznurków, żeby ci załatwić tę robotę. Złożyłam wiele obietnic. Twoje przepychanki z Cavanaughiem niczemu nie służą, ale on przynajmniej szanuje tych, którzy są na tyle pewni siebie, by umieć wylać swoje żale. Jeżeli wdepnąłeś w jakieś gówno, to już po mnie. A wiedz, że lubię swoją pracę. Przysięgam, że cię dopadnę i osobiście utnę ci kutasa, a jeśli trafisz do więzienia federalnego, dopilnuję, żeby jakieś skurwysyny zrobiły to za mnie. Rozumiemy się?

– No...

– Rozumiemy?!

– Jezu, tak! Nie planuję ani odsiadki, ani dożywotniej wizyty w Rosji. Nie chcę, żeby mi matkowała banda byłych agentów KGB.

– To dobrze. Cieszę się, że się zgadzamy.

– Zaufaj mi. Nie zrobiłbym niczego, przez co mogłabyś mieć przesrane.

– Świetnie. – Kolejne głębokie westchnienie. – Wierzę ci. Ale zastanawiam się, czy czasem nie jesteś socjopata.

– Sam też zadaję sobie to pytanie.

– Nie poprawiasz mi samopoczucia. Powiedz tylko, czy zrobiłeś coś, co mogło wzbudzić czyjąś podejrzliwość?

Szlag.

– E...

– Theo?

Nie opowiem jej przecież o moim małym eksperymencie z bakteriami ani o tym, co dzięki niemu odkryłem – zwłaszcza że niemal dosłownie wysmarowałem genetycznie zmodyfikowanymi drobnoustrojami kłankę w drzwiach placówki Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Nie sposób przedstawić tego w dobrym świetle.

Birkett poczułaby się w obowiązku poinformować o tym swoich przełożonych, a z jej słów wynika, że ten, kto w tej chwili pociąga za sznurki, raczej za mną nie przepada. Może tą osobą jest Park, który wykorzystuje pośrednika, żeby mi się dobrać do dupy, a może nie. Na wszelki wypadek wolę nie przeginać.

– Widziałaś moje nazwisko w mediach? – pytam retorycznie. – Może tym kimś z innej agencji powoduje zwykła ciekawość? Jestem wymieniany jako konsultant OpenSkyAI. Może kogoś zainteresowało, co tam robię?

– Mmm... – Birkett nie kupuje mojego wyjaśnienia. – Co poza tym?

– Nie mogę powiedzieć...

– Czytam w tobie jak w książce. Mów.

– Powiem tylko tyle: horror w domu w Los Angeles. Podejrzany, który zmarł w Brazylii. Niestety, to nie on.

– Ach, czyli dlatego poleciałeś do Atlanty.

– Skąd wiesz, gdzie jestem?

– Stąd, że pracuję w agencji wywiadowczej, durniu. Poza tym musiałam się upewnić, że nie rzucisz się w ramiona Chińczyków. Nigdy nie przechodź na ich stronę, słyszysz?

– Dotarło. No więc... mogę ci powiedzieć, że człowiek, który moim zdaniem za wszystko odpowiada, jest... to znaczy, może być... informatorem.

– Okej – odpowiada cierpliwie. – Z kim współpracuje?

– Niewykluczone, że z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego.

– Muzułmanin?

– Nie. To bardziej skomplikowane. Jego działalność nie dotyczy spraw wewnętrznych.

– Cholera, Theo. Zaczęłeś węszyć wokół informatora pod ochroną?

– Nie wiem, czy jest pod ochroną. Ale to zły człowiek. Bardzo zły.

– Dlatego takich jak on wykorzystujemy jako informatorów. Bo dobrzy ludzie nic nie wiedzą.

– Zgoda – przyznaję. – Ale mowa o człowieku, który zamordował co najmniej siedemnaścioro dzieci w Los Angeles.

– Jeśli masz dowody, przyslij mi je i pójdziemy z tym do FBI.

– Pracuję nad tym.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że muszę mieć pewność, że Biuro natychmiast podejmie kroki. Podejrzewam, że ten człowiek przymierza się do kolejnego morderstwa. Jeśli to spieprzę, wtedy on się wykpi i znów będzie zabijał, a mnie FBI przenicuje.

Głębokie westchnienie.

– Mam cholerną nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Ja też.

– Uważaj, Theo, nie wszyscy w naszej drużynie grają według tych samych reguł.

54. Przesyłka

Idę hotelowym korytarzem, mając z tyłu głowy złowieszcze ostrzeżenie Birkett. Już wcześniej wpadałem w paranoję, ale teraz zaczynam się obawiać nawet ludzi, którzy zasadniczo powinni być po mojej stronie. Wkładam klucz do zamka, przekręcam, otwieram drzwi, włączam światło – i widzę eleganckiego starszego pana w trzyczęściowym garniturze, który leży na moim łóżku i czyta powieść Clive’a Cusslera.

Robię krok do tyłu, sprawdzam numer pokoju na drzwiach.

– Dobrze pan trafił, doktorze Cray – odzywa się mężczyzna, odkładając książkę. – Proszę usiąść. Postanowiłem skorzystać z dobrodziejstw twardego materaca, bo dają mi się we znaki plecy.

Szukam wzrokiem pistoletu albo innej broni, ale mężczyzna trzyma dłonie na brzuchu w zupełnie niegroźnej pozycji. Wygląda jak prawnik albo biznesmen po godzinach.

Siadam na krześle, próbując zrozumieć powód, dla którego ten człowiek złożył mi wizytę. Powinienem wezwać policję, ale muszę przyznać, że rozbudził moją ciekawość – poza tym mam swój pistolet w zasięgu ręki.

– Wygodnie panu? – pyta mężczyzna.

– Tak... A panu?

– Znacznie lepiej. Po tylu godzinach za kółkiem...

– Można wiedzieć, w jakim celu pan przyjechał?

– Żeby panu pomóc, doktorze Cray. Ma pan mnóstwo pytań, na które z chęcią i w miarę możliwości odpowiem.

– Aha. – Jeszcze nie rozstrzygnąłem, czy jest szalony, czy tylko dziwny w niepokojący sposób. – Kim pan jest?

– Nazywam się Bill.

– Po prostu Bill?

Potwierdza skinieniem głowy.

– Po prostu Bill.

– No cóż, panie „Billu”, sądzę, że niewiele mi pan pomoże. Miło było poznać. – Wstaję i wskazuję drzwi.

Nie rusza się z miejsca.

– Doktorze Cray, czy zna pan najczęstszą metodę leczenia neuralgii nerwu trójdzielnego?

– Nie. Nie jestem lekarzem.

– Właśnie. A ja nie odpowiadam na niewłaściwie postawione pytania. Niech pan usiądzie. Powinien pan zapytać o to, jak zamierzam panu pomóc.

– W sprawie Johna Christiana?

– W sprawie uniknięcia więzienia, doktorze Cray. W tej chwili to powinna być dla pana najbardziej paląca kwestia. W jaki sposób ominie pana kara dożywotniego więzienia.

Już rozumiem. Ten gość to relikw z zimnej wojny, szpieg, którego ściągnęli z emerytury, żeby mnie nastraszyć.

– Ciekawe – odpowiadam. – Jakoś nie zaprzętałem sobie tym głowy. Natomiast zastanawia mnie, jak to jest żyć ze świadomością, że chroni się mordercę, który wkrótce znów zaatakuje.

– Obawiam się, że nie wiem, o czym pan mówi.

– Nie wie pan o siedemnaściorcu martwych dzieciach, które wykopano na podwórzu domu w Los Angeles zajmowanego przez jednego z waszych agentów? – Po jego minie poznaję, że rzeczywiście nie ma pojęcia, o co mi chodzi. – Poważnie? – wzdycham. – Jest pan człowiekiem, którego wzywają, kiedy chcą kogoś nastraszyć, ale nie mówią dlaczego?

– Mówią. Obejrzałem nagrania z kamer przed biurem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, na których pewien mężczyzna zachowuje się w bardzo osobliwy sposób i prawdopodobnie rozpyła jakiś środek chemiczny, po czym niezbyt mądrze pokazuje recepcjoniście swój dowód tożsamości i wchodzi do środka.

Wstaję z krzesła i podchodzę do drzwi.

– Przez chwilę naprawdę się bałem.

Bill nie rusza się z miejsca.

– Wyświadczam panu uprzejmość.

– Jasne. Jakże wielkoduszny z pana człowiek. Zaczę panikować, jeśli Departament Bezpieczeństwa Krajowego albo Ośrodki Zapobiegania i Kontroli Chorób zapukają do moich drzwi, ale kiedy wapniak z CIA nasyła na mnie inną skamielinę, która ma mi pogonić kota, bo obaj nie ogarniają, jak bardzo dali ciała, to proszę wybaczyć, ale nie zamierzam dramatyzować. – Otwieram drzwi. – Niech pan wraca na przedmieścia Alexandrii czy gdzie tam i powie koledze, żeby przyjrzał się lepiej człowiekowi, od którego przyjmuje informacje.

Bill wstaje z lekkim rozbawieniem na twarzy. Zatrzymuje się w drzwiach.

– Nie spodoba się panu to, co teraz nastąpi. – Wkłada dłoń do kieszeni.

Łapię go za rękę.

– A panu, gdzie to panu zaraz wsadzę.

Powoli wysuwa dłoń i pokazuje moje czarne pudełeczko.

– Nie było trudno znaleźć je za pierwszym razem. Równie łatwo pójdzie za drugim.

Wręcza mi pudełeczko i rusza korytarzem. Jest już prawie przy windzie, kiedy w końcu postanawiam za nim pobiec.

– Chwileczkę! – wołam.

– Tak?

– Co pan o nim wie?

– Doktorze Cray, miałem do wykonania bardzo proste zadanie: dostarczyć wiadomość. Wykonałem je. – Odwraca się.

Łapię go za łokieć.

– Proszę przestać się zachowywać jak postać z powieści szpiegowskiej i zapomnieć o swojej roli posłańca. Niech się w panu odezwie ten idealista, który zaciągnął się do służby, kiedy Chruszczow zaczęła walić butem w pulpit i grozić, że nas wszystkich pogrzebie, niech się odezwie człowiek, który potrafi odróżnić dobro od zła... Czy pan wie, kim, do kurwy nędzy, tak naprawdę jest John Christian?

Patrzy na mnie obojętnym wzrokiem. Mam przed sobą człowieka, któremu system tak bardzo dał

w kość, że jest mu już wszystko jedno. Kiedy dzwonią, Bill dostarcza pizzę. Nie dba o to, co jest w pudełku ani kogo w rzeczywistości żywi. Wie tylko tyle, że kiedy przychodzi zamówienie, wtedy ma dostarczyć jebaną pizzę. I koniec.

Uwalniam go z uścisku. Odwraca się do windy i naciska guzik „w dół”. W gładkiej powierzchni metalowych drzwi widzę jego wpatrzone we mnie oczy. Maskę obojętności na chwilę się zsuwa.

Wracam do pokoju, zachodząc w głowę, czy obudzę się w środku nocy duszony przez Billa struną z pianina, czy też kadry przyślą mi pełen oburzenia list na temat tego, jak potraktowałem staruszka.

Spoglądam na lokalizator. Wapniak nawet nie zadał sobie trudu wyłączenia telefonu, zanim mi go oddał. Czy ma świadomość, że aparat zarejestrował wszystkie przejazdy Dialla, a także udzieli mi odpowiedzi na pytanie, skąd przybył Bill?

Pfff.

55. Teren łowów

Kiedy ruszyłem tropem Joego Vika, jedynym terminem, przed którym chciałem zdążyć, był początek semestru na uczelni. Nie dotrzymałem go. To, że Vik zamordował kogoś, kogo znałem, i pozbawił życia inne ofiary, kompletnie wytrąciło mnie z równowagi, ale mimo to myślałem o nim w kategoriach czasu przeszłego. Odkrywanie jego zbrodni przypominało usuwanie kolejnych warstw ziemi na wykopaliskach i dowiadywanie się, że jakieś neolityczne plemię dopuszczało się rytualnych morderstw – szokowało, owszem, ale należało do zamierzchłej przeszłości. Nie boisz się, że z dołu wyskoczy szkielet i znów będzie zabijał. Nie martwisz się o bezpieczeństwo ludzi żyjących w tym samym czasie co ty. W przypadku Vika, choć wiedziałem, że jest aktywnym mordercą, nie czułem się jednak ograniczony ramami czasowymi, które mobilizowałyby mnie do działania. Dwa dni albo dwa tygodnie – niewielka różnica, a jedynym kosztem była moja kariera zawodowa.

Z Oyem Diallem jest inaczej. Właśnie wschodzi słońce. Zanim zajdzie, kolejna ofiara wpadnie w łapy Zabaweczki. Zanim ponownie wstanie, kolejny mały chłopiec straci życie.

Mam do siebie pretensję o to, że przez te kilka dni mogłem zrobić więcej. Gdybym poszedł do gazet, opisano by całą tę historię. Przynajmniej na jakiś czas zwróciłbym uwagę mediów na osobę Oya Dialla i być może ocaliłbym czyjeś życie. Ale co potem? Zabaweczka wymknąłby się i objawił w innym miejscu, mądrzejszy o wiedzę, że zdołałem go wytropić. Wyjechałby ze Stanów i osiadł w innym państwie, tam gdzie jeszcze trudniej byłoby odkryć jego zbrodnie. Ciekawe, co jego kumpel Ordavo Sims robił w Brazylii? Był kimś więcej niż tylko sługusem? Czy Diallo jest częścią większej struktury, której nie ogarniam?

Nie rozumiem nawet jego samego, a co dopiero układu, do którego może należeć. Ten człowiek nie jest socjopatą będącym produktem jakiegoś konfliktu. Podobnie jak Joego Vika, cechuje go wyjątkowy talent do kamuflażu i zbrodni. Jest urodzonym drapieżką w świecie pełnym potencjalnych ofiar.

Kamuflaż Zabaweczki jest tak skuteczny, że momentalnie straciłem go z oczu. Z danych zarejestrowanych przez lokalizator wynika, że wyszedł z kościoła i pojechał najpierw do siebie, a potem do bogatego adwokata mieszkającego na eleganckich przedmieściach Atlanty. Następnie wrócił do domu, a stamtąd za pośrednictwem Zimnowojennego Billa lokalizator trafił prosto do mnie. Nic nie wskazuje na tajemniczy kurs do jakiegoś podejrzanego magazynu na peryferiach miasta.

Prawnik, którego odwiedził, Greyson Hunt, reprezentuje wielu międzynarodowych klientów biznesowych i jest dokładnie takim typem człowieka, o jakiego względy ktoś pokroju Dialla mógłby zabiegać. Innych powiązań brak.

Skończyły mi się pomysły. Uciekłem się nawet do tego, że zaparkowałem przecznicę od domu Dialla i przez jakiś czas obserwowałem jego białego cadillaca stojącego na podjeździe. Nigdzie nim nie pojechał. Sądzę, że nawet nie ma go w domu. Wymknął mi się.

Czekam do dziewiątej rano, a potem dzwonię do kościoła. Owszem, jestem aż tak zdesperowany.

– Kościół Towarzyszy Zbawienia – wita mnie radosny kobiecy głos.

- Dzień dobry, chciałem się dowiedzieć, czy jest pastor Christian.
- Przykro mi, ale wyjechał na konferencję religijną w Denver.
- Aha. A kiedy?
- Wczoraj wieczorem. Powinien wrócić za tydzień. Czy chodzi o sprawę natury duchowej?
- W pewnym sensie. Bardzo dziękuję za pomoc.

„Konferencja religijna”. Niezła przykrywka. Powiedz wszystkim, że wyjeżdżasz dzień wcześniej, zrób swoje – zabij, kogo chcesz zabić – i naprawdę udaj się tam, dokąd się wybierałeś. Jeśli potem ktoś zapyta, wspomnienia świadków okażą się na tyle mgliste, że trudno będzie jednoznacznie powiedzieć, gdzie przebywałeś w określonym momencie. Ciężar odtworzenia chronologii zdarzeń spocznie na śledczych. Wyjaśniło się, dlaczego cadillac Dialla stoi na podjeździe przed domem: nie może sobie pozwolić, żeby widziano go w aucie, skoro powinien być zupełnie gdzie indziej. Atlanta to duże miasto o małomiasteczkowej mentalności. Wieści szybko się rozchodzą.

Diallo prawdopodobnie dysponuje drugim wozem i drugą tożsamością – tą związaną z jego tajną kryjówką, której nie potrafię odnaleźć.

Najważniejsze często okazuje się to, co masz tuż pod nosem.

Rodzina, która ponad sto razy dzwoniła na policję w sprawie Johna Wayne’a Gacy’ego.

Laotański chłopiec, który z krzykiem na ustach uciekł z mieszkania Jeffreya Dahmera, po czym został przyprowadzony z powrotem przez policjantów, ponieważ ci uznali, że mają do czynienia z przypadkiem kłótni kochanków.

Jedna z ofiar Lonniego Franklina zawiodła policję niemal na próg mordercy – pomyliła się tylko o jeden dom.

Niepokojące sygnały w sprawie Teda Bundy’ego dochodziły praktycznie z każdej strony. Ilekroć policja wpadała na trop, Bundy przenosił się do innego stanu. W szczytowym okresie jego aktywności niektórzy detektywi doskonale wiedzieli, kim – czym – jest Bundy, ale mieli związane ręce.

Ktoś musi coś wiedzieć. Tym, który tutaj wydaje się najlepiej poinformowany, jest Robert.

Istnieje ryzyko, że jest w zмовie z Diallem – a także szansa, że stojąc z boku, stara się po prostu nie wchodzić mu w drogę.

Wobec braku innego pomysłu sięgam po komórkę i wybieram numer Roberta.

Od razu włącza się poczta głosowa.

Próbuję ponownie po kilku minutach. Nadal to samo.

Wiedziony desperacją jadę do pani Violet.

Robert siedzi na werandzie i rozmawia ze starszą białą kobietą, która trzyma na kolanach czarnego pudła. Przed domem stoi należąca prawdopodobnie do niej bmw.

Na mój widok Robertowi rzadnie mina. Zabawiał kobietę – dotrzymywał jej towarzystwa, nim zostanie wezwana przez panią Violet, która zmyśli jej los – a teraz rusza w moją stronę przez trawnik i dociera do mnie, akurat kiedy wysiadam z auta.

– Panie Cray, nie przypominam sobie, żeby był pan umówiony na dziś.

Już nie jestem „panem Craigiem”. A więc jednak zajrzał do mojego portfela.

– Nie przyjechałem do pani Violet, tylko do pana. Chcę się dowiedzieć czegoś o mężczyźnie, od

którego pan i Mech wolicie się trzymać z daleka.

Robert zerka przez ramię na kobietę siedzącą na werandzie i upewnia się, że nie jest zainteresowana naszym spięciem. Wniosek: jest cenną klientką.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– O osobie, która uprawia bardzo zły rodzaj magii. Taki, w którym składa się ofiary z ludzi.

Robert zastanawia się nad odpowiedzią.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Ale zna pan kogoś, kto ma.

Jego twarz przypomina maskę.

– Oyo Diallo, czy raczej John Christian, bo pod takim nazwiskiem go tu znają.

Robert reaguje mrugnięciem na „Johna Christiana”, ale potem kręci głową.

– Nie wiem, o kim pan mówi. – Kładzie dłoń na klamce drzwi auta. – Proszę przyjechać kiedy indziej.

Wskazuje brodą kobietę.

– Ważna klientka, co? Wdowa? Matka zmarłego dziecka? Ile jest dla was warta?

– Pani... – Gryzie się w język. – Jest dawną, serdeczną przyjaciółką pani Violet. Proszę, porozmawiajmy innym razem.

– A może to z nią pogadam? Ciekawe, co ona i jej bogaci znajomi powiedzą na historię kogoś, kogo pan zna i kto morduje małe dzieci? Jak pan myśli, jak to przyjmą?

Łapie mnie za ramię.

– Panie Cray, niech pan tego nie robi.

– Wobec tego proszę mi coś powiedzieć. Bo ten człowiek, którego pan chroni, lada moment zabije kolejne dziecko.

Kręci głową.

– Jest silny, potężny. Nie wyobraża pan sobie, z kim zadziera.

– Proszę mi coś powiedzieć. Niech mi pan podsunie coś, co pozwoli panu spojrzeć swojemu bogu w oczy i przekonać samego siebie, że jest pan dobrym człowiekiem.

Walczy ze sobą.

– Ujmę to tak – mówię. – Wkrótce wszyscy się dowiedzą o Christianie. Do pana należy decyzja, jak pan się zapisze w tej historii.

Drapie się po karku, bije z myślami.

– W porządku. Mogę panu zdradzić, że jest takie miejsce, do którego nigdy nie posyłamy naszych dzieci.

– Chodzi o ośrodek? Byłem tam i niczego nie znalazłem.

– Więcej nie powiem – ucina Robert. – Może nie szukał pan dość dokładnie. Proszę już jechać, bo będę musiał wezwać policję.

– To by dopiero było.

Zbrywa mnie machnięciem dłoni i odchodzi przygarbiony. Przybiła go rozmowa ze mną.

Odpuszczam. Dotarł do etapu, na którym jest mu obojętne, czy będę zaczepiał jego klientów. Teraz największym zmartwieniem Roberta jest jego własne bezpieczeństwo.

56. Wtajemniczony

Schowany między drzewami obserwuję teren ośrodka i czekam na pojawienie się Dialla. Po zachodzie słońca i księżycu jedynym źródłem światła w noktowizorze są gwiazdy. W ośrodku cisza i pustka, jeśli nie liczyć oposów, które od czasu do czasu przemykają między budynkami, rozglądając się za czymś do jedzenia, co przynieśli ludzie, jeśli powrócili. Zaparkowałem prawie pół kilometra dalej i pokonałem drogę do kompleksu, posuwając się w półmroku, blisko linii drzew, żeby Diallo nie mógł mnie dojrzeć z jezdni. Przez ostatnią godzinę przejechały tędy raptem cztery samochody. Żaden nie skręcił do ośrodka.

Nie potrafię powiedzieć, czy Robert celowo wprowadził mnie w błąd, czy może źle go zrozumiałem. Odchodzę od zmysłów, próbując wymyślić, co dalej. Sam nie wiem, czego się spodziewałem: że Diallo podjedzie i otworzy drzwi do ukrytej piwnicy? Że zaciągnie porwanego chłopca do jednego z budynków?

Przeszedłem się po lesie za ośrodkiem. Drzewa rosną tam luźno, a ścieżki są dobrze oznaczone. Nie jest to żaden ponury ostęp jak z mrocznej baśni. Trudno byłoby cokolwiek tam ukryć. Potrafię sobie wyobrazić, że przed laty, kiedy te tereny były słabiej zaludnione, ktoś mógł tu założyć destylarnię bimbrową albo rozbić nielegalne obozowisko, ale dziś to miejsce z gatunku tych, gdzie chodzi się na spacer w ciągu dnia.

Nie sądzę również, aby drapieżca mógł się tu poczuć swobodnie. Tak jak ludzie odbierają bezpieczną przestrzeń na poziomie estetyki – to najczęściej nieduży zbiornik wodny otoczony drzewami i dający szeroki, nieprzystłonięty widok na okolicę – tak również drapieżniki upatrują sobie takie środowisko, w którym po prostu czują się dobrze.

W przypadku seryjnych morderców jest to z reguły dom albo samochód. Gacy miał swoją przestrzeń pod podłogą. Domeną Bundy'ego była mobilność.

A Diallo? Co jest jego strefą komfortu? Podwójne życie? To, że na zewnątrz służy Bogu, a w środku – diabłu? Po mistrzowsku przeplata dwa niezależne istnienia. Okropności, których się dopuścił, ustawiły go w pozycji siły, ta zaś okazała się potrzebna agentom wywiadu, mającym większe zmartwienia.

Po spotkaniu z Zimnowojennym Billem nabrałem podejrzeń, że Diallo nie jest zwyczajnym informatorem; niewykluczone, że jego duszpasterstwo to jedna z tych zagadkowych inicjatyw, które tajne agendy rządowe wykorzystują do transferu broni i pieniędzy do tych regionów świata, gdzie toczą sekretne wojny. To oznacza, że osób dyktujących warunki trzeba szukać dosłownie na linii frontu. Postrzegają oni moje wtrącanie się jako zdradę – jeśli nie stanu, to duchową. Nie wydaje mi się, aby wiedzieli, czym tak naprawdę zajmuje się Diallo, ale też wątpię, żeby komukolwiek chciało się w to wnikać. Z ich punktu widzenia to jedynie straty uboczne w grze o znacznie większą stawkę.

Spoglądam na zegarek. Robi się późno. Nie wybiła jeszcze godzina duchów, ale podejrzewam, że Diallo zdążył podać napój nasenny swojej ofierze.

Gdziekolwiek to zrobił.

Dotarcie do jego domu zajmie mi godzinę, ale jestem pewien, że nikogo tam nie zastanę. Pluję

sobie w brodę, że nie zbadałem kościoła. Wątpię co prawda, żeby Zabaweczka zwoził tam swoje ofiary, ale gdybym się rozejrzał, być może natrafiłbym na coś, co by mi podpowiedziało, gdzie go szukać. W końcu dochodzę do wniosku, że już się nie zjawi. Wycofuję się z kryjówki. Zasadzka się nie udała. W najlepszym razie Diallo postawił na ostrożność i uznał, że dzisiejszej nocy nie podejmie żadnych działań. Prawda jest taka, że przecież wcale nie *wiem*, czy rzeczywiście miał zamiar dziś zabić. Po prostu tak mi się *wydawało*. Tyle że nauki nie opiera się na tym, co nam się wydaje.

Muszę się odwołać do faktów i logiki.

Fakt: Diallo nie pojawił się w ośrodku.

Wciąż z goglami na oczach chodzę po terenie i zaglądam do okien. Puste budynki czekają, aż dzieci wrócą i wypełnią je głosami. W tej chwili słyhać jedynie świerszcze i żaby... Zamykam oczy i skupiam się na dźwiękach. Wychwytyuję coś, co brzmi jak skapująca woda. Przesuwam się w stronę, z której dochodzi odgłos, staram się go rozgryźć. Jest w nim pewna przypadkowość. Przypomina plumkanie. Słyszę też coś znajomego. Odgłos nie jest naturalny – to imitacja. Przekrzywiam głowę i zwracam ją w kierunku dźwięku.

Z zamkniętymi oczami ruszam w stronę źródła. Wpadam na przeszkodę. Szczęk czegoś metalowego. Otwieram oczy i uświadamiam sobie, że mam przed sobą zarośniętą siatkę ogrodzeniową, która oddziela teren ośrodka od starego, zaniedbanego żłobka. Bardzo ostrożnie, tak by nie narobić więcej hałasu, podciągam się na siatce i zaglądam na drugą stronę. Widzę zarośniętą działkę pełną krzaków i niskich drzew. W drugim końcu stoi niewielki budynek. Przeszklone drzwi na tyłach są otwarte, wylewa się przez nie blask dużego telewizora. Rysunkowa żaba przeskakuje z jednego liścia lilii wodnej na drugi. Ciszę nocy przeszywa śmiech dziecka. Przechodzą mnie od niego dreszcze.

Kiedy wdrapuję się na siatkę, dociera do mnie, że powinienem był się lepiej przyjrzeć pozostałym domom przy Wimbledon Street...

57. Nora

W chwili gdy moje stopy lądują na mokrej ziemi, trafiam do innego świata. Liście dzikich paproci i młodych drzewek wyglądają jak czarna wycinanka na tle ciemnoszarego nieba. Działka jest niczym miniaturowa dżungla tchnąca tysiącem zapachów. Gnijąca flora, niepielegnowane kwitnące kwiaty, a pod tym wszystkim mdląco słodka woń rozkładającego się mięsa. Przypomina mi się *Amorphophallus titanum*, dziwidło olbrzymie, ta cuchnąca padliną roślina, która wygląda jak wielka bagietka wyłaniająca się z odwróconego dzwonu. Ale nie, to jednak inny odór.

Roślinność tutaj jest tak gęsta, że mam problem z oszacowaniem wielkości budynku żłobka. Wiem tylko tyle, ile zapamiętałem z Google Earth: długością działka dorównuje posesji ośrodka, chyba nawet ją przewyższa, ale za to znacznie ustępuje jej szerokością. Drzewa i krzewy rosną tak blisko siebie, że tworzą zieloną ścianę, prawie jak w lesie równikowym.

Z mojego nowego punktu obserwacyjnego z trudem dostrzegam blask ekranu. Natrafiam na ścieżkę z niewielkich płyt chodnikowych, która, jak zakładam, ciągnie się do frontowej części budynku. Ciekawość pcha mnie ku najdalszej części działki, ale najpierw muszę się upewnić, że grające w grę wideo dziecko jest całe i zdrowe. Przedzieram się przez gałęzie i gęste paprocie, uważając, by nie nadepnąć na nic, co pękając, zdradziłoby mnie trzaskiem, i nie potrącić żadnej z kilkunastu nadkruszonych figurek i małych fontann, które stoją po obu stronach ścieżki.

Im bliżej domu, tym plumkanie staje się głośniejsze. Oby to oznaczało, że dziecko wciąż jest przytomne.

Roślinność zaczyna się przerzedzać, po chwili dochodzę do betonowego tarasu i mam przed sobą budynek. Po prawej stronie znajduje się ścieżka, wzdłuż której ustawiono szereg treliazy. Prawdopodobnie tędy przyprowadzano dzieci w czasach, kiedy działał tu żłobek. Przez otwarte przesuwane szklane drzwi widzę tył brązowej główki siedzącego na kanapie i zwróconego w stronę telewizora dziecka. Od czasu do czasu, kiedy żaba dociera do kolejnego poziomu, malec podskakuje z radości.

Nie ruszam się, wypatruję drapieżnika.

Chłopiec zatrzymuje grę i się pochyla. Robię krok do przodu, widzę, że mały sięga po szklankę z napojem, który wygląda jak sok winogronowy. Już mam opuścić kryjówkę, pobiec i wytrącić chłopcu szklankę z dłoni, ale nagle dolatuje do mnie czyjś niski głos. Nie potrafię rozróżnić słów wypowiedzianych dudniącym basem w głębi domu, ale mówiącym na pewno jest dorosły mężczyzna. Mam pistolet. Mógłbym wejść i...

A jeśli to nie on?

A jeśli jednak on?

Jeśli nie chcę zabić go z zimną krwią, będę potrzebował czegoś więcej, czegoś, co mógłbym wskazać policji, jeśli zdecyduję się ją wezwać. Nie mogę przecież oznajmić, że mają przekopać mu podwórze, bo tak mi podpowiada intuicja. Wkroczyłem na jego teren prywatny.

Raptem dociera do mnie, że podobnie musieli się czuć detektywi, którzy przyglądali się, jak Ted Bundy usuwa dowody zbrodni z auta. Byli bezradni, bo ograniczeni prawem.

Mówię sobie, że los tego dziecka będzie podobny do losu Artice'a – jest bezpieczne, dopóki Diallo nie zaprowadzi go do pokoju zbrodni. Ten zaś znajduje się gdzieś za moimi plecami. Gdzieś w głębi tego wynaturzonego ogrodu.

Wycofuję się w zarośla i ruszam ścieżką w przeciwną stronę, coraz dalej w ciemność. Noktowizor zawęża pole widzenia, które staje się tak klaustrofobiczne, że chyba wolałbym przemieszczać się po omacku. Idę szlakiem płyt chodnikowych, patrząc pod nogi, żeby się nie potknąć. Jeden niezręczny ruch i Zabaweczka dowie się, że tu jestem. Ścieżka meandruje, ale prowadzi konsekwentnie w głąb ogrodu. Przypuszczam, że wytyczył ją projektant na zlecenie poprzednich właścicieli i z zamiarem ukazania gościom niespiesznego piękna otoczenia – nie podejrzewam, żeby chodziło o stworzenie obłąkanego labiryntu, mającego zwodzić tych, którzy próbowaliby stąd uciec.

Diallo jest inteligentnym oportunistą, ale nie architektem zieleni.

Drzewa i zarośla ustępują niewielkiej, wolnej od krzewów przestrzeni, pośrodku której stoi niedziałająca fontanna. Czubek przechylonej konstrukcji celuje w niebo pod nietypowym kątem. W basenie leżą suche liście i gałązki, a betonową kolumnę i iglicę oplatają pnącza. Po drugiej stronie tej ogrodowej polanki stoi szopa o drewnianych ścianach, ciemniejszych niż nocne niebo. Ma okno, ale jest zasłonięte gazetami, tak że nie można zajrzeć do środka. Jedynym źródłem światła jest tu odbicie blasku gwiazd na kłodce na przesuwanych drzwiach. Kłódka jest otwarta.

Okrażam fontannę i zatrzymuję się. Nasłuchuję. Wciąż docierają do mnie odległe dźwięki gry. Z tyłu głowy mam słowa Artice'a na temat garażu przy Wimbledon, a także szczegóły analizy kryminalistycznej policji Los Angeles.

Czuję coraz silniejszy odór rozkładu. Do tego dochodzi jakaś kwaskowa woń, której nie rozpoznaję. Czy to zapach środka czyszczącego? Nie widzę sensu. Miejsc zbrodni Zabaweczki nie sposób oczyścić.

Najostrożniej, jak potrafię, kładę dłoń na klamce. Drewniane drzwi cicho skrzypią, przesuwając się po źle spasowanej prowadnicy. Czekam, co się stanie, ale nie dzieje się nic. Popycham lekko drzwi, aż same zaczynają się otwierać.

Pierwsze, co zauważam, to czarny brezent na podłodze. Mój wzrok wędruje ku górze i zatrzymuje się na rzędach drewnianych półek na ścianie naprzeciwko wejścia. Stoją na nich szklane butelki i metalowe puszki. Wnętrze szopy nie kłóci się z dawnym przeznaczeniem głównego budynku; gdzieś przecież trzeba było przechowywać nasiona, nawozy i pestycydy.

Wchodzę głębiej, żeby się lepiej przyjrzeć. Ziarnisty obraz z noktowizora zaczyna się stopniowo wyostrzać. Widzę coraz więcej szczegółów. To jednak nie nasiona. Butelki wypełnia mętny płyn. Tego, co w środku, w większości nie sposób rozpoznać, niemniej charakterystyczne kształty gałek ocznych i ludzkich uszu mówią same za siebie. Zawartości pozostałych pojemników nawet nie próbuję się domyślać.

Odruch wymiotny pojawia się nagle i jest tak silny, że z trudem udaje mi się go opanować. Dziesiątki razy wahałem trupy i nawet brałem udział w dysekcjach ludzkiego ciała, ale tym razem to coś zupełnie innego. Reakcja organizmu na zło. Sięgam po telefon i robię zdjęcie. Kiedy błyska flesz, dopada mnie paniczna myśl, że było go widać z domu. Wątpię, ale i tak przechodzi mnie dreszcz. Powoli wycofuję się z szopy i zasuwam za sobą drzwi. Chcę zatrzaskać kłódkę, ale przypominam sobie, że zastałem ją otwartą.

Naraz dociera do mnie, że ucichły odgłosy gry wideo. Wyjmuję pistolet i odsuwam się od drzwi. Zrywa się wiatr, zaczyna poruszać liśćmi. Okrażam fontannę i wchodzę na ścieżkę prowadzącą na drugą stronę żłobka. Powoli, krok po kroku, przemieszczam się z powrotem w kierunku domu. Tu i tam między gałęziami przebija się blask ekranu telewizora, dzięki czemu nie tracę orientacji. Zaczepiam ubraniem o kolce, a butami o wystające pnącza. Pochylam się, żeby uwolnić stopę, która się w coś zaplątała. Kiedy się prostuję, okazuje się, że straciłem z oczu telewizor. Wyłączył go? Mrużę oczy, próbując dojrzeć szczegóły w ciemności. Widzę bladą poświatę jakieś dwadzieścia kilka metrów przede mną, ale mam wrażenie, jakby coś ją przysłaniało...

Zasłona znika i telewizor znów staje się lepiej widoczny.

Nie jestem sam w zaroślach.

58. Labirynt

Stawiam kroki jeszcze ostrożniej niż przedtem. Próbuje odróżnić szelest liści na wietrze od dźwięków wydawanych przez człowieka poruszającego się w zaroślach. Staram się nie zdradzić swojego położenia. Trzymam pistolet na wysokości biodra i omiatam nim przestrzeń. Dostrzegam szczelinę pod stopami. Spoglądam w dół i widzę zarys dziecięcej szczęki. Tuż obok z ziemi wystaje upiorny szkielecik palca. Wskazuje niebo.

Potwierdzenie tego, co wyczułem nosem: to ogród śmierci. Bóg raczej wie, co jeszcze znajdę. Kolekcję trofeów w szopie już widziałem.

Nagle słyszę szuranie po betonie. Jest za mną, zachodzi mnie od tyłu. Ma nade mną tę przewagę, że zna własny teren, podczas gdy ja kręcę się po omacku w jego siłach. Przychodzi mi do głowy myśl, że mógłbym po prostu zacząć strzelać na oślep, ale szybko ją porzucam – szanse na trafienie kogokolwiek są bliskie zeru, ale tym kimś może być chłopiec.

Właśnie: chłopiec. Nie mogę go zawieść. Przecież to o niego chodzi w tym wszystkim.

Nadal zmierzam w stronę blasku telewizora. Słyszę ruch za plecami. Przeciwnik jest coraz bliżej. Mógłbym przykłęknąć, pochylić się i zaczekać z bronią w gotowości... Ale nogi mnie niosą. Ekran rośnie w oczach, widzę wynik gry.

Kroki. Słyszę je za sobą.

Zrywam się do biegu, przeskakuję rządkiem krzewów i ląduję na tarasie.

Szukam głowy dziecka na kanapie, nie dostrzegam jej, widzę za to przełożoną przez oparcie stopę w białej skarpetce.

Hałas za mną staje się coraz głośniejszy – jakby dzikie zwierzę przedzierało się przez chaszczce.

Wpadam do domu, zrywam z głowy noktowizor i zasuwam drzwi. Na szybko ukazuje się moje wyraźne odbicie. Przyklejam twarz do szkła i wyławiam wzrokiem kształt na zewnątrz. Stoi tam, na skraju tarasu. Jest wysoki, potężny.

Blokuję drzwi i biegnę do chłopca. Wygląda na dwanaście lat. Leży nieprzytomny z głową na poduszce.

Szklanka z fioletowym płynem jest pusta.

Ściskając w ręku pistolet i nerwowo łypiąc w stronę drzwi na taras, unoszę chłopcu powieki. Spoglądają na mnie żółte oczy. Rozszerzone źrenice.

Klepię go po policzku.

– Obudź się – mówię szeptem.

– Pójdziemy zobaczyć fort? – pyta rozespanym głosem.

– Nie chcesz tego, dzieciaku, uwierz mi.

Sadzam go na kanapie i sięgam po telefon. Wybieram numer alarmowy, prędko podaję adres i odkładam aparat, nie przerywając połączenia.

Ignoruję prośby dyżurnej o więcej szczegółów i skupiam całą uwagę na szklanych drzwiach.

On tam jest...

Co teraz zrobisz? – myślę, jakbym zwracał się do niego. Odnalazłem twoją kryjówkę i mam

dzieciaka. Zamienisz się w rozwścieczonego potwora jak Joe Vik, czy wymkniesz się i rozplyniesz w nocy?

Dostaję odpowiedź już po chwili, kiedy betonowy posązek z ogrodu roztrzaskuje szybę i wpada do pokoju. Zасыpują mnie odłamki szkła. Kulę się i osłaniam chłopca. Posązek rozbija szklany stół i ląduje na podłodze.

Wystawiam lufę zza oparcia kanapy i zaczynam strzelać na oślep.

Bam!

Bam!

Bam!

Spoglądam w ciemność, mrużąc oczy, ale widzę tylko czubki przerośniętych krzaków na tle nocnego nieba.

Gdyby chodziło o Joego Vika, obawiałbym się, że spróbuje dostać się do środka od frontu. Ale nie chodzi o niego. Ten człowiek jest zupełnie inny.

Zabaweczka wie, kiedy lepiej się wycofać.

W oddali słychać ryk syren. Kiedy są już całkiem blisko, chowam broń do kabury.

Dziś już nie będę jej potrzebował.

59. Zastępca

Od czterech godzin siedzę w pokoju dla zatrzymanych, a jeszcze nikt nie przyszedł ze mną porozmawiać.

Policjanci, którzy przyjechali na miejsce, dobrze wykonali swoją robotę. Potraktowali mnie z odpowiednią dozą podejrzliwości, zabrali chłopca do szpitala i pozwolili się poprowadzić przez labirynt kości w ogrodzie aż do szopy jak z horroru, która za drugą wizytą okazała się jeszcze bardziej przerażająca niż za pierwszą.

Diallo musiał wpaść w szal i powyrywać półki ze ścian. Cała podłoga była zasłana częściami ciała w obrzydliwym sosie. Jeden z gliniarzy nie wytrzymał i zwymiotował. Ja przezornie trzymałem się z dala od drzwi. Potem zawieźli mnie na posterunek. Nie założyli mi kajdanek, ale na miejscu czekał porucznik, który zamienił z mundurowymi kilka słów i po chwili zakuli mnie i odprowadzili do pokoju. Ktoś musiał komuś coś szepnąć.

Dręczy mnie pytanie o to, kto mnie teraz odwiedzi. Zimnowojenny Bill z pistoletem z tłumikiem? Jakiś brutalny były więzień, którego „przypadkiem” umieszczą w pokoju dla zatrzymanych razem ze mną? A może przemawia przeze mnie moja cholerna paranoja?

Wiem jedno: Oyo „Zabaweczka” Diallo uciekł i najprawdopodobniej udał się do kolejnej ze swoich kryjówek, by tam znów spróbować zabić. Mam przeczucie, że ta dziupla nie znajduje się na terenie Stanów Zjednoczonych. Nie jestem pewien, jak długo i daleko mogę go ścigać; ledwie przecież dotarłem do tego miejsca.

Słychać brzęk kluczy. Otwierają się drzwi. Do pomieszczenia wchodzi niewysoka, trzydziestokilkuletnia kobieta w marynarce i spódnicy i siada przy stole naprzeciwko mnie. Ma ciemne włosy i wyraziste rysy. Obrzuca mnie bystrym spojrzeniem. Kładzie na stole teczkę.

– Przyjrzyjmy się pańskiej historii, doktorze Cray.

– Chce pani, żebym złożył zeznania?

– Nie. Powiem panu, jak brzmi pańska wersja zdarzeń. Powiem, co dokładnie pan zezna. O tym, jak pan odnalazł dom.

– Słucham? Przecież sam dobrze wiem.

Zaczyna stukać paznokciem o metalowy blat stołu i przygląda mi się przez chwilę, oceniając.

– Doktorze Cray, istnieją dwa rodzaje faktów. Te, które można udowodnić, i te, których udowodnić się nie da. I nieważne, co się panu *wydaje*. – Otwiera teczkę i przygląda się zawartości. – Będąc w Atlancie, otrzymał pan anonimową wskazówkę, która doprowadziła pana do domu pana Basque’a.

– Basque’a? Kto to taki?

Wyjmuje zdjęcie z teczki i pokazuje mi. Widniejący na nim mężczyzna jest wprawdzie czarnoskóry, ale ani trochę nie przypomina Dialla.

– Oto pan Basque. To on zabił ludzi, których szczątki znaleziono przy Sweetwater Road cztery trzy siedem.

– Nieprawda. Co to ma być? Kozioł ofiarny z listy rezerwowej?

– Jego nazwisko widnieje na umowie najmu. Chłopiec rozpoznał w nim mężczyznę, który zabrał go do samochodu.

– Dzieciak nadal jest pod wpływem mikstury, którą podał mu Diallo. Według niego równie dobrze mógł to zrobić Święty Mikołaj. Dlaczego chronicie potwora?

– Nie robimy tego. Jeśli w sprawę jest zamieszany ktoś jeszcze, znajdziemy tę osobę. Nie mogę uwierzyć.

– Wiem, że zdarzają wam się głupie wpadki, ale ciągle nie chwytam, dlaczego osłanianie mordercę dzieci. Nie rozumiem... – I nagle wszystko do mnie dociera. – Kurwa, no tak. Jasne. Albo nie mieliście o niczym pojęcia, albo przymykaliście oczy. A teraz usiłujecie chronić własne dupska, na wypadek gdyby się wydało, że kryliście pedofila mordercę i mu pomagaliście. – Wypuszczam całe powietrze z płuc. Wreszcie pojmuję. – To jest kurewsko gruba sprawa. Nie chodzi o jednego szefa agencji, który za to beknie. Mowa o skandalu, o którym będzie głośno miesiącami i za który staniecie przed komisją Kongresu. Obetną wam za to fundusze i tak dalej. Mam rację?

Kobieta nie reaguje na moje domysły.

– Czy to znaczy, że mamy jasność w sprawie anonimowego telefonu? – pyta.

Kręcę głową.

– Nie, nie mamy. Nie tuszuje się wtop kłamstwami.

– Doktorze Cray, mam tu kopię podpisanego przez pana zobowiązania, z którego wynika, że w pełni pan rozumie, jakie kary grożą za ujawnienie tajemnic wywiadu.

– No tak. W konstytucji też o tym piszą. I są jeszcze paragrafy na demaskatorów. Niestety, proszę pani, to nie działa w ten sposób.

– Wobec tego będę zmuszona potraktować pańskie działania jako zagrażające interesom Stanów Zjednoczonych.

Próbuję podnieść rękę, ale nie udaje mi się, bo są przykute do stołu.

– Chwileczkę. Po co zaraz machać flagą? To samo mówią Chińczycy, zanim wpakują człowieka do furgonetki, w której pobiera się organy. To samo mówią źli ludzie z odznakami.

Mój tajemniczy gość spogląda na zegarek, ponownie stuka paznokciami o blat i w końcu mówi:

– To by było na tyle.

Wstaje i puka do drzwi, które natychmiast się otwierają.

– Mogę zadzwonić?! – wołam za nią.

Wychodzi bez słowa.

Pół godziny później przychodzi po mnie dwóch zastępców szeryfa. Próbuję się od nich dowiedzieć, kiedy będę mógł z kimś porozmawiać, ale obaj milczą.

Idziemy wzdłuż zatłoczonych cel, aż docieramy do sekcji, w której znajduje się jedna pusta. Z zawodową wprawą wpychają mnie do środka, rozkuwają mi jedną rękę, po czym przekładają obie do tyłu i mocują je kajdankami do kraty.

– Szeryfie... Henley – odzywam się, zerkając na jego plakietkę – czy to wszystko nie wydaje się panu cokolwiek dziwne?

– Ja tylko wykonuję rozkazy, proszę pana – odpowiada z południową uprzejmością.

Dzieje się tu coś pojebanego. Nie jestem pewien, czy ten grzeczny szeryf ma o tym jakiegokolwiek pojęcie.

- Przysługuje mi prawo do telefonu.
- Już pan rozmawiał. Jutro spotka się pan z sędzią.
- Ale przecież nie postawiono mi żadnych zarzutów.

Obaj zastępcy szeryfa wychodzą z celi i zamykają za sobą drzwi.

Nie daje mi spokoju, że w pozostałych celach panuje tłok, a ja trafiłem do przestronnej jedyńki.
Dzieje się tu coś autentycznie pojebanego.

60. Samotny obrońca

Siedzę z otwartymi oczami. Skupiam całą uwagę na drzwiach do celi. Jeśli Zimnowojenny Bill był Duchem Minionych Świąt Bożego Narodzenia, a Tajemnicza Kobieta – Duchem Obecnych, to osoba, która odwiedzi mnie jako kolejna, będzie Duchem Świąt Przyszłych. Coś mi mówi, że nie spodoba mi się to, co ze sobą przyniesie.

Agenci, którzy spieprzyli sprawę, w toku jakiegoś wypaczonego etycznie procesu decyzyjnego uznali, że nie warto ryzykować posadą i wolnością za życie jednego skompromitowanego pyskatego profesora. Kazali mi się nie wtrącać – nie posłuchałem. Zaproponowali grę na ich zasadach – odmówiłem. Nie mają dla mnie więcej ofert.

Birkett zrobiła przez telefon takie przedstawienie, że nie sędzę, aby miała z tym cokolwiek wspólnego. To nie jest sytuacja jak w *Sześciu dniach kondora* – oby. Mam do czynienia ze złymi glinami, które, tak się akurat składa, pracują dla agencji wywiadowczej.

Gdyby to była autoryzowana operacja, w tej chwili znajdowałbym się na pokładzie śmigłowca w drodze do jednego z tajnych więzień. Nie znaczy to jednak, że ci, którzy mnie przetrzymują, są mniej groźni – wręcz przeciwnie.

Kiedy nagle drzwi się otwierają, w ułamku sekundy wyzwala się i przetacza przeze mnie potężna fala adrenaliny.

Zastępcy szeryfa przyprowadzili mi dwóch gości do towarzystwa. Szlag. Pierwszy to skinhead z tatuażami na szyi i prawdziwą swastyką na ramieniu. Waga średnia. Łypie na mnie z nienawiścią w oczach. Ktoś musiał mu coś szepnąć na mój temat, bo z reguły budzę sympatię przy pierwszym kontakcie. Drugi jest bardziej umięśniony i nie ma żadnych dziar. W przeciwieństwie do pierwszego nie jest obcięty na skina, tylko na trepa: po bokach krótko, na czubku płasko jak lotniskowiec. Skin nie ma kajdanek. Siada naprzeciwko mnie i świdruje mnie wzrokiem. Trep usadawia się w kącie po mojej prawej, jakieś półtora metra ode mnie. Zakłada ręce na piersi i opiera się o kraty, jakby nie miał w życiu żadnych zmartwień.

Czekam na początek przedstawienia. Widać, że Skina świerzbi, ale co tu robi Trep? Grają w jednej drużynie?

Natychmiast po wyjściu zastępców szeryfa Skin wstaje i podchodzi do mnie. Chwilę wcześniej wyprostowałem nogi, żeby w razie czego spróbować się nimi obronić.

– Podobno jesteś ciotą, co lubi małych chłopców – odzywa się i spluwa na podłogę. – Podobno znaleźli u ciebie trupy małych chłopców. To prawda, cioto?

– Ile?

– Co: ile? Co ty myślisz, że jestem pedałem i pozwolę, żebyś mi obciągnął?

– Ile ci obiecali za ten występ? Powiedzieli, że załatwią ci lepszego prawnika?

– Co ty pierdolisz?

– Nazywam się Theo Cray. Poluję na seryjnych morderców. Wytropiłem jednego w Montanie. Niedawno mówili o mnie w wiadomościach z powodu kolejnego, którego znalazłem w Los Angeles. Nazywa się John Christian i jest, jak się okazuje, informatorem CIA chronionym przez kogoś, komu

teraz zależy na mojej śmierci.

Skin kręci głową.

– O co mu chodzi? – Zwraca się do mężczyzny w kącie, który tymczasem przesunął się nieco w moją stronę. – Słyszałeś o tym stukniętym pedziu?

– On cię chyba nie traktuje poważnie – odpowiada Trep.

– Nie traktujesz mnie poważnie? Cioto? – naskakuje na mnie Skin. – A może jednak cię zmuszę, żebyś mi pociągnął, co?

– Nie sądzę, aby któryś z nas naprawdę tego chciał. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Łapie się za krocze.

– Bo co? Mój chuj ci nie smakuje? Wolisz kutasiki małych chłopców?

– Ja bym się z nim nie pierdolił – zauważa Trep. – Pokaż temu pedziowi, że mówisz poważnie.

Skin zaczyna się nakręcać, a do mnie dociera, że to nie jego powinienem się obawiać. Z tej dwójki prawdziwym zawodowcem jest Trep. Podjudza Skina, żeby ten mnie zaatakował, ale w rzeczywistości to on jest zabójcą. Wojskowy, może emerytowany komandos albo spec DEVGRU od brudnej roboty. W Georgii nietrudno o takiego.

Mam ochotę zwrócić się do Trepa i wytknąć mu przewidywalność jego taktyki. Ktoś zlecił aresztowanie Skina i wskazał go jako kozła ofiarnego, na którego spadnie cała wina po tym, jak Trep roztrzaska moją czaszkę o podłogę. Skin będzie mógł się zarzekać, że to nie on, to ten drugi, ale jeśli policjanci znajdą go całego we krwi, nie będzie mógł się wykić.

Skin wyłamuje sobie palce. Chce mnie zdzielić.

– Zapamiętaj nazwisko Oyo Diallo, na wypadek gdyby pytali, co tu zaszło – odzywam się spokojnym głosem. – Tak się nazywa ten, którego chronią. To on zabił dzieci w Los Angeles i w budynku przy Sweetwater Road. W Atlancie jest znany jako John Christian. Zapamiętaj tylko tyle. Zapewne złożą ci ofertę albo po prostu zabiją cię tak jak mnie.

To go rozprasza. Widzę, że Trep też zaczyna się wahać. Opowiadam Skinowi o przyczynie, dla której przysłali go, aby mnie uciszył. Istnieje prawdopodobieństwo, że się nie orientuje, o czym mowa. Trep przestał się do mnie zbliżać. Zatrzymał się i jakby zamyślił. Niespodziewanie odzyskuje koncentrację i jest jak Terminator po restarcie. Widać, że jeśli Skin nie zacznie działać, to sam mnie napadnie.

Muszę poczekać na odpowiedni moment. Stoją przede mną stuknięty neonazista i wyszkolony zabójca przymierzający się do skoku na moje gardło. A ja nadal mam ręce skute kajdankami i przyłączone do krat. Instrukcje, których udzielił mi trener – dawniej mistrz MMA, dziś student medycyny – są wprawdzie jasne, ale czysto teoretyczne.

Mam tylko jedną szansę i jeśli ją spieprzę, to już po mnie.

– Pierdolisz głupoty, aż się słuchać nie chce – mówi Skin, ale powoli się cofa.

Trep wie, że pora uderzyć.

61. Paranoik

Na miejscu Trepą wymierzyłbym solidnego kopniaka ciężkim butem w głowę. Jednym ruchem pozbawiłbym ofiarę przytomności i nie przejmowałbym się, że zacznie się szarpać albo gryźć. Skuta i przypięta do metalowego pręta jest przecież praktycznie bezbronna.

Trep ustawia się bokiem i przenosi ciężar na prawą nogę, odblokowując lewą. Kurwa! Trafił mi się artysta sztuk walki. Kopnie mnie z dystansu.

Skin się cofnął, mogę więc wsunąć nogi pod ławkę. Muszę być gotowy do działania w mgnieniu oka.

Kiedy Trep się zorientuje, co się dzieje, nie będzie czasu na powtórkę. Bierze głęboki oddech i zapiera się ręką o ławkę po prawej. Staram się na niego nie patrzeć – bo muszę go zaskoczyć.

Skin uznaje, że jednak należy mi się wycisk, i znów rusza w moją stronę. Ruch po prawej – to potężna noga Trepą wystrzeliła w kierunku mojej głowy. Robię unik. Ciężki but przecina powietrze i trafia w kratę.

Trep nie ma pojęcia, jak bardzo się odsłonił.

W ułamku sekundy przenoszę obie uwolnione ręce na przód, biorę zamach i wrażam otwartą obręcz kajdanek z lewego nadgarstka prosto w lewy oczodół Trepą, zanim ten zdąży odzyskać równowagę. Gość krzyczy i zaczyna młócić rękami. Wymierzam kolejny cios, tym razem w prawe oko, rozcinając skórę tuż nad brwiami. Kiedy Trep przewraca się na podłogę, sprzedaję mu kopniaka w głowę. Krzyk cichnie.

Skin stoi zdezorientowany za moim plecami.

Biorę zamach prawą ręką, tak że luźna obręcz kajdanek trafia go w bok czaszki.

– Kurwa, daruj, no, kurwa! – wyje Skin, unosząc dłonie w błagalnym geście.

Zakładam obręcz na kłykcie jak mosiężny kastet i posyłam Skinowi trzy błyskawiczne w skroń. Powalony na ziemię zwija się w kłębek i oszołomiony ciosami w głowę przestaje się ruszać.

Podbiegam do Trepą i szybko wycieram kajdanki o jego bluzę.

Leży nieprzytomny i z trudem oddycha. Nie wiem, pewnie przeżyje, ale na pewno już nigdy nie przejrzy na lewe oko.

Wracam na swoje miejsce, zakładam ręce za plecami i przypinam się do krat. Otworzyłem kajdanki kluczykiem, z którym się nie rozstaję, od kiedy Joe Vik niemal pozbawił mnie życia.

Zastępcy szeryfa zjawiają się dopiero po dziesięciu minutach. Nie wiem, czy to było zaplanowane, czy jedynie świadczy o fatalnym zarządzaniu aresztem.

Skin podniósł się i siedzi na podłodze oparty o ławkę w drugim końcu celi.

Strażnicy otwierają drzwi i od razu podbiegają do Trepą.

– Co tu się stało?

– Jeden nagle rzucił się na drugiego, a tamten zaczął się bronić.

Przez rosnący tłumek mundurowych przeciska się starszy mężczyzna w garniturze.

– Jak pan się nazywa? – rzuca do mnie.

– Theo Cray.

– To pan znalazł ten dom z ciałami?

– Tak.

– Co pan tu robi, do cholery?

W odpowiedzi tylko kręcę głową.

– Doszło do pomyłki – wyjaśnia jeden z zastępców szeryfa. – Sądziliśmy, że mamy na niego nakaz.

– I dlatego zamknęliście go w jednej celi z tymi zwierzętami?

– Przykro mi – bąka funkcjonariusz.

Mężczyzna w garniturze uwalnia mnie z kajdanek. Zauważa krew na palcach po zetknięciu z kajdankami, ale nie komentuje, tylko wyciera je o swoje czarne spodnie.

– Proszę za mną, doktorze Cray – mówi. – Niech pan uważa na krew.

Dwóch pielęgniarzy próbuje powstrzymać krwotok z oka Trep.

Powinienem chyba mieć wyrzuty sumienia, ale nic z tych rzeczy. Żałuję tylko, że Trep to nie Diallo.

Mężczyzna w garniturze bierze mnie pod rękę.

– Bardzo mi przykro, że musiał pan to oglądać, doktorze Cray. Gorąco przepraszam. Proszę nie myśleć o nas źle.

Zerkam przez ramię na Skina. Pielęgniarz bandażuje mu zakrwawioną skroń. Nie muszę się przejmować jego zeznaniami. Niska wiarygodność świadka to broń obosieczna.

Mój ruch – muszę go wykonać, zanim ten, kto tym wszystkim kręci, znów postanowi uderzyć.

62. Spowiedź

Docieram do hotelu dopiero przed czwartą rano. Przez kilka godzin spowiadałem się z prawie wszystkiego, co do tej pory zrobiłem w sprawie Zabaweczki. Przemilczałem to i owo w kwestii metod, które doprowadziły mnie do odkrycia odcisków palców Dialla na kłameczce biura Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, ale policja nie dociekała. Rozmawiałem z dwoma detektywami z biura szeryfa hrabstwa Douglas, agentem FBI z oddziału w Atlancie oraz agentem Biura Śledczego Stanu Georgia. Nagrali każde moje słowo. Zadawali mi pytania, do końca jednak nie wiedząc, co się tak naprawdę wydarzyło w domu przy Sweetwater Road. Od czasu do czasu do pokoju zaglądali policjanci i podsuwali im notatki.

W pewnym momencie zapytałem:

– Ile wynosi aktualna liczba ofiar?

Laboratorium jeszcze nawet nie zaczęło analizować próbek, na razie starano się na szybko ocenić skalę i powagę sytuacji. Szeryf Art Duane – mężczyzna w garniturze, ten, który wyciągnął mnie z celi – odparł:

– Czternaście, ale mowa wyłącznie o tych, których szczątki były widoczne na powierzchni ziemi.

Jeden z detektywów zapytał, czy kiedykolwiek słyszałem o czymś podobnym – miał na myśli to, jak Diallo mógł się dopuścić tak wielu morderstw pod czujnym, ale obojętnym okiem rządu.

W pierwszym odruchu odpowiedziałem, że nie, ale potem przypomniałem sobie historię Andrieja Czikiatili, nazwanego Rzeźnikiem z Rostowa. Grasował nieuchwytny przez ponad dwie dekady, ponieważ KC KPZR uważał, że seryjni mordercy są domeną zgniłego Zachodu i w Związku Radzieckim nie istnieją, poza tym nikt nie śmiał podejrzewać członka partii.

W przypadku Dialla jego opiekunowie z ramienia agencji nie potrafili pogodzić się z faktem, że kryją gwałtującego i mordującego potwora. Desperacko usiłując zatuszować sprawę, posunęli się nawet do próby wyeliminowania albo przynajmniej uciszenia mnie. Nie wiem, czy Trep został nasłany po to, żeby mnie zabić. Być może miał jedynie pobić mnie w ramach ostrzeżenia tak, bym trafił do szpitala. Może nie musiał robić mi tego, co ja zrobiłem jemu – nie musiał mnie okaleczać.

Dobrze, że do takich wniosków dochodzę teraz, a nie wtedy, w celi, bo mógłbym się zawahać – a potem obudzić z zadrutowaną szczęką; Tajemnicza Kobieta siedziałaby w kącie i powtarzała, że tak się kończy, kiedy nie chce się grać według ich zasad.

Jebać ją. Jebać ich. Jebać Trepa. Miałem pełne prawo rozwalić mu łeb.

Złość, która się we mnie kotłuje, nie pozwala mi zasnąć. Siedzę w pokoju hotelowym oparty o ścianę i wpatrzony w drzwi. Powkładam poduszki pod kółdę, na wypadek gdyby Zimnowojenny Bill postanowił się zakraść i mnie zastrzelić. Jestem jednak prawie pewien, że tego nie zrobi. Powiedziałem miejscowym organom ochrony porządku publicznego wszystko, co wiedziałem. Gdyby ktoś teraz spróbował mnie sprzątnąć, jedynie uwiarygodniłby moją opowieść – w której zresztą pominąłem rolę Zimnowojennego Billa, Tajemniczej Kobiety i Trepa. Zachowałem te szczegóły dla siebie, bo przez takie rzeczy ludzie zaczynają wątpić w moją poczytalność.

Staram się skupić na tym, co najważniejsze: że źródłem mojej wściekłości jest to, jak ze mną

zadarli, jak również fakt, że Diallo pozostaje na wolności. Ucieka, ale raczej mu nie pomagają, a jeśli już wyciągają do niego dłoń, to zapewne po to, żeby go wciągnąć w pułapkę. Nie nabierze się, jest zbyt inteligentny. Na pewno ma przygotowany plan B na wypadek wsypy. Podejrzewam, że zakłada wyjazd z kraju. Dokąd mógłby się udać?

Podaliśmy jego rysopis funkcjonariuszom, którzy zjawili się w domu przy Sweetwater Road. W ciągu kilku godzin informacja musiała trafić do wszystkich policjantów stanowych.

Uciekinierzy z reguły próbują albo jak najbardziej oddalić się od miejsca zagrożenia, albo znaleźć kryjówkę, w której będą mogli przeczekać najgorsze. Załóżmy, że żłobek był jedyną dziuplą Dialla w Atlancie. Dokąd by pojechał, gdyby musiał improwizować? Nie zatrzymałby się w motelu, bo w ten sposób najprościej dać się schwytać. Czy ma współnika, do którego mógłby się zwrócić? Robert, pomocnik pani Violet, bał się go. Wątpię też, aby Diallo zaszył się w kościele.

No więc gdzie?

Coś mi mówi, że znam odpowiedź.

Wyjmuję mapę, którą sporządziłem na podstawie danych z lokalizatora. Jeden z domów wykluczyłem jako potencjalne miejsce zbrodni, ale nie jako tymczasowe bezpieczne schronienie. Mowa o należącym do prawnika domu na przedmieściach. Nie sądzę, aby prawnik był skłonny z własnej woli przyjąć pod dach uciekiniera, ale czy można wymyślić lepszą kryjówkę dla ściganego czarnoskórego zbrodniarza wojennego niż lokum zamożnego białego Anglosasa w szanującej się dzielnicy?

63. Wizyta domowa

Parkuję wypożyczone auto pod domem prawnika i wysiadam jak gdyby nigdy nic z paczką w ręku. Wyglądam jak kurier.

Pustoszeją okoliczne podjazdy, sąsiedzi wyjeżdżają do pracy. Na ulicy, przy skrzynce pocztowej, stoi mercedes – dziwne, bo miejsca przed piętrowym domem jest pod dostatkiem.

Wzniesiony z szarego kamienia i posadowiony na niewielkim zielonym wzgórku budynek wygląda, jakby powstał jako mieszkanie pokazowe dla osób szukających lokum w tej dzielnicy. Wchodzę po stopniach i pukam do drzwi. Przez szybkę z boku widzę chodnik na podłodze, schody i promienie słońca wpadające przez przeszklone wejście na tyłach. Nikt nie otwiera.

Owszem, jedyne, co mam, to przecucie, ale przecież nie mogę teraz zrezygnować i powiedzieć policjantom, żeby sami przyjechali i sprawdzili dom – mogłem wcześniej o tym pomyśleć. Już za późno, już się przestawiłem na tryb łowcy. Cofam się kilka stopni i zaglądam przez okienko nad drzwiami garażowymi. W środku stoi volvo kombi i granatowa toyota corolla z przyciemnionymi szybami. Jedno z tych aut wyraźnie odstaje od tego miejsca.

I coś jeszcze: duży worek psiej karmy.

Naliczyłem trzy samochody, ale najwyraźniej jedynym domownikiem, który musiał dziś pójść do pracy, jest pies.

Wracam do drzwi wejściowych i naciskam guzik dzwonka. Wiem doskonale, że nikt nie otworzy. Właściciel myśli zapewne, że jestem gliną i sprawdzam, czy ktoś jest w domu. Ponownie zaglądam przez boczną szybkę i dostrzegam na schodach coś, co z daleka wygląda jak krew. Na pewno krew – w tak nieskazitelnie czystym mieszkaniu to nie może być nic innego.

Jest jej niewiele. Nic nie wskazuje na to, że Diallo strzelił prawnikowi w głowę, jak tylko ten postanowił wpuścić znajomego do środka. Niewykluczone, że Diallo uwięził mężczyznę i jego żonę w garderobie w sypialni. Związał ich i przetrzymuje, na wypadek gdyby potrzebował zakładników. Sam bym tak zrobił na jego miejscu.

Nie mogę po prostu wyważyć drzwi, muszę wymyślić inne rozwiązanie.

Rozważam pomysł telefonu do straży pożarnej – ciekawe, co by się stało, gdyby zajechała pod dom sąsiadów. Potem jednak uświadamiam sobie, że Diallo zdecydowanie jest typem przestępcy, który zastrzeliłby zakładników, zanim sam by się ewakuował.

Wracam do samochodu. Wsiadając, kątem oka dostrzegam ruch w oknie na piętrze. Zafalowały zasłony. Jest tam. Nie mam co do tego wątpliwości. Odjeżdżając, zwracam uwagę na stojący na okolonym płotkiem podwórzu za budynkiem ogrodowy domek dla dzieci.

Cholera.

Zatrzymuję się za rogiem i zerkam w lusterko wsteczne. Z okien mieszkania prawnika doskonale widać nadjeżdżające auta. Ulica, przy której stoi, jest ślepa i kończy się rondem.

Diallo zainstalował się w głównej sypialni na piętrze i każdego, kto się zbliża, widzi jak na dłoni.

Powinienem zadzwonić na policję, ale wiem, że Diallo nie jest typem, który będzie negocjował. Jeśli go spłoszyłem, szybko opuści kryjówkę – ale przedtem zabije prawnika i jego rodzinę.

Wysiadam i puszczam się biegiem dokoła kwartału, mijam działki, z którymi posesja prawnika graniczy od tyłu, i zbliżam się do budynku od przeciwnej strony niż ta, z której wcześniej nadjechałem.

Zaglądam przez płot i widzę drewniane schody wiodące na drewniany taras – z domu wychodzi się na niego przez szklane drzwi, które zobaczyłem przez boczną szybkę. Wyżej i nieco na lewo znajduje się nieduży balkon głównej sypialni. Zastony są dokładnie zaciągnięte, wyglądają, jakby ktoś je spiął agrafką. Wyjątkiem jest niewielka szpara u góry – przez nią Diallo obserwuje drogę prowadzącą do tylnej części budynku.

Zadzwoń po gliny, Theo – huczy mi w głowie.

Wyślą patrol. Zablokują drogę, ale najpierw spróbują go powstrzymać na miejscu. Zorientuje się, że nadjeżdżają.

Przesuwam się wzdłuż płotu, znajduję fragment, którego chyba nie widać z sypialni.

Muszę się dostać na taras, ale nie mogę tego zrobić, kiedy Diallo ma oko na podwórze za domem.

Pomyślmy: co takiego poza wyciem policyjnych syren – skutkującym rychłą śmiercią zakładników – mogłoby odwrócić jego uwagę?

Już wiem. Nawet mam do tego aplikację.

64. Ekonomia współdzielenia

Wyjmuję telefon i zamawiam ubera na adres po drugiej stronie ulicy. Wiem, to nie w porządku wobec kierowcy, sądzą jednak, że gdybym miał okazję wyjaśnić mu, o jaką stawkę toczy się gra, na pewno zgodziłby się na współpracę.

Dotarcie zajmuje mu osiem minut, ale mam wrażenie, jakby minęło osiemdziesiąt. Słyszę szum opon na asfalcie na wzniesieniu – na mapie na ekranie ikonka samochodu wyłania się zza zakrętu. Jestem pewien, że Diallo go widzi.

Przesadzam płot, dopiero kiedy wiem, że auto znajduje się od frontu. Przyczajam się, czekam, aż wóz zatrzyma się przed domem po drugiej stronie ulicy – Diallo będzie musiał się przemieścić, aby móc go obserwować.

Piszę do kierowcy: „Będę za 5 minut. Proszę włączyć licznik”.

„Nie ma sprawy” – odpisuje.

Mam lekkie poczucie winy, ale na razie o tym nie myślę. Przyklejony do ściany zaczynam wspinać się po schodach na taras. Wreszcie docieram do przesuwanych przeszklonych drzwi i ostrożnie zaglądam do środka, upewniam się, że Diallo nie zszedł do kuchni po szklanekę soku pomarańczowego.

Wewnątrz chyba pusto... A jednak! Przy drzwiach wejściowych stoi jakaś postać i wygląda na ulicę przez boczną szybkę.

Diallo.

Szlag.

Tego nie było w planach.

Robię krok do tyłu, unoszę pistolet, który trzymam w ręku, i celuję prosto w Zabaweczkę.

Neuronaukowcy twierdzą, że potrafią przewidywać decyzje podejmowane przez ludzki mózg, zanim jeszcze od świadomości popłynie sygnał o tym, co nam się wydaje, że chcemy zrobić. Według nich funkcją świadomości nie jest podejmowanie decyzji, lecz racjonalizowanie ich po fakcie. W taki sposób mózg tłumaczy, dlaczego zrobiliśmy to, co zrobiliśmy – jest jak spec od public relations, który z naszego id tworzy racjonalnego aktora, nie zaś wiedzioną strachem małpę o jaszczurzym umyśle.

Powiedziałbym, że moje działanie wynikało z racjonalnej kalkulacji. Zważyłem ryzyko i zdecydowałem się na najlepsze rozwiązanie.

Gdyby minutę wcześniej zadano mi pytanie, czy potrafiłbym zabić człowieka, nie umiałbym odpowiedzieć z pełnym przekonaniem. Moja reakcja na zagrożenie ze strony Trepą i Skina powinna być jakąś wskazówką, ale nawet będąc oko w oko z Joem Vikiem, wciąż szukałem innych możliwości niż czynna samoobrona.

– Diallo! – krzyczę.

Odwraca się.

Dwukrotnie naciskam spust. Pierwsza kula roztrzaskuje szybę w drzwiach tarasowych i zgodnie z prawami fizyki jej tor lotu ulega odchyleniu. Dopiero druga trafia w cel, czyli prosto w czoło

Zabaweczki. Impet uderzenia wstrząsa jego ciałem, które zwala się na podłogę. Patrzę na to zza ściany deszczu odłamków szkła.

Wchodzę do środka z uniesioną bronią i podchodzę do leżącego. Ma pistolet za pasem – zabieram mu go i chowam u siebie. W ten sposób łatwiej przekonam śledczych, że kiedy go zobaczyłem i ustrzeliłem, trzymał broń w ręku. Nie, żeby miało to dla nich większe znaczenie. Sprawdzam puls. Chcę się upewnić, że pocisk spenetrował czaszkę i śmiertelnie uszkodził mózg, a nie tylko drasnął.

Nie żyje.

Idę schodami na górę. Nie opuszczam broni, bo Diallo może mieć współnika – w przeszłości miał.

Drzwi do głównej sypialni są otwarte. Na łóżku leżą dwa ciała: prawnik i jego żona.

Jej gardło jest ciemnosine, jego – poderżnięte.

Zaglądam do garderoby – pusto.

Ruszam dalej korytarzem. Na środku chodnika leży mała lalka.

Pierwsze pomieszczenie, na które się natykam, to pokój dziewczynki. W szafie same ubrania, nikt się tam nie ukrył.

Drugi pokój również należy do dziewczynki. I też jest pusty.

Docieram do drzwi łazienki. Otwieram je. Widzę dwa niewyraźne kształty w wannie za matową zasłoną.

Nie ruszają się.

Muszę tam zajrzeć, muszę sprawdzić, mimo że nogi nie chcą mnie słuchać. Zmuszam się, by postawić jedną, potem drugą stopę na różowym dywaniku z frędzlami. Szybkim ruchem lewej ręki odsuwam zasłonę.

Wpatrują się we mnie dwie pary przerażonych oczu.

Są zapłakane, ale żywe.

65. Zamknięcie

Szeryf Duane siedzi obok mnie na krawężniku. Policja odgradza teren żółtą taśmą i przystępuje do przeszukania domu i posesji. Szeryf dotrzymuje mi towarzystwa, tak jak ja dotrzymałem dwóm małym dziewczynkom po koszmarnym przeżyciu, dopóki nie przyjechały pierwsze radiowozy. Jedna ma na imię Connie, druga Becca. Przestraszyły się i schowały w łazience, ponieważ nie potrafiły zrozumieć, dlaczego pan Christian tak się rozgniewał. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. Nie powiedziałem im, że ich rodzice nie żyją. Współczuję osobie, na którą spadnie to zadanie.

Zostawiłem je w troskliwych rękach policjantki o kojącym głosie. Wyszedłem z zastępcami szeryfa na podwórze przed domem i tam oddałem oba pistolety, które nadal miałem przy sobie, a także posłusznie pozwoliłem pobrać wymaz ze swojej dłoni.

Szeryf Duane zjawił się po dwudziestu minutach. Najpierw zapoznał się z sytuacją w domu, a potem usiadł ze mną, żeby wysłuchać mojej wersji zdarzeń. Na szczęście nikomu nie przyszło do głowy zakuwać mnie w kajdanki.

– Czyli miał pan przecucie, że on tu będzie? – zaczyna.

– Mniej więcej. Wiedziałem, że coś go łączy z prawnikiem i że może spróbować znaleźć tu kryjówkę.

– I nie pomyślał pan, żeby nas wezwać? – pyta z delikatną nutą oskarżenia w głosie.

– Szeryfie, ludzie pańskiej profesji nigdy nie traktują moich przecuń poważnie.

– Tak jakby niczego się nie nauczyli... Rozumiem pański punkt widzenia.

– Inna sprawa, że nie wiem, komu ufać. Udało się panu dowiedzieć, dlaczego wczoraj trafiłem skuty do celi z dwoma brutalami?

– Nie. I nie wiem też, dlaczego dziś rano szeryfowie federalni wypisali tego bardziej pokiereszowanego ze szpitala, zapakowali go do karetki nienależącej do tutejszego pogotowia i odjechali. Co więcej, nie potrafię nawet znaleźć protokołu z zatrzymania.

– Ot, tajemnice.

– Właśnie. Jedną z nich jest to, dlaczego było tak dużo krwi na wewnętrznej stronie pańskich kajdanek. – Rzuca mi wymowne spojrzenie.

– Musi pan popracować nad poprawą czystości w areszcie.

– Tak, być może... – Wskazuje kciukiem dom za naszymi plecami. – A tutaj? Jak czyste będzie to miejsce zbrodni?

– Na broni Dialla są jego odciski palców. – To znaczy, powinny być. Chyba że ktoś inny wcisnął mu pistolet za pas.

– To dobrze. Wiedziałem, że kula przebiła jego czaszkę od przodu. To wiele ułatwia.

– A gdyby było inaczej?

– Należałbym, żeby zadzwonił pan po swojego prawnika.

Zastanawiałem się, co bym zrobił, gdyby się okazało, że Diallo nie jest uzbrojony. Czy mimo wszystko bym go zastrzelił? Czy próbowałbym to jakoś zatuszować? Tłumaczę sobie, że z etycznego punktu widzenia nie miałbym oporów przed odebraniem mu życia, nawet pomimo faktu, że

doprowadziły mnie w to miejsce zaledwie poszlaki. To jednak grząski teren. Z zasady bowiem wchodzenie w rolę samozwańczego strażnika porządku jest złym pomysłem. Od czego są sądy i kryteria oceny materiału dowodowego?

Po fakcie okazało się, że podjąłem słuszną decyzję, ale to nie znaczy, że mogę sobie pozwolić na arogancję. Nie wszystko było tak jednoznaczne, jak się wydaje.

Duane spogląda w kierunku, z którego zaczynają się zjeżdżać furgonetki reporterów.

– Nadlatują sępy. Przy Sweetwater Road też już krążą od pewnego czasu. – Wzrusza ramionami. – Dobrze, że przynajmniej sprawa znalazła swój finał.

– Czyżby? Wie pan, w jaki sposób wpadłem na trop Dialla. Zna pan tę historię. To jeszcze nie koniec.

– Dla mnie tak. Dla pana... wątpię, aby kiedykolwiek nastąpił.

– Zdaje pan sobie sprawę, że gdyby niektórzy nie odwracali głowy, Diallo nie mógłby prowadzić swojej morderczej działalności.

– Owszem. Ale to już nie moje zmartwienie.

– Być może. To kiedy będę mógł odebrać swój pistolet?

Wybuch śmiechem.

– Jest pan z Teksasu. Proszę sobie po prostu kupić nowy, bo ten jeszcze przez jakiś czas poleży w naszym magazynie dowodów rzeczowych.

– A co ze mną?

– Jest pan wolny. Chyba że przyjdzie do mnie FBI i pokaże nagranie, na którym pan i Diallo tańczycie na golasa i śmiejecie się z tego, jaki numer wytniecie policji. – Odchodzi, zostawiając mnie na krawężniku.

Po chwili zjawia się detektyw, który uprzejmie proponuje mi miejsce w swoim nieoznakowanym radiowozie. Muszę udać się na posterunek i złożyć zeznanie. Pytam go, czy mogę usiąść z przodu. Chodzi o to, żeby dziennikarze, obok których będziemy musieli przejechać, nie zwietryli mojej obecności w kolejnym miejscu zbrodni.

Detektyw mówi, że nie ma sprawy. Po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin wsiałam do radiowozu. Wchodzi mi to w krew.

Nie mogę przestać myśleć o przestraszonych dziewczynkach i o wszystkim, co doprowadziło do dzisiejszych wydarzeń.

Diallo zakończył żywot, ale to bynajmniej nie oznacza finału sprawy. Ci ludzie już kilka razy próbowali dobrać mi się do skóry, dlatego podejrzewam, że nawet jeśli pójde do prasy i będę się spotykał z każdym, kto zechce mnie wysłuchać, to i tak muszę się liczyć z kolejnymi odwiedzinami duchów, zanim w końcu trafię ze swoją historią na kogoś, kto naprawdę będzie mógł coś zmienić.

Jeśli szczerze pragnę to zakończyć, być może będę musiał pójść na kompromis, którego bardzo chciałem uniknąć.

66. Reakcja

Nigdy nie wierz wiadomościom, które pojawiają się w pierwszych dwudziestu czterech godzinach od zdarzenia. Zwłaszcza jeśli mowa o mediach społecznościowych. Ludzie tak prędko chcą pobiec na Facebooka albo Twittera ze swoim gorącym komentarzem na temat nagłówka, który mignął im na ekranie, że nawet nie zadają sobie trudu, by przeczytać cały artykuł albo poczekać, aż zawarte w nim informacje zostaną oficjalnie potwierdzone.

Z zafascynowaniem obserwuję ewolucję historii Zabaweczki. Włączyłem wiadomości na telewizorze w pokoju hotelowym. Dziennikarze zjeżdżają na Sweetwater Road, żeby opowiedzieć o drugim z makabrycznych domów grozy. Rozwodzą się nad prawdopodobieństwem tego, że w tak krótkim czasie wyszło na jaw istnienie dwóch seryjnych morderców. Czyżbyśmy żyli w nowej epoce superzabójców? Cóż, tak bym tego nie nazwał. Poza tym, mówię sobie, zaczekajcie na zwrot akcji.

W hotelu wreszcie włączyłem telefon i okazało się, że mam kilkadziesiąt wiadomości. Detektyw Chen dzwoniła do mnie sześć razy – koniecznie chciała się dowiedzieć, co się dzieje w Atlancie. W ferworze wydarzeń na własnym podwórku tutejsze władze najwyraźniej zapomniały o poinformowaniu innych agencji ochrony porządku publicznego.

Policja Los Angeles znalazła się w nieciekawej sytuacji, ponieważ zdążyła zamknąć sprawę morderstw przy Wimbledon Street, wskazując Ordava Simsa jako głównego podejrzanego. Będą mieli przesrane, jeśli się zdecydują obstawać przy swoim. Sprawą zajęło się FBI, ponieważ Oyo Diallo vel John Christian był formalnie mieszkańcem Kalifornii i tam też było zarejestrowane jego auto. Oznacza to, że ponownie przesłuchają wszystkich świadków w Los Angeles, zwłaszcza Artice'a.

Ciekawe, co zrobią, kiedy się dowiedzą, jaką presję na niego wywierano.

I jeszcze to, że w domu przy Wimbledon znaleziono inne odciski palców. Zgaduję, że należały do Dialla. Okoliczności jego wyjazdu z Los Angeles położą się cieniem na Chen i jej współpracownikach. Cieszyłbym się z ich wpadki, gdyby chodziło wyłącznie o rozgrywki między agencjami. Ale tu przecież chodzi o dzieci, które straciły życie. Mam nadzieję, że chłopcu ze żłobka nie pozostanie uraz psychiczny; w przypadku córeczek prawnika chyba trudno na to liczyć. Ich przerażone buzie długo będą mnie prześladowały.

Widziałem strach w wykrzywionych stężeniem pośmiertnym twarzach martwych ludzi, a raz nawet sam spojrzałem mu głęboko w oczy, ale to, że tu byłem i że w tym uczestniczyłem, dotyka mnie w zupełnie nowy sposób. Teraz lepiej rozumiem ludzi takich jak Joe Vik albo Oyo Diallo, pozbawionych tego aspektu osobowości zdrowego człowieka, który odpowiada za współczucie i chęć ulżenia drugiej osobie w cierpieniu, albo – co gorsza – czerpiących perwersyjną przyjemność z realizowania go w praktyce.

Zwróciłem uwagę na silną woń śmierci ofiar Joego Vika, obecną również w pomieszczeniach, w których zabijał Diallo. Część mózgu odpowiadająca za przetwarzanie związków chemicznych, takich jak oksytocyna – która stymuluje współodczuwanie – jest powiązana ze zmysłem węchu. Słyszałem o korelacji pomiędzy seryjnymi mordercami a pewnymi szczególnymi funkcjami zmysłu węchu – rzecz miała charakter anegdotyczny, ale kto wie, może coś w tym jest.

Uważam, że pomysł wyodrębniania genów wspólnych wszystkim seryjnym mordercom jest groźny, ponieważ szybko może się przerodzić w przerażający nowy sposób profilowania i poskutkować ignorowaniem elementów odstających. Co innego badanie zmiennych mogących powodować tego rodzaju zachowania, które rzecz jasna nie sprowadza się do prostej konstatacji: „Jeśli ten fragment jest wadliwy, to znaczy, że jesteś mordercą” – nie, chodzi raczej o schemat obrazujący krzyżowanie się mutacji stojących za morderczymi skłonnościami.

Rozlega się pukanie do drzwi. Sięgam po gaz pieprzowy i szybko wstaję z łóżka. Już mam wyjrzeć przez judasza, kiedy zauważam kopertę na podłodze. To raczej nie jest rachunek za hotel.

Rozglądam się po korytarzu, ale jest pusty.

Otwieram kopertę i wydaję znajdującą się w środku kartkę. Kserokopia protokołu zatrzymania. Dotyczy czarnoskórego mężczyzny aresztowanego pod zarzutem usiłowania zamordowania nieletniego, o którego molestowanie został oskarżony. Na dokumencie widnieje nazwisko Scotta F. Quinlana, ale twarz należy do Dialla. No proszę. Protokół pochodzi z 2005 roku i został sporządzony przez policję Baltimore.

Od razu łapię za telefon i proszę o dostęp do pełnych akt.

Godzinę zajmuje pracownikom archiwum odkrycie, że w systemie nie figuruje taka sprawa.

Co jest, do ciężkiej cholery?

Kto mi to podrzucił?

Szukam Scotta F. Quinlana w sieci, lecz nikogo takiego nie znajduję. Zaglądam na dwa portale badawcze, które wykorzystałem do wytropienia Diallo, ale nadal nic.

Postanawiam spróbować od innej strony. Sprawdzam nazwisko funkcjonariusza, który sporządził protokół, i gugluję jego numer.

– Słucham? – odzywa się mężczyzna szorstkim baltimorskim akcentem.

– Czy rozmawiam z funkcjonariuszem Kimberlym?

– Z sierżantem Kimberlym. A kto mówi?

– Nazywam się Theo Cray. Chciałbym zapytać o pewną sprawę.

– Jest pan gliną?

– Nie... Działam jako niezależny badacz.

– Że co? – Wyraźnie brakuje mu cierpliwości.

– Widział pan w wiadomościach materiał o trupach w domu w Los Angeles?

– No. I co z tego?

– To ja odnalazłem ten dom. A teraz jestem w Atlancie. Może pan słyszał o trupach w...

– Coś tam słyszałem. Czego pan chce?

– Czy mógłby pan otworzyć stronę dowolnego serwisu informacyjnego i spojrzeć na zdjęcie podejrzanego?

– Czy to nie może poczekać? Właśnie jem...

– Nie może. Proszę mi zaufać.

– No dobrze, chwileczkę – bąka. A po chwili dodaje: – O, ja pierdołę.

– Domyślam się, że pan go rozpoznaje.

– Noż kurwa! Aresztowałem tego skurwiela po tym, jak matka dzieciaka prawie rzuciła mi się na maskę radiowozu. Gość dwie przecznice dalej mył samochód, jak gdyby nigdy, kurwa, nic.

Zarozumiały chujek. Powiedział, że ma immunitet dyplomatyczny czy inne gówno. Kłamał, ale za to miał naprawdę cholernie mocne plecy. Zatrzymaliśmy go, sporządziliśmy protokół, spisaliśmy zeznania dzieciaka, a nawet przygotowaliśmy pakiet do zabezpieczania śladów gwałtu, ale dwie godziny później przyjechał jakiś dupek z Departamentu Stanu i stwierdził, że przejmuje typa. Kapitan się uparł, że mowy nie ma, na co mu zagrozili, że przyślą prawników i chuj wie co, więc powiedzieliśmy, dobra, bierzcie go. Chciałem potem sprawdzić, co się z nim stało, ale okazało się, że nie ma takiej sprawy, protokołu, nic. Zabrali go nam, a prokurator nawet się nim nie zajął. Jebane gnidy. Kiedy byłem w sądzie zeznawać w zupełnie innej sprawie, dorwałem taką jedną z prokuratury i zapytałem, czemu mu, do diabła, odpuścili. Wie pan, co odpowiedziała? „To była rodzinna awantura, która wymknęła się spod kontroli”. Noż kurwa! „Rodzinna awantura”! Zgwałcił dzieciaka, a potem chciał go pchnąć nożem, żeby mały nikomu nie wygadał, a prokurator uznaje, że nic takiego się nie wydarzyło. Co za skurwysyństwo! – Bierze głęboki oddech. – Chryste. No, ale wreszcie dostał kulę w łeb. Niech sukinsynowi ziemia ciężką będzie. Szkoda, że nie mogę podziękować temu, kto to zrobił.

– Właśnie pan podziękował.

– Bez jaj.

– Poważnie.

– No i dobrze. Ludzie będą gadać różne rzeczy, ale proszę pamiętać, że wyświadczył pan światu przysługę. Mogę panu jakoś pomóc?

– Owszem. Po tym, jak Diallo został wypuszczony, zabił wiele dzieci. Nie sądzę, aby ludzie, którzy go uwolnili, przypuszczali, że zrobi coś takiego, ale też nie wykazywali chęci ukrócenia jego działalności.

– No, to widać.

– Szukam nazwiska. Może zapamiętał pan kogoś z tych ludzi, którzy was wtedy odwiedzili?

– O rany. To było tak dawno. Mówię, ci goście byli z Departamentu Stanu, zwykłe pionki, nie wydaje mi się, żeby wiedzieli, kim był ten sukinkot.

– Zapewne, ale podejrzany musiał się z kimś skontaktować i poprosić o interwencję.

– No tak, rzeczywiście. Oddzwonię do pana, dobrze? Może coś znajdę.

Czekam przy telefonie. Odzywa się po półgodzinie.

– Dobra, mam coś. Przechowujemy rejestr przychodzących i wychodzących połączeń. Nie wolno nam podsłuchiwać rozmów, ale możemy notować numery telefonów, z którymi łączyli się podejrzani. Jeden z naszych detektywów prowadzi bazę danych, która wystartowała dwa lata przed tamtym aresztowaniem. Nie ma w niej nazwisk, ale tak się składa, że doskonale pamiętam, kiedy pozwolili temu draniowi zadzwonić. No więc tu ma pan numer. – Zaczyna dyktować.

Wpisuję cyfry od razu do wyszukiwarki. Upewniam się dwa razy, że nie zrobiłem błędu. Spodziewałem się kontaktu w CIA albo Departamencie Stanu, ale to... to jest jak dymiący pistolet.

– Sprawdził pan ten numer? – pytam.

– A-ha. Chwilę przed tym, jak do pana zadzwoniłem. Pięknie, co nie? To bezpośrednia linia.

– Ja pieprzę.

– Powodzenia, panie Cray.

Bez jaj.

67. Obsługa hotelowa

Siedzę na łóżku. Spoglądam na zegarek i uznaję, że zdążę jeszcze zadzwonić do Jillian.

– Czy to nieuchwytny doktor Theo Cray? – odzywa się w słuchawce.

– *Nadal* nieuchwytny. Zanim zdam ci relację z tego, co robię, powiedz, jak ci mija dzień.

– Ha. Sądząc po tym, co zobaczyłam w wiadomościach, nie jest nawet w ułamku tak ekscytujący jak twój. Carol i Dennis dostali ofertę na knajpkę.

Carol i Dennis to rodzice jej zmarłego męża. Jillian odsłużyła swoje w wojsku, po czym przejęła ich restaurację w Montanie. Kiedy ją poznałem, było widać, że traci zapał do pracy i jest gotowa na zmianę, ale tak bardzo uwielbiała starszych państwa, że nie wiedziała, jak im o tym powiedzieć.

– Przyjmą ją? – W moim zainteresowaniu jest ździebko egoizmu.

– Chyba tak. Zauważyłyśmy z Carol, że świetnie się sprzedają placki i ciasta. Myślałam o tym, żeby pomóc jej rozkręcić własny biznes.

– O... fajnie – mówię.

– No...

Powiedz to, Theo. Powiedz.

– Wiesz... Myślę, że wasze ciasta smakowałyby w Teksasie.

– Tak?

– Może byś przyjechała na wspólne testowanie przepisów?

– Zastanowię się – odpowiada. Czuję ciepło w jej głosie.

– Świetnie. Jest tylko jeden haczyk...

– Kolejny seryjny morderca?

– E... nie. Niezupenie. Otóż możliwe, że spędzę resztę życia w więzieniu stanowym. Albo gorzej.

– Gorzej?

– Nadepnałem komuś na odcisk. I teraz ten ktoś próbuje ratować własny tyłek, dlatego może, ale nie musi zesłać mnie do jakiegoś tajnego więzienia na pustkowiu.

– Kurwa mać, Theo. Powiedz, co mam zrobić. Bo na pewno nie pozwolę im cię uwięzić.

Nic tak nie rozgrzewa serca mężczyzny, jak kiedy ukochana kobieta mówi mu, że jest gotowa zakraść się za linię wroga, by go uratować z niewoli.

– Zaczekaj, zanim zaczniesz się bawić w komandoskę. Pracuję nad rozwiązaniem. Niewykluczone, że zostanę wezwany przed oblicze tajnego trybunału agencji wywiadowczej, który mnie zaknebluje i na wszelki wypadek wtrąci do celi.

– Co mogę zrobić?

Słyszę szcęk klucza w zamku.

– Muszę kończyć. Jeśli się nie odezwę, musisz wiedzieć, że... Kocham cię – wypalam i rozłączam się, zanim zdąży zareagować.

Chowam telefon do kieszeni i w tym samym momencie do pokoju wchodzi łysiejący starszy mężczyzna. Ma na sobie przepoconą koszulkę – wraca z siłowni. Zdezorientowany spogląda na swój

klucz, a potem na mnie.

– To chyba mój pokój... – odzywa się w końcu.

– Kiedy pan się dowiedział o Diallu?

Mężczyzna, senator Hank Therot, szef komisji Kongresu do spraw kontrwywiadu, człowiek władny jednym podpisem zatwierdzić wielomilionowy budżet tajnej operacji, gromi mnie spojrzeniem. Nagle uświadamia sobie, z kim ma do czynienia.

– To pan jest tym cholernym profesorem. Już pan nie żyjesz. Rzuć pańskie kości psom na pożarcie.

– Kiedy pan się dowiedział o Diallu? – powtarzam. – Kiedy pan się zorientował, jakim naprawdę jest człowiekiem?

Wiem ze stuprocentową pewnością, że zanim Diallo położył łapy na chłopcu w Baltimore, Therot doskonale orientował się w skłonnościach tego człowieka, ale nic nie zrobił z tą wiedzą. Mam dowody potwierdzające, że Therot, który osobiście zabiegał o powierzenie Diallowi roli informatora, chronił go, ponieważ gdyby wyszły na jaw jego uczynki, ucierpiałyby na tym reputacja senatora.

Therot rozgląda się podejrzliwie po pokoju, szuka kamery albo sprzętu nagrywającego.

– Nie mam, kurwa, pojęcia, o czym pan mówi – odpowiada i odwraca się w stronę wyjścia.

Mogłem się spodziewać, że nie przyzna się do związków z Diallem. Ale to już bez znaczenia. Ludzie, którzy utrzymywali go przy władzy, odbiorcy przelewów – byli politycy, którzy przedzierzgnęli się w lobbystów i kontrahentów – zrozumieli, że Therot stał się ciężarem.

Dobiłem targu, z którego nie jestem dumny. Cavanaugh dostanie ode mnie laboratorium profilujące terrorystów, a ja dorwę Therota. Podpisałem cyrograf. Tłumaczę sobie, że działając od środka, będę mógł zmienić system na lepsze, i zarazem obawiam się, że każdy tak myśli, dopóki nie okaże się, że musi dokonywać wątpliwych moralnie wyborów i uspokajać sumienie takimi określeniami jak „straty uboczne”.

Therot upada pod drzwiami.

Pokryłem zewnętrzną stronę klamki trucizną, która wchłania się przez skórę i powoli zwała człowieka z nóg. Dostała się do organizmu senatora przez rozszerzone po wysiłku pory i jak widać skutecznie zadziałała.

Kiedy Therot odpywa w sen, wydaję buteleczkę środka dezynfekującego i spryskuję każdą powierzchnię, której dotknąłem, usuwając wszelkie ślady mojego pobytu w tym pokoju. Kilka chwil później rozlega się pukanie do drzwi – zgodnie z planem. Na zewnątrz czeka dwóch mężczyzn z wózkiem inwalidzkim. Zakładam lateksową rękawiczkę i starannie wycieram klamkę. Podnoszę kciuk na znak, że wszystko poszło dobrze. Mężczyźni sadowią nieprzytomnego senatora na wózku i przypinają go tak, żeby siedział prosto. Kierują się w stronę windy towarowej, a ja wybieram schody. Zerkam przez ramię, akurat kiedy William Bostrom i Mathis wprowadzają Therota do kabiny. Wymieniamy z Williamem porozumiewawcze spojrzenia. Obaj wiemy, że ból nie minie, bo zabicie potwora nigdy nie przynosi ukojenia; po prostu nie można inaczej, kiedy już się ujrzy jego prawdziwe oblicze.

Zbliżając się do wynajętego auta, które zaparkowałem trzy przecznice dalej, dostrzegam znajomą postać. Opiera się o maskę mojego wozu i popija kawę z kartonowego kubka.

– Niech zgodnę: ma pan za zadanie doprowadzić do końca wszystkie wątki – rzucam półzartem do Zimnowojennego Billa, ściskając w lewej dłoni niewielki pojemnik; prawa dłoń wędruje do boku, gotowa w każdej chwili sięgnąć po pistolet za pasem.

Bill przewraca oczami i wzdycha.

– To tak nie działa. Łatwiej i czyściej człowieka kupić. Co właśnie zrobiliśmy, prawda? – Słysząc w jego głosie nutę pretensji. A może to tylko ogólne rozczarowanie światem. – Moim zadaniem jest dopilnowanie, żeby nic się nie spieszyło. Ufa pan swoim ludziom?

– Ani trochę – przyznaję. – Ale ufam ich wyrachowaniu.

– Słuszna odpowiedź. Jeszcze jedno pytanie, z czystej ciekawości: dlaczego?

Spoglądam w stronę hotelu.

– Bo uznałem, że to najskuteczniejszy sposób na wyeliminowanie wektora odpowiedzialnego za Dialla.

Bill gładzi się po brodzie i kiwa głową.

– Rozumiem, profesorze. Zatem dla pana to wszystko wyłącznie biologia.

– I matematyka. Proszę nie zapominać o matematyce.

– Cholera – bąka Bill. – Chyba przeraża mnie pan bardziej niż Diallo.

– Po prostu doprowadzam rzeczy do naturalnego końca.

– No właśnie. Tylko patrzeć, kiedy dojdzie pan do wniosku, że problemem są ludzie, i wymyśli zabójczą bakterię, która zabije nas wszystkich.

– Bakteria byłaby za mało wydajna. – Przenoszę spojrzenie na pojemnik w dłoni. – Co innego specjalnie dobrany prion...

Bill podąża za moim wzrokiem, po czym wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, próbując ustalić, czy żartuję.

– Cholera. Już sam nie wiem, kto powinien się bardziej martwić tą umową, którą pan zawarł: pan czy oni.

Dokładnie o to mi chodzi. Niech tak myślą.

Zimnowojenny Bill wrzuca niedopitą kawę do kosza i odchodzi. Pewnie zastanawia się, jak ostrzec swoich przełożonych, że profesor Cray może się okazać opętany wizją apokalipsy szaleńcem planującym ludobójstwo.

Chowam pojemnik do kieszeni, wsiadam do auta i włączam się do ruchu na autostradzie. Porzucam myśli o Therocie, Billu i jego mocodawcach.

Czeka mnie praca. Muszę zbudować laboratorium.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska, Joanna Maciuk
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Jacek Żuławnik
Redakcja: Sylwia Bartkowska
Korekta: Krystian Gaik, Piotr Królak

Cover design by M.S. Corley

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-5610-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo